

Bonnie MacDougal

Kąt zderzenia
(Angle of Impact)

Przełożył Michał Przeczek

*Moim córkom,
Alison i Jordan,
które dały mi więcej, niż się spodziewałam,
i są lepsze, niż na to zasłużyłam*

*Pewność jest na ogół iluzją,
a spokój nie jest przeznaczeniem człowieka*

OLIVER WENDELL HOLMES Jr.

The Path of the Law (1897)

Podwozie zostało opuszczone i zablokowane – samolot z Los Angeles zwolnił, podchodząc do lądowania na lotnisku w Filadelfii. Nad New Jersey wstawało słońce. Różane, płynne światło rozlewało się po rzece Delaware niczym mieniąca się barwami tęczy plama ropy. Świt powoli rozpalał bezchmurne niebo.

Dana Svenssen rozpląszczyła nos na szybie, żeby to zobaczyć. W Kalifornii przez cały miesiąc nie widziała słońca; ciągle tylko: sala rozpraw, gabinet konferencyjny, pokój w hotelu. Ale w końcu wróciła do domu, podniecona wygraną, gotowa zabrać dzieci na wspaniały, dwutygodniowy wypoczynek nad morzem.

Siedzący obok niej olbrzym, który zajął oba podłokietniki fotela, już zaczął odpoczywać. Trzydziestokilkuletni prawnik spał zdrowo jak mały chłopiec – nie obudził się nawet wtedy, gdy samolot dotoczył się do bramki wyjściowej i pasażerom pozwolono opuścić pokład.

Dana pochyliła się nad nim i powiedziała szeptem:

– Travis, obudź się. Jesteśmy w domu.

Mężczyzna poruszył się z mocą wielkiej koparki – zaskoczył natychmiast.

– Nie spałem – powiedział charakterystycznym, głębokim tonem, połykając dźwięki. Wyprostował głowę na potężnym karku. – Pozwoliłem tylko odpocząć oczom.

– Jasne. Przez dwie i pół godziny.

Dana wstała z fotela. Miała sto siedemdziesiąt pięć centymetrów

wzrostu. Ciągłe jeszcze przyciągała wzrok dzięki jasnobłond włosom i oczom tak czystym i błękitnym jak wnętrze płomienia. Teraz dobiegała czterdziestki i nikt by już nie wziął jej za szwedzką modelkę. Ostatnio określenia dotyczące wyglądu Dany szły w innym kierunku. W najnowszym artykule prasowym na temat sprawy sądowej, w której wzięła udział, została nazwana Walkirią, a rysownik sportretował ją w zbroi wikinga i hełmie z krowimi rogami.

„Wielka Dana” mówili o niej po cichu Travis i inni młodszy pracownicy kancelarii.

Jej sąsiad ruszył do przejścia, ale zaraz się zatrzymał na końcu kolejki pasażerów opuszczających samolot. Kiedyś był pierwszoligowym graczem futbolu amerykańskiego, a ostatnio, jako zastępca i jej prawa ręka, przez miesiąc służył pani Svenssen.

– Mam tutaj samochód – zagrział. – Mogę cię podwieźć do biura? Tylko młody adwokat, starający się zasłużyć na awans pojechałby do kancelarii po całonocnym locie i procesie, który ciągnął się przez miesiąc.

– Mam swój samochód – odparła Dana. – Nawiasem mówiąc, biuro poradzi sobie dzisiaj bez ciebie, a miss Teksasu nie.

Żona Trávisa była kiedyś królową piękności i chociaż nigdy nie założyła korony miss stanu, mąż lubił ją tak nazywać. Miał takie powiedzonko: „Nie można poślubić miss Teksasu, wywieźć jej na północ i liczyć, że zgodzi się zamieszkać w bloku, jeździć używanym samochodem i robić zakupy u Searsa”. Travis często usprawiedliwiał kolejne wydatki tym, że ma wyjątkową i wymagającą żonę.

– A co ty masz zamiar zrobić? – zapytał. Jak zawsze, uważał, by nie ustąpić choćby o centymetr we współzawodnictwie, sprowadzającym się

do składania ofiar na ołtarzu boga pracy.

– Muszę pojechać rano do Pennsteelu, ale stamtąd ruszam już prosto do domu. Zobaczymy się dopiero za dwa tygodnie.

– A co będzie w Pennsteelu? Przesłuchanie?

Dana przewróciła oczami.

– Nie, po prostu krótkie spotkanie z Vikiem i Charliem.

Travis zatrzymał się, by ucisnąć dłonie ustawionej w szeregu załodze samolotu i ruszył truchtem do wyjścia.

– Powtórzę to jeszcze raz, Dano – zawołał. – Dałaś im porządnego kopniaka w tyłek. Te ćwoki w życiu się nie dowiedzą, co ich tak walnęło. No i naprawdę byli zdezorientowani, gdy zgłosiłem wniosek – dorzucił.

Dana ukryła uśmiech, zarzucając torbę na ramię.

– Widzisz, Travis, aby dotrzeć do stanowiska współnika, są dwie szkoły działania: bezwstydne podlizywanie się i bezwstydne samochwalstwo, a...

Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– A ja jestem wyznawcą jednej i drugiej!

Dana nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Nikt nie ujawniał swoich ambicji bardziej bezceremonialnie niż Travis Hunt.

Doszli do terminalu i ruszyli na parking. Kiedy wyszli na powietrze przez obrotowe drzwi, uderzyła ich fala gorąca. Sierpień w Filadelfii zawsze jest upalny, ale tegoroczny żar połączony z suszą okazał się wyjątkowo dotkliwy. Czterdzieści pięć dni bez deszczu, czterdzieści dni temperatury powyżej trzydziestu stopni. Dana miała na sobie dopasowaną, jedwabną sukienkę w kolorze kości słoniowej – przyjemna odmiana po kilku tygodniach noszenia ciemnych kostiumów – ale kiedy tylko wyszła

na słońce, poczuła, jak materiał wilgotnieje.

W garażu Travis zatrzymał się.

– Tak sobie myślę... Austin zażąda krótkiej informacji na temat wyroku, aby zamieścić ją w najbliższym biuletynie. Może przygotuję projekt?

Clifford Austin był prezesem ich firmy oraz propagatorem traktowania prawa jako sposobu zarabiania pieniędzy. Za jego rządów wygrana miała mniejsze znaczenie niż zysk, a już nie liczyła się w ogóle, jeżeli nie dało się jej szybko wykorzystać jako wsad do marketingowego młyna.

– Może byś jednak pojechał do żony? – Dana chwyciła Tralisa za ramiona i odwróciła we właściwym kierunku. – Nie można poślubić miss Teksasu, wlec jej na północ i nie wracać prosto do domu po miesiącu nieobecności.

Hunt posłusznie ruszył do samochodu.

Diana odszukała swój wóz. Przy bramie zahamowała, aby zapłacić za postój. Szukając pieniędzy w torebce, pomyślała, że któregoś dnia musi to zmienić – mercedes nieustannie wprawiał ją w zakłopotanie, szczególnie wobec takich ludzi, jak naznaczony trądzikiem chłopiec parkingowy. Młodzieniec brał należność, obrzucając eleganckie auto pożądliwym wzrokiem. Jego wynagrodzenie nie przekraczało minimalnej pensji. Dana uznała, że lepiej by się czuła w miniwaniu, jakimi często jeżdżą matki, a może w małej, czerwonej miacie, aby dać do zrozumienia, że nadal czuje się młodo. Może być cokolwiek, byle nie ten toczący się pean na cześć wysokiej pozycji. Ale mercedes był lepiej wyciszony niż jakikolwiek inny samochód. Natychmiast po zjechaniu z betonowego piętra garażu skorzystała z tej właściwości i wystukała domowy numer na komórce w

zestawie głośno mówiącym.

Kirstie wygrała wyścig; pierwsza podniosła słuchawkę. Dana czekała jednak na ciche stuknięcie, znak, że została podniesiona również słuchawka drugiego aparatu. Dopiero wtedy zawołała:

– Cześć, dziewczynki! Zgadnijcie, gdzie jestem!

– W Filadelfii! – krzyknęły radośnie córki.

– Zgadza się! Chciałam się z wami przywitać, zanim wyruszyście na wycieczkę. Kiedy przyjeżdża autobus?

– Za pięć minut – odpowiedziała Trina.

– Macie torebki z lunchem i butelki z wodą? I krem z filtrem? – Aha. Mamusiu, będziesz w domu, jak wrócimy?

– Oczywiście, z całą pewnością. Tatuś dał wam na drobne wydatki?

Po sekundzie wahania Kirstie odpowiedziała:

– To bez znaczenia, właściwie nie potrzebujemy forsy.

– Nie ma go tam?

– Śpi – włączyła się Trina. – Ale nie chcemy go budzić, późno wrócił wczoraj do domu.

Z oczu Dany popłynęły łzy, zmieniając obraz drogi w szarą mgłę.

– Rozumiem – mruknęła.

– Nie potrzebujemy żadnych pieniędzy – upierała się Kirstie. Miała dwanaście lat i potrafiła wyczuć kłopoty. Tyle tylko że sądziła, iż ich przyczyną jest brak pieniędzy. A problem polegał zupełnie na czym innym.

– Wejdźcie do sypialni na paluszkach i zajrzyjcie do mojej kasetki na biżuterię. Tam powinno być trochę drobnych. Weźcie, ile wam potrzeba, dobrze?

- Zgoda.
- Kocham was.
- My też cię kochamy – odpowiedziały.

Dana nadała swemu głosowi radosne brzmienie:

- Życzę wam znakomitej zabawy!

Łzy ciekły jej po policzkach, kiedy odkładała słuchawkę. Przez całe lato Whit spędzał dni na spaniu, a nocami wychodził. Zapowiadał, że tego lata skończy swoją książkę, ale nic nie wskazywało, aby robił jakieś postępy. Nie miała pojęcia, co się dzieje, a co gorsze, brakowało jej nawet odwagi, żeby się dowiadywać. Nawet jeśli jest się typem wojownika, nie wszystkie bitwy można wygrać. Ich małżeństwo zmieniło się w niełatwe, zimnowojenne zawieszenie broni: Dana mogła tylko udawać, że nie dostrzega naruszeń porozumienia albo rozpocząć wojnę termojądrową.

Nie, powiedziała sobie twardo i otarła łzy wierzchem dłoni. Nie będę myśleć o Whicie.

Helikoptery monitorujące ruch na drogach leciały jej śladem, kiedy jechała autostradą, mijając stację przy ulicy Trzynastej i kierowała się na zachód, w stronę Valley Forge. Trzynaście lat temu, w porze porannego szczytu była niemal sama na obwodnicy, ale dzisiaj ruch był jednakowo intensywny w mieście, jak i w jego okolicach. Filadelfia stanowiła kiedyś ożywiony ośrodek produkcyjny, ale teraz w mieście pracowali tylko prawnicy i bankierzy, a liczba tych ostatnich również malała. Wkrótce zostanie tu tylko cmentarz, a przez zbieleńskie kości będą się przekopywać prawnicy w poszukiwaniu klientów, pomyślała z goryczą.

Kiedy przekraczała granice miasta, zadzwonił telefon.

- Cześć! Cieszę się, że cię złapałam – rozległ się w głośniku głos

siostry. – Gdzie jesteś?

– Cześć, Karin! Jadę City Line Avenue.

– Zatrzymaj się przed wyjazdem z miasta.

– Chciałabym, ale mam spotkanie w Pennsteelu.

– Podam ci śniadanie.

– Właśnie czekają na mnie ze śniadaniem.

– No cóż. Chcesz zrezygnować z moich świeżutkich bułeczek prosto z pieca na rzecz stęchłego, duńskiego pieczywa?

Karin miała firmę cateringową i sama przygotowywała jedzenie. Specjalizowała się we francuskich wypiekach. Dana roześmiała się.

– Proszę, nie dręcz mnie.

– W porządku, nie ma sprawy. Słuchaj, czy jesteś gotowa do wyjazdu nad morze?

– Psychiczenie bardziej, niż mogłabyś się spodziewać. A pod innymi względami ani trochę. Ale będę przygotowana, kiedy przyjedziesz do mnie jutro, nawet jeśli bym musiała szykować się całą noc.

– Zjawię się punktualnie o wpół do ósmej.

Słońce robiło się coraz jaśniejsze, a bezchmurne niebo zmieniło kolor na jasnoblękitny, kiedy Dana minęła bramkę na autostradzie i skręciła na północ. Mimo suszy okolica wydawała jej się świeża i zielona po miesiącu spędzonym w Los Angeles, a przy włączonej, szumiącej klimatyzacji panujący na zewnątrz upał można było uznać za niedorzeczność. Nie czuła przygnębienia, że musi odbyć wycieczkę do Pennsteelu – dzień był zbyt piękny. Zapowiedziano, że celem zebrania ma być przedstawienie sprawozdania na temat wyroku w sprawie Palazzo Hotel, ale na ile znała firmę będącą jej klientem, a zwłaszcza prezesa Vica Sullivana, to do soku

pomarańczowego doleją szampana, a całość sprowadzi się raczej do poklepywania po plecach niż pilnego robienia notatek.

Kiedy w godzinę później zjeżdżała z płatnej drogi, telefon zadzwonił raz jeszcze.

– Proszę chwileczkę poczekać – odezwał się kobiecy głos. – Łączę pana Sullivana.

Po minucie na falach radiowych rozległy się trzaski, wywoływane przez zakłócenia atmosferyczne.

– Co, u diabła, robisz w samochodzie? – warknął Victor Sullivan. W tle słychać było głośny szum wirującego powietrza. – Czy nie miałaś być na spotkaniu o wpół do jedenastej?

– Miałam i będę – odpaliła Dana. – A ty zdążysz, skoro jesteś bardzo wysoko nad ziemią i Bóg jeden wie, ile kilometrów stąd?

Parsknął śmiechem.

– Może się założymy? A tak dla twojej informacji, jestem niezbyt wysoko nad ziemią.

Dana wjechała w boczną aleję i przyspieszyła.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– W Nowym Jorku. Widziałem się znowu z chłopakami od forsy. Z tobą czeka mnie drugie robocze śniadanie.

– Z tym, że mnie pewnie już nie będzie, kiedy wylądujesz.

– Jezu Chryste. Jedno małe zwycięstwo i robisz się bezczelna.

– Małe? – warknęła niezadowolona. Przez pięć lat od upadku Palazzo Hotel audytorzy występowali z roszczeniami sięgającymi stu milionów dolarów. Pennsteel ubezpieczył się tylko na dziesięć milionów, więc ryzyko finansowe było poważne.

– No dobrze, mów – ciągnął Sullivan.

– Myślałam, że właśnie w tym celu zwołano dzisiejsze spotkanie.

– Dobrze wiesz, że nigdy nie idę na zebranie, jeżeli nie mam więcej wiadomości niż wszyscy pozostali.

– A ja nigdy nie omawiam spraw służbowych przez telefon.

– Rozmawiamy na częstotliwości radiowej, przyznanej tylko mojemu helikopterowi – przekonywał Sullivan.

– To jeszcze gorzej. Z tego wynika, że rozmowa jest nagrywana na magnetofonie w twoim kokpicie, a skąd wiadomo, kto słucha?

Sullivan jęknął. Miała rację.

– Daj spokój – starał się ją udobruchać. – Przedstaw mi chociaż wersję publiczną.

– Zgoda. – Wyprzedziła dwa samochody, potem jeszcze dwa, zanim jakiś rozpędzony kierowca zmusił ją do zjechania na prawy pas. – Dowody wskazują, że belka podtrzymująca trzydzieste piętro hotelu odkształciła się z powodu niewystarczającego zabezpieczenia przeciwpożarowego, a nie ze względu na błąd produkcyjny czy też wadę stali. Przysięgli obciążyli podwykonawcę odpowiedzialnego za zabezpieczenie przeciwogniowe, podwykonawcę odpowiedzialnego za roboty elektryczne i tego biednego dzieciaka, który zaczął wymieniać przewody w swoim pokoju. Pennsteel został zwolniony z wszelkiej odpowiedzialności.

– Nich Bóg ma w opiece szacowny sąd!

Roześmiała się.

– Kto będzie na dzisiejszym spotkaniu? – zapytała.

– Ci sami podejrzani co zwykle: Haguewood, Morrison i Schaeffer.

Byli to trzej starsi wiceprezesi spółki; szeregowi pracownicy nadali im

nazwę Trzech Amigos, bo sędziwi panowie bardzo się nawzajem nie lubili. Faworytem Dany był Charlie Morrison, radca generalny i dobry, stary przyjaciel.

– I Ollie – dorzucił Sullivan.

Oliver Dean, emerytowany prezes, odszedł w stan spoczynku, ale wyłącznie jako przewodniczący zarządu. Skład personalny potwierdził domysły Dany – dzisiejsze spotkanie miało być fetą z okazji zwycięstwa.

– Czym latasz? JetRangerem?

– Tak. To najlepszy śmigłowiec na świecie.

– I wyciąga raptem sto pięćdziesiąt na godzinę? Mogę cię prześcignąć swoim samochodem.

Zmieniło się światło. Dana nacisnęła na hamulec.

– Teraz masz okazję.

– Poczekaj chwilkę! Nie wiem, gdzie jesteś. Może siedzisz sobie na lądowisku dla helikopterów.

– Ale gdzie tam. Ron, gdzie jesteśmy?

Odpowiedź pilota utonęła w szumie silników i rytmicznym łopocie śmigła.

– Nie podawaj mi skomplikowanych namiarów – rzucił pilotowi i znów zwrócił się do Dany: Poczekaj, niech popatrzę. No, już wiem. Dolatujemy do parku rozrywki. Widzę tę diabelską kolejkę. Jak to się nazywa? Alpine Valley.

– Nie żartuj! – zawołała Dana. – Pomachaj tym na ziemi, Vic. Moje dzieciaki są tam dziś na wycieczce.

– Coś takiego! Hej, Ron, opuść no tę zabawkę! Poszukamy dwóch blondynek.

Dana roześmiała się; szумы atmosferyczne zakłóciły słyszalność. Światło na drodze zmieniło się. Kiedy przejeżdżała przez skrzyżowanie, w głośniku rozległ się zduszony krzyk.

– Vic?

W odpowiedzi rozległ się zgrzyt miażdżonego metalu i ryk gwałtownie wdzierającego się powietrza.

– Vic? – zawołała znowu.

Zapanowała cisza. Po chwili usłyszała sygnał wolnej linii. Zjechała na pobocze i wpatrywała się w telefon. Po chwili podniosła słuchawkę i wybrała numer Pennsteelu.

– Mówi Dana Svenssen – przedstawiła się telefonistce. – Akurat rozmawiałam z panem Sullivanem na kanale jego helikoptera, ale coś nam przerwało...

– Proszę chwileczkę poczekać.

Obok rozległ się klakson przejeżdżającego samochodu. Dana włączyła światła awaryjne.

– Przykro mi, pani Svenssen – odezwała się operatorka. – Nikt nie odpowiada.

– Czy może mnie pani połączyć z waszym wydziałem lotniczym?

– Momencik.

Spojrzała przez szybę – niebo było idealnie czyste, intensywnie modre, niczym nie zmacone.

– Keller – rozległ się męski głos.

Keller. Zaczęła błyskawicznie szukać w pamięci.

– Ted?

– Zgadza się.

Pamięć jej dopisywała. Był to główny pilot Pennsteelu. Kilka razy latała z nim samolotem spółki.

– Ted, tu mówi Dana Svenssen z firmy „Jakcson, Rieders i Clark”. – Musiałby mieć minutę, aby sobie przypomnieć, ale Dana nie dała mu czasu. – Rozmawiałam przez telefon z Victorem Sullivanem. Vic był w helikopterze. Nagle coś się stało.

Opisała rozmowę i odgłosy, jakie po niej nastąpiły. Po chwili milczenia Keller sapnął:

– O, mój Boże.

Zamknęła na chwilę oczy, włączyła kierunkowskaz i wtoczyła się na jezdnię.

– Jestem o dziesięć minut jazdy od Alpine Valley – krzyknęła. – Jadę tam natychmiast.

Włączyła policyjny skaner, przecięła dwa pasy ruchu i skręciła w lewo na najbliższym skrzyżowaniu. Radio piszczało i buczało, przeszukując rozmaite częstotliwości, aż wychwyciło najsilniejszy sygnał.

– Dobra, słuchaj! – krzyczał ktoś. – Potężna eksplozja w parku rozrywki. Ognista kula na niebie; wygląda, jakby wybuchła kometa.

– O, Chryste! – wołał rozmówca. – Katastrofa! To chyba deszcz meteorytów! Dana wstrzymała oddech. Jej dzieci są pod niebem, z którego spływa ogień. Wcisnęła pedał gazu, wskazówka szybkościomierza skoczyła jak szalona. Dookoła rozlegały się dźwięki klaksonów.

Skaner wychwytywał komendy dyżurnych. Policja wysyłała do parku radiowozy i karetki pogotowia. Nikt nie wiedział dokładnie co było przyczyną katastrofy. Dopiero kolejna rozmowa wiele wyjaśniła.

– Widziałem wszystko – mówił jakiś mężczyzna. – Helikopter i mały

samolot leciały wprost na siebie. Wyglądało, jakby ze sobą walczyły.

– Są ranni? – zapytała dyżurna.

– Jezu, paniusiu, więcej niż można zliczyć.

Gorące łzy napłynęły do oczu Dany. Wyłączyła skaner, kiedy znowu zabrzączał telefon. Zgłosiła się operatorka z Pennsteelu:

– Proszę poczekać, łączę z panem Morrisonem.

– Dana? Keller właśnie mi powiedział...

– Och, Charlie... – Zamilkła. Znali się z Charliem od dawna. Z trudem opanowała płacz. Przełknęła ślinę, – Słyszałam rozmowy na paśmie policyjnym. JetRanger zderzył się w powietrzu z małym samolotem. Nad parkiem rozrywki.

– Jedziesz tam w tej chwili?

– Mhm. Możemy się spotkać?

– Jasne. Chyba powinienem powiadomić najpierw firmę ubezpieczeniową.

– Ile wynosi twoje pokrycie zasadnicze, Charlie?

– Tyle samo, ile dla Palazzo. Sto milionów ponad pierwszych dziesięć milionów.

– No to lepiej zawiadom też swojego ubezpieczyciela od tej nadwyżki. Morrison przez chwilę rozważał sens słów. – Słusznie – odrzekł.

Na poboczu stały samochody osobowe i ciężarówki. Wyglądały jak łódki wyciągnięte na brzeg. Kierowcy tłumnie wspinali się na szczyt pagórka, z którego widać było Alpine Valley. Dana zwolniła. Kłębiaste chmury czarnego dymu unosiły się nad parkiem i toczyły po linii znaczącej horyzont. Przez mgłę przebijały się pomarańczowe języki ognia, wszędzie czuć było siarczaną woń palącego się oleju napędowego i metalu.

Na drodze zgromadzili się gapie. Stali osłaniając dłońmi oczy przed słońcem. Dana naciskała klakson, aż zrobili jej miejsce, minęła ich i ruszyła długim podjazdem do bramy parku. Po obu stronach rósł las, w którym organizowano pikniki. Drzewa przez chwilę zasłaniały widok, a kiedy się przeredziły, zobaczyła rumowisko.

Wraki znajdowały się nie na ziemi, tylko w najwyższym punkcie toru diabelskiej kolejki, na wysokości siedemdziesięciu metrów. Helikopter i awionetka były splecione niczym para kojarzących się ptaków, spalonych w trakcie zbliżenia. Ze zniszczonych maszyn wydobywały się płomienie, na ziemię płynęły kaskady iskier i popiołu. Zapaliły się wierzchołki drzew, a także różnokolorowe daszki budek z hot dogami i karuzela. Zjawilo się już kilka policyjnych radiowozów. Ekipa strażacka pompowała strumień wodnej piany na tłące się rumowisko.

Dana chwyciła torebkę i pognęła w kierunku diabelskiej kolejki. Pędziła ile sił w nogach, rozbryzgując stopami piasek. Pracownicy parku w skórzanych spodenkach i tyrolskich kapeluszach biegli na parking.

Kobiety w tenisówkach, z umocowanymi u pasa sakiewkami, przypominającymi torby kangurów, głośno nawoływały swoje dzieci. Spływające łzy żłobiły białe ślady na poczerwiałych od sadzy twarzach.

Dana minęła stanowisko zderzających się samochodzików, salę z automatami do gry i morskiego smoka, który teraz ział prawdziwym ogniem. Przebiegła przez mostek nad fosą obok skramblera, którego puste samochodziki wciąż wirowały w szaleńczym tempie. Cały czas krzyczała: „Kirstie! Trina! Kirstie! Trina!”, ale setki innych matek wykrzykiwały setki innych imion i żaden głos nie mógł przebić się przez ogólny hałas.

Strzałka z napisem TORNADO wskazywała drogę do diabelskiej kolejki; Dana popędziła ścieżką, czując w nozdrzach i gardle zapach spalonego, rozgrzanego do czerwoności metalu. Nagle zatrzymała się przed osmolonym, wciąż jeszcze tłącym się drzewem. Pod nim leżało zwęglone ciało. Do czaszki przyłgnęły stopione plastikowe słuchawki od radia. To pewnie jeden z pilotów – może Ron, poważny młody człowiek, który woził Vica na niezliczone wyprawy w górę i w dół wschodniego korytarza. Na ziemi były porozrzucane inne, poczerwiałe ciała. Niektóre ofiary krzyczały w agonii, kiedy ratownicy się nimi zajmowali. Było tam dziecko pozbawione włosów, ze spaloną skórą. Dana nie zdołała już dłużej zapanować nad paniką. Wrzeszczała: „Kirstie! Trina!”, kiedy potykając się, biegła do kolejki Tornado.

Myślała, że zobaczyła już cały koszmar, wywołany katastrofą lotniczą, ale dopiero teraz ujrzała to, co najgorsze. Wyładowane dziećmi wagoniki kolejki górskiej stały unieruchomione na szynach, kilkanaście metrów od szczytowego punktu, na którym wisiał wrak.

– Dzięki Bogu operator włączył hamulec – zawołał stojący obok

mężczyzna w szortach z madrasu. – Gdyby nie to, dzieciaki wpadłyby w sam środek pożaru.

Szczałki rozbitych maszyn ciągle jeszcze wypluwały kłęby dymu, który zasłaniał większość wagoników z pasażerami. Brygada strażacka polewała rumowisko poprzez szkielet kolejki. Na szynach leżał na boku JetRanger. Największe śmigło znikło, ale wirnik na ogonie ciągle się obracał. Przy czubku kadłuba, jakby został do niego przyspawany, tkwił mały samolot z jednym silnikiem i wysokimi skrzydłami, zapewne czteroosobowy. Jedno skrzydło sterczało pionowo.

Rozległ się przeciągły jęk, jakby śpiący gigant ocknął się z bólem i rozbity śmigłowiec wyraźnie zadrżał. W tłumie gapiów podniósł się szmer. Setki ludzi wstrzymały oddech do czasu, gdy szczątki maszyny odzyskały równowagę i znów znieruchomiały.

Z drzwi helikoptera wysunęło się ludzkie ramię. Za nim wyłoniła się pozostała część ciała, które spiralnym ruchem, głową naprzód spadło na ziemię. Dzieci krzyknęły, kiedy zwłoki przeleciały obok wagoników. Dana obserwowała, jak z wysokości siedemdziesięciu metrów zwłoki Vica Sullivana swobodnie opadają na piasek.

Mężczyźni błyskawicznie rzucili się na ratunek, ale niemal natychmiast stanęli, kiwając głowami.

Dana patrzyła na miejsce, gdzie w nienaturalnej pozycji leżał Vic, z rozrzuconymi rękami i nogami.

– O mój Boże, Vic! – krzyknęła.

– Pani go zna? – zapytał jeden z ratowników.

Przytaknęła sztywno.

Płomienie zaczęły dogasać w strumieniach wody i środków

chemicznych. W kłębach dymu powstała luka. Dana pomyślała, że nie mogło się wydarzyć nic strasniejszego. Spojrzała w górę, na wagoniki unieruchomione na torze – zauważyła dwa końskie ogony koloru blond.

Zaczęło jej głośno szumieć w uszach, jakby gdzieś daleko huczał wodospad. Niebo zrobiło się białe, poczuła zawrót głowy, ale mimo omdlenia słyszała swój przeraźliwy krzyk: „Trina! Kirstie!”

Ale do dziewczynek nie dotarło wołanie. Siedziały mocno objęte i przytulone do siebie buziami. Katrina płacze, a Kirsten pewnie robi wszystko, by pocieszyć siostrzyczkę. Dana jeszcze raz wykrzyczała ich imiona, ale dzieci nie były w stanie dosłyszeć matki. To najdroższe istoty w jej życiu, a ona nie może przyjść im z pomocą.

Intensywnie wpatrywała się w córki – obawiała się, że jeżeli zerwie tę cieniutką jak babie lato nić łączności wzrokowej, dziewczynki znikną w kłębach dymu. Szybko zerknęła wokół siebie, szukając drabin, siatek zabezpieczających, wszystkiego, co zapewniałoby dzieciom bezpieczeństwo. Obok stały dwie zapłakane, przytulone do siebie kobiety z wzrokiem utkwionym w wagonikach.

– Co oni zamierzają zrobić? Jak sprowadzą maluchy na dół? – zawołała Dana.

Nieszczęsne matki potrząsnęły bezradnie głowami.

– Drabiny nie dosięgną tej wysokości. Ratownicy muszą wysłać wspinaczy i ściągnąć je na dół na plecach – odezwał się jakiś mężczyzna.

Kilku strażaków mocowało liny i uprząż u podnóża kolejki górskiej. Dana znów spojrzała w górę, ku wagonikom. Policzyła głowy dzieci i zaczęła kalkulować. Jeden człowiek może za jednym razem zabrać pięciu małych pasażerów. Oddałaby wszystkie pieniądze, aby tylko jej córki

dotarły na ziemię jako pierwsze. Rzuciła się pędem, aby bez cienia wstydu powiedzieć to ekipie, ale było za późno. Kiedy dotarła do miejsca akcji, wspinacze znajdowali się już na stalowym rusztowaniu.

Okolica roiła się od ciężarówek i ludzi w kombinezonach oraz gumowych płaszczach i butach. Ktoś znalazł dojście do parkowego radiowężła i namawiał zgromadzonych, aby niezwłocznie skierowali się do wschodniej bramy. Do podnóża kolejki górskiej podjechał radiowóz z błyskającymi światłami. Z samochodu wysiadł umundurowany policjant z przytkniętym do ust megafonem. – Cofnąć się! – ryknął. – Samoloty mogą runąć lada chwila!

Dana nie ruszyła się, tak samo jak dwie łkające kobiety. Gliniarz obrócił tubę w ich kierunku, chociaż stał tylko parę metrów dalej.

– Powiedziałem: do tyłu. Tam! – Wolną ręką pokazał diabelski młyn.

Dana zlekceważyła funkcjonariusza i poszła w stronę kolejki. Ratownicy dotarli do pierwszego wagonika i właśnie zakładali uprzęż na dzieci i pomagali im wygramolić się przez boczne ścianki. Wśród garstki wybranych nie było dwóch blondynek. Danie zmiękły nogi w kolanach.

Pierwsze dzieci stanęły na ziemi, drżące, usmarowane sadzą, ale bez obrażeń. Błyskawicznie znikły w objęciach krewnych. Po chwili zostały odprowadzone poza linię utworzoną z ukrytych w torbach zwłok.

Ratownicy znów ruszyli w górę; Dana stała jak wmurowana, obserwując ich poczynania, ale i tym razem jasne czupryny zostały w wagonikach. Dopiero za trzecim podejściem jej córeczki znalazły się w uprzęży; dopiero kiedy znalazły się w połowie stalowej konstrukcji, Dana zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała tych dziewczynek. Odwróciła się, wykrzykując imiona swoich dzieci, ale z głośnika wciąż grzmiała

komenda, by natychmiast przechodzić do wschodniej bramy. Hałas wzmogły polecenia strażaków wydawane przez megafon. Ludzka rzeka płynęła w kierunku wyjścia, porywając ze sobą krzyczącą i rozglądającą się za dziećmi Dane.

Obok przebiegli sanitariusze, dźwigając na noszach okryte ciało. Niewidoczny człowiek wrzeszczał przeraźliwie, czuć było swąd spalenizny. Za nimi szła upiornie blada kobieta.

W całym tym chaosie, przez wrzawę, wycie syren, terkot silników i szum strumieni wody do uszu Dany dotarł słaby głosik:

– Mama?

Odwróciła się gwałtownie. Tam, w morzu zielonych, harcerskich podkoszulek jaśniały dwie główki blond – żadna nie była ozdobiona końskim ogonem. Dana wybuchła płaczem.

Dziewczynki wyrwały się z tłumu i podbiegły do niej. Opadła na kolana i chwyciła córki w ramiona. Płakała tak gwałtownie, że Trina w końcu zapytała:

– Zostałaś ranna, mamusiu?

Wstała zaskoczona. Po chwili zaczęła się śmiać. – Nie, kochanie, nie! A wy? Nic wam nie jest?

Pokręciły głowami. Matka odsunęła je na długość wyciągniętej ręki, by się o tym naocznie przekonać. Miały buzie pobrudzone sadzą, na twarzy Triny widniały ślady łez, ale poza tym wyglądały na całkowicie zdrowe. Nawet futerał z aparatem fotograficznym, wiszący na szyi Kirstie pozostał nie naruszony.

Młoda kobieta w zielonej bluzce podbiegła z rozpostartymi ramionami, chcąc odebrać dziewczynki, ale w ostatniej chwili zatrzymała się.

– Ach, to pani Endicott – powiedziała. – Nie poznałam pani.

Nic dziwnego, pomyślała Dana. Miała podarte rajstopy; kremowa, jedwabna suknia zrobiła się szara od popiołu; w jednym bucie złamał się obcas. Dana oderwała drugi.

– Właśnie skończyliśmy odliczanie – powiedziała opiekunka. – Jesteśmy w komplecie. Nikt z nas nie został ranny.

– Bogu dzięki – odparła słabym głosem Dana. Zdała sobie sprawę, że wychowawczyni, dziewczyna z college’u, zachowała więcej zimnej krwi niż ona, kobieta obyta z katastrofami.

– Woli pani sama zabrać dziewczynki do domu, czy wrócą z nami autobusem?

– Nie. Pojadą ze mną – odpowiedziała Dana, tuląc do siebie córki.

– Proszę pani, hej, proszę pani! – zadudnił jakiś głos. Dana obejrzała się za siebie. Dwóch umundurowanych mężczyzn pędziło w jej kierunku.

– Tak, to ona – oznajmił jeden. Po chwili rozpoznała ratownika, który badał ciało Vica Sullivana.

– Zechce pani pójść z nami – odezwał się drugi. Miał na mundurze oznaki policji stanowej. W jego głosie nie było tonu prośby.

– Co takiego? Po co?

– Sądzymy, że może pani zidentyfikować jedno z ciał.

– Owszem, ale...

– Możesz? – wypaliła Kirstie, podnosząc na matkę zachwycone oczy.

– Teraz chcę zabrać do domu moje dzieci – powiedziała Dana.

– Niech pani posłucha, musimy przeprowadzić dochodzenie. – Policjant nie dawał za wygraną.

– Odwieziemy je do domu, pani Endicott; proszę się nie obawiać –

wtrąciła się opiekunka.

Dana popatrzyła na córki. Były do siebie bardzo podobne, jak bliźniaczki, chociaż dzieliła je różnica czterech lat i trzydziestu centymetrów wzrostu. Miały jednak takie same złote włosy, różowe policzki i jasne oczy, osadzone w owalnych jak kamea buziach. Tyle że Kirsten wyraz oczu odziedziczyła po ojcu – stalowo-błękitne paciorki tkwiły głęboko osadzone pod mocno zarysowanym czołem. Katrina natomiast spoglądała na świat z błogością spokojnymi, szarymi oczyma i nie marszczyła brwi. Poważna Kirsten i pogodna Katrina – oto owoc jej łona, dobry, wspaniały plon.

Nigdy nie odczuwała swego macierzyństwa bardziej wyraziście niż przez ostatnie pół godziny, kiedy wydawało się, że może stracić dzieci. Od chwili, gdy w samochodowym głośniku usłyszała trzask metalu, działała instynktownie. Teraz, kiedy tuliła do siebie bezpieczne już dzieci, znowu stawała się bardziej prawnikiem niż matką.

– Posłuchajcie, dziewczynki – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – Wiecie, co to za helikopter się rozbił? To śmigłowiec firmy Pennsteel.

– A Pennsteel jest twoim klientem? – zawołała Kirstie.

– Mhm. Mhm.

– No więc powinnaś zostać.

– Tylko, jeżeli będzie wam dobrze z grupą. No, jak myślicie? Kirstie przytaknęła natychmiast; aparat fotograficzny majtał się na jej szyi. Trina przez dłuższy czas rozważała kwestię.

– Co, kochanie? – zapytała z niepokojem Dana.

– Pojedziemy autobusem – odparła w końcu.

Dana mocno uścisnęła dziewczynki na pożegnanie.

- Trzymajcie się razem, zgoda? Wróć, możliwie najszybciej.
- Proszę pani – wtrącił niecierpliwie policjant.
- Weź to, mamusiu. Dopiero zaczęłam film – powiedziała Kirstie, przeciągając przez głowę pasek od aparatu.

Opiekunka przyłączyła obie dziewczynki do grupy. Dana z drżącymi ustami patrzyła, jak dzieci maszerują w stronę parkingu.

Policjant ujął ją za łokieć. Wreszcie zarzuciła ramię od aparatu na szyję i ruszyła za funkcjonariuszami. Umundurowani mężczyźni kręcili się niczym pasterskie psy, pilnujące, aby stado nie zatrzymywało się; maruderów przywoływali do porządku, korzystając ze swych megafonów. Centrum dowodzenia zorganizowano koło karuzeli. Ośrodkiem był stół z czerwonego drewna, zarekwirowany w piknikowym zagajniku. Jeden z obecnych tam ludzi – robił wrażenie mianowanego szefa – ponury mężczyzna w czapce z daszkiem oraz insygniami straży pożarnej z odległego Allentown. Rozmawiał jednocześnie przez krótkofalówkę i telefon komórkowy.

Rozległ się odgłos wirującego śmigła helikoptera. Zaskoczona Dana podniosła wzrok. Wyobraziła sobie, że to JetRanger powstał z popiołów niczym feniks. Ale nie, to śmigłowiec pogotowia ratunkowego szukał miejsca do lądowania. Dowodzący akcją krzyczał do telefonu: „Jezu Chryste, tylko nie tutaj, do cholery! Nie chcemy kolejnej katastrofy!”

Funkcjonariusz policji stanowej skierował Dane w stronę rzędu schowanych w workach zwłok przed budką z lodami. Pilnował ich młody policjant. Jego wyraz twarzy wskazywał, że robi mu się słabo i że jest to najgorsze zadanie, jakie mu kiedykolwiek powierzono. Wokół oczu miał czarne obwódki z sadzy roztartej rękami. Wyglądał jak Rudolf Valentino

ze starego filmu niemego.

– Ta kobieta ma dokonać identyfikacji – poinformował pierwszy policjant.

Chłopak przytaknął, pochylił się nad pierwszym ciałem i rozsunał zamek błyskawiczny. Dana wzięła głęboki oddech i zbliżyła się do zwęglonych zwłok z przyspawanymi do czaszki słuchawkami. Potrząsnęła głową i poszła dalej.

Następna torba była w połowie pusta.

– To dziecko – wyjaśnił policjant. – A ten jest z samolotu – otworzył kolejny pokrowiec.

W środku leżał mężczyzna z piaskowymi włosami, w sportowej koszulce. Jego twarz była tylko trochę spalona. Śmiertelne rany musiały znajdować się niżej. W rysach zmarłego zastygł wyraz bólu i oburzenia połączonego z zaskoczeniem. Dana znów pokręciła głową. Funkcjonariusz otworzył następną torbę. Jasnowłosy młodzieniec, właściwie chłopiec, był bardzo podobny do człowieka w sportowej koszulce. Samolotem pewnie leciał ojciec z synem.

Zawartość kolejnego pokrowca spowodowała, że serce podeszło jej do gardła. Zamiast twarzy zobaczyła krwawe mięso.

– Chcę zobaczyć ręce – wyszeptała.

Funkcjonariusz wydobyl ramię zmarłego. Uklękła i ujęła zimną, zeszywniałą dłoń Vica. Natychmiast ją rozpoznała. Manicure był nienaganny, ale na ręce pozostały charakterystyczne zgrubienia skóry. Kiedyś Vic przerzucał łopatą węgiel w kotłowni. Dobrze poznał brudną, ciężką harówkę, zanim od roboty fizycznej przeszedł do zarządzania i wyprzedził wszystkich, uzyskując dyplom w szkole biznesu Wharton.

Oliver Dean nie miał innego wyjścia, jak tylko poprzeć jego awans na prezesa. Vic Sullivan, wywodzący się z przemysłowej klasy robotniczej, leżał teraz martwy.

– Tak – powiedziała do policjanta podnosząc się z ziemi. – On nazywa się... Victor Sullivan. – Jak przez mgłę uświadomiła sobie, że użyła niewłaściwego czasu, ale nie chciała tego prostować.

– Kim był dla pani?

– Klientem. To prezes Pennsteel Corporation.

Policjant wykazał większe zainteresowanie. Wyciągnął notatnik z kieszeni koszuli.

– Czy to był ich śmigłowiec?

– Tak.

– Dokąd lecieli?

– Z Nowego Jorku do siedziby Pennsteel.

– Kto jeszcze znajdował się na pokładzie?

Dana znów zerknęła na pokrowiec.

Funkcjonariusz zasuwał zamek.

– Jego pilot. Może też drugi pilot.

– Nazwiska.

– Jeden nazywał się Ron. To wszystko, co wiem.

Funkcjonariusz spisał dane oraz numer telefonu Dany i w końcu pozwolił jej odejść. Skierowała się do diabelskiej kolejki. Ogień został ugaszony, pozostały jedynie smugi dymu na niebie. Na szynach tkwił helikopter, zawieszony tylko na jednej płozie. Wystarczy małe drgnięcie, a wszystko runie na ziemię.

Wiedziała, że teraz rój pracowników dochodzeniowych zacznie szperać

wśród szczątków w poszukiwaniu dowodów. Takie ślady mogą mieć kluczowe znaczenie dla określenia przyczyny kolizji. Kiedyś prowadziła sprawę związaną z katastrofą, małego samolotu na pustyni. Widoczność była świetna, wiatr umiarkowany, mnóstwo paliwa, żadnych dowodów awarii silnika, a autopsja wykazała, że pilot cieszył się doskonałym zdrowiem. Gazety nazwały ten wypadek „tajemnicą godną Strefy Cienia”. Jednak jeden z ekspertów Dany pogrzebał we wraku i znalazł ślady krwi i włosów na kawałku pleksiglasu – przypuszczał, że należały do pilota, ale przecucie kazało mu przeprowadzić testy. Kiedy nadeszły wyniki, sekret się wyjaśnił. Pilot został znokautowany, kiedy ze szponów jastrzębia wypadł królik i rozbił szybę samolotu.

W tym przypadku każdy skrawek rumowiska zostanie zbadany i przeanalizowany w nadziei znalezienia śladów mogących wskazać na kłopoty z silnikiem, złym funkcjonowaniem przyrządów kontroli lotu, zużyciem metalu czy choćby mechanicznym uszkodzeniem kadłuba. Jeśli jednak wrak osunie się na ziemię, bezpowrotnie zginie jeden rodzaj śladów: pozycja, w jakiej w stosunku do siebie znajdowały się obie maszyny bezpośrednio po kolizji. A to może być istotny dowód, pokazujący kąt zderzenia.

Dzięki Kirsten Dana mogła przynajmniej uwiecznić to położenie na fotografii. Zrobiła kilka zdjęć, ale stalowe rusztowanie kolejki pozwalało uwiecznić jedynie fragmenty obu wraków. Trzeba się wspiąć wyżej. Niewielki pagórek za jej plecami wznosił się na odpowiedni poziom, ale znajdował się za daleko, by fotografować bez teleobiektywu. Teren w promieniu pięćdziesięciu metrów był płaski, a w miejscu, gdzie ustawiono diabelski młyn, nawet się obniżał.

Diabelski młyn. Odwróciła głowę w tamtą stronę i podniosła wzrok. Górna część wielkiego koła wznosiła się na przeszło trzydzieści metrów, a pomiędzy nim i szczytem toru kolejki górskiej nic nie zasłaniało widoku. Koło stało nieruchome, ale przy pulpicie sterowniczym krzątał się młody człowiek, ubrany w skórzane spodnie, noszone przez obsługę Alpine Valley.

Dana podbiegła i wspięła się do najniższej zawieszanej gondoli. W łódeczce znajdowały się dwie zwrócone do siebie ławki, a pomiędzy nimi tkwiła dźwignia hamulca bezpieczeństwa.

– Niech pan to włączy i zawiezie mnie na szczyt – zawołała.

– Teraz nie pracujemy – krzyknął chłopak.

– Muszę się tam dostać i zrobić zdjęcia wraków.

Chwyciła ręką za drążek, ale młodzieniec szybko zaciągnął hamulec z powrotem.

– Już powiedziałem: zamknięte.

Sięgnęła po identyfikator. Pod zdjęciem i urzędową pieczęcią widniał napis informujący, że Dana jest adwokatem z sądu okręgowego – to chłopakowi wystarczyło.

– Och, przepraszam – wyjąkał. – Nie wiedziałem, że...

– Niech pan to wreszcie uruchomi. Chcę się zatrzymać na szczycie na kilka chwil, a potem zjechać. Jasne?

Operator skinął głową i usiadł za pulpitem.

Maszyna zaskoczyła z drzeniem, które wprawilo w wibrację szprychy koła. Gondola wznosiła się powoli. Przed oczyma Dany stopniowo pojawiały się coraz dalsze elementy krajobrazu. Medyczny helikopter stał już na ziemi, na porośniętym trawą pagórku dość znacznie oddalonym od

Tornado.

Sanitariusze z noszami biegli w stronę kolejki górskiej. Wozy strażackie otaczały urządzenie ciasnym kołem. Kilkaset metrów dalej kawalkada samochodów osobowych i autobusów stopniowo opuszczała teren parku. Dana modliła się w duchu, aby wśród nich był też autobus „Drużyny Odkrywców”, który bezpiecznie zawiezie jej dzieci do domu.

Strażacy i ratownicy wspinali się na rusztowanie, niosąc na plecach przymocowane zbiorniki. Dwaj znajdowali się w okolicy ogona helikoptera – wydobywali i opuszczali na linach przeciągniętych przez bloki z boku toru czarną skrzynkę JetRangera. W rzeczywistości miała kolor pomarańczowy. W środku znajdował się magnetofon zapisujący głosy z kokpitu, w tym ostatnią rozmowę Dany z Victorem Sullivanem.

Chłopak w skórzanych spodniach pamiętał o otrzymanych poleceniach. – Kiedy pani adwokat znalazła się w najwyższym punkcie, koło z chrzęstem stanęło. Dana wstała i poczekała, aż gondola przestanie się kołysać. Z tego miejsca dobrze widziała obie rozbite maszyny. Zrobiła kilkanaście zdjęć, założyła przykrywkę na obiektyw i wsunęła aparat do torby.

– Wystarczy! Proszę mnie ściągnąć! – krzyknęła, ale wiatr porwał jej słowa i uniósł w górę. Złożyła ręce przy ustach i zawołała jeszcze raz, ale wielkie koło pozostawało nieruchome. Ruszyło ułamek sekundy później, z gwałtownym szarpnięciem. Dana upadła na podłogę. Rozległ się grzmot. Poczowała falę gorąca. Nagle zauważyła błysk światła. Rozpląszczyła się na deskach i mocno zacisnęła powieki. Wielkie koło się trzęsło, gondola gwałtownie wirowała.

Z huku potężnej eksplozji wydobył się przeciągły świst. Otworzyła

oczy. Rozżarzony odłamek przeleciał o kilka centymetrów od jej twarzy. Podskoczyła i kopniakiem strąciła go na zewnątrz. Zatoczyła się, straciła równowagę i obiema rękami chwyciła za drążek. Metal był rozgrzany, aletrzymała się kurczowo, aż drżenie ustało.

Pozostałości rozbitych maszyn i stalowe szyny kolejki górskiej zmienione w milion kawałków metalu i szkła, pokryły teren parku niczym gwiazdny pył. Na ziemi płonęły dwie ogniste kule, w środku czerwone, pomarańczowe przy brzegach, z których unosił się czarny dym. Przypominały kwiaty rozkwitające w przyspieszonym tempie. Gorące powietrze wzbijało się wysoko, dym gryzł w oczy. Dana musiała znowu zacisnąć powieki i ukryć się na podłodze.

Upłynęło prawie pół godziny, zanim odważyła się podnieść. Ogień zgasł, szereg martwych ciał wydłużył się znacznie, wraków helikoptera i samolotu nie było nigdzie widać.

Nie rozumiała dlaczego. Łączna długość obydwu kadłubów wynosiła dwadzieścia metrów, skrzydeł i śmigieł prawie drugie tyle, całość ważyła przeszło dwie tony – i wszystko to znikło. Kiedy wyjrzała przez burtę gondoli, przeżyła następny szok – nigdzie nie zauważyła człowieka obsługującego diabelski młyn.

– Hej tam! Ściągnijcie mnie na dół! – zawołała.

Nie uniosła się żadna głowa. Dana zaczerpnęła więcej powietrza i krzyknęła raz jeszcze. Nikt jej nie słyszał. Wszyscy byli zajęci tym, co się działo na ziemi. Miała nadzieję, że operator diabelskiego młyna w końcu sobie o niej przypomni i wróci. Jeśli nie, będzie musiała czekać do nocy. Dopiero kiedy zapadnie cisza, krzyki dotrą na ziemię, do uszu jakiegoś

krażącego po terenie strażnika. Charlie Morrison szuka jej na dole, w domu czekają dzieci, a ona siedzi tu, uwięziona trzydzieści metrów nad ziemią. Zrezygnowana opadła na siedzenie.

Nagle rozległ się przeraźliwy zgrzyt. Zaniepokojona rozejrzała się dookoła. Sekundę później usłyszała identyczny odgłos – złowieszczy dźwięk metalu trącego o metal.

Cylindryczny bolec podtrzymujący jeden z boków gondoli powoli wysuwał się z otworu. Nakrętka mocująca sworzeń na ramie prawdopodobnie spadła w czasie wybuchu. Dana próbowała wepchnąć bolec na właściwe miejsce, ale nie dała rady. Ściągnęła pantofel. Starła się wbić nim metalowy pręt, ale przy tym rozkołysała gondolę i sworzeń wysunął się jeszcze na parę milimetrów.

Serce podskoczyło jej w piersiach. Zrozumiała, że nie może długo czekać. Musi się dostać na ziemię, zanim runie gondola. Wychyliła się przez burtę. Półtora metra od prowadnicy znajdowała się pierwsza poprzeczna belka na szprychach wielkiego koła – to niewielka przestrzeń dla kobiety mającej metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Odrzuciła do tyłu włosy, zsunęła drugi pantofel i przełożyła paski od futerału i torebki przez głowę tak, że skrzyżowały się na piersiach. Jeszcze jeden głęboki oddech... i wysunęła na zewnątrz jedną nogę, potem drugą i pozwoliła, by jej ciało zwisało bezwładnie. Kołysząc się w powietrzu, kurczowo trzymała się drążka. Prawą stopą szukała poprzecznej podpórki, znalazła ją; za pierwszym razem noga ześlizgnęła się, ale zaraz wróciła na miejsce. Za nią poszła lewa stopa – Dana powoli zaczęła schodzić na ziemię po neonowej drabince.

Z odległości stu metrów jej wysiłki obserwował pewien mężczyzna – miał lornetkę takiej mocy, że mógł dostrzec szwy rajstop pod cienką sukienką. Kiedy opuścił lornetkę, ukazała się opalona, młoda twarz, tworząca zadziwiający kontrast z białymi włosami. U jego stóp leżał człowiek, poparzony w czasie drugiego wybuchu. Mężczyzna ściągnął płaszcz i pochylił się, by przykryć ciało. Wyprostował się. Pod pachą trzymał czapkę rannego. Skrył się za otwarte drzwi ambulansu i starannie założył czapkę tak, aby całkowicie zakryła jego siwiznę.

Znowu podniósł do oczu lornetkę.

Kobieta właśnie dotarła na ziemię.

Na środku biurka Whita Endicotta leżała, idealnie czysta, kartka papieru bez linii ani nawet znaków wodnych. Gdyby odpowiednio długo na nią patrzył, wpadłby w swego rodzaju trans. Kartka zmieniłaby się w prostokątną próżnię, białą dziurę w przestrzeni, a on mógłby zatopić się w zapomnieniu.

Ale dzisiaj, w dwudziestym z kolei dniu wpatrywania się w jedną i tę samą pustą kartkę leżącą na biurku, to nie zapomnienie spoglądało na niego z dna czeluści. Wręcz odwrotnie – widział huczący zamęt, słyszał pisk paniki, odgłos klęski.

A może po prostu warkot kosiarki pracującej za domem.

Whit rzucił pióro zadowolony, że ma pretekst, by wyjść na zewnątrz. Na trawniku otaczającym basen pracował Jerome. Na głowie miał podkoszulkę zwiniętą na kształt turbanu. Skóra na jego plecach parowała w słońcu jak gorąca kawa.

Na widok zbliżającego się Whita wyłączył kosiarkę i uniósł rękę, aby się z nim przywitać.

– Hej, bracie, w końcu wyciągnąłeś z łóżka swoje biedne dupsko?

– I kto to mówi? Gdybyś zjawił się tu trzy godziny temu, uniknąłbyś upału.

– Lubię gorąco. Pomaga mi wypocić irlandzką whisky, którą wlewałeś we mnie wczorajszej nocy.

– Nie whisky, tylko piwo.

– Nieważne, dla mnie to jedna berbelucha. I co, poprawimy dziś

wieczorem?

Z twarzy Whita znikł uśmiech.

– Przykro mi, dziś wraca moja żona, a jutro znowu wyjeżdża. Lepiej więc popilnuję domowego ogniska.

Zęby Jerome'a błysnęły w sprośnym uśmiechu:

– To wy, białasy, tak to teraz określacie?

Whit udał, że zamierza go walnąć. Przez minutę boksowali się na niby.

W końcu Jerome powiedział:

– Dobra, koniec – powiedział Jerome. – Płacą mi za wykonaną robotę, a nie za godzinę.

– Poczęstuj się mrożoną herbatą. I trochę popływaj przed wyjściem.

– Dzięki, tak zrobię.

Jerome z hukiem odpalił kosiarkę. Whit szedł przez taras pokryty rozgrzаныmi płytkami. Dom stał na działce o powierzchni akra, wykrojonej poziomo w południowym zboczu góry Valley Forge. Za basenem rozciągał się widok na rozległą dolinę, którą miejscowi planiści słusznie nazwali Great Yalley.* [Wielka dolina]

Były tam dwie nitki drogi szybkiego ruchu, kompleksy przemysłowe, ośrodki biurowe, potężne pasáže handlowe i tysiące domów mieszkalnych. Jednak z posiadłości Endicottów widać było głównie lasy i zielone zbocza pagórków, ciągnące się kilometrami. „Mam wrażenie, jakbyśmy mieszkali na czubku świata”, powiedziała Dana w dniu, kiedy się sprowadzili, Whit podzielał to zdanie. Zawsze uważał, że stąd można jedynie schodzić niżej i niżej.

Wszedł do kuchni. Wrzucił do szklanki lód i nalał wody. Przez okno od

frontu przez filtr stworzony przez liście rododendronów zobaczył na końcu podjazdu białą plamę. Nareszcie przyjechał listonosz, na którego czekał przez cały ranek. Korespondencja trafiła do skrzynki, wóz ruszył dalej. Whit stał powoli sącząc wodę. W miarę upływu lat otrzymywał coraz gorsze wiadomości. Zaciśnął zęby i wyszedł, by zabrać pocztę.

W skrzynce znalazł stosik katalogów, ulotek i rachunków, ale na wierzchu widniała koperta opatrzona niebieskim emblematem uniwersytetu. Nazwisko adresata: *Thomas Whitman Endicott III, Ph. D.* Otworzył list, stojąc na alejce prowadzącej do domu. *Drogi doktorze Endicott.* A więc nie pisała tego sekretarka. Wiedziała, że on nie znosi tytułomanii i zawsze nalega, aby zwracać się do niego po prostu „pan”.

Uwagę Witha od razu przyciągnęła pierwsza linijka tekstu: *Z przykrością zawiadamiamy...*

Nie był zaskoczony. Poczuł tylko bolesną wściekłość na widok wyroku wypisanego czarno na białym. Całymi tygodniami powtarzał sobie: „Oni to robią”. Ale teraz miał ochotę wrzeszczeć na cały głos: „Jak mogli to zrobić?”

Rzucił pocztę na biurko w bibliotece, ściągnął koszulę i zbiegł tylnymi schodami do siłowni; kiedy się tam znalazł, strzelił potężnym ciosem w sprężynujący worek treningowy. Chwycił go, ustabilizował i zaczął obrabiać rytmicznymi uderzeniami. Przestał walić dopiero, gdy poczuł ból w kostkach. Naciągnął rękawice i zajął się cięższym workiem bokserskim, który bardziej przypominał ludzkie ciało. Zadawał ciosy, za każdym razem głośno wyrzucając z płuc powietrze. W pewnym momencie zorientował się, że miota przekleństwa. Złapał worek w ramiona.

Whit oddychał ciężko, strugi potu spływały mu po barkach i ramionach.

Poszedł do łazienki, spryskał wodą twarz i wpatrzył się w lustro. Był potężnym, muskularnym mężczyzną. Niewiele osób domyśliłoby się, że ma do czynienia z profesorem anglistyki. Chociaż jego rodzice należeli do drobnokościstej rasy mieszkańców Nowej Anglii, wystarczyło rzucić okiem na odbicie w lustrze, by się przekonać, że on sam wywodzi się z innego środowiska. Chłopak z irlandzkiej, wiejskiej chałupy udający akademika – z powodzeniem prowadził tę grę przez większą część trwającego czterdzieści cztery lata życia. Ale teraz wyszło sztychło z worka.

Zadzwoił telefon. Whit poszedł odebrać go w kuchni.

– Dostałeś? – spytał bez wstępów Jack Lucas, stary przyjaciel, który teraz kierował wydziałem anglistyki.

– Przepraszam, Jack. Zapomniałem do ciebie zadzwonić.

– No, tak. Z tego chyba mogę się domyślić, co ci napisali.

– Fakt.

– A to kretyni! Na Boga, jak można w końcu dwudziestego wieku wyrzucać człowieka za to, że uczy nowicjuszy w college’u „Hucka Finna”?

– Oni mnie nie wywalili, tylko nie wyrazili zgody na przedłużenie kontraktu. Wiesz, jaka jest procedura.

– Tak, tak, wiem. W liście na pewno w ogóle nie ma wzmianki o „Hucku Firmie” ani o policji na kampusie.

– Właśnie. Nie godzę się uznać decyzji kierownictwa, więc w interesie wydziału leży zwolnienie mnie z pracy.

– Inaczej mówiąc, dzieje się tak dlatego, że wypiąłeś się na idiotyczne polecenie politycznie poprawnego cymbała, który nie odróżnia literatury od własnej dupy.

Whit roześmiał się niewesoło.

– To chyba ty powinieneś napisać ten list.

– Zrobiłem coś lepszego – odparł energicznie Jack. – Zarezerwowałem ci u nas miejsce na letni semestr.

Whit wstrzymał oddech. Posada w Penn? Tam przed dwudziestu laty zaczął karierę jako wykładowca, ale później cały czas znajdował się na równi pochyłej – ostatnio pracował na uniwersytecie stanowym, gdzie najpopularniejszym przedmiotem było wychowanie fizyczne.

– Naprawdę to zrobiłeś?

– Jasne. Nawet bez trudu. Jesteś doskonałym wykładowcą, Whit. Wszyscy o tym wiedzą.

Whit oparł się o kuchenny blat. Z przejęcia aż zaniemówił. – Musisz tylko spełnić jeden warunek. – Jack zmienił ton głosu na ostrożny i niemal przepaszający.

Whit zacisnął szczęki.

– Publikacja – powiedział po chwili.

– Dokończysz książkę o Stegnerze, przychodzisz do nas pracować. A zatem ma zrobić jedynie to, co mu się nie udaje od dwudziestu lat.

– Dziękuję – odparł. – Naprawdę doceniam twoje starania.

– Nie ma o czym mówić.

– Czy możesz zrobić mi uprzejmość? Nie wspominaj o tym Danie.

– Dlaczego?

– No, wiesz. Ona pewnie od razu chciałaby pozwać do sądu moich dotychczasowych pracodawców.

– To byłby niezły pomysł.

– Mimo wszystko wolałbym nie występować w charakterze jej klienta.

– No cóż, jak sobie życzysz.

– Jeszcze raz dziękuję, Jack.

Whit naciągnął na grzbiet pogniecioną koszulę i wrócił do biblioteki. Na biurku leżał podniszczony egzemplarz książki, którą zajmował się w letnim semestrze – powieść Wallace’a Stegnera nosząca tytuł „Kąt spoczynku”. Była to historia dwojga ludzi, których miłość nie zdołała przetrwać kryzysu. Najlepsze co mogli zrobić, to wygodnie ułożyć wzajemne stosunki. Tytuł odnosił się do terminu z inżynierii budowlanej – oznaczał maksymalny kąt nachylenia skarpy, przy którym ziemia nie zaczyna się osypywać. Whit nieraz zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim osiągnie się taką pozycję. Miał wrażenie, że on sam z każdym dniem coraz bardziej się kruszy i obsuwa.

Zaczął sobie przypominać, co też miał zamiar napisać o tej powieści. Podjechał na fotelu do półki i wyciągnął folder. Szybko znalazł swój pierwszy konspekt, mniej więcej z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Kartki pożółkły ze starości. Na wierzchu przyczepiona była krótka notka z uniwersyteckiego wydawnictwa – z przykrością informowano, że oficyna z zasady nie publikuje prac dotyczących autorów żyjących.

Drugi zarys powstał jako następstwo wydarzeń pewnego kwietniowego poranka w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, kiedy Dana podniosła rozradowaną twarz znad porannej gazety i zawołała: „Whit! Stegner zginął w wypadku samochodowym. Teraz możesz skończyć książkę!”

Whit popatrzył na nią przez stół. Jeden z najważniejszych głosów stulecia umilkł na zawsze, a ona tak reaguje. Mimo usilnych prób, nie

potrafił dostrzec w żonie dziewczyny, w której zakochał się dwadzieścia lat temu. Władzę nad jej ciałem przejęła jakaś obca istota z kosmosu, a zrobiła to tak podstępnie, że nawet nie dostrzegł momentu inwazji.

Ostatecznie jednak sporządził drugi zarys i przedstawił go innemu wydawnictwu uniwersyteckiemu, które podpisało z nim umowę, a ponadto wypłaciło zaliczkę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów – w świecie Dany była to drobna kwota, ale też kupa forsy jak na traktat o literaturze. Pieniądze już dawno wydał, minął też pierwszy i drugi termin oddania rękopisu. Do końca bieżącego roku Whit musiał dostarczyć tekst albo zwrócić pieniądze.

Whit wstał i zaczął się kręcić po domu. Budynek z kamienia pokrytego stiukami miał dwie i pół kondygnacji. Postawili go rok po tym, jak Dana dostała pierwszą dużą sprawę w swojej spółce. Mimo że spędzała tu w ciągu dnia mniej czasu niż pozostali członkowie rodziny, był to jej dom. Zawsze czuło się w nim obecność Dany.

Nie wiedziała o fiasku związanym z „Huckleberrym Finnem”, ale jednak coś wyczuwała. Przez ostatni miesiąc, mimo dzielącej ich odległości tysięcy kilometrów, Whit czuł, jak żona marszczy czoło, patrząc na niego podejrzliwie. Gdyby miał stałą posadę, nie doszłoby do tego. Gdyby opublikował książkę w wyznaczonym terminie i nie poświęcał całego życia zawodowego na zawieranie krótkoterminowych kontraktów uniwersyteckich, taki epizod nigdy by nie zaistniał. Gdyby Dana widziała list, powiedziałyby: „Możesz winić wyłącznie siebie samego”.

Zadzwoił telefon. Whit nie zareagował na trzy pierwsze dzwonki. Potem przyszło mu do głowy, że to może być Dana. Podniósł słuchawkę

na moment przed włączeniem się automatycznej sekretarki.

– Dzień dobry, panie Endicott!

A jednak nie Dana. To głos dawnej studentki, chyba Sherry Chardonay.

– Mówi Brandi.

No tak, Brandi z jednej z grup, jakie prowadził w ostatnim semestrze. Było tam z pięćdziesiąt osób, ale ona wyróżniała się od początku. Przede wszystkim z racji upodobania do króciutkich podkoszulek, które odsłaniały jej bardzo ładny pępuszek nawet podczas najostrejszej zimy dziesięciolecia. Po drugie, wpatrywała się w niego z nieukrywaną adoracją.

Kiedyś Dana patrzyła na niego w ten sposób. Studiowała wtedy na drugim roku w Penn, a on był młodym, obiecującym asystentem. Na przyjęciach miała zwyczaj prosić: „Whit, opowiedz o...”. Siadała wygodnie i słuchała, patrząc oczami pełnymi zachwytu oraz zdziwienia, że ktoś taki jak on istnieje i należy do niej. Teraz już go nie prosi, aby opowiadał coś na przyjęciach; jest zbyt zaabsorbowana relacjonowaniem własnych historii.

– Szukałam pana wczoraj w nocy, kiedy skończyłam pracę – ciągnęła Brandi. Pracowała jako barmanka w często przez niego odwiedzanym pubie w Norristown.

– Musiałem wyjść wcześniej.

– Szkoda – odpowiedziała gorącym szeptem, bez cienia subtelności.

– Tak, szkoda – rzucił. Odzywka była bez znaczenia, ale dziewczyna mogła ją sobie zinterpretować w sposób odpowiedni do roli, jaką dla niego wymyśliła: tajemniczego profesora Endicotta, tak straszliwie ponurego, że jedynie ona jest zdolna wyczarować uśmiech na jego twarzy.

– Będę tam jutro wieczorem.

W tych słowach kryła się obietnica, na której mu właściwie nie zależało, ale jednak...

– To się dobrze składa. Ja też – odparł bez namysłu.

– Doskonale! – pisnęła. – A więc do zobaczenia!

Odłożył słuchawkę, zastanawiając się, czy Dana kiedyś tak piszczala. Nie, oczywiście, że nie. Nawet jako dziewiętnastolatka miała na to za dużo godności. Życiowa lekcja numer jeden: uwaga na kobiety z godnością.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi. Whit ucieszył się. Zyskał powód do ruszenia się z miejsca. Wcześniej jednak musiał nacisnąć szereg klawiszy, aby wyłączyć alarm. To Dana wpadła na pomysł założenia skomplikowanego systemu bezpieczeństwa. Chciała ochronić kolekcję kosztownych dóbr konsumpcyjnych, którą zgromadziła i nazwała domem.

Rozległy się gwizdy i piski, zaczęły błyskać światła – w końcu udało mu się otworzyć drzwi.

– Tatusiu! – krzyknęły córki, rzucając mu się w ramiona. Odruchowo przytulił dziewczynki. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że za nimi stoi na progu młoda kobieta.

– O co chodzi? – zapytał. – Co się stało?

– Tatusiu, nic nie słyszałeś? – odezwała się Kirsten. Odsunęła się i zmierzyła go przenikliwym wzrokiem swojej mamy. – Mówią o tym w dziennikach.

– O czym?

– W parku rozrywki zdarzył się okropny wypadek, panie Endicott – wyjaśniła opiekunka. – Helikopter zderzył się z samolotem i spadł na park.

– Mój Boże. – Whit uważnie przyjrzał się dzieciom. – Nic się wam nie

stało?

– Nic, tatusiu – oświadczyła Kirsten.

Katrina w milczeniu patrzyła na ojca wielkimi oczyma. – Trino, kochanie?

– Tatku, tam zginęli ludzie! – wybuchła, chowając twarz w jego piersi. Whit przytulił ją mocno i spojrzał na opiekunkę. Kobieta przytaknęła.

– A wiesz, tatku, co jest najgorsze? – krzyknęła Kirsten. – W helikopterze był klient mamusi!

– Skąd wiesz?

– Bo mama nam powiedziała.

Otworzył usta ze zdziwienia.

– Kiedy? – spytał starszą córkę.

– Była tam. Ale musiała dłużej zostać. Ze względu na tego klienta.

– Rozumiem – wycedził With przez zaciśnięte zęby. Wyprostował się i podał rękę opiekunce. – Dziękuję, że przyprowadziła je pani do domu.

Wykąpał córki, uczesał, odgrzał w mikrofalówce makaron z serem na kolację, potem usiadł między nimi na rodzinnej otomanie. Czytał „Mały domek w wielkim lesie”, dopóki oczy Katriny nie zaczęły się zamykać.

Położył dziewczynki do łóżka. Włączył wiadomości – zrobił to we właściwym momencie, by móc obserwować obcą istotę, która przebrała się za jego żonę.

Po burzy nie nastąpiła cisza. Dana miała ledwie minutkę spokoju pod diabelskim młynem, by złapać oddech, zanim znów znalazła się w centrum chaosu. Wszędzie kręciły się ciężarówki, biegali ludzie w mundurach. Parkowi strażnicy dyżurowali we wszystkich kasach, przez megafony przestrzegano przed próbami rabunku. Z punktu dowodzenia nie zostało nic poza paroma popiskującymi przyrządami elektronicznymi. Leżały na podłodze karuzeli obok zniszczonego drewnianego konika. Koło budki z lodami leżało już dwanaście pokrowców ze zwłokami.

Przed oczyma stanął jej obraz poranionej twarzy Vica. Dana ruszyła w tłum. Starła się odtworzyć w pamięci dawny wizerunek Sullivana – chciała odegnać ponury widok zabitego. Przypomniała sobie: ostatni raz widziała Vica żywego, kiedy składał zeznanie w sprawie Palazzo Hotel. Przeciwnicy zamierzali nakłonić ich firmę do ugody, wymuszając fałszywe zeznanie. Dana planowała wystąpić o nakaz ochronny dla Vica. Sullivan oświadczył jednak: „Do diabła z tym wszystkim, dawajcie ich tu!”. Mimo licznych zajęć, poświęcił niemal cały dzień na walkę z kilkoma prawnikami ściągniętymi z całego kraju. Pod koniec tego starcia nie tylko zdołał umocnić własną pozycję w sporze, ale nawet twierdził, że od lat nie bawił się równie dobrze.

Dana pozwoliła, by tłum poniósł ją w okolice karuzeli i zderzających się samochodzików – była tak otępiała, że ledwie zauważała ludzi, którzy na nią wpadali. W pewnym momencie poczuła jednak, że ktoś popychał ją zbyt natarczywie – czyjeś palce wślizgnęły się pod pasek torby i zaczęły

ciągnąć.

Wierzgnęła, jak muł. Natręt jęknął. Odwróciła się na pięcie. Ułamek sekundy za późno. Rozpędzony napastnik zniknął w tłumie. Z pokrowcem na aparat fotograficzny Kirstie.

– Hej! – krzyknęła. Rzuciła się w pogoń za złodziejem, ale opór tłumy był zbyt wielki. Kiedy przedarła się przez ludzki gąszcz, kieszonkowiec rozplątał się. Na ramieniu Dany nadal wisiała torba... z aparatem w środku. – Dana wsunęła go tam w chwili roztargnienia, na szczycie diabelskiego młyna.

Złodziej pewnie się rozczaruje, kiedy obejrzy zdobycz i przekona się, że ukradł puste etui.

Dana odwróciła się i ruszyła naprzód. Z trudem przedzierała się przez zbity tłum. Przed sobą zauważyła znajomą twarz. Przyspieszyła kroku i wkrótce zobaczyła całą sylwetkę. Mężczyzna był wysoki, miał przygarbione plecy i lekko wystający brzuch. Łagodnymi oczami obserwował rozgrywające się dookoła dantejskie sceny.

– Charlie!

Charlie Morrison obejrzał się i ruszył w kierunku Dany.

– Co z Sullivanem? – zapytał.

Dana pokręciła głową. Oczy Morrisona zaszklily się łzami. Dana rzuciła mu się w ramiona. Od siedmiu lat współpracowali ze sobą jako adwokat i klient, ale przyjaźnili się od lat piętnastu. Ich obecne stosunki pozwalały jedynie na uścisk dłoni podczas zebrania czy przelotny pocałunek na przyjęciu, ale kiedyś już się gorąco ściskali – tego dnia, gdy Charlie stracił posadę w firmie Jackson, Rieders. Wtedy też zakończyła się ich wspólna wspinaczka po kolejnych szczeblach kariery.

– Nic ci się nie stało? – Morrison uważnie przyjrzał się Danie.

– Wszystko w porządku.

Przeniósł wzrok na teren parku rozrywki.

– Na Boga, co tu się wydarzyło?

Dana przeczesła palcami opadające na twarz włosy.

– W powietrzu zderzyły się ze sobą JetRanger i awionetka, zdaje się marki Cessna Skyhawk, którą lecieli ojciec i syn. Może ją wyczarterowali lub wydzierżawili, ale najprawdopodobniej to był ich prywatny samolot.

– Więc nie będzie wypłaty ubezpieczenia.

– W każdym razie niewielkie. Obydwa wraki zawisły na szczycie kolejki górskiej. Płonące szczątki spadły na ziemię. Wiele osób odniosło obrażenia. Są też ofiary śmiertelne.

– Dobry Boże!

– Później zapalił się zbiornik z paliwem. Nastąpiła druga eksplozja. Wraki zostały kompletnie zniszczone. Zginęli trzej strażacy.

Charlie zacisnął powieki i chrząknął.

– Co ci jest? – zapytała.

Pokiwał głową. Jego pierś unosiła się ciężko, jakby nie mógł złapać oddechu. Dana domyśliła się, dlaczego ostatnia informacja zrobiła na nim największe wrażenie. Fakt, że tym razem wśród ofiar nie było dzieci, z jednej strony był błogosławieństwem, z drugiej mógł się okazać korzystny podczas wydawania wyroku. Ponura rzeczywistość wymiaru sprawiedliwości nakazuje przysięgłym uznawać, że życie człowieka pracującego jest bez porównania droższe od życia dziecka.

Kiedy Charlie w końcu otworzył oczy, starannie unikał wzroku Dany.

– Jak sądzisz, ile jest ofiar?

– Dwunastu zabitych. Pięć osób zginęło w powietrzu, siedem na ziemi.

Mówiąc to, zdała sobie sprawę, że właśnie w taki sposób będą rozróżniane ofiary w trakcie procesu. Kiedy pilot lub pasażer ginie w zderzeniu, to jedna rzecz, ale jeżeli maszyna spadnie na kogoś z powietrza, to już całkiem inna sprawa.

– Liczba ciężko rannych jest pewnie dwukrotnie wyższa. Niektóre przypadki będą katastrofalne – ciągnęła dalej. Poszkodowani na skutek poparzeń otrzymują trzy razy większe odszkodowanie od osób sparaliżowanych. Uszkodzenie kręgosłupa powoduje, że człowiek przestaje odczuwać ból. Dla poparzonego cierpienie staje się udręką.

Charlie wpatrywał się w odległą, wschodnią bramę parku.

– Uszkodzenie majątku?

– Kolejka górską została zniszczona. Tutaj, w parku spłonęło wiele budynków, a na pewno też w okolicznych osiedlach. Rozlało się paliwo, wszędzie pełno przeciwpożarowych chemikaliów. Prawdopodobne są roszczenia związane ze skażeniem wody i gleby.

Oddech Morrisona zmienił się w powolny syk.

– A my będziemy jedynymi obecnymi, kiedy zaczną się badania.

Nie mogła temu zaprzeczyć. Nawet jeżeli helikopter ponosił winę w jednym procencie, Pennsteel zostanie zmuszony do wypłacenia stu procent odszkodowania. W ten sposób system prawny umożliwił ofiarom sięganie do najgłębszej kieszeni.

– Mój Boże – powiedział przygnębiony Charlie. – Teraz tylko tego nam brakowało.

Grymas na twarzy Dany wyrażał zarówno żal, jak i poczucie winy. Pennsteel został co prawda uwolniony od zarzutów w sprawie Palazzo

Hotel, ale musiał uregulować rachunek za obronę, opłacić ekspertów sądowych, reporterów prasowych, pokryć koszt ich pobytu w hotelach i biletów lotniczych. Do tego dochodziły koszty zamówionej symulacji komputerowej, stanowiącej rekonstrukcję pożaru oraz zbudowania makiety Palazzo Hotel. Kiedy te wszystkie rachunki napłyną, łączna suma zbliży się do trzech milionów dolarów.

Patrzyła na zrujnowaną kolejkę górską. Starannie uczesana młoda kobieta energicznie kiwała głową, podsuwając mikrofon do twarzy strażaka.

– Charlie, to się ukaze we wszystkich wiadomościach o szóstej – przypomniała. – Musisz jak najszybciej wydać oświadczenie dla prasy.

Wzrok Morrisona wrócił do wschodniej bramy. – I co mam powiedzieć?

– Powinieneś okazać żal z powodu tragedii. Wychwalać Vica Sullivana jako wspaniałego człowieka i jednego z największych biznesmenów w kraju.

Musisz wyrazić szok i niewiarę, że doszło do tak bezsensownego dramatu, i ogłosić wolę pełnej współpracy w trakcie dochodzenia związanego z ustalaniem przyczyn katastrofy. – Dana przerwała na chwilę, żeby się zastanowić. – Ponadto poinformujesz, że Pennsteel przestrzega najwyższych standardów w stosunkach ze swoimi sąsiadami, więc dobrowolnie pokryje koszty sprzątnięcia i remontów, jakie są konieczne, aby jak najszybciej znów otwarto Alpine Valley ku uciechu wszystkich okolicznych dzieci.

Charlie pokiwał głową. Nagle zmienił się wyraz jego twarzy. Dana podążyła za wzrokiem Morrisona. Zauważyła, że przez wschodnią bramę

przechodzą Tim Haguewood i John Schaeffer. Oni też należeli do grupy Trzech Amigos: Haguewood był szefem finansowym, a Schaeffer kierował pionem operacyjnym. Schaeffer miał na sobie pogniecioną koszulę i nosił okulary w czarnej oprawce – wyglądał niczym inżynier pracujący na zapleczu, bez kontaktu z klientami, natomiast Haguewood robił wrażenie, jakby dopiero co zszedł z okładki tygodnika „Business Week”. Zawsze ubierał się jak człowiek sukcesu.

– A więc posunięcie reklamowe – skwitował Morrison.

– Właśnie.

– Opłacone z budżetu Haguewooda.

Dana wzruszyła ramionami. Nie interesowały jej wewnętrzne rozrachunki.

– Wystąpimy również o potrącenie kosztów z odliczeń na ubezpieczenie.

– Będziesz musiał przedyskutować to z ubezpieczycielem – ostrzegła. Z punktu widzenia Charliego sprawa była już jednak rozstrzygnięta.

– Czy możesz przygotować projekt?

Kiedy ruszył, by przywitać się z Haguewoodem i Schaefferem, Dana krążyła po pogorzeliisku, szukając miejsca, w którym mogłaby popracować. Centrum dowodzenia zostało odtworzone na tylnym zderzaku policyjnej ciężarówki. Szef akcji był zmordowany. Ale wykonał swoją robotę – wszystkie ogniska pożaru zostały ugaszone, rannych ewakuowano, ekipa wkładała ostatnie zwłoki do ambulansu, który miał je odwieźć do szpitalnej kostnicy.

Dana znalazła nieuszkodzoną ławkę i napisała oświadczenie na odwrocie kartki, znalezionej w torebce. Kiedy skończyła, Trzej Amigos

stali ciasno ze zwróconymi do siebie, pochylonymi głowami. Podala projekt oświadczenia Charliemu i przywitała się z Haguewoodem i Schaefferem.

– Chciałem ci pogratulować, Dano – powiedział Haguewood. – Chociaż w tych warunkach to wydaje się całkowicie niewłaściwe.

Schaeffer chrząknął potakująco.

– Przy wejściu stoją dwaj mężczyźni w garniturach. Wręczają wizytówki firmy wszystkim, którzy przechodzą przez bramę – powiedział.

– Dobry Boże – mruknęła Dana.

Charlie skończył przeglądać tekst.

– Brzmi dobrze. Tim, Dana napisała oświadczenie, które masz odczytać przed kamerami.

– Ja?!

– Któryś z was – sprostowała.

– Niech wystąpi Charlie – zaproponował Haguewood. – To sprawa departamentu prawnego.

– Nie tylko – zaproponował Charlie.

– Ale zajmowanie się wypadkami to sprawa prawna – ciągnął Haguewood.

– Ty jesteś osobistością publiczną – Wtrącił zaczepnie Morrison. Wymiana zdań przeradzała się w ostrą polemikę. Nagle trzech szefowie stanęli na baczność. W ich kierunku szedł siwowłosy, wyprostowany mężczyzna. Poruszał się z pełnym godności spokojem.

– Nigdy bym się tego nie spodziewał – mruknął Schaeffer. Dana przytaknęła. Oliver Dean, od dziesięciu lat jedynie honorowy prezes zarządu, odgrywał peryferyjną rolę w sprawach Pennsteelu.

Charlie nie był zaskoczony.

– Ollie! – zawołał na powitanie. – Cieszę się, że przyszedłeś. – W pół minuty streścił mu przebieg wydarzeń i dodał: – Dana napisała projekt oświadczenia dla mediów.

Oliver Dean wsadził na nos okulary i wziął od Charliego kartkę.

– Miło panią widzieć, pani Svenssen – powiedział.

– Nie jestem tu oficjalnie...

– Teraz już jesteś – przerwał Charlie.

– Znakomicie – mruknął Dean i zabrał się do czytania.

– Czy polisa ubezpieczeniowa daje wam prawo... – zaczęła Dana. – Wyboru własnego adwokata? – dokończył Charlie. – Tak. Jak już mówiłem, sami ubezpieczyliśmy się na pierwsze dziesięć milionów. Z tego idą honoraria prawników.

– Dziesięć milionów – mruczał Haguewood, trzęsąc głową, Charlie rzucił mu ostre spojrzenie.

Dean podniósł oczy znad tekstu: – Bardzo dobre. Odczytam to, znajdźcie mi tylko reporterów z kamerami.

Trzej Amigos byli zaskoczeni, ale najwyraźniej poczuli ulgę:

– Pan, panie Dean? – zapytała Dana.

– Hm, sądzę, że tak będzie najlepiej. – Jego oczy skupiły się na moment na sylwetce pani adwokat. – Pani stanie obok mnie. Kiedy ma się do czynienia z dziennikarzami, zawsze dobrze mieć pod ręką doradcę prawnego.

Pod ręką może tak, ale nie przed kamerami, pomyślała Dana. Ale później, kiedy zebrali się dziennikarze, kiedy włączono reflektory i mikrofony, a kamery zaczęły pracować, zdała sobie sprawę, że zależało

mu tylko na jej milczącej obecności i złym, zmęczonym wyglądzie – taki obraz lepiej niż tysiąc słów dowodził, jak bardzo ucierpiał w czasie tragedii personel Pennsteelu.

Dana wróciła do domu dopiero wieczorem. Zrobiła, co do niej należało, ale wiedziała, że sprawa wróci do niej z podwójną siłą następnego dnia rano. Bolały ją nogi – w parku przebiegła całe kilometry. Schodziła też z trzydziestometrowego diabelskiego młyna. Od krzyku bolało ją gardło, na dłoniach porobiły się jej pęcherze od szorstkiej metalowej sztaby, którą chwyciła, kiedy znalazła się w gondoli. Z ciężkim sercem myślała o niebezpieczeństwie, jakie groziło jej córkom, o zwłokach jasnowłosego chłopca, ukrytych w pokrowcu, o Vicu Sullivanie, wspaniałym przyjacielu.

W górze rozbłysło tysiąc połyskliwych gwiazd. Bezchmurne niebo wyglądało pięknie i łagodnie, ale przecież tam, w przestworzach, wpadły na siebie dwie latające maszyny. W rezultacie zginęło dwanaście osób.

Jechała biegnącą po zboczach góry aleją. Minęła kamienne kolumny na końcu podjazdu do swojej posiadłości. Dom tonął w ciemnościach, ale miło było na niego popatrzeć po spędzeniu dwudziestu siedmiu dni w Kalifornii i tysiąca następnych w Alpine Valley. Wjechała do garażu, wprowadziła kod bezpieczeństwa do systemu alarmowego i przez przedpokój weszła do ciemnej kuchni. Rzuciła torbę na blat. Otworzyła lodówkę. Kiedy szukała czegoś do picia, usłyszała kroki.

– Dwanaście godzin.

Odwróciła się. W ciemności zobaczyła nad sobą twarz Whitmana Endicotta.

– Dwanaście godzin – gderał. – Tylko tyle by wystarczyło, aby zachować się jak czuła matka, nie jak prawnicza machina.

– One rozumieją.

– Były przerażone. Przeżyły szok. A ty odesłałaś je same do domu.

Miał na sobie wzorzysty, jedwabny szlafrok. Poprzecierany, ale wciąż ulubiony, być może dlatego, że dobrze pasował do autoportretu Whita jako nieszczęsnego poety, zniszczonego przez wrogów geniusza, szlachetnej ofiary takich barbarzyńców, jak żona i członkowie komisji kwalifikującej wykładowców.

– Whit, musiałam tam zostać. To był straszny widok.

– Jasne. Ty dostrzegasz tylko wielkie katastrofy. Zwyczajne ludzkie tragedie są ci obojętne.

Dana zamknęła lodówkę. Znowu ogarnęła ich ciemność.

– Nie wszystkie.

– No to wymień choć jedną.

Prawie bez wahania odpowiedziała:

– Ojciec zostawia dzieci same w domu, bo musi co wieczór balować. I wraca do domu tak późno, że rano nie może wstać, aby je odprowadzić do autobusu. Co ty na to? Czy to dla ciebie wystarczająco przeciętne i ludzkie?

Whit zareagował na szyderstwo milczeniem.

– Nie spodziewaj się, że one będą cię kryły, Whit – dodała miękko Dana.

Odwrócił się gwałtownie, ze świstem. Po chwili trzasnęły drzwi do biblioteki, budząc echo w holu. Tylnymi schodami Dana weszła na piętro, do sypialni. Potem długo stała pod gorącym prysznicem, zmywając ze

skóry sadzę i popiół. Naciągnęła przez głowę koszulę nocną i na palcach przeszła przez hol. Katrina mamrotała przez sen, zwinięta w kłębuszek. Dana pochyliła się wzięła ją na ręce.

– Mamusia?

– Tak, kochanie.

Trina owinęła ją rączkami i długimi nogami; Dana zaniósła córeczkę do sąsiedniego pokoju, w którym spała Kirstie.

– Posuń się, cukiereczku – szepnęła. Kirstie zrobiła miejsce na podwójnym łóżku. Dana położyła się między dziewczynkami. Przytuliła śpiące pociechy i zamknęła oczy. Czowała się kompletnie wyczerpana.

O świcie obudził ją przyływ adrenaliny. Ostrożnie wyczołgała się z łóżka i po cichutku przeszła przez hol do swojej sypialni.

Whit był pogrążony we śnie; leżał nagi, na wznak, bez przykrycia. Był potężnym mężczyzną, wyższym od niej o dziesięć centymetrów. Skorzystał z nieobecności żony – rozłożył nogi w poprzek łóżka. Nawet gdy spał, jego twarz miała ponury, cyniczny wyraz. Jej koledzy z uczelni porównywali go do Byrona, ale Dana zapomniała już, co jej się w nim wtedy podobało. Twarz męża przypominała jej portret przemalowywany przez artystę w miarę upływu czasu. Każda następna warstwa przykrywała poprzednie, aż wreszcie Dana zupełnie nie potrafiła przypomnieć sobie pierwotnego wyglądu męża.

Zrzuciła koszulę nocną i ruszyła do łazienki. Kiedy omijała łóżko, Whit wysunął rękę, chwycił ją za nadgarstek i pociągnął do siebie tak silnie, że wyciągnęła się na nim jak długa. Straciła dech. Zanim zdołała go odzyskać, mąż szybko przekręcił się – teraz on znalazł się na górze.

Patrzyli na siebie z odległości piętnastu centymetrów. Jego oczy wwierały się w jej źrenice. Pocałował ją mocno. Kiedy w końcu przestał, Dana gwałtownie walczyła o oddech, połykając powietrze wielkimi, spazmatycznymi haustami.

Zaskoczony Whit cofnął się, ale ona przyciągnęła do siebie jego głowę.

Wszedł w nią gwałtownie. Przytuliła się do niego mocno, tak bardzo porwana rytmem zbliżenia, że niemal zapomniała, kim są i jakie trudności przeżywają. Zaczęła szczytować – świat wypełniały czerwone i żółte

rozbłyski. Wiedziała, że teraz już wszystko pójdzie dobrze. Będą się obejmować, śmiać i szeptać do siebie; Whit opowie o tym, co mu nie daje spokoju, a ona go pocieszy. Wstaną z łóżka jak nowo narodzeni.

Tuliła go czule, kiedy osiągał orgazm. Zapraszała, aby został na miejscu, ale on zadrżał i zsunął się na bok. Dana przez chwilę leżała nieruchomo. Czekwała, aż weźmie ją w ramiona. W wypełniającej pokój ciszy słyszała jego oddech, ciężki i miarowy.

Uniosła się na łokciu i wpatrzyła w męża. Upłynęły dwie minuty. Ani drgnął. Nie zmieniło się nic z wyjątkiem rytmu pracy ich serc, a i to tylko na krótko.

W porannych wiadomościach pokazywano widok z lotu ptaka: Alpine Valley dymiła, pokryta kraterami jak Londyn po hitlerowskich nalotach. Na ekranie pojawił się dziennikarz. Z nieukrywanym podnieceniem bełkotał: „Nie widziałem tak przerażających zniszczeń od czasu wysadzenia Budynku Federalnego w Oklahoma City!”

Wspaniale, pomyślała Dana, oglądając telewizję w kuchni i jednocześnie przygotowując kawę. Znakomita pożywka dla adwokatów strony skarżącej, którzy nie mogliby nawet sobie wyobrazić lepszego porównania.

Zadzwonił telefon.

– Dana?

– A, to ty, Travis. – Ucieszyła się, słysząc dudniący, przyjazny głos. – Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

– Tak sobie pomyślałem, kiedy tylko dotarła do mnie wiadomość, że Vic Sullivan zginął w katastrofie. Co się dzieje?

Streściła mu sytuację. Ze słuchawką przy uchu przygotowała ciasto na gofry.

– FAA i grupa badawcza NTSB zjawily się na miejscu wczoraj wieczorem. Dziś rano organizują konferencję prasową. Mam się tam spotkać z Charliem Morrisonem i przedstawicielami firm ubezpieczeniowych, ale wcześniej chciałabym zmontować ekipę.

Usłyszała hałas przed domem. Wyjrzała przez okno. Furgonetka Karin skręcała na podjazd.

– Tylko nie to – jęknęła.

– Co takiego?

– Nic – odparła. Zapomniała o wakacyjnych planach. Będzie musiała odwołać swój wyjazd. Znow wszystkich rozczaruje. – Na czym skończyłam?

– Mówiłaś, że chcesz zorganizować zespół.

– Zgadza się. Poproszę Austina o osiem osób: ciebie i siedmiu innych.

– A co z Marią? – Chodziło o ich głównego pomocnika w sprawie Palazzo.

– W porządku. I powiedz jej, żeby sobie dobrała kogoś do pomocy.

– Załatwione.

– Chciałabym widzieć cały zespół w biurze dziś po południu.

– Mogę ich ściągnąć nawet przed południem.

– Nie ma potrzeby. Całe rano spędzę na miejscu zdarzenia. Spróbujesz około trzeciej?

Na schodach rozległy się głosy dzieci. Dana chwyciła pilot, by wyłączyć telewizor, zanim zobaczą relacje z Alpine Valley.

– Jesteś pewna, że nie przydam ci się na miejscu zdarzenia? – pytał

Travis.

Dziewczynki weszły do kuchni w nocnych koszulkach; Dana zasłoniła mikrofon telefonu ręką.

– Ciocia Karin jest przy drzwiach – powiedziała im na sekundę przed tym, jak rozległ się dzwonek.

Otworzyły szeroko oczy – też zapomniały o wyjeździe, a chwilę potem z piskiem wybiegły do holu.

– Jestem pewna – zwróciła się Dana do Trávisa. – Ale zadzwonię do ciebie w razie potrzeby.

Odłożyła słuchawkę na widełki w momencie, gdy do kuchni wkroczyła Karin w wielkim słomkowym kapeluszu, z rozpostartymi ramionami. Była o dwa lata młodsza od Dany i niższa o osiem centymetrów. Miała jednak równie jasne włosy i nordycki typ urody. Dana uśmiechnęła się i podeszła do siostry, ale nie zdążyła jej uściskać. Karin na widok wyrazu twarzy Dany opuściła ręce.

– Co się stało? – zapytała.

Do kuchni wpadło czworo dzieci: córki Dany, piętnastoletnia córka i dziesięcioletni syn Karin.

– Klient mamusi rozbił się wczoraj na kolejce górskiej – oznajmiła Katrina.

– O mój Boże! – krzyknęła Karin. – Chodzi o ten straszny wypadek z helikopterem w parku rozrywki?

– Właśnie – odparła Dana. – Siadajcie. Przyjechaliście akurat na gofry.

Dzieciaki pobiegły do jadalni.

– A ty właśnie się dowiedziałas, że nie możesz sobie pozwolić na wypoczynek – odezwała się Karin.

– Tak?

Dana ściszyła głos.

– Bardzo żałuję, Karin. Nawet nie wiesz, jak bardzo czekaliśmy na ten wyjazd.

Kirstie usłyszała to i obróciła się na krześle.

– Mamusiu!

– Przykro mi, kochanie, ale nie ma...

Przy stole podniósł się chór protestów – dzieci zaczęły jęczeć jak na komendę.

– Nikt inny nie mógłby się tym zająć? – zapytała Karin.

Przed założeniem firmy cateringowej pracowała jako pielęgniarka na oddziale położniczym. Doświadczenia wyniesione z czasów, kiedy przyjmowała porody za nieobecnych lekarzy nauczyły ją, że aktorzy drugiego planu sprawują się równie dobrze, jak gwiazdy. Dana pracowała jednak w innym teatrze. Potrząsnęła głową.

Kirstie i Trina, natychmiast wsparte przez kuzynów, zaczęły skandować:

– Chcemy jechać, chcemy jechać.

Dana odwróciła się i zaczęła wlewać płynne ciasto do gofrownicy. Karin wyjęła z kredensu talerze i ustawiła je obok kuchenki.

– Pozwól im jechać – powiedziała cicho.

– Karin, nie śmiałybym cię prosić...

– Nie musisz, bo to ja proszę ciebie. Nie ma powodu, żeby one siedziały w domu tylko dlatego, że ty zaharowujesz się na śmierć.

– To za wiele...

– Wcale nie. – Karin podniosła głos, aby przekrzyczeć hałas robiony

przez dzieci. – Dana, ja naprawdę uważam, że powinnaś pozwolić dziewczynkom jechać z nami nad morze.

Zapadła cisza. Po chwili chór zabrzmiał od nowa:

– Tak, mamusiu, prosimy! Ciociu Karin, weź nas ze sobą! Zgódź się mamo!

Dana popatrzyła bezradnie na siostrę, która wyjęła jej z rąk naczynie z płynnym ciastem.

– Dokończę robić gofry – powiedziała. – Ty idź spakować dziewczynki.

Pół godziny później dzieci były nakarmione, spakowane, wyściskane i przypięte pasami w samochodzie. Karen wyjeżdżała z podjazdu na ulicę. Dana w szlafroku stała w drzwiach i machała im na pożegnanie.

Nagle rozległ się krzyk Triny. Karin nacisnęła na hamulec. Z domu wyskoczył Whit w rozpiętej koszuli.

– Musimy się pożegnać z tatusiem! – zawołała Kirstie.

Dziewczynki wyskoczyły z wozu i wpadły w objęcia Whita.

Córki wycalowały ojca i wróciły do samochodu. Kiedy auto znikło z pola widzenia, Dana odwróciła się szybko i weszła do domu.

– Bardzo wygodnie się wszystko ułożyło – gderał Whit, idąc za Daną. – W końcu udało ci się zorganizować wakacje, w których nie musisz uczestniczyć. Taki urlop wirtualny.

Nie zadała sobie trudu, by się do niego odwrócić.

– Ty też miałeś podobne wakacje – odparła. – Zostawałeś tutaj, gdy my jechaliśmy nad morze.

– Różnica polega na tym, że ja tego nie planowałem.

Dana przystanęła na półpiętrze, przy renesansowym oknie

wychodzącym na taras.

– Na pewno nie jesteś szczęśliwy, że zostałam w domu – powiedziała.

– Niełatwo mi to będzie zauważyć.

Dana wbiegła po schodach, do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Potem nic się nie działo – panowała cisza. Mężczyzna, który kiedyś ścigał ją przez cały kontynent, nie zadał sobie trudu, by pokonać kilka schodów.

To nie był już ten sam człowiek, ale i ona nie była dawną dziewczyną o oczach jak gwiazdy. Dużo się zmieniło od czasu, kiedy Whit wpadał do sali wykładowej, a Dana zarzucała mu ręce na szyję. Trudno uwierzyć, że kiedyś zachowywała się tak romantycznie. Teraz, patrząc wstecz, myślała tylko o tym, że połączyła się z mężczyzną, który, statystycznie rzecz biorąc, ma duże szanse stać się jej mordercą. A już z całą pewnością ją rozczaruje.

Prezes firmy, Clifford Austin, był człowiekiem, z którym należało się kontaktować w sprawie zaangażowania współpracowników i asystentów prawnych, niezbędnych przy prowadzeniu poważnych procesów. Dana złapała go w domu, kiedy ubierała się przed wyjazdem do Alpine Valley. – A czy ty jesteś zaangażowana w sposób definitywny? – zapytał.

– Tak, widziałam się na miejscu zdarzenia z Charliem Morrisonem.

– Charlie Morrison – powtórzył powoli Austin. – Nie wierzyłbym w jego słowo bez reszty.

Austin miał na bakier z Morrisonem. Dana nigdy się nie dowiedziała, o co chodziło. Teraz postanowiła spróbować to wyjaśnić.

– Posłuchaj, Cliff – zaczęła ostro. – Zostałam zaangażowana przez radcę generalnego spółki, a decyzję zaakceptował prezes zarządu. Pozwól, że mu zaufam na własną odpowiedzialność.

Nie był to pierwszy przypadek, kiedy zagroziła odejściem z firmy. Austin wiedział, że Dana zawsze robi dużo szumu.

– Ollie Dean? – wtrącił, ignorując ostatnią tyradę. – No to w porządku. Czego potrzebujesz?

– Ośmiu współpracowników. Czterech starszych i czterech młodszych asystentów.

– Hmm.

Nauczyła się już interpretować tę odpowiedź jako odmowę. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, wyjęła z szafki swój aparat fotograficzny, profesjonalne urządzenie z obiektywem szerokokątnym i

teleobiektywem.

– A więc siedmiu – pertraktowała dalej.

– Masz na myśli konkretne osoby?

– Między innymi Trávisa Hunta. Już się z nim skontaktowałam.

Poszukała w szafce czegoś, w czym mogłaby schować dodatkowe akcesoria fotograficzne – wybrała pokrowiec od laptopa.

– Chciałabym też Jennifer Lodge...

– Ona w poniedziałek zaczyna swój własny proces – przerwał Austin. – Kto jeszcze?

– No, nie wiem – powiedziała rozczarowana. – Tylko nie dawaj mi żadnego z tych specjalistów od nabijania godzin pracy.

Miała na myśli młodych prawników, którzy wyrabiają sobie w firmie markę, wykazując ponad dwa i pół tysiąca czy nawet trzy tysiące godzin pracy rocznie, i utrzymują że za cały ten czas należy się im zapłata. Tacy albo fałszują wykazy czasu pracy, albo oszukują klientów, albo też prowadzą tak bardzo niezrównoważony tryb życia, że nie sposób zawierzyć ich osądowi. Dana po prostu im nie ufała.

– To bardzo utalentowani ludzie – powiedział z naganą w głosie Austin.

– Mam inne zdanie.

Od pewnego czasu prowadzili ze sobą spory, ale dziś nie uda się ich rozstrzygnąć.

– O ile się orientuję, Pennsteel przyrzekł uporządkować park.

– Zgadza się – rzuciła Dana.

– Będziesz potrzebowała ekspertyzy ekologicznej.

– Owszem, myślałam o wynajęciu Boba Kopecy...

– Nie trzeba szukać ludzi poza firmą – przerwał ostro Austin. – Bill

Moran musi się tym zająć.

– W porządku.

Odłożyła słuchawkę. Było już wpół do dziewiątej, a ona miała być w Alpine Valley o dziesiątej. Ledwie zdąży wpaść do zakładu fotograficznego i oddać do wywołania film zrobiony poprzedniego dnia. Włożyła do walizeczki od laptopa aparat wraz z obiektywami i zbiegła po schodach. Torba leżała w kuchni. Dana zajrzała do środka, ale aparatu Kirstie nie było.

Wyrzuciła zawartość na blat. Gorączkowo przejrzała wszystkie rzeczy – bez skutku.

Opadła na taboret. Nagle zdała sobie sprawę, co się stało. Kieszonkowiec pewnie wyciągnął aparat zamiast portfela. Teraz chętnie by dokonała zamiany. Sto dolarów w gotówce i kilka kart kredytowych za rolkę filmu, który mógłby stać się jedynym dowodem przy ustalaniu przyczyny kolizji.

Przygnębiona spakowała torebkę i poszła do garażu.

Alpine Valley przypominała miasteczko-widmo. Otaczały ją żółte, policyjne barierki. Dziś nie było tu słychać pisków, śmiechu ani pełnych zachwytu okrzyków. Urządzenia stały nieruchome jak eksponaty w muzeum, czynne było tylko jedno stoisko – to, w którym ludziom prowadzącym dochodzenie oraz dziennikarzom sprzedawano kawę i pączki.

Spotkanie NTSB miało się rozpocząć za dziesięć minut w sali muzycznej. Na razie tłum kłębił się u podstawy kolejki górskiej. Z pogorzelniska leciało gorące powietrze. Mężczyźni zdejmowali kurtki i

rozluźniali krawaty. Dana wyciągnęła aparat i zrobiła kilka zdjęć choć wiedziała, że te ujęcia będą bezwartościowe. Znowu poczuła ból w sercu na myśl o skradzionym aparacie Kirstie.

Po drugiej stronie barykady zobaczyła Teda Kellera, głównego pilota Pennsteelu. Był niewysoki, z rzadkimi, jasnymi włosami, smukły i zgrabny. Wyglądał młodo, chociaż walczył w Wietnamie jako pilot myśliwca i zbliżał się do pięćdziesiątki. Dana chciała mu pomachać, ale powstrzymała się, widząc, jak Ted rękami ociera oczy. W czasie wczorajszej katastrofy wiele stracił: nie tylko swojego szefa, ale też dwóch pilotów, z którymi się pewnie przyjaźnił.

Z tłumu wyskoczył potężny mężczyzna i popędził w stronę sali muzycznej z niewiarygodną, jak na tego olbrzyma, szybkością. Miał białą koszulę z krótkimi rękawami, luźno zawiązany krawat oraz charakterystyczną, różową cerę Irlandczyka. Dana już gdzieś go widziała. Kiedy zatrzymał się przed dowódcą brygady strażackiej, przypomniała sobie, to Harry Reilly, szef regionalnej komendy Krajowego Zarządu Bezpieczeństwa Transportu.* [National Transportation Safety Board – NTSB]

Miała z nim do czynienia w związku z wypadkiem na przejeździe kolejowym. Podeszła bliżej – usłyszała, jak Reilly melduje przełożonemu, że lekarz rozpoczął autopsję.

– Czy wydaliście polecenie, by przeprowadzono badania toksykologiczne? – wtrąciła się do rozmowy.

Harry Reilly odwrócił się w stronę Dany.

– Witam, panie Reilly. Jestem Dana Svenssen, pracuję jako prawnik dla Pennsteelu.

– Przypominam sobie – mruknął. – Nie zapomniałem również o testach na narkotyki i alkohol.

– Oraz o badaniach kardiologicznych pilotów.

– To także należy do procedury. Czy sądzi pani, że tu tkwi przyczyna? Taka wersja wydarzeń bardzo by jej odpowiadała: pilot awionetki Skyhawk miał atak serca i zmarł podczas lotu, a jego syn wpadł w panikę i walnął w JetRangera.

– Nie sformułowałam jeszcze żadnej hipotezy – odparła.

– Rozumiem – burknął. – Nie pozostało zbyt wiele do przebadania.

Poczuła, jak cierpnie jej skóra.

– A wraki?

– Rozbite w drobny mak. Nie mamy nic.

Ta sama nuta dominowała w czasie porannego spotkania: ustalenie prawdopodobnych przyczyn kolizji będzie trudne, a może nawet niemożliwe z powodu zniszczenia praktycznie wszystkich dowodów rzeczowych.

Tłum przeniósł się do sali muzycznej – ozdobnego, pełnego złocień audytorium, w którym występowały zespoły cyrkowe, a w sobotnie wieczory gwiazdy muzyki country. Harry Reilly wszedł na scenę i przedstawił członków elitarnego zespołu NTSB – specjalistów medycyny sądowej. Potem przekazał mikrofon szefowi dochodzenia, zwanemu w skrócie IIC, który zaprezentował ustalone dotychczas fakty.

Do kolizji doszło o godzinie dziesiątej dwadzieścia czasu lokalnego. Uczestniczyły w niej helikopter Bell JetRanger i Cessna 172 Skyhawk, stałopłat, w przestrzeni powietrznej klasy E, w sytuacji, w której

obowiązują przepisy lotu z widocznością ziemi. Helikopter zmierzał z Nowego Jorku do siedziby Pennsteelu; plan lotu został uzgodniony z lokalną Stacją Służby Lotniczej. Załoga śmigłowca składała się z: kapitana Ronalda A. Heberlinga, trzydzieści trzy lata, i drugiego pilota, Alberta M. Ciccone'a, lat trzydzieści pięć. Na pokładzie znajdował się jeden pasażer – Victor Sullivan, lat pięćdziesiąt sześć. Helikopter był wyposażony w czterokanałowe urządzenie do zapisu głosu w kabinie (CVR) oraz w pomocniczy przyrząd nawigacyjny zwany Globalnym Systemem Pozycyjnym (GPS). CVR odnaleziono, natomiast odbiornik GPS prawdopodobnie uległ zniszczeniu w trakcie drugiej eksplozji.

Skyhawk był zarejestrowany na nazwisko Williama Loudenberga, lat czterdzieści osiem, z Montrose w Pensylwanii. Właściciel siedział za sterami. Wiózł jednego pasażera – syna, Donalda, lat dziewiętnaście. Do rejestru nie został wprowadzony plan lotu, nie było również czarnej skrzynki. Jak dotychczas, nic nie wiadomo o trasie czy też celu podróży awionetki.

Wszyscy znajdujący się na pokładach obydwu maszyn ponieśli śmierć, przypuszczalnie natychmiastową, chociaż należało poczekać na wyniki autopsji. Siedem osób zginęło na ziemi: troje dzieci, trzech ratowników oraz młoda matka. Są też co najmniej cztery krytyczne przypadki bardzo ciężkich poparzeń – dwa z nich dotyczą dzieci.

Dana siedziała na końcu sali. Patrzyła na Charliego Morrisona widocznego w tłumie reporterów robiących obszerne notatki. Pewien mężczyzna zapisywał informacje w długim, żółtym notatniku używanym przez prawników. Nawet gdyby Dana nie poznała tego człowieka, natychmiast by się domyśliła, z kim ma do czynienia. Poczwała, jak włosy

stają jej na głowie.

Nazywał się Ira Thompson i jak zawsze stał w koszuli wysuwającej się ze spodni, z okularami zsuniętymi na tył głowy – najwidoczniej o nich zapomniał. Był to wiecznie nieobecny duchem, skromny, bojaźliwy człowiek, obiekt żartów całej palestry, ale też i jeden z najgroźniejszych w kraju adwokatów prowadzących sprawy o odszkodowanie. Całe serce wkładał w prowadzone przez siebie sprawy sądowe. Z nieubłaganą surowością prześladował oskarżonych. Łączna kwota zasądzonych przez niego odszkodowań przekroczyła granicę miliarda dolarów.

W jednym z rzadkich momentów koncentracji na otoczeniu dostrzegł Dane. Skinął jej głową. Okulary zsunęły mu się na brwi.

– Witaj, Ira. – Dana podeszła do Thompsona.

– Cześć.

– Dla kogo pracujesz?

– Och, dzisiaj występuję jako zwyczajny obywatel – odparł. – Szukam prawdy.

W grę mogły wchodzić dwa rozwiązania: pierwsze, że jeszcze nikt go nie zaangażował, ale Ira już zarzuca swą sieć, i drugie, że otrzymał kilka propozycji, tylko nie może się zdecydować, którego klienta wybrać, dopóki sienie zorientuje, czyje roszczenia są największe i najlepiej umotywowane. Gdyby na przykład został reprezentantem wdowy po Vicu Sullivanie, on i Dana staliby się sojusznikami, zainteresowanymi udowodnieniem, że załoga helikoptera nie ponosi winy. Dana jednak zdawała sobie sprawę, że praktycznie nie ma takiej szansy. Ira dobrze wiedział, że największa szansa na spektakularny werdykt wiąże się z wykazaniem, że błąd popełnili piloci śmigłowca; to właśnie jest klucz do

skarbcza Pennsteelu.

– Reprezentuję Pennsteel – oznajmiła. – Będę wdzięczna za ostrzeżenie, zanim wystąpisz z żądaniem odszkodowania.

Thompson szybko zastanowił się nad zaletami i wadami takiej perspektywy. W końcu skinął głową.

IIC wymieniał nazwiska zabitych i rannych. Dana rozejrzała się po sali. Dostrzegła Charliego Morrisona. Stał oparty o ścianę koło drzwi.

– Dzień dobry, Charlie. Są ludzie od ubezpieczeń?

Wskazał dwóch mężczyzn siedzących z przodu.

– Przyszedł także Ira Thompson.

Morrison zamrugał i zaklął cicho.

– Czy ktoś się już do niego zgłosił?

– Nie chciał powiedzieć, ale to niewielka różnica. Będzie przywódcą grupy skarżących niezależnie od tego, kto go wynajmie.

– Cholerny waźniak – skomentował Charlie.

– I trudny przeciwnik.

Morrison skrzywił się. Wyciągnął opakowanie z antacidem w tabletkach. Dana pokiwała głową, kiedy połknął trzy pigułki.

– Coś nie gra? – zapytała. – Nie mówiąc o tym, co widać gołym okiem.

– No, wiesz. – Wzruszył ramionami z rezygnacją. – Podchody już się zaczęły.

– Walka o miejsce Vica?

– Owszem. Haguewood i Schaeffer umyli ręce. Zabiegają o łaskę zarządu. W konsekwencji ja się muszę wszystkim zajmować przez cały boży dzień.

– Nie musisz – sprostowała. – Płacisz mi za porządkowanie bałaganu.

Ty powinieneś się martwić tylko o sprawy wewnętrzne.

Łagodne oczy Charliego miały teraz miękkie, głupawy wyraz.

– Wciąż mnie osłaniasz, Dano? Jak za dawnych czasów.

– Nieprawda – zaprzeczyła.

Przed piętnastu laty razem przyszli do kancelarii prawnej, ale kariera Charliego na początku przebiegała dość niepewnie, głównie dlatego, że był zbyt sympatyczny. Szefowie wykorzystywali go, wiedząc, że nie odmówi przyjęcia zadania. W rezultacie Morrison bez przerwy walczył o dotrzymanie terminu i nadrabiał cudze błędy. Dana zawsze mu pomagała. Zostawała w pracy do późna i kończyła sprawy, z którymi nie mógł zdążyć. Pewnego razu złożyła nawet w jego imieniu zeznania pod przysięgą oraz namówiła protokolanta sądowego, aby w aktach znalazło się nie jej, tylko jego nazwisko. Ale i tak nie była w stanie zrobić, ile trzeba. Ostatecznie grono współników doszło do przekonania, że Charlie nie mieści się w profilu „Jackson, Rieders”. Dołożyli wszelkich starań, aby się go pozbyć – wystawiali mu druzgocące oceny, wyznaczali parszywe zadania, a kiedy Charlie nie zareagował dość szybko, wytoczyli przeciwko niemu spreparowane zarzuty, zmuszając go w końcu do rezygnacji.

Na krótką metę była to tragedia, która po dłuższym czasie okazała się sukcesem. Charlie wylądował w Pennsteelu jako radca prawny. Co więcej, znalazł takie miejsce, gdzie docenia się miłych ludzi. Błyskawicznie pokonywał kolejne szczeble w departamencie prawnym, zwrócił na siebie uwagę i zyskał przychylność Vica Sullivana. Przeskoczył też wielki rów, wchodząc do ścisłego kierownictwa spółki.

Każdy inny zrewanżowałby się, powierzając obsługę prawną Pennsteelu innej kancelarii, ale Charlie nie należał do mściwych ludzi.

Okazało się, że jest równie dobrym klientem, jak dawniej był kolegą.

– Mówię poważnie – podkreśliła Dana. – Po dzisiejszym spotkaniu wycofasz się i pozwolisz, abym zajęła się sprawą.

– W porządku, ale posłuchaj... – Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął wizytówkę z napisem: Michael F. Pasko, dyrektor do spraw bezpieczeństwa i służb specjalnych. Pod spodem widniał numer telefonu wewnętrznego w Pennsteelu. – Zadzwoń do Mike'a, jeżeli będziesz potrzebowała pomocy. To znakomity dochodzeniowiec. W dodatku to mój podwładny, więc efekty twojej działalności jako adwokata będą chronione.

Dana wolała współpracować z wyznaczonymi przez siebie, ale schowała wizytówkę do torebki.

Harry Reilly wrócił do mikrofonu.

– A teraz odpowiemy na pytania – zapowiedział grzmiącym głosem, który echem odbijał się w sali.

Dana szybko podniosła rękę, ale Reilly najpierw zwrócił uwagę na dziennikarzy. – Czy ktoś już odsłuchał czarną skrzynkę helikoptera? – zapytał jeden z reporterów.

Reilly potrząsnął głową i objaśnił procedurę. CVR został wysłany do laboratorium NTSB w Waszyngtonie, gdzie specjalna komisja przesłucha zapis i sporządzi transkrypcję. Być może upłynie kilka miesięcy, zanim ten tekst zostanie opublikowany.

– A co się stanie z taśmą?

Reilly wytłumaczył, że często ze względu na bardzo osobisty charakter wymiany zdań w kokpicie taśmy z CVR nie są udostępniane publicznie.

– Jaka jest wasza teoria na temat powodów zderzenia? – pytał inny dziennikarz.

– Nie mamy żadnej teorii – odburknął Reilly. – Sprawdzimy wszelkie możliwości, tak jak zawsze.

– Ale co było najbardziej prawdopodobną przyczyną katastrofy? – naciskał przedstawiciel prasy.

Reilly głośno dmuchnął w mikrofon, co zabrzmiało jak milion westchnień.

– Niech pan posłucha – powiedział w końcu. – Mniej więcej dziewięćdziesiąt dziewięć procent kolizji następuje w odległości kilku kilometrów od lotniska, w czasie startu bądź podejścia do lądowania. Tak mówią dane o ruchu lotniczym. Ale żeby dwa samoloty zderzyły się w trakcie lotu, daleko od lotniska... – Umilkł na chwilę. Schodząc ze sceny, rzucił w przestrzeń ostatni komentarz: – Na tym etapie wasze domysły są równie dobre, jak moje.

Po zakończeniu konferencji prasowej Charlie przedstawił Danie dwóch reprezentantów towarzystw ubezpieczeniowych.

– Norm Wiecek z UAC i Don Skelly z firmy „Geisinger”. Chłopaki, to Dana Svenssen.

Towarzystwo „United Aviation Casualty” było głównym ubezpieczycielem Pennsteelu. Norm Wiecek, posępny mężczyzna o ciężkich powiekach i opuszczonych kącikach ust robił wrażenie nie mniej przygnębionego, niż to wynikało z jego aparycji. Firma „Geisinger Underwriters” była ubezpieczycielem dodatkowym, pokrywającym straty przekraczające sumę ubezpieczenia zasadniczego; Don Skelly, niski energiczny mężczyzna po pięćdziesiątce, uśmiechał się promiennie. Na powitanie obdarzył Dane długim uściskiem dłoni.

– Miło mi panią poznać. Słyszałem o pani wiele dobrego. – Mimo trzydziestoletniego pobytu na Manhattanie używał dialektu spotykanego w Apalachach. – Może pójdziemy gdzieś się naradzić?

Pojechali do przydrożnej restauracji przypominającej kształtem przyczepę Airstream i skwierczącej w południowym słońcu niczym brytfanna z nierdzewnej stali. Charlie zaparkował swoje czerwone porsche obok wozu Dany, wzbijając kurz przy hamowaniu. Rozmawiał przez telefon. Gestem dał Danie do zrozumienia, żeby na niego poczekała. Kiedy wysiadła z samochodu, uderzyła ją ciężka pięść upału. Przyjrzała się suchej trawie i piaszczystem drogom. Podniosła wzrok. Na niebie ani jednej chmurki.

Charlie wysiadł z wozu. Razem z Daną wszedł do restauracji. Kierowcy wielkich ciężarówek stali przy kontuarze obok miejscowych. Wszyscy gadali o katastrofie. Don Skelly wziął kelnerkę na stronę i obdarzył ją szerokim uśmiechem i skromnym napiwkim. Dziewczyna zaprowadziła przybyłych do zarezerwowanego stolika w kącie.

– Kawa dla wszystkich – zagrzemiał Skelly, mrugnął i dodał: – Ale za jedzenie proszę policzyć osobno.

Zajęli miejsca. Charlie Morrison poprosił o jeszcze jedno krzesło – dla Teda Kellera, który miał przyjechać później.

– Chciałabym usłyszeć wasze rekomendacje odnośnie ekspertów – zaczęła Dana, patrząc na Wiecka i Skelly'ego.

– Doug Wetherby – rzucił Skelly, zapalając papierosa.

– Specjalista od rekonstrukcji?

– Tak. – Skelly z wyrazem wielkiej satysfakcji wciągnął powietrze. –

Jest najlepszy, więc powinniśmy go złapać, zanim zrobi to ktoś inny.

Wiecek wykrzywił usta jeszcze bardziej.

– Wolałbym wykorzystać Eda Stolza – oświadczył.

Wywiązała się dyskusja. Panowie z firm ubezpieczeniowych prezentowali zalety Wetherby'ego i Stolza. Argumentowali, który z wymienionych kandydatów jest lepszym specjalistą, a który wywiera większe wrażenie na sędziach przysięgłych. Przy stole pojawił się Ted Keller.

– Rozmawiamy o ekspertach – poinformował Charlie. – A kogo ty znasz?

Keller okazał się niezbyt pomocny. Mimo wielu lat spędzonych za sterami nigdy nie zdarzył mu się wypadek lotniczy, a kwestie roszczeń były dla niego zupełnie odległe. I wolał, żeby już tak zostało, więc błyskawicznie ukrył twarz w menu.

– Coś wam powiem – rzucił przyjaźnie Skelly. – Ściągnijmy obydwu. Niech Dana i Charlie im się przyjrzą.

– Im szybciej, tym lepiej – wtrąciła Dana. – Chciałabym na poniedziałek wyznaczyć spotkanie ze wszystkimi ekspertami, jakich zdążymy do tego czasu zaangażować.

– Dobra myśl – powiedział Skelly. – Zorganizujmy to u nas, w naszym hotelu możemy przenocować wszystkich przyjezdnych.

– W Nowym Jorku? – odezwała się z nutą wątpliwości w głosie.

– Nie, mam na myśli nasz nowy pałac. W „Królu Prus”.

Dana przypomniała sobie artykuł na temat „Geisinger Underwriters”. Po wielu latach spędzonych na Manhattanie, gdzie mieściła się główna siedziba, spółka przeprowadziła się ostatnio do nowego kompleksu

biurowo-hotelowego, położonego dwadzieścia pięć kilometrów od Filadelfii. Pałacowy kompleks ten został wybudowany przez Geisingera za blisko trzysta milionów dolarów. Nic dziwnego, że Skelly nie spieszy się, by płacić za cały lunch.

Uzgodnili, że spotkanie odbędzie się w poniedziałek przed południem. Kiedy nakryto stół do jedzenia, Dana zaczęła przygotowywać listę. Najpierw wpisała Wetherby'ego i Stolza oraz specjalistów od ogólnej rekonstrukcji wypadków lotniczych. Potem przeszła do węższych, bardziej wyspecjalizowanych dziedzin. Zanotowała nazwiska ekspertów radarowych, metalurgów, znawców aerodynamiki.

– Będzie mi potrzebna dobra firma przygotowująca symulacje komputerowe – oznajmiła. – Każdy scenariusz trzeba przedstawić wizualnie ze wszystkich punktów widzenia: kokpit JetRangera, kokpit Skyhawk, nawet perspektywa ludzi patrzących z ziemi.

Wiecek i Skelly robili wrażenie sceptyków. Byli zbyt starzy, aby czuć się swobodnie w obliczu komputerowej magii.

– Słuchajcie – kontynuowała Dana – będziemy prezentować te przypadki ludziom, którzy przez sześć godzin dziennie oglądają telewizję. Oni nie potrafią już słuchać, umieją natomiast patrzeć w ekran.

– W porządku – powiedział cicho Charlie.

– W takim razie na poniedziałkowe spotkanie ściągnę komputerowców – zdecydowała ostatecznie Dana. – Trzeba wszystko skoordynować i dograć jak najszybciej, jeżeli chcemy mieć jakiś udział w sprawozdaniu NTSB.

– Co nam z tego przyjdzie? – zapytał Charlie.

Dana wzruszyła ramionami.

– Mamy prawo przedłożyć opinie, prawną na piśmie, a oni z kolei mają prawo ją zignorować. Ale nawet jeśli wezmą nasze oświadczenie pod uwagę, trudno powiedzieć, ile dobrego z tego wyniknie. Jeżeli jednak zdołamy skierować ich śledztwo w stosownym kierunku, to nam może tylko pomóc. Jeżeli natomiast powstanie wrażenie, że na każdym kroku szepczemy im coś na uszko, to wiercie mi, adwokaci zgłaszających roszczenia dowiedzą się o tym i wszelkie pozytywne ustalenia zostaną wykorzystane przeciwko nam podczas procesu.

– Ja bym nie liczył na korzystne ustalenia, niezależnie od tego, czy będziemy coś komuś szeptać do ucha, czy nie – przemówił Ted Keller. – Pamiętajcie ten dowcip? Jeżeli w wyniku trzęsienia ziemi wyrwa w pasie na lotnisku powstanie na sekundę przed lądowaniem, NTSB i tak znajdzie sposób, by przypisać błąd pilotowi.

Don Skelly roześmiał się hałaśliwie. Dana nie miała nastroju do żartów.

– NTSB nie będzie słuchać prawników w czasie dochodzenia, ale my możemy desygnować jednego przedstawiciela, który podejmie z nimi współpracę. Zwykle wysyła się głównego pilota.

– Ted, zostałeś wybrany – oznajmił Charlie.

Keller zadrzał.

– Ja również będę potrzebowała kilku ekspertów od pilotażu – ciągnęła Dana. – Po pierwsze, specjaliści od lekkich samolotów i drugiego, od helikopterów. Jakież propozycje?

Nikt się nie odezwał, więc zwróciła się do Kellera:

– Może coś zasugerujesz, Ted? Z pewnością poznałeś wielu wybitnych pilotów.

Keller wpatrzył się w filiżankę czarnej kawy.

– Najlepszy, z jakim się zetknąłem, zginął wczoraj.

Przy stole zaległa pełna przygnębienia cisza. Dana przyglądała się laminowanemu meblom. Przez całe życie przełamywała barierę płci. Teraz zademonstrowała, że potrafi być równie nieczuła, jak każdy facet. Starła się znaleźć odpowiednie słowa przeprosin czy współczucia, ale w końcu Keller wybawił ją z kłopotu.

– Znam jeszcze jednego doskonałego pilota – powiedział. – Usłyszałem również, że jest zainteresowany udziałem w takiej sprawie. Nazywa się Andy Broder.

Dana oderwała pióro od papieru:

– Znasz jego kwalifikacje?

– Zrobił dyplom z inżynierii lotniczej. Pracował jako projektant dla McDonnella Douglasa. Przez większą część życia latał na stałopłatach. Potem przesiadł się na helikoptery. Podczas wojny pilotował uzbrojony śmigłowiec typu Cobra. Teraz siedzi gdzieś na Alasce i pracuje w Służbie Leśnej. Lata na samolotach zwalczających pożary.

Podeksytowana Dana spojrzała znad papierów. Broder wydawał się idealnym kandydatem.

– W jaki sposób go poznałeś, Ted? Lataliście razem w Wietnamie?

– Nie. – Roześmiał się. – Andy walczył w Zatoce Perskiej. Ja latałem z jego ojcem.

– Więc to dzieciak? – Jej entuzjizm natychmiast przygasł.

– Tak, ale najlepszy pilot, jakiego znam.

Dana wiedziała jednak, że srebrne włosy są dla sędziów przysięgłych tak cenne, jak złoto.

– No cóż, możemy go wciągnąć... – Nie dokończyła. Na parkingu

rozległ się hałas.

– Kto jeździ czarnym mercedesem? – zawołał jakiś mężczyzna przy barze. Dana skoczyła na równe nogi i wybiegła na zewnątrz. W jej samochodzie wył alarm. Boczna szyba po stronie pasażera była rozbita.

– Tam ucieka! – krzyknął z za jej pleców Keller.

Na skraju parkingu przez krzaki przedzierał się mężczyzna w ciemnym ubraniu.

– Ted, wezwij policję! – wołał Charlie. – Ja go dopadnę!

Keller cofnął się do restauracji. Morrison popędził za złodziejem i znikł z oczu Dany, zanim przyszło jej do głowy, że sama powinna rozpocząć pogoń. Charlie, ze swym niedawno wyhodowanym brzuchem, nie miał zbyt dużych szans.

Zaczęła grzebać w torbie, szukając kluczyków. Wcisnęła przycisk na konsoli, aby wyłączyć alarm. Don Skelly krążył wokół samochodu – oceniał szkody jak typowy rzeczoznawca ubezpieczeniowy.

– Chyba nic nie zwędził – oznajmił po chwili.

Dana zajrzała do środka. Słuchawka telefonu leżała na swoim miejscu, na konsoli. Radio i odtwarzacz kompaktowy były nietknięte, tak samo jak policyjny skaner. Nie brakowało niczego z wyjątkiem walizeczki od laptopa. Z tego wynika, że złodziej po raz kolejny się rozczaruje, kiedy zajrzy do środka.

Po kilku minutach z zarośli wyłonił się Charlie. Jego pierś unosiła się ciężko. Pokręcił głową, starając się złapać oddech.

– Zniknął – wysapał. – Nie ma... nawet śladu.

Z restauracji wyszedł Keller.

– Zadzwoń na policję. Niedługo powinni tu dotrzeć – powiedział.

Charlie wszedł do knajpki i szybko wypił trzy szklanki wody. Dana pożyczyła śmietniczkę i zmiotła z siedzenia większe kawałki szkła. Kelnerka przyniosła folię i rolkę taśmy samoprzylepnej, by pomóc zasłonić wybite okno. Po zabezpieczeniu samochodu wszyscy wrócili do restauracji, skończyli zebranie i zapłacili rachunek.

Policja jeszcze się nie pojawiła. Charlie i Keller oznajmili, że muszą jechać do Pennsteelu, a Norm Wiecek przypomniał sobie, że czeka go daleka droga na północ stanu New Jersey, więc też pożegnał towarzystwo. Don Skelly został z Daną przy stole – oboje przyglądali się, jak Wiecek z mozołem opuszcza parking.

– Wygląda, jakby mu zdechł pies – sarknął znad kawy Don.

Dana uśmiechnęła się.

– Mam wrażenie, że Norm dostrzega tylko bilans UAC, zubożony o dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy i ty tak na to nie patrzysz. Słyszałeś o katastrofie lotniczej w Missouri? Ława przysięgłych zasądziła trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów odszkodowania. Dla jednej ofiary.

– A tak, pamiętam. – Skelly zapalił następnego papierosa. – Cholerni przysięgli. Dla nich to tylko śmieszna forsa. Jakiemuś fartownemu gościowi sływa manna z nieba, a inny, ciężko harujący facet musi za to płacić. Ale do diabła... – Wypuścił kłęb dymu i uśmiechnął się szeroko. – Dzięki temu ty i ja mamy zajęcie.

– Kiepski biznes. Jest tuzin ofiar. Możecie się spodziewać roszczeń rzędu trzech miliardów dolarów.

Skelly pokiwał głową.

– To mnie nie martwi.

Dana roześmiała się z niedowierzaniem.

– Dlaczego? Powiedz też bym sobie chętnie oszczędziła trochę zmartwień.

– Och, do cholery – zaczął. – Z braku dowodów rzeczowych trzeba spojrzeć na sprawę z punktu widzenia zdrowego rozsądku. Z jednej strony mamy wyszkoloną załogę z milionem godzin przelatanych na helikopterach, stosującą się do procedury, meldującą o planie lotu, robiącą wszystko jak trzeba. Z drugiej strony jest tatuś, który proponuje synkowi rozrywkę i bawi się nowym rodzinnym cackiem. Kto więc prawdopodobnie spieprzył sprawę?

Dana patrzyła na niego przez stół. Ten człowiek stanowił dziwaczne połączenie starego wyjadacza i poczciwego, towarzyskiego faceta, którego wszyscy lubią. Może nawet przysięgli obdarzą go sympatią? Zastanawiała się, czy aby Don nie ma racji.

– A zatem zwracamy uwagę na brak dowodów i nic więcej?

– Gdyby to ode mnie zależało, tak właśnie bym się bronił. – Wzruszył ramionami.

– Ale coś przecież spowodowało kolizję. Moje zadanie polega na ustaleniu przyczyny katastrofy.

Skelly przez minutę mieszał kawę.

– Ktoś mógłby stwierdzić, że po prostu musisz bronić Pennsteel – skwitował.

– Nie mogę tego robić, jeśli nie znam prawdy.

– Prawdy? – Pociągnął duży haust kawy. Czy dostępnych faktów?

Dana spojrzała na zegarek – dochodziła druga. Dojazd do biura zajmie ponad godzinę, tymczasem nowo powołany zespół ma się zebrać o

trzeciej.

– Chyba już dłużej nie będę czekała na policję – powiedziała.

– Twój ubezpieczyciel nie uzna szkody bez raportu policyjnego – ostrzegł Skelly.

– Trudno.

Wyjeżdżając z parkingu, widziała Dona w oknie. Palił papierosa i obserwował oddalającego się mercedesa.

Biura firmy „Jackson, Rieders & Clark” mieściły się w nowym, pięćdziesięciopiętrowym drapaczu chmur z mosiądzu i szkła przy Market Street, osiem przecznic na zachód od dawnej, popadającej w ruinę siedziby na South Broad, w której kancelaria mieściła się przez pierwsze sto lat istnienia. Pomysł przeprowadzki na drugą stronę miasta lansował Clifford Austin. Był to główny filar jego „Wizji na Nowe Stulecie”. Drugi filar to najazdy na konkurencyjne kancelarie z zamiarem przechwycenia ich czołowych prawników. Wybrańców kusił wygórowanymi premiami oraz gwarancją wysokich stanowisk. Opierało się to na teorii, że gwiazdy ściągną dosyć pieniędzy nie tylko na swoje wynagrodzenia, ale też na spłatę wysokiego kredytu bankowego, zaciągniętego na sfinansowanie nowej kwatery. Problem polegał jednak na tym, że gwiazdy nigdy nie poświęcały firmie więcej czasu, niż potrzeba na wydrenowanie jej zysków, a potem szły gdzie indziej, skuszone jeszcze atrakcyjniejszymi warunkami. Na wspólników takich jak Dana spadało więc zadanie zarobienia pieniędzy wystarczających na pokrycie kosztów przeprowadzki i premii, nie wspominając już o wynagrodzeniach dla konsultantów – głównych twórców „Wizji”.

Firma zajmowała sześć najwyższych kondygnacji w budynku, a także podziemny parking oraz dwa piętra w podziemiu, gdzie mieściło się archiwum. Rozkład pomieszczeń wynikał z najważniejszej reguły dotyczącej projektowania kancelarii: gabinety prawników rozmieszczono Wzdłuż półkolistych ścian; pokoje z dwoma oknami przewidziano dla

asystentów, pomieszczenia z trzema oknami dla wspólników, a te z sześcioma dano partnerom zasługującym na gabinety narożne. Wewnętrzna, pozbawiona okien przestrzeń zajmowały sekretarki wraz z asystentkami bez statusu prawnika i innymi pracownikami pomocniczymi. Mieściły się tu także sale konferencyjne obwieszane portretami założycieli firmy. Po całym, długim dniu wysłuchiwania oświadczeń, ich starożytność oblicza upodabniały się do twarzy postaci z obrazów Edwarda Muncha. Często to wystarczało, aby wyczerpany świadek wpadł w panikę i wyznał prawdę, krzycząc z przerażenia.

W sobotnie popołudnie w sali 46B Dana spoglądała w żywe i uwiecznione na płótnie twarze, i też miała ochotę wrzeszczeć. Jej nowo powołany zespół siedział dookoła stołu. Był tam oczywiście Travis Hunt, prawa ręka mecenas Svenssen. Obok zajmował miejsce Lyle Claiborne, starszy asystent o aparycji naukowca, specjalizujący się w kwestiach związanych z apelacjami. Dana przypuszczała, że nigdy nie prowadził sprawy, nie przyjmował zeznań składanych pod przysięgą, nie odpytywał świadka, a nawet nie spotkał się z klientem.

Następna z kolei siedziała Sharon Fista, także starszy asystent. Rok czy dwa lata temu urodziła dziecko i w dalszym ciągu pracowała na pół etatu.

Obok Sharon zasiadł Brad Martin, szczupły mężczyzna o twarzy przysłoniętej grzywą bujnych, gęstych włosów. Ten zasadniczy młodzieniec traktował każde zadanie jak sprawę życia i śmierci.

Na końcu znalazła się Katie Esterhaus, słodka, młoda dziewczyna w widocznej ciąży.

Dana obrzuciła ekipę posępnym wzrokiem. Prosiła o siedmiu pomocników, a otrzymała pięciu, przy czym ich łączna energia i talent

wystarczały mniej więcej dla trzech dobrych pracowników. Gdyby jednak się poskarżyła, Austin uśmiechnąłby się gładko i rzucił: „A więc zdecydowałaś się na tych specjalistów od nabijania godzin?” Oczywiście uznaliby się za zwycięzcę w nieustającym sporze.

Wzięła głęboki oddech i podjęła decyzję: będzie walczyć z tą ekipą. Najwyżej po jakimś czasie ogłosi kryzys i wywalczy większą liczbę współpracowników, a na razie zagra kartami rozdanyimi przez Austina.

– Cześć, Mario – zwróciła się do siedzącej pod ścianą młodej kobiety o oliwkowej skórze. – Znalazłaś nam kogoś do pomocy?

– Owszem. – Asystentka wskazała na puciołowatego młodzieńca. – To jest Luke.

– Luke, cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała Dana do chłopaka, który wiercił się na krześle. Przeniosła uwagę na prawników przy stole. – Wam również dziękuję za przybycie – dodała. Przedstawiła w skrócie wydarzenia w Alpine Valley. – Naszym zadaniem w ciągu kilku najbliższych miesięcy będzie ustalenie, dlaczego doszło do katastrofy. W tym kontekście magiczne terminy brzmią: względne zaniedbanie oraz odpowiedzialność zbiorowa i indywidualna. Ława przysięgłych może podzielić odpowiedzialność: dziewięćdziesiąt procent na samolot i dziesięć procent na helikopter Pennsteelu. Ostatecznie jednak Pennsteel będzie musiał zapłacić sto procent odszkodowania. Chyba że awionetka została ubezpieczona na wysoką kwotę albo należała do sułtana Brunei, na co, jak dotychczas, nic nie wskazuje.

W tej sytuacji nie zyskamy nic, minimalizując część odpowiedzialności przypadającą na Pennsteel. Trzeba tę odpowiedzialność zupełnie wyeliminować. Są na to jedynie dwa sposoby: udowodnić, że całkowitą

winę za wypadek ponosi pilot awionetki albo wykazać, że katastrofę spowodowały siły wyższe i nikt nie popełnił błędu. Jednak sędziowie przysięgli nie wierzą już w siły nadprzyrodzone, więc lepiej będzie, jeśli postaramy się zrzucić całą odpowiedzialność na pilota samolotu.

Młodzi adwokaci i asystenci przyglądali się przemawiającej pani Svenssen. Dana obserwowała ich, aż przemyślała do końca podział obowiązków.

– Lyle, chciałabym, abys pokierował sprawami tutaj, na miejscu. Zajmiesz się głównie wyszukiwaniem danych w bibliotece. Pierwszy problem: określić standard troskliwości. Co mówią na ten temat przepisy FAA, jak traktują ten wątek sądy.

Lyle poprawił okulary na nosie i przytaknął. To było jego poletko, wiedział, co trzeba robić.

– Katie, będziesz asystentką Lyle'a. Skoncentrujesz się na dowodach dokumentalnych. Po pierwsze, chodzi o akta Pennsteelu. W tej sprawie zależy mi na maksymalnej skrupulatności. Musimy odkopać wszystkie dokumenty dotyczące konserwacji, dane na temat wyszkolenia pilotów oraz ich akta osobowe. Najwyższy priorytet mają pomiary z radaru, jeżeli takie będą, ale zależy nam także na materiałach odnoszących się do Skyhawk'a oraz Loudenberga. Potrzebujemy danych o stanie zdrowia pilota awionetki, certyfikatów informacji o pracy. Możemy to uzyskać występując z żądaniem na podstawie Ustawy o wolności informacji. Wniosek należy złożyć w poniedziałek.

Pióro Kate biegało po papierze.

No i tyle. Asystent z naukowym zacięciem i dziewczyna z oczywistymi ograniczeniami fizycznymi mają zająć się sprawami biurowymi. Pozostali

członkowie grupy wyruszą w teren.

– Sharon i Brad waszym obowiązkiem będzie przepytanie naocznych świadków wydarzeń. Idźcie na miejsce wypadku i do okolicznych domów, rozmawiajcie z każdym chętnym.

Sharon i Brad kiwali głowami z dużo większym entuzjazmem niż poprzednia dwójka. Dla młodych prawników, ślęczących po dwanaście godzin na dobę nad sprawozdaniami z procesów, możliwość odpytywania świadków była znakomitą szansą.

– Travis – ciągnęła Dana; w odpowiedzi zakołysała się potężna sylwetka na drugim końcu stołu. – Chcę, żebyś zebrał jak najwięcej informacji o pilocie Skyhawk, Williamie Loudenbergu. Gdzie mieszkał, gdzie pracował; odwiedź miasto, z którego pochodził, porozmawiaj ze współpracownikami, odpytaj wdowę.

Jeżeli ktoś mógł to zrobić, to tylko Travis: dzięki swojemu typowo amerykańskiemu wyglądowi i młodzieńczej energii był w stanie wejść przez drzwi, które zatrzaśnięto by przed nosem innym adwokatom.

– Brad. – Dana wróciła do chłopaka, któremu już wyznaczyła rolę; popatrzył na nią, marszcząc brwi. – Zbierzesz informacje o szkodach ze strony zabitych i rannych. Zaczynij od ustaleń odnośnie poparzeń. Dowiedz się, którzy lekarze są najlepsi i kto zechce zeznawać. Zdobądź wyniki autopsji i testy toksykologiczne, potem sporządź listę patologów. Muszą zweryfikować dane. Zaczynij też gromadzić informacje medyczne o wszystkich potencjalnych powodach występujących o odszkodowanie.

Jeżeli sprawą zajmie się tak poważny i zasadniczy człowiek, jak Brad, nikt nie zarzuci Pennsteelowi lekceważenia kwestii szkód.

– Ty, Mario, wiesz, co masz robić. Każdy kawałek papieru, jaki

wpłyńie lub zostanie zapisany u nas w związku z tą sprawą, ma otrzymać stosowny numer. Stwórz bazę danych i wszystko tam wprowadzaj.

– W systemie szybkiego wyszukiwania?

– Tak, ale bez możliwości dostępu do informacji zaklasyfikowanych jako poufne.

– Rozumiem. – Maria zrobiła notatki.

Dana wstała zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniała. Po drugiej stronie stołu Travis siedział nieruchomo, z rękami złożonymi na klatce piersiowej.

– No i, rzecz jasna, Travis będzie pracował z ekspertami oraz pełnił funkcję mojego zastępcy.

Travis skinął głową. Brad Martin podniósł rękę.

– A jeśli nie damy rady? To znaczy, jeżeli Pennsteel był odpowiedzialny za spowodowanie katastrofy?

– Nawet jeśli sąd przypisze winę naszemu klientowi, to nie oznacza, że kończymy pracę – odparła Dana. – Trzeba jeszcze ustalić wielkość szkód, a może nawet zaskarżyć roszczenia.

– No tak – wtrącił Travis. – Przypominasz sobie sprawę sprzed paru lat, w której naszym przeciwnikiem był Ira Thompson? Chodziło o odpowiedzialność za produkt – wyjaśniał pozostałym. – My reprezentowaliśmy producenta, który w sposób ewidentny ponosił winę. Ale klient Thompsona sfalszował większość zgłoszonych szkód, a Dana zaskarżyła żądania. Przysięgli przyznali odszkodowanie wynoszące mniej więcej połowę sumy, której domagał się Thompson, i w końcu zaproponował polubowne rozwiązanie sporu.

– Tylko że prasa o tym nie wiedziała – dorzucił Brad. – Gazety uznały,

że zwyciężył Thompson.

– Nie idziemy do sądu, żeby zadowolić dziennikarzy – skwitowała Dana. – A jeżeli komuś bardziej zależy na publicznym wizerunku niż na reprezentowaniu klienta, to niech lepiej zrezygnuje od razu.

Nie było chętnych.

Travis miał taką minę, jakby nagle doznał oświecenia.

– Wiecie co? – powiedział. – Przecież ktoś musiał to wszystko sfilmować. Rozumiecie? To jest park rozrywki! Na pewno parę kamer pracowało w momencie zderzenia.

W pokoju rozległy się głosy uznania; Dana uderzyła się w czoło. Wyobraziła sobie aparat fotograficzny Kirstie na półce w jakimś lombardzie w dzielnicy slumsów, a rolkę filmu w kubie na śmieci. Praktycznie nie istniała szansa, że złodziej zatrzymał sobie kliszę, a prawdopodobieństwo, że zaniósł ją do wywołania, było jeszcze mniejsze.

Energicznie podniosła głowę.

– Doskonały pomysł. Opublikujemy duże ogłoszenie w gazetach kolportowanych w rejonie Alpine Valley. Poprosimy, żeby skontaktowali się z nami ludzie, którzy wczoraj kręcili w parku filmy. Lyle?

– Zajmę się tym.

– Musimy też zamówić w stacjach telewizyjnych kopie nagrań robionych przez reporterów. Interesują nas zarówno materiały puszczone na antenie, jak i to, co zostało wycięte. Są chętni?

– Luke pracował jako wydawca wiadomości w Kanale 3 – odezwała się Maria.

Oczy obecnych spoczęły na chłopaku, który akurat ukradkiem spoglądał na zegarek.

– W porządku – powiedział młodzieniec, czerwieniąc się jak burak.

Dana przypomniała sobie, że jest sobota wieczór – poczuła się winna.

Na pewno wszyscy obecni mieli ciekawsze zajęcia niż siedzenie w biurze i słuchanie jej rozporządzeń.

– Na tym zakończmy – powiedziała. – Czy wszyscy wiedzą, od czego zacząć w poniedziałek rano?

Zebrani przytaknęli.

– Dobrze. Jeszcze jedna uwaga. To wydarzenie będzie na ustach wszystkich, może nawet przez całe miesiące. Pojawi się mnóstwo spekulacji w mediach i plotek, a kilkunastu adwokatów reprezentujących osoby poszkodowane nie przepuści ani słowa. Kiedy się zorientują, że pracujemy dla Pennsteelu, będą usiłowali nas śledzić i podsłuchiwać. Dlatego nie rozmawiamy o tej sprawie poza biurem. Nie informujemy nikogo o naszych teoriach, nie wymieniamy nazwisk na przyjęciach, nie wdajemy się w pogaduszki, nie staramy się też zaimponować innym adwokatom faktem, że prowadzimy tak podniecającą i głośną sprawę. Niech całe otoczenie się dowie, że trafia nam się najnudniejsza sprawa w całym mieście; tak cholernie nieciekawa, że nawet nie pamiętamy szczegółów. Jasne? Nie chcę usłyszeć na ulicy żadnej wypowiedzi, przypisywanej komuś znajdującemu się w tym pokoju.

Kiedy Dana skończyła, w sali zapanowało napięcie. Młode wojsko spoglądało na szefową ze śmiertelną powagą. Wreszcie Travis rozładował sytuację.

– Dooobrze, mamusiu – powiedział.

Dana roześmiała się. Współpracownicy szybko wyszli na korytarz.

Dana po raz pierwszy od miesiąca otworzyła drzwi do swojego gabinetu. Poczła odór stęchlizny, ale dzięki sekretarce wszystkie rośliny były podlane i wyglądały zdrowo. Dokumenty leżały na błyszczącym blacie biurka, ułożone w nienagannie równy stos.

Kiedy firma przeniosła się do nowego budynku, prawnicy zrezygnowali z boazerii na ścianach i orientalnych kobierców na rzecz bardziej współczesnego wystroju. Ściany pomalowano na kolor jasnoszary, podłogę pokrywała ciemnoszara wykładzina. Blaty szafek wykonano z granitu, który dobrze się spisywał jako podstawa pod kwiatki, ale był tak zimny, że dotykając go, Dana nie mogła nie myśleć o kostnicy. Nie mogła do końca się pogodzić z nastawioną na przyszłość, radykalną wizją partnerów. Często tęskniła do podniszczonej tapicerki i popękanej skóry dawnych pomieszczeń.

Zasiadła w miękkim fotelu za biurkiem. Dochodziła szósta. Dana musiała jeszcze umówić na poniedziałkowe zebranie z tuzin ekspertów. W drzwiach ukazała się głowa Trávisa Hunta.

– Jak ci poszło na miejscu wypadku? – zapytał.

– Był tam Ira Thompson – odparła, patrząc mu w oczy.

– O, cholera – rzucił Travis, po czym niezwłocznie wykazał skruchę. – Przepraszam.

– Hmm. Też nie jestem z tego powodu szczęśliwa.

– Mów, co mam robić. Możesz mną rozporządzać.

Zwoływanie ekspertów poszłoby szybciej, gdyby zajęły się tym dwie osoby. Dana zastanawiała się przez moment, po czym otworzyła biurowy spis telefonów i zaczęła dzwonić. Travis przysiadł na brzegu biurka, oczekując poleceń.

– Proszę poczekać, będzie mówił pan Travis Hunt – powiedziała do rozmówcy po drugiej stronie słuchawki.

Travis wstał niepewnie.

– Twoja żona – szepnęła Dana. – Nie można ożenić się z miss Teksasu i zostawiać ją samą w domu w sobotni wieczór. Dzisiaj masz się poświęcić jej bez reszty.

Hunt chwycił słuchawkę z głupawym uśmiechem.

Po wyjściu Hunta Dana zatelefonowała najpierw do nadmorskiego domku w Avalon, ale nie była zaskoczona, że nikt nie odebrał nawet po dziesięciu sygnałach. Pierwszego dnia wakacji trudno porzucić plażę, dopóki słońce jeszcze choć trochę świeci. Lubili przesiadywać na piasku długo, nawet kiedy powietrze oziębiało się, woda robiła się szara, a z przybrzeżnych, podłych barów zaczynała dobiegać muzyka. O tej porze dziewczynki założyły na opalacze cieplejsze bluzy i ciągnąc za sobą plastikowe torby, zaczęły brodzić w kałużach w poszukiwaniu najpiękniejszej muszli.

Danie zrobiło się przykro, że nie może być z córkami. Ta myśl towarzyszyła jej przez następne dwie godziny, poświęcone na dodzwonienie się do wszystkich osób z listy potencjalnych ekspertów. Każdy otrzymał wiadomość, że ma rzucić wszystko i za trzydzieści sześć godzin stawić się w Filadelfii.

Większa część zainteresowanych spodziewała się takiego telefonu. Informacja o poważnej kolizji lotniczej nie uszła uwadze ludzi, którzy zarabiali na życie dzięki katastrofom lotniczym. Jedyne pytanie, jakie sobie zadawali, dotyczyło tego, która strona zgłosi się do nich jako

pierwsza.

O ósmej wieczorem na liście zostało jeszcze jedno nazwisko – młodego pilota Andy’ego Brodera. W Anchorage na Alasce była teraz druga po południu. O tej porze trudno zastać kogoś w domu. Dana podniosła słuchawkę z nadzieją, że i tam dotarł cud techniki w postaci automatycznej sekretarki.

Upływały minuty, nikt nie odbierał. W końcu jakiś mężczyzna wrzasnął: „Malowana lala!”. W tle słyhać było podniesione głosy oraz muzykę country.

– Przepraszam?

– Nie ma za co, paniusiu. Na pewno do czegoś razem dojdziemy.

Dana spojrzała na wyświetlacz aparatu. Nie, nie pomyliła numeru.

– Czy dodzwoniłam się do Andy’ego Brodera?

Po drugiej stronie rozległ się piskliwy śmiech.

– Nie, ale do jego ulubionego baru.

Wątpliwości, jakie miała w stosunku do kandydatury Andy’ego, zwielokrotniły się.

– Nazywam się Dana Svenssen i...

– Swanson?

– Nie, Svenssen. Jestem adwokatem z Filadelfii, muszę przekazać Andy’emu pilną wiadomość.

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniej.

– Hej, chłopcy! – zawołał rozmówca. – Mam na linii prawdziwego prawnika z Filadelfii. W dodatku to kobieta!

Rozległ się chóralny śmiech.

– Wie pan, gdzie on jest, czy nie? – wtrąciła obcesowo Dana.

– Owszem, stara się posadzić helikopter na środku dziesięciu tysięcy akrów palącego się lasu.

– Chcę mu przekazać wiadomość.

– No cóż, pani Svenssen, jeżeli wróci żywy, mogę mu powtórzyć.

Dana przeliterowała swoje nazwisko, podyktowała numer telefonu i powiedziała, w czym rzecz. W tym czasie barman, okazjonalnie pełniący funkcję sekretarza Brodera, chrząkał, nalewał piwo, hałaśliwie witał się z nowymi gośćmi. Dana odłożyła słuchawkę. Wątpiła, że Broder dostanie wiadomość, ale też specjalnie tego nie żałowała.

Spakowała papiery do aktówki i wsiadła do windy. Przed zjazdem do garażu wybrała się jeszcze na czterdzieste piętro. Hol był już wykończony, ale prowadziły do niego stalowe drzwi bez oznaczeń – widomy znak, że kondygnacja nie jest jeszcze zagospodarowana. W rzeczywistości nie została wykupiona, a perspektywy finansowe właściciela śródmiejskiego budynku, w którym pozostaje niewydzierżawiona powierzchnia sześciu tysięcy metrów kwadratowych nie przedstawiały się dobrze. Dana otworzyła drzwi kluczem i wkroczyła na szeroką, pustą przestrzeń – czterysta metrów betonowej podłogi, ciągnącej się od okna do okna. Nie było tu żadnych przepierzeń, nie licząc ścian wydzielających pion techniczny, mieszczący windy i pomieszczenia rekreacyjne. Nad głową znajdowały się tylko stalowe belki, kable, puszki elektryczne oraz żarówki.

To była wojenna kwatera, w której Dana i jej wojsko przechowywali dokumenty związane ze sprawą Palazzo i szykowali się do procesu. W kierowaniu kancelarią prawniczą jednym z najbardziej skomplikowanych

problemów było przechowywanie materiałów; Clifford Austin wprowadził skomplikowaną procedurę ich gromadzenia i wyszukiwania. Za bardzo skomplikowaną, jak na upodobania Dany, szczególnie w nerwowej, końcowej fazie przygotowań do procesu. Kiedy stwierdziła, że przestrzeń na czterdziestym piętrze pozostaje pusta, skontaktowała się z gospodarzem i zawarła z nim prywatny układ. Austin i jego faworyci nie potrafili wymyślić nic lepszego. Nominalna suma dzierżawna była płacona bezpośrednio przez departament prawny Pennsteelu, a jedynym kluczem dysponowała ona.

Wyjęła z teczki skoroszyt z dokumentami Palazzo i położyła go na stosie papierów Marii. Kwatera wojenna pierwotnie miała być miejscem pracy dla personelu pomocniczego, ale asystenci prawni jeden po drugim zaczęli się również przenosić tutaj, by uciec od telefonów, faksów i kłopotliwych współników. Stopniowo znoszono też elementy biurowego wyposażenia. Do tej pory stały pod nośną ścianą, na której znajdowały się gniazdka elektryczne: było to stanowisko robocze z telefonem nie uwzględnionym w spisie, końcówką komputerową, fotokopiarką oraz telewizorem i magnetowidem do przeglądania zeznań nagranych na wideo. Travis nazwał to miejsce Jaskinią Nietoperzy i konsekwentnie przekształcał je z pokoju operacyjnego w wojskowy bunkier. Ściągnął tu prycze z demobilu, niedużą lodówkę oraz ekspres do kawy, który zwędził gdzieś na wyższych piętrach. W okresie gorączkowej pracy przed wyjazdem do Los Angeles Dana przyłączyła się do nich i wszyscy razem przenieśli się z obszaru długich, nudnych i wyczerpujących wieczornych posiedzeń w świat panicznego podniecenia i nadmiaru kofeiny.

Teraz przypomniwała sobie tamte emocjonujące chwile. Ostatnie dni

przygotowań do procesu zawsze kojarzyły się z koszmarem, ale słodki smak zwycięstwa zazwyczaj eliminował wszystkie złe wspomnienia. Tym razem ta reguła się nie potwierdziła. Mieli ledwie jeden dzień na świętowanie sukcesu. Już zaczynał się następny koszmar.

Właśnie zamierzała zgasić światło i wyjść, kiedy zadzwonił telefon komórkowy schowany w torbie.

– Cześć! – powiedziała Karin. – Mam nadzieję, że nie próbowałaś się z nami skontaktować.

– Dzwoniłam tylko raz. Wszystko w porządku?

– Tak, ale w domku zdarzyła się awaria hydrauliczna, więc musieliśmy się przenieść.

– O Boże, co się stało?

– Rozwalił się bojler z wodą i zalał cały dom. Właściciel stanął na wysokości zadania. Zwrócił nam pieniądze i wyszukał inne miejsce, co o tej porze roku nie jest prostym zadaniem.

– No i gdzie teraz jesteście?

– W domkach gościnnych Fulmer's, niedaleko oceanu. Telefonuje się do biura, a oni łączą rozmowę do domku.

Dana zanotowała numer telefonu. Karen oddała słuchawkę Kirsten i Katrinie. Dla dziewczynek woda przelewająca się przez próg była tylko ekscytującą przygodą. Każda chciała opowiedzieć własną historię, każda przedstawiła swoją wersję, z częstymi przerwami, bo jedna poprawiała drugą.

Im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej Dana zdawała sobie sprawę, jak bardzo za nimi tęskni. Spędziły wspólnie tylko jedną noc po jej powrocie z miesięcznej delegacji, a teraz znowu nie będzie ich oglądać

przez dwa tygodnie. Poczula żal. Karin prowadzi własny interes, ale może go zamknąć, kiedy tylko zechce, zawsze ma czas dla dzieci, a teraz pławi się w słońcu.

– Kocham was – powiedziała córkom na pożegnanie.

– My też cię kochamy, cześć! – odpowiedziały zgodnie z rodzinnym rytuałem.

Zamknęła drzwi na klucz i zjechała do garażu z dojmującym poczuciem winy. Karin jest samotną matką. Co miesiąc walczy z wychowawczymi błędami swojego byłego męża. Nikt nie zasłużył na wakacje bardziej niż ona. Mimo wszystko Dana nie zdołała opanować zazdrości. Ona także uwielbia gotowanie. Bez trudu mogłaby robić to, co Karin. Ale teraz jest już za późno. Kariera gastronomiczna to jeszcze jedna droga, jaką zamknęła przed sobą, kiedy została prawnikiem i to, jak się okazało, dobrym.

Posiadanie talentu w dobrze opłacanej dziedzinie jest swego rodzaju przekleństwem, oznacza bowiem, że takiego zajęcia człowiek nigdy nie może porzucić.

Wydawało się, że cechą wyróżniającą barmanki w lokalu „Last Cali Bar and Bistro” jest strój złożony z ciasnych dżinsów z obciętymi nogawkami oraz podkoszulki odsłaniającej brzuch. To tłumaczyło, dlaczego Brandi trafiła w takie miejsce: miała kilkanaście wersji podobnego uniformu. Poza tym jednak nie zademonstrowała większej przydatności na nowym stanowisku. Whit obserwował ją od godziny i stwierdził, że jeszcze się nie zdarzyło, aby podała odpowiednie drinki do stolika, przy którym znajdowało się więcej niż dwóch klientów. Ilekroć popełniła pomyłkę, aranżowała czarującą wymianę zdań. W rezultacie klienci czuli się winni, że wpędzili dziewczynę w zakłopotanie.

Lekceważące podejście do innych nadrabiała nadmierną troską o Whita. Zatrzymywała się przy jego stoliku na pięciominutowe pogaduszki, aby się przekonać, czy nie trzeba podać kolejnego drinka, nawet jeśli poziom trunku w szklance obniżył się zaledwie o kilka milimetrów. Podchodziła tak często, że Endicott miał trudności z okazywaniem odpowiedniego entuzjazmu, choć z drugiej strony z przyjemnością patrzył na zgrabne, okrągłe pośladki Brandi.

Pobyt w „Last Cali” był dramatycznym przeżyciem dla ludzi, którzy zjawili się tu w pojedynkę i również samotnie musieli wyjść z baru. Hałaśliwi młodzieńcy z kuflami w ręku krążyli po sali niczym marynarze poszukujący rozrywki. Dziewczyny robiły to samo, tyle że mniej manifestacyjnie. Kilku chłopców wzięło za cel Brandi. Whit był zaskoczony widząc, w jaki sposób ich odtrącała. Dziwne, że dziewczyna o

tak nieskomplikowanej naturze nie ulegała powierzchownemu urokowi młodych uwodzicieli, którzy ewentualne braki w sferze ogłady na pewno z nawiązką nadrabiali potencją. Do większości Brandi odnosiła się z dyskretną obojętnością a jednego potraktowała zdecydowanie niegrzecznie.

Whit przyglądał się odtrąconemu chłopakowi – dobrze zbudowanemu młodzieńcowi o stalowych mięśniach. Miły uśmiech przystojniaka niezbyt dobrze skrywał grę emocji – zakłopotanie natychmiast ustąpiło miejsca gniewnej urazie. A więc znał Brandi. Jego reakcja nie wskazywała na chwilowy pociąg.

Kilka minut później Brandi wróciła do stolika Whita, tym razem bez tacy.

– Mam chwilę przerwy – powiedziała. – Pomyślałam, że posiedzę z panem.

– A więc i ja zrobię sobie przerwę.

Zachichotała zadowolona; przypominała uszczęśliwionego psiaka, który przed chwilą nasikał na dywan. Była ładną dziewczyną, a jej walory nie ograniczały się do powabów cielesnych. Miała szeroko rozstawione oczy koloru ciepłego brązu i pięknie złocisto-kasztanowe włosy.

– Tak się cieszę, że przyszedłeś, Tom – wyznała.

Przez moment zastanawiał się, co Brandi ma na myśli. Zrozumiał, ale powstrzymał się od śmiechu.

– Prawdę mówiąc, nazywam się Whit – stwierdził. – A dokładnie Thomas Whitman Endicott.

– Whitman – powtórzyła. Jej twarz rozjaśniła się nagle. – Tak jak te cukierki?

Zaprzeczył ruchem głowy. Przypomni ł sobie inną wymianę zdań na ten sam temat. Czy to na cześć poety?, zapytała kiedyś Dana. Wtedy skłamał, że tak, ponieważ przez długi czas uważał się za uosobienie wszystkich poetów.

Patrzył na gości z narastającym smutkiem. Pomysł Dany, by na wakacje wyjechały same kobiety uraził go, ale mimo to liczył, że będzie miał jeszcze dwa tygodnie, zanim dojdzie do wznowienia tego, co się w ich małżeństwie przyjęło uważać za normalne życie. Teraz ten przejściowy okres został zastąpiony przez coś gorszego: dwa tygodnie bez dzieci mogących służyć za bufor. Dochodzi ósma. Dana niedługo wróci z pracy. Prędzej czy później on też musi iść do domu i stawić jej czoło.

– Poczekasz, aż skończę pracę? – zapytała Brandi.

Może lepiej nie. Popatrzył na dziewczynę, która składała mu oczywistą propozycję.

Przez dwadzieścia lat uczył wyrastające z pierwszej młodości dziewczęta i już od dawna wiedział, jak się uodpornić na ich urok. Spośród tysięcy panienek tylko jedna wywarła na nim wrażenie. Wysoka blondynka z intensywnie niebieskimi oczami powiedziała do niego w zatłoczonej sali: „Rozumiem wszystko, co pan mówi, i jestem szczęśliwa, że mogę pana słuchać, w jaki sposób pan to mówi”. Po dwudziestu latach wciąż jeszcze miał przed oczyma jej obraz.

Powoli pokręcił głową.

– Myślę, że to powiedzenie Shawa jest prawdziwe.

– Jakie powiedzenie?

– Że im bardziej mężczyzna jest kuszony, tym więcej potrafi znieść. A prawdę mówiąc, pokusa jest bardzo potężna.

Brandi poruszyła ustami, jakby w myślach powtarzała sobie maksymę, chcąc ją zapamiętać. Sytuacja wydawała się jej bardziej podniecająca od wspólnej nocy w łóżku.

– No to może następnym razem – powiedziała, zsuwając się ze stołka.

– Następnym razem – powtórzył.

Uniósł szklankę na pożegnanie.

Odchodząc, po raz kolejny zaoferowała mu spektakl, w którym główną rolę odgrywały jędrne pośladki. Whit patrzył, jak Brandi kroczy przez salę. Nagle zauważył, że od drzwi macha do niego niecierpliwie Jerome Allen.

Kiedy przebił się przez tłum w barze, Jerome czekał już na skraju parkingu w swoim starym, czarnym cadillacu. Sprawdził we wszystkich trzech lusterkach, czy droga jest wolna, potem pochylił się i otworzył drzwi.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Nie mogłem się wcześniej wyrwać.

Whit wślizgnął się do auta.

– Masz? – zapytał.

Jerome wsunął rękę pod siedzenie i wyciągnął brudną plastikową torbę. Wyjął z niej zniszczony egzemplarz książki zatytułowanej „Podstawy czytania dla dorosłych”.

– Zakreśliłeś wyrazy, z którymi masz problem?

– Tak, znalazłem trochę.

Jerome przerzucił kilka kartek i pokazał długim palcem wyraz legenda.

– No tak, to cholerne słowo – zgodził się Whit. – Pamiętasz, co ci

mówiłem o „g” twardym i miękkim?

Twarz Jerome’a rozjaśniła się.

– Jedno z nich wymawia się jak „dż”? – Poruszył ustami, bezgłośnie powtarzając dźwięk, potem powiedział na głos, niepewnie: – Ledżend? – I na koniec z triumfem: Ledżend!

– Spróbuj ułożyć zdanie z tym słowem. Uczeń zastanawiał się przez chwilę.

– Jerome Allen jest legendą dla pań! – oznajmił w końcu. Whit roześmiał się i poklepał go na znak uznania.

Jerome należał do grona ofiar filadelfijskich szkół publicznych, które z zadowoleniem oferowały mu promocję z klasy do klasy, a na koniec dały świadectwo z wyróżnieniem. Wszyscy byli tak zachwyceni, że chłopak trzyma się z dala od gangów i więzienia, że nawet nie zauważyli, że w ogóle nie potrafi czytać. Whit zwrócił na to uwagę pewnego majowego dnia, kiedy wręczał mu torby ze środkiem chwastobójczym i sztucznym nawozem do użyźnienia trawnika. Widział przez okno, jak Jerome intensywnie wpatruje się w napisy na opakowaniu, potem chowa worki w szopie. Tydzień później nadal tam stały. Wtedy With zaprosił Allana do domu na piwo i chwilę rozmowy. Od tamtej pory dawał mu lekcje, na ogół w samochodzie, tak jak teraz, aby nikt się o tym nie dowiedział.

Zapadał zmierzch, zapalające się latarnie zastępowały światło dnia. Jerome biedził się nad książką ponad godzinę. Dowiedział tym samym, że potrafi skupić uwagę na okres dłuższy niż większość studentów w college’u.

– Dobra robota, chłopie – pochwalił Whit i klepnął go w kolano. – Niedługo skończysz tę książkę.

– A ty dasz mi coś lepszego, prawda? Może taką, żeby było trochę o seksie?

– Zobaczymy. – Whit otworzył drzwiczki. – Dobranoc, Jerome.

– Hej, nie idź jeszcze. – Jerome wysiadł. – Wejdźmy do środka, postawię ci piwo.

– Nie umawialiśmy się w ten sposób.

– No dobra, ty mi postawisz.

– Chętnie bym to zrobił – zaśmiał się Whit. – Ale muszę wracać do domu.

– Twoja żona...?

– W końcu nie wyjechała.

– Oj, chłopie. – Jerome poskrobał się po głowie. – No cóż, na mnie pewnie też czeka kilka pańienek.

– Postaraj się ich nie rozczarować. – Whit zabębnił palcami w karoserię. – Kiedy się spotkamy? W środę?

– Będę tutaj.

Zakurzony pickup Whita stał pod latarnią po drugiej stronie parkingu. Był starym, zardzewiałym gruchotem, z błotnikami pomalowanymi na różne kolory. Dana od lat nalegała, żeby mąż się pozbył tej landary, ale on nie chciał. Wóz egzystował niemal tyle samo lat, ile ich małżeństwo. Whit sześć razy przejechał pickupem przez całe Stany, aby odwiedzić Dane w Stanford. Przywieźli też nim do domu pierwszą kanapę: po drodze kilka razy wspinali się na pakę i próbowali odporność sprężyn w świetle księżyca.

Usiadł za kierownicą i ruszył w kierunku domu. Czuł niesmak, że się zastanawiał, czy się nie przespać z Brandi. Jeszcze bardziej zrobiło mu się

przykro, kiedy przypominał sobie, że powstrzymał go od tego duch Dany z dawnych lat. Ale z niego dureń – jest zakochany w zjawie, ale wraca do domu do zimnokrwistej kobiety, która już w niczym nie przypomina dawnej dziewczyny.

Skręcił w prawo, w drogę biegnącą w górę po zboczu, na szczycie, w lewo, w uliczkę prowadzącą do domu i niemal natychmiast nacisnął na hamulec. Na końcu podjazdu stały zaparkowane trzy policyjne wozy, na trawniku przed domem kręcili się ludzie.

Poczuł ucisk w piersiach. Wyskoczył z pickupa, minął wirujący zraszacz na klombie sąsiada i pobiegł do siebie. Rozglądał się gorączkowo, w głowie kłębiły mu się różne myśli. Co się stało? Dano, gdzie jesteś?

Dostrzegł ją wreszcie w środku zbiegowiska. Spokojnie rozmawiała z policjantami i gapiami.

– Co tu się dzieje? – zapytał, przedzierając się do żony.

– Ktoś się włamał do naszego domu – odparła. – Kiedy wróciłam, zastałam otwarte drzwi na taras. Szyba była wybita. W sypialniach na piętrze świeciło się światło.

– I weszłaś na górę? – krzyknął Whit. – A gdyby włamywacze jeszcze tam byli?

– Zajrzałam do środka z tarasu – odparła, przesadnie akcentując każde słowo, aby zademonstrować, że nie życzy sobie, aby ją besztano, i że z pewnością to on jest idiotą, a nie ona.

Whit odwrócił się do jednego z policjantów.

– Czy mogę wejść do domu? – zapytał.

– Proszę bardzo.

Okrażył dom, otworzył furtkę ogrodową i dostał się na otoczone murem tylne podwórko. Lampy wokół basenu były zapalone. Idąc schodami na taras, Whit zauważył kawałki rozbitego szkła. Błyszczały na kamiennej posadzce jak garść rozsypanych diamentów. Ostrożnie przekroczył szczątki szyby i przez francuskie drzwi wszedł do saloniku. Na progu stanął jak wryty.

Kanapa stała na sztorc, draperie były częściowo oderwane od ściany, na podłodze wały się książki o sztuce, ustawione wcześniej na stoliku do kawy. Szuflady z komody zostały wyciągnięte i wywrócone do góry dnem, a otaczające kominek wgłębienia na rozmaite bibeloty Wymiecione do czysta. Na podłodze leżały skorupy – pozostałość chińskiej porcelany.

Pokój stołowy wyglądał identycznie. W kuchni garnki i patelnie wały się po podłodze. Tylnymi schodami wbiegł na piętro. Złodzieje splądrowali wszystkie sypialnie. W pokoju dzieciennym domek dla lalek Triny został wywrócony; małe ludziki leżały wśród porozbijanych, miniaturowych mebelków. Whitowi zrobiło się ciemno przed oczyma. Z wściekłością walnął pięścią we framugę drzwi.

Ból prześwidrował mu ramię niczym zbląkana kula. Whit rzucił przekleństwo, potknął się. Powoli odzyskiwał ostrość widzenia. Skierował się na dół, do salonu, skąd dobiegały głosy. Dana rozmawiała z umundurowanym policjantem.

– Będziemy potrzebowali spisu wszystkich rzeczy, jakie zginęły – mówił funkcjonariusz.

Whit gapił się na albumy zdjęć rodzinnych, leżące na stoliku do kawy. Kartki były powyrywane, fotografie zaśmiecały podłogę. Koło jego lewej nogi leżało zdjęcie Kirstie jako niemowlęcia. Wyglądała jak mróweczka w

ramionach taty.

– Podrzucicie państwo ten spis na komisariat – powiedział policjant, zamykając notes i chowając go do kieszeni. – Dołączymy go do waszych akt.

Whit poruszył się. – Chyba jeszcze nie wychodzicie? – Nie ma powodu przypuszczać, że oni tu wrócą – odparł policjant. – Nic państwu nie grozi.

– Nie chodziło mi o nasze bezpieczeństwo – zaproponował Whit. – Tylko o to, że kończycie robotę. A co z odciskami palców? Ze śladami? Nie zrobiliście niczego, aby przeprowadzić dochodzenie w sprawie przestępstwa.

Policjant spojrział na Dane wymownie: proszę mnie uwolnić od tego kretyna.

– Proszę pana, to zwyczajne włamanie – oznajmił. – A pani Endicott poinformowała mnie, że jesteście państwo ubezpieczeni.

– A co to ma do rzeczy? Czy rabowanie osób, które są ubezpieczone, nie kwalifikuje się jako przestępstwo?

– Policja przeprowadza dochodzenie tylko w przypadku zbrodni z użyciem przemocy – wtrąciła Dana. – Badania w laboratorium są zbyt kosztowne.

Whit aż podskoczył z wściekłości:

– No to może zamiast wydawać forszę na ubezpieczenie, powinniśmy przeznaczyć pieniądze na opłacenie laboratoriów kryminalistycznych.

– Może i tak – mruknął policjant, kierując się do drzwi.

– Nie mogę tylko zrozumieć – wtrąciła Dana, zanim zdążył zniknąć – w jaki sposób ominęli system alarmowy.

– Musicie państwo porozmawiać o tym z waszą firmą ochroniarską.

Whit odwrócił się gwałtownie i zaczął ustawiać ludowe rzeźby na obramowaniu kominka.

– Od razu do nich zadzwonię.

Dana podeszła do kuchennego telefonu. Whit przeszedł przez cały dom, do biblioteki. Jego papiery leżały na biurku, tak jak je zostawił po południu. Niczego nie brakowało. Zaskoczyło go coś innego: na stole znalazł swoje wieczne pióro marki Waterman, a także szklany przycisk do papieru firmy Steuben, wartości około tysiąca dolarów.

Po raz kolejny przeszedł się po mieszkaniu. Tym razem uważnie rozglądał się wokoło. Wszędzie zauważył to samo zjawisko. Z kuchni zniknęły naczynia z nierdzewnej stali, ale w jadalni zostały wartościowe srebra. W sypialni i pokoju wypoczynkowym włamywacze zostawili magnetowidy, natomiast ukradli odtwarzacz wideo z pokoju dzieciennego.

Kiedy policjanci odjechali, Dana ciężko usiadła na krześle w salonie.

– Obrabowała nas banda amatorów – odezwał się Whit.

Nie zrozumiała, co miał na myśli, albo też nie zadała sobie trudu, by mu odpowiedzieć.

– Zadzwoniłam do Sally – oznajmiła. – Przyjedzie jutro. Pomoże nam posprzątać i przeprowadzić inwentaryzację.

– Nie myślisz chyba, że to Sally...

– Nie. – Wstała i wyprostowała plecy. – Nie myślę.

Poszła do kuchni. Whit zrobił to samo. Otworzył lodówkę.

– Przynajmniej tutaj nie plądrowali – stwierdził wyciągając piwo.

– Masz ochotę coś zjeść? – zapytała Dana.

– Nie. Nie mógłbym niczego przełknąć.

– Co sobie zrobiłeś w rękę?

Whit odwrócił dłoń, w której trzymał butelkę. Po kostkach palców spływała krew.

– Nie mam pojęcia. – Sięgnął po ścierkę do naczyń.

– Weź to. – Dana oderwała z rolki papierowy ręcznik i otarła nim krwawiącą dłoń męża. – Może przyłożę ci lodu.

Whit cofnął rękę.

– Nic mi nie jest.

Dana zacisnęła usta.

– Zatelefonowałam do firmy w sprawie alarmu. W poniedziałek przyślą kogoś, aby wyjaśnić, co się stało.

– Znakomicie – burknął cicho.

– Idę do łóżka – oświadczyła.

Whit patrzył, jak jego żona wchodzi po schodach. Zupełnie nie miał ochoty jej towarzyszyć.

W odległości dziesięciu kilometrów od ich domu z restauracji McDonald wyszedł pewien mężczyzna. Przystanął pod znakiem firmy. Zapalił papierosa. Miał włosy o tak jasnym odcieniu, że błyszczały niczym świetlny punkt w neonówce. Na parkingu po drugiej stronie szosy zauważył sygnał – trzy krótkie błyski reflektorów. To oznaczało, że Tobiah uderzył po raz trzeci.

Mężczyzna cisnął w krzaki papierosa i ruszył do swojego wozu. Trzy uderzenia. A zatem nadszedł czas, by rozpocząć nową fazę. Tym razem trzeba zagrać twardo.

Jadąc drogą na północ, wyciągnął telefon i wybrał numer. Minęło osiem sygnałów, zanim po drugiej stronie usłyszał przytłumiony głos.

– Złe wiadomości, sir – zameldował.

– Tobiah został złapany?

– Nie, ale też nie zyskał.

– Cholera jasna.

– Jesteśmy gotowi rozwinąć szersze działania.

– Nie.

– Sir, przypominam, że tu chodzi o moją głowę, nie pańską. Chociaż pan też ucierpi, jeśli akcja się nie powiedzie.

– Wiem – sapnął rozmówca.

– A zatem nie ma wielkiego wyboru.

– Nie, poczekajcie! Myślę, że zdołam wejść w sam środek tej sprawy. – Ton desperacji zastąpił władcze brzmienie. – Ale dopiero w poniedziałek. Dajcie mi tyle czasu. To wszystko, o co proszę.

Porozumienie zostało osiągnięte. Mężczyzna o białych włosach ustąpił. Była to jednak niewielka cena za wzrost własnego znaczenia. Wyłączył telefon.

Kiedy w niedzielę rano Travis przyniósł śniadanie do łóżka, miss Teksasu jeszcze spała. Posiłek składał się z połowy grapefruita, dla dobra jej figury, szklanki mleka na cerę, czekoladowego pączka, bo lubi słodczyce. Biała róża natomiast stanowiła dowód mężowskiej miłości. Jej włosy barwy różowo-blond leżały na poduszce jak postrzępiony kłębek jedwabnych nici; palce z paznokciami polakierowanymi na różowo podłożyła pod różowy policzek. Wyglądała jak lalka. Travis postawił tacę i przez chwilę patrzył na nią z głupim uśmiechem. Każdy dzień ich małżeńskiego życia był dla niego nowym powodem do zachwytu, a po miesiącu rozłąki wszystko wydawało się niemal cudowne.

Nie chciał budzić żony, a jeszcze bardziej nie chciał od niej odchodzić. Nie miał jednak wyboru. Musiał jechać i zebrać informacje o pilocie awionetki. Istniały trzy powody, aby zrobić to właśnie tego dnia: w niedzielę łatwiej zastać ludzi w domu; od wypadku minęła zaledwie doba, więc z pewnością uda mu się wyprzedzić konkurencję; i wreszcie Dana się tego nie spodziewa, więc powinna być pod wrażeniem. Mimo wszystko z bólem serca zostawiał żonę zaraz po powrocie z Los Angeles. Ostatnio powtarzał sobie równie często, jak jej: jeszcze kilka miesięcy i już nigdy nie będzie musiał tak harować.

Po cichu zszedł na parter. W wysokim, pustym holu kroki budziły głębokie echo. Kiedy kupili dom – dokładnie mówiąc, zrobił to bank; miesięcznie płacili raty w wysokości dwóch tysięcy ośmiuset dolarów – Travis był gotów natomiast zapełnić wnętrza meblami, choćby

najtańszymi. Miss Teksasu uznała jednak, że jeżeli nie stać ich na porządne rzeczy, to nie powinni w ogóle niczego kupować. Niedługo, może w przyszłym roku, wynajmą dekoratora i dopiero wtedy się urządzą. Nie można ożenić się z miss Teksasu i ciągnąć ją na północ tylko po to, by siedziała w pustym domu.

Travis wcisnął się do wozu marki BMW i tyłem wyjechał z podjazdu. Za auto płacił raty w wysokości pięciuset dolarów miesięcznie. Auto było niewielkie, więc właściciel ocierał głową o sufit, ale co bmw, to bmw. W końcu Travis wspinał się na szczyt kariery. Zajęcie się problemem Alpine Yalley natychmiast po zamknięciu procesu w sprawie Palazzo Hotel – to jak rozegrać jedną partię kręgli po drugiej.

Dopiero ósma rano, a już taki upał. Travis przełączył klimatyzację na wyższe obroty. Podjeżdżając do punktu pobierania opłat na autostradzie, zmienił płytę w odtwarzaczu kompaktowym – teraz śpiewał Garth Brooks. W Filadelfii w radiu nie sposób znaleźć przyzwoitej muzyki country. To była jedna z rzeczy, z których musiał zrezygnować, kiedy przenieśli się na północ. Ale najwięcej straciła miss Teksasu – czasami nie mogła się powstrzymać, by mu o tym nie przypomnieć. „Och, gdybyś tylko nie zrezygnował z futbolu”, wzdychała. Jej mąż był bardzo szanowany przez profesjonalistów, miał dobrą opinię w zespole „Kowboje”, a on marzyła, by zostali w Dallas i zdobytym bogactwem wzbudzać zazdrość znajomych. Travis wytłumaczył jej jednak, że w dalszej perspektywie działalność prawnicza jest lepszą szansą na prawdziwie duże pieniądze. Kłopot tylko w tym, że trzeba porządnie poharować.

Droga do Montrose dłużyła się Travisowi, mimo że jazdę umiłał mu śpiew Gartha Brooksa. W końcu Hunt skręcił z autostrady międzystanowej

w szosę lokalną, prowadzącą do miasta. Na tle wzgórz pojawiły się białe, wełniste kłęбки, przypominające obłoczki dymu. Złote kitki na kolbach kukurydzy wyrastały po obu stronach drogi – tak blisko jezdni, że niemal mógł ich dotknąć, gdyby wyciągnął rękę. Przez chwilę poczuł się prawie jak w domu.

Montrose było wyjątkowo ładnym miasteczkiem. Prosperowało lepiej od większości ośrodków rolniczych. Mnóstwo wielkich, białych domów stało przy stromych, ocienionych drzewami ulicach. Travis zauważył kafeterię. Szybko zajechał na parking. Przy stolikach siedziało sporo osób w niedzielnych ubraniach. Wszyscy rozmawiali przyciszonymi, poważnymi głosami – tak przystoi zachowywać się w dzień świąteczny. Zajął miejsce przy kontuarze i zamówił dwie kanapki z szynką oraz filiżankę kawy. Jedząc oglądał mapę okolicy, którą poprzedniego dnia wyciągnął z biblioteki w kancelarii.

– Zgubiłeś się, synku? – usłyszał uprzejmy głos. Stojący przy kasie siwowłosa mężczyzna zaglądał mu przez ramię. Dalej stała drobniutka, wyglądająca na zgryźliwą, starsza pani.

– Szukam domu Loudenbergów – odparł Travis.

– Przyjechałeś na pogrzeb?

Wybrał kiepski moment. Jeżeli dziś ma się odbyć pogrzeb, nikt nie odpowie mu na pytania.

– To jest nabożeństwo, nie pogrzeb – skarciła męża kobieta. – Nie mogą zrobić pogrzebu, dopóki nie wydadzą im zwłok.

– No więc nabożeństwo – zgodził się spokojnie mężczyzna.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Travis.

– Wobec tego musisz pojechać drogą 706, jakieś...

– Pan nie z rodziny? – wtrąciła się staruszka.

– Nie, proszę pani, jestem.

– Z college'u? – zapytała. – Znał pan Donny'ego?

– No, niezupełnie...

– Wygląda pan jak futbolista – zauważył staruszek. – Pracuje pan w szkole jako trener?

Travis odgryzł kęs kanapki i żując skinął głową. Niewyraźnie wypowiedziane kłamstwo staje się mniej znaczące.

– To bardzo miło z ich strony, że wysłali kogoś na dzisiejszą uroczystość – skomentowała kobieta, a jej mąż kiwał głową na znak, że też tak uważa. – Nigdy bym się tego nie spodziewała.

Travis wzruszył ramionami i nadal przeżuwał.

– No więc, jak powiedziałem – ciągnął swoje mężczyzna – pojedzie pan drogą 706...

Żona przerwała mu kuksańcem w zębra.

– Po co dajesz instrukcje, skoro sami jedziemy w tamtą stronę?

Pensylwańska prowincja w środku lata wyglądała jak szachownica złożona z zielonych i złotych pól, tu i ówdzie ubarwiona wstęgą srebrzącej się szosy albo plamą zielonoczarne lasu. Z południowego wschodu dostrzegało się błękitne pagórki. Nagle, tuż za największą górą, bukoliczna scena ustąpiła miejsca apokaliptycznemu koszmarowi. Ze środka, niczym z krateru wulkanu buchały kłęby czarnego dymu. Widać było ośrodki pożaru. Alpine Valley wyglądała jak piekielna otchłań.

Na ekranie pojawiła się ciemna plama – helikopter z ekipą telewizyjną skrył się w chmurze dymu.

Dana oglądała film z ostatnich rzędów audytorium. Luke obsługiwał wideo ukryte w pakamerze za salą kinową, Travis pilnował drzwi. Widownię stanowili dwaj przedstawiciele firm ubezpieczeniowych oraz kilkunastu najlepszych w kraju specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej i kryminalistyki, koncentrujących się na katastrofach lotniczych. Z głowami odchylonymi do tyłu wpatrywali się w ogromny ekran zamontowany na scenie. Charlie Morrison nie był obecny – w końcu postanowił uwierzyć Danie na słowo i zajął się wewnętrznymi sprawami Pennsteelu. Pojawił się natomiast Ted Keller. Zagłębił się w fotelu i patrzył na ekran z przerażeniem na twarzy.

Dana wstała i mijając Trávisa wyszła na korytarz. Sala kinowa mieściła się na piątej kondygnacji. Przy windach znajdowała się budka telefoniczna. Dana weszła przez szklane drzwi i po raz trzeci tego dnia wykręciła numer lokalnego biura NTSB w Parsippany. Było wpół do

jedenastej przed południem.

– Aaa, pani Svenssen – odezwała się sekretarka Harry’ego Reilly’ego. – Pan Cutler powiedział, że zatelefonuje do pani później.

– Cutler?

– Jim Cutler, zastępca pana Reilly’ego.

– Proszę przekazać panu Cutlerowi, że czekam przy telefonie.

Minęło dziesięć minut, zanim zastępca Reilly’ego podniósł słuchawkę.

Od razu przeszedł do sedna sprawy.

– No dobra, w środę otwieramy scenę zdarzenia. Macie wstęp o dziesiątej rano.

– Środa, dziesiąta rano – potwierdziła Dana.

Rozłączyła się i zatelefonowała po raz drugi. Teraz odezwała się jej sekretarka.

– Cześć, Celeste, to ja.

– Dostałaś pięć nowych wiadomości.

Celeste przemawiała głosem podobnym do systemu komputerowej poczty głosowej, tylko jeszcze bardziej obojętnym. Była to bardzo tolerancyjna kobieta bez odrobiny uroku osobistego. Dana jednak, po pięciu latach wspólnej pracy, nie zamieniłaby jej na laureatkę konkursu sekretarek.

– Jutro o wpół do ósmej jesteś umówiona w warsztacie z szybami samochodowymi – zawodziła Celeste.

– W porządku, dziękuję.

– Angela Leoni dzwoniła w sprawie lunchu.

– Ach, tak.

Angela była starą przyjaciółką Dany, a także bardzo wziętym

prawnikiem, więc nigdy nie mogły się sobą nacieszyć. Zanim jednak Dana zdążyła pomyśleć o spotkaniu z Angela, Celeste wyskoczyła z kolejną informacją.

– Pan Austin chce mieć pełny wykaz godzin pracy nad sprawą Palazzo Hotel nie później niż w środę.

Clifford Austin ściśle pilnował nie rozliczonego czasu pracy w firmie i zawsze dręczył wspólników, starając się jak najszybciej wydobyć od nich stosowne zestawienia. W tym przypadku jednak Dana miała gotowe wytłumaczenie.

– To niemożliwe. Szczegóły nie są jeszcze dostępne.

– Dziś rano przyszedł też Charlie Morrison. Chciał się z tobą zobaczyć.

– Co takiego? W jakiej sprawie? – Dana wyprostowała się. – Przecież wie, że dzisiaj mam być u Geisingera.

– Zapomniał. Wszedł do twojego gabinetu, zadzwonił w parę miejsc i pobiegł na kolejne spotkanie.

Biedny Charlie. To wszystko musiało odbić się na nim bardziej, niż jej się wydawało.

– Zgłosił się także przedstawiciel firmy, która zabezpiecza twój dom. Odesłałam go do pana Endicotta.

– No, tak. W porządku, dziękuję.

Odwiesiła słuchawkę i poszła do szerokich okien znajdujących się niedaleko wind. W odległości stu metrów widniała zachodnia wieża kompleksu; budowlani jeszcze jej nie skończyli. W głębokim wykopie, gdzie z ziemi sterczało kilka stalowych belek, przypominających dziecienną konstrukcję techniczną we wstępnej fazie, stał ogromny nieruchomy dźwig. Dana przypomniała sobie, że te stalowe belki pochodzą z

Pennsteelu; Charlie wspominał, że firma podpisała kontrakt na wyprodukowanie takich elementów.

Wokół kompleksu rozciągał się pieczołowicie uporządkowany krajobraz. Jeszcze pięć lat wcześniej rolnicy sadzili tu rośliny, by je potem sprzedać na rynku. Obecnie okolica zmieniła się w zieleniec, tak potrzebny pomiędzy hotelem, ośrodkiem konferencyjnym a kompleksem zwanym „Królem Prus”.

Miejscowi używali tej niezwyklej nazwy tak długo i często, że całkowicie zagubili realny sens słów. „Król Prus” wymawiali jak zakłęcie, z lekko indiańskim akcentem, podobnie jak *Kennebunk* czy *Kankakee*. Legenda mówiła, że miasto wzięło nazwę od osiemnastowiecznego króla pruskiego, który wysłał wojsko na pomoc amerykańskiej armii konfederacyjnej. Prawda była nieco bardziej przyziemna: w czasach kolonialnych pewien karczmarz nazwał swą gospodę na cześć władcy kraju, z którego pochodził, a ponieważ jego tawerna uchodziła za najokazalszy budynek we wsi, nazwa przyłgnęła do całej miejscowości.

Jeszcze w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku była to niewielka, rolnicza wieś na rozstajach dróg. Pewnego dnia ziemia jednego z farmerów trafiła w ręce przedsiębiorcy obdarzonego wizją stworzenia centrum handlowego. Okolice zmieniła charakter – z ośrodka rolniczego stała się rejonem rezydencjalnym, potem handlowym i przemysłowym. Firmy budowlane zajmowały małe działki otaczające centrum handlowe, wprowadzali się ludzie, powstawały nowe miejsca pracy. Budowano kolejne sklepy, by obsłużyć pracowników zaangażowanych w biurach i kompleksach przemysłowych. Centrum handlowe rozrastało się, aż wreszcie stało się największym konglomeratem handlu detalicznego w

kraju.

Tyle że miejscowi planiści dołożyli starań, aby każdy sukces urbanistów został okupiony porażką na innym polu. Szosy zmieniły się w kłębowisko przecinających się dróg, skrzyżowanych ze sobą estakad i niezsynchronizowanych świateł drogowych. Na wzgórzu niedaleko pasażu handlowego usadowiła się fabryka sprzętu kosmicznego koncernu Lockheed, a miejscowi żartowali, że trzeba specjalisty od budowy rakiet, aby zrozumieć, w jaki sposób tam dotrzeć.

Z sali kinowej wyszedł Don Skelly, zapalając papierosa.

– Aha, tutaj jesteś – powiedział wypuszczając wielki kłęb dymu.

– Jestem ci potrzebna? – zapytała Dana.

– Chciałbym wiedzieć, co myślisz o naszej ekipie, która tam siedzi.

– Ich kwalifikacje wyglądają imponująco, przynajmniej na papierze.

– To samo i mnie przyszło do głowy – odparł Skelly. Zaciągnął się szybko, w sposób charakterystyczny dla ludzi pracujących w miejscach, gdzie nie wolno palić. – Przejrzałem zbiór materiałów, jaki mi dałaś. No wiesz... ich życiorysy.

Skelly dobrze wiedział, że życiorysy pracowników określa się mianem *curriculum vitae*, ale chętnie dawał innym do zrozumienia, że nie lubi wymyślnych określeń.

– Masz na myśli ich cv – odpowiedziała Dana.

– No właśnie. Brakuje tylko dokumentów pilota nazwiskiem Broder.

– Zgadza się, jego jeszcze nie zaprezentowaliśmy. I tak ryzykujemy, stawiając na tego chłopaka.

Don po raz ostatni zaciągnął się dymem.

– No więc, w którą stronę się skłaniasz? – zapytał.

Miał na myśli wybór jednego z dwóch specjalistów od rekonstrukcji, Wetherby'ego i Stolza. Ani Skelly, ani Wiecek nie rezygnowali z popierania swojego faworyta, więc o wyniku drażliwego głosowania musiał zdecydować Charlie, a w praktyce Dana.

– Za wcześnie o tym mówić – odparła. Odwróciła się do okna i wskazała plac budowy. – Dlaczego nikt tam dziś nie pracuje? Daliście im dzień wolny?

– Nie. – Skelly zgasił niedopałek w talerzyku z piaskiem, umieszczonym koło windy. – Jakiś cholerny głąb z działu projektowego zawałił robotę.

Dana miała nadzieję, że to prawda, i tym razem nikt nie oskarży Pennsteelu; Budżet na odszkodowania sądowe Charliego Morrisona i tak już pękał w szwach.

– Macie ubezpieczenie od przestoju? – zapytała.

– Możesz być pewna! – Don ruszył z powrotem do sali kinowej. – Idziesz tam jeszcze?

– Za moment.

Wyjęła telefon bezprzewodowy i wyglądała przez okno, czekając na połączenie. Na wzgórzu wtaczał się otwarty dżip wrangler. Zakręcił przy placu budowy, przechylając się gwałtownie, po czym szybko wjechał na parking. Zatrzymał się tuż obok czarnego mercedesa. Dana wstrzymała oddech. Kierowca dżipa gwałtownie otworzył drzwi, ale nie uderzył jej auta – zabrakło milimetrów. Ze środka wysiadł mężczyzna – a raczej chłopak, sądząc po sposobie, w jaki zeskoczył na ziemię – ubrany w niebieskie dżinsy, robocze buty i białą koszulę. Z tyłu wozu wyciągnął sportową kurtkę i założył ją na siebie. Szybko przykucnął i przejrzał się w

lusterku. Dana z wysokości piątej kondygnacji dostrzegła, że uśmiecha się sam do siebie.

W słuchawce rozległy się cztery sygnały, po których włączyła się automatyczna sekretarka. Whita nie było w domu albo że nie odbierał telefonu. Dana nie miała pewności, co gorsze.

To śmieszne. W artykule, w którym nazwano ją wojowniczym wikingiem, napisano również, że nie ma trudności z podejmowaniem decyzji. Teraz jednak nie potrafiła wybrać pomiędzy Wetherbym i Stolzem. Nie umiała też zdecydować, czy utrzymać swoje małżeństwo, czy odejść od męża. Ale jedno wiedziała na pewno; nie przetrzyma następnego weekendu, takiego jak ostatni. W sobotę wieczorem Whit w ogóle nie położył się do łóżka, a wczoraj w nocy godzinami leżeli obok siebie w milczeniu i bardzo się starali nie dotykać nawzajem.

Dana przytknęła czoło do chłodnej szyby. Nie myśleć o Whicie, powtarzała sobie w duchu.

Zabrzęczał dzwonek windy. Dana odwróciła się. Z windy wysiadł butny kierowca dżipa, już nie chłopiec, ale jeszcze nie dorosły mężczyzna. Czarne włosy, piwne oczy, twarz z dołeczkami, mina psotnika. Kiedy zauważył Dane, zatrzymał się i otwarcie zmierzył ją wzrokiem.

– Cześć – powiedział z uśmiechem. Dołeczki zrobiły się jeszcze głębsze. Ćwierć wieku temu Dana nauczyła się, by nie odzywać się do faceta, który obrzucają pożądlivym spojrzeniem. Nie zamierzała zmieniać tej reguły dzisiaj, niezależnie od tego, jak bardzo pochlebiało jej podobne zainteresowanie. On jednak odezwał się pierwszy:

– Nie wie pani, gdzie jest pokój pięćset jeden?

Zaskoczona, wskazała ręką drzwi sali kinowej.

– Dzięki.

Odczekała chwilę, zanim weszła za młodzieńcem. Travis stał przy drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Ten się spóźnił – wyszeptał, wskazując głową młodego bruneta. Przybysz siedział obok Teda Kellera i z napięciem oglądał nagranie z magnetowidu.

– Andy Broder – jęknęła Dana.

– Zgadza się.

Gdzie ten Ted miał głowę? Bilet lotniczy z Alaski dużo kosztuje, a Broderowi trzeba będzie zapłacić jeszcze co najmniej drugie tyle, zanim się go odeśle z powrotem.

Luke wyjął taśmę z odtwarzacza, a kiedy zapaliły się światła, Dana wyszła na środek sali. Stała na podium. Przedstawiła się obecnym i zaprezentowała również Trávisa, Norma Wieceka i Dona Skelly'ego.

– Teraz, kiedy obejrzełicie nagranie – powiedziała – wiecie o okolicznościach wypadku dokładnie tyle, ile my. W środę będziemy mogli się dostać na miejsce zdarzenia. Naciskamy też na NTSB, aby jak najszybciej udostępnił zapis z urządzenia rejestrującego głosy w kabinie helikoptera. Dziś występujemy z wnioskiem do FAA i mamy nadzieję, że mniej więcej za miesiąc dostaniemy dane z kontroli radarowej. Ale do tego czasu, panowie, dysponujemy tylko tym, co zaprezentowaliśmy.

Broder podniósł rękę – pewnie po to, by zwrócić uwagę, że nie widział dużej części nagrania i zażądać ponownego odtworzenia. Kiedy Dana spojrzała na niego ostro, powiedział:

– Słyszałem, że była pani na miejscu katastrofy, zanim dotarła tam telewizja z kamerami.

– Tak.

– Czy to nastąpiło przed czy też po drugiej eksplozji?

Jej irytacja rosła. Ten gość spóźnił się na spotkanie półtorej godziny, a teraz jeszcze się popisuje, udowadniając, że odrobił pracę domową.

– Przed – odpowiedziała lakonicznie.

– A zatem musi pani wiedzieć o wiele więcej niż pozostali.

Dana miała ochotę odpalić, że naturalnie wie o wiele więcej, ale się powstrzymała.

– No cóż, swoimi wrażeniami podzielę się w odpowiednim czasie – oznajmiła. – A teraz proszę głównego pilota oraz szefa służby lotniczej Pennsteelu o przekazanie ogólnej informacji na temat śmigłowca JetRanger. Ted?

Keller niechętnie podniósł się z miejsca. Luke przygasił światła i zaczął wyświetlać na ekranie slajdy z danymi technicznymi. Eksperci robili notatki, przyświecając sobie małymi latarkami. Dana skinęła na Skelly'ego i Wieceka, którzy ustawili się obok niej i Trvisa.

– Czas na nasze zebranie – powiedziała.

– Pokój jest przygotowany. – Skelly wskazał palcem na zewnątrz. Dana skinęła głową i ruszyła za agentami ubezpieczeniowymi do małej salki konferencyjnej, znajdującej się na końcu korytarza:

– Najpierw sprawdzę, co się dzieje w biurze – powiedział Travis, wchodząc do kabiny telefonicznej.

– Ja nadal opowiadam się za Stolzem – powiedział posępnym tonem Norm Wiecek, zanim jeszcze rozsiadł się na krześle.

– Ja również – potwierdziła Dana.

Twarz Wieceka po raz pierwszy wyrażała coś więcej niż tylko ból i

przygnębiecie.

– Chwileczkę... – wtrącił się Skelly.

Spór rozgorzał ponownie. W trakcie wymiany zdań do pokoju wpadł Travis.

– Co się stało? – zapytała Dana, widząc jego minę.

– Brad rozmawiał z kimś w ośrodku leczenia oparzeń Crozera i dostał informacje na temat niektórych ofiar.

– No to posłuchajmy.

Travis usiadł i zaczął przeglądać notatki.

– Dwoje dzieci. Czteroletni chłopiec z poparzeniami na torsie, włącznie z poważnym uszkodzeniem genitaliów, oraz dziesięcioletnia dziewczynka, której zapaliły się włosy. Straciła uszy oraz skórę na połowie twarzy.

Dana zbladła jak ściana. Poszkodowane dzieci straszliwie cierpią – ból musi być potworny, a kiedy ustąpi, dziewczynkę czekają całe lata operacji plastycznych. Chłopiec natomiast może wyrosnąć na mężczyznę nie w pełni sprawnego seksualnie. Skelly i Wiecek popatrzyli na siebie – równie dobrze jak Dana zdawali sobie sprawę z konsekwencji wymienionych uszkodzeń ciała.

– Dalej mamy czterdziestodwuletniego mężczyznę, Davida Greenberga – ciągnął Travis. – Rozległe oparzenia na dłoniach i ramionach. Opowiadają, że ratował małego chłopca, gasząc płomienie gołymi rękami. Ostatnią ofiarą, o której uzyskaliśmy wiadomości, jest pracownik parku. Płonące elementy spadły mu na plecy.

– Wróćmy do Davida Greenberga – powiedziała Dana. – Skąd on jest? Czym się zajmuje?

Travis pogrzebał w notatniku.

– To miejscowy. Mieszka w Jenkintown z żoną i czworgiem dzieci. Zawód... – Hunt odwrócił jeszcze kilka kartek – ... dentysta.

Podniósł głowę i popatrzył Danie w oczy; oboje pomyśleli o tym samym. Bohater, który uratował życie dziecku; dentysta, który stracił władzę w rękach, mąż i ojciec, który zapewne miał solidne dochody przekraczające milion dolarów – to wszystko teraz rozwiało się jak dym. Gdyby Ira Thompson rozglądał się za idealnym poszkodowanym, by go reprezentować w sporze, David Greenberg pasowałby, jak ulał.

Dana sięgnęła do aktówki po spis telefonów. Znalazła właściwy numer i zatelefonowała z głośnomówiącego urządzenia, stojącego na biurku.

– Biuro Iry Thompsona – odpowiedział kobiecy głos.

– Z tej strony Dana Svenssen. Czy jest pan Thompson?

– W tej chwili go nie ma. Przekazać, że pani dzwoniła?

– Tak, proszę. – Dana zaczęła recytować swój numer, ale niemal natychmiast zmieniła zdanie i przerwała wyliczanie cyfr. – A może pani będzie mi potrafiła pomóc. Muszę ustalić, czy pani Greenberg przyłączy się do roszczenia jako osoba skarżąca, czy też będzie skarżył tylko David.

Skelly mrugnął do Dany na znak uznania dla tego fortelu.

– Wystąpią obydwój – odparła sekretarka. – David i Andrea Greenbergowie.

Travis jęknął cicho.

– W porządku, dziękuję pani – rzuciła na koniec Dana.

Skelly gwizdnął przez zęby, pozostali zastygli w ponurym oszołomieniu. Jeszcze parę ciosów, a David Greenberg zostanie stuprocentowym zwycięzcą, jeżeli Thompson dysponuje możliwością do utrzymania teorii wystąpienia z roszczeniem wobec Pennsteelu. Pytanie

tylko, co może mieć? Jak na razie, nikt nawet się nie domyślał przyczyn katastrofy.

– Oto, co zamierzam zrobić. – Dana podjęła decyzję. – Zatrzymam zarówno Stolza, jak i Wetherby’ego. Prawdę mówiąc, chcę zaangażować wszystkich przybyłych. Włączę ich do naszej ekipy i zobaczę, jak rozwinie się sytuacja. Dopiero później zdecyduję, których ekspertów wykorzystamy przy składaniu zeznań.

– W porządku – powiedział Skelly.

– Zgoda – dodał Wiecek.

– Usuniemy tylko Brodera – ciągnęła Dana. – Uważam, że jego spokojnie możemy odesłać do domu.

– A to czemu? – zapytał Wiecek.

– No cóż, nie ma obawy, że zatrudni go ktoś inny. My również nie umieścilibyśmy jego nazwiska na liście, gdyby nie sugestia Kellera.

– Nie mogę się z tym zgodzić – zaproponował Skelly. – Mnie się podoba jego życiorys. Nasi przeciwnicy też mogą zwrócić uwagę na chłopaka.

– A widzieliście, jak on wygląda? – Dana roześmiała się. – Dajcie spokój, to dzieciak. Żaden z przysięgłych nie potraktuje go poważnie.

Skelly kiwał się na krześle, patrząc w sufit.

– Pamiętam czasy, kiedy ludzie mówili tak samo o kobietach-prawnikach – skomentował.

Travis nie zdołał stłumić śmiechu.

– No i jeszcze jedno – stwierdził pośepnie Wiecek. – Jeżeli my go nie wynajmiemy, może pójść prosto do Thompsona i opowiedzieć mu o wszystkim, czym dysponujemy.

– To cwaniak, z pewnością zapamięta nazwiska pozostałych

zaproszonych ekspertów – dodał Skelly.

Dana obserwowała mężczyzn siedzących przy stole. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek zdecyduje się wezwać Brodera na świadka, ale może był coś wart jako chwilowy konsultant. A nawet jeśli nie, można go zaangażować, a potem zerwać kontakt. A zresztą, skoro lubi latać jak wariat, to pewnie nie dożyje do rozpoczęcia procesu.

– Zgoda. Weźmy wszystkich – ustąpiła.

Podano lunch. Po jedzeniu Dana rozmawiała indywidualnie z ekspertami, którzy po kolei wchodzili do sali konferencyjnej. Doug Wetherby, małomówny facet z zachodniej części Stanów, który rozpracował sprawę katastrofy samolotu USAir w Pittsburgu; Ed Stolz, energiczny mężczyzna, konsultant w sprawie tragedii w Lockerbie; John Diefenbach, ekspert od radaru. Byli także meteorolog, metalurg, fachowiec w dziedzinie aerodynamiki, dwóch ludzi od symulacji komputerowej, specjaliści od awioniki, widoczności oraz tak zwanego czynnika ludzkiego. Wszyscy cieszyli się z kontraktu, ale narzekali na stan dowodów fizycznych.

– Muszę znać punkty zderzenia – powiedział Ed Stolz. – To najlepszy sposób, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób ustalić proces kolizji dwóch maszyn.

– Będziemy musieli wydedukować jak najwięcej z rozmów z naocznymi świadkami – skonstatowała Dana.

John Diefenbach tłumaczył, że nawet jeśli istnieje zapis z urządzeń radarowych, to i tak niewiele zyskają. Radar traci zdolności rozróżniania dwóch blisko lecących obiektów. Na ekranie oba obiekty będą wyglądały

jak pojedynczy punkcik.

– Zdołam śledzić każdy z nich do momentu, w którym odległość między nimi nie była mniejsza niż pięćset metrów – stwierdził. – Ale nikt nie rozróżni samolotów przy mniejszym dystansie.

Ekspert od widoczności i perspektywy ostrzegwał, żeby nie polegać za bardzo na wypowiedziach naocznych świadków.

– Jeśli będziecie wypytywać dziesięć osób, usłyszycie dziesięć wersji na temat tego, jak doszło do wypadku. Nie ma dwóch ludzi, którzy by widzieli to samo, jeżeli nie znajdowali się dokładnie w tym samym miejscu i nie skupili wzroku na dokładnie tym samym elemencie. A taka sytuacja nigdy sienie zdarza.

– Cholerna szkoda, że doszło do drugiego wybuchu – podsumował Dong Wetherby. – Prawie wszystko rozpieprzył w drobny mak.

Dana po raz setny poczuła żal z powodu straty aparatu fotograficznego Kirstie. Zrobione w parku zdjęcia mogłyby odpowiedzieć przynajmniej na niektóre pytania specjalistów. Przed ostatnim wywiadem skontaktowała się z Lylem Claibornem: owszem, zawiadomienie ukazuje się w dziesięciu różnych gazetach i zawiera prośbę o udostępnienie zdjęć lub taśm wideo związanych z wypadkiem. Osoby odbierające telefony są już w pogotowiu.

Na koniec Dana zostawiła sobie rozmowę z Andym Broderem. Młody człowiek wkroczył dumnie do sali konferencyjnej. Ruchem ręki Dana pokazała mu, by zajął miejsce. Obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, jak na stołku przy barze.

– No więc – zaczęła Dana, siadając przy stole naprzeciwko Brodera. – Wszyscy jesteśmy pod wielkim wrażeniem szerokiego zakresu pańskich

kwalifikacji, a także bardzo wdzięczni Tedowi, że o panu pomyślał.

– Mhm – mruknął Broder, usiłując czytać do góry nogami tekst na kartce leżącej przed Daną. Kiedy zakryła dokumenty, krzyżując na nich ręce, zaczął ją małpować. Złożył ramiona na stole i pochylił się do przodu. Pod cienką, bawełnianą koszulą widać było napięte bicepsy.

– Pan pracuje w Służbie Leśnej, zgadza się?

– Nie.

– Och – Dana wyciągnęła jego życiorys ze sterty dokumentów. – Myślałam, że...

– Od czasu do czasu najmuje się u leśników, żeby móc polatać helikopterami.

– A co pan poza tym robi?

Zanim odpowiedział, w kąciку jego ust pojawił się znaczący uśmiezek.

– Jestem wolnym strzelcem. Obsługuję loty czarterowe.

– Na stałopłatach?

– Jak na razie.

– Jak to się stało, że zaczął pan latać?

– Nauczył mnie tata. Po Wietnamie wrócił na rodzinną farmę w Nebrasce i rozwinął dodatkową działalność: opylanie pól i robienie fotografii z lotu ptaka. Nauczyłem się latać, zanim umiałem prowadzić samochód.

To tłumaczy kiepskie zachowanie na parkingu, pomyślała kwaśno Dana.

– I w pewnym momencie przestawił się pan na śmigłowce? – kontynuowała wywiad.

Andy energicznie przytaknął. Jego wystudiowana zuchwałość znikła na moment.

– Technologia VTOL wyprzedza najlepsze stałopłaty o całe lata świetlne.

– Co to znaczy?

– VTOL to skrót od *vertical takeoff and landing* (pionowy start i lądowanie). Rzecz w tym, że przeciętny człowiek nie może sobie kupić śmigłowca, bo to cholernie dużo kosztuje. Musiałem wstąpić do piechoty morskiej, aby nauczyć się latać helikopterem. Potem zacząłem się najmować do Służby Leśnej. Ale kiedyś będę miał swój własny śmigłowiec.

– I co dalej?

Wzruszył ramionami. Najwyraźniej młodzieńcze fantazje tak daleko jeszcze nie sięgały.

– Może uruchomię własną firmę czarterową na Alasce. Była tam pani kiedyś?

Dana pokręciła głową.

– To najwspanialsze miejsce na ziemi. Dana tylko na to czekała:

– Może pan podać adres zamieszkania?

– Nie – odparł Broder, sięgając po swoje cv. – Proszę łapać mnie tutaj.

Dana patrzyła, jak zapisuje coś na kartce.

– Co to jest? – zapytała.

– Namiary prywatnego lotniska w okręgu Bucks. Tam trzymam samolot.

– Przyleciał pan tu z Alaski własnym samolotem? – spytała Dian z uśmiechem.

– Niezupełnie. Samolot należy do mnie tylko w połowie – wyjaśnił Broder. Dana aż oniemiała ze zdziwienia. Roześmiał się z takiej reakcji. – A co pani myślała? Że przyleciałem rejsowym odrzutowcem? Wypożyczyłem samolot. Chciałem się trochę porozbijać.

– Porozbijać? – Dana uniosła brwi. Roześmiał się znowu. – No tak. – Dana zaczęła grzebać w swoich papierach. – W imieniu firmy Pennsteel chciałabym zaangażować pana jako eksperta w sprawie katastrofy w Alpine Valley. Jakiej stawki za godzinę pan oczekuje?

Zawahał się.

– A tak dokładnie, do jakiej roboty pani mnie angażuje?

Dobry Boże, pomyślała, on będzie teraz demonstrował swoje skrupuły i uporczywie twierdził, że musi zachować zawodową uczciwość.

– Ma pan na żądanie służyć konsultacją i poradą – oświadczyła głośno.

– A także ewentualnie zeznawać przed sądem jako specjalista.

– Ewentualnie.

– Tak.

– Chcę wiedzieć: będę zeznawał czy nie?

– Postanowienia jeszcze nie zapadły.

– Ale pani już podjęła decyzję.

Dana wzruszyła ramionami. – Wolimy wykorzystać pana jako eksperta działającego za kulisami niż jako specjalistę składającego zeznania. Broder skoczył na równe nogi i wsadził ręce do kieszeni dżinsów.

– A w czym problem? Mam brzydkie włosy?

Dana poruszyła się na siedzeniu. Wodziła wzrokiem za chłopakiem krążącym po pokoju.

– Nie rozumiem.

– Nie widać łysiny ani siwizny.

Uśmiechnęła się protekcjonalnie.

– Jest pan za młody.

– Przekroczyłem trzydziestkę.

– Tylko troszeczkę. – Z życiorysu wynikało, że trzydziestka stuknęła mu zaledwie przed tygodniem, a na oko wyglądał jeszcze młodziej. – Nigdy pan nie zeznawał.

– I nigdy do tego nie dojdzie, jeśli będę trafiał na takich adwokatów, jak pani. Jasna cholera, nie po to wchodziłem w ten interes, żeby dublować pracę innych.

– Wcale o pana nie prosiliśmy.

– Pewnie, że nie. Po prostu rzucicie mi parę tysięcy dolarów, abym stał się waszym człowiekiem i nie mógł pracować dla waszych przeciwników. Bo tylko o to chodzi z tymi ekspertami, którzy nie składają zeznań, zgadza się? A więc nie, piękne dzięki. – Chwycił kurtkę z oparcia krzesła i ruszył do drzwi. – Jeśli zechce mnie ktoś inny, nie odmówię – dodał.

Dana odchyliła głowę i zawołała:

– Mam nadzieję, że nasi przeciwnicy rzeczywiście pana wynajmą. A także, że będzie pan zeznawał na procesie.

Zatrzymał się z ręką na klamce. Wyczuł jakąś pułapkę, ale był zbyt zaciekawiony, aby w nianie wdepnąć.

– A to z jakiego powodu?

– Ponieważ nie mogę się doczekać, kiedy wezmę pana w krzyżowy ogień pytań.

Twarz Brodera stężała na moment, ale potem powoli rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

– Sam czekam na to z niecierpliwością – odparł.

Kiedy wieczorem Dana jechała do domu, powietrze było gorące i ciężkie. Wiatr z irytującym, rytmicznym łopotem szarpał plastikową płachtą, zasłaniającą wybite okno. Klimatyzacja pracowała bez przerwy. Chłodziła parne powietrze, wdzierające się do wnętrza przez szpary dookoła prymitywnej osłony.

Po rozmowie z Andym Broderem Dana czuła niepokój, ale martwiło ją jeszcze coś innego. Dwa samoloty miały do dyspozycji całe niebo, a jakimś cudem wpadły na siebie. Don Skelly może się pocieszać tym, że brakuje dowodów rzeczowych, ale jej to nie wystarcza. Coś przecież spowodowało kolizję, była jakaś przyczyna śmierci kilkunastu osób. Dana nie potrafiła przyjąć wytłumaczenia typu „nigdy się tego nie dowiemy”. Ława przysięgłych też nie pójdzie na coś takiego.

Stojąc na światłach, zatelefonowała do biura, na numer swojej skrzynki z pocztą głosową. Ponownie odezwał się agent ubezpieczeniowy, co prawdopodobnie oznaczało, że Whit go posłał do diabła oraz że przybył jej jeszcze jeden obowiązek do wykonania. Kiedy samochody zaczynały ruszać, usłyszała wiadomość, na którą czekała.

– Halo, pani Endicott? Tu Al z Castle Keep Security. Wysłaliśmy dziś do pani domu ekipę, która przeprowadziła pełną diagnostykę. Alarm nie zadziałał dlatego, że system został wyłączony o godzinie dziewiętnastej pięć w niedzielę, a hasło wpisał Whitman Endicott.

Dana patrzyła na telefon. Ktoś z tyłu zatrąbił. Ruszyła z dużą szybkością.

– A więc – mówił dalej Al – na pewno z zadowoleniem przyjmie pani

informację, że system alarmowy jest w doskonałym stanie.

Rozłączając się, Dana poczuła, że gorące łzy pieką jej oczy.

Siedzący z drugiej strony domu Whit usłyszał odgłos zamykanych w garażu drzwi samochodu. Kilka sekund później na progu biblioteki stanęła Dana. Miała na sobie jasnoniebieski, dopasowany do figury kostium i białą bluzkę. Nordycki, chłodny błękit podkreślał blask jej oczu i świetlistą barwę włosów.

– Mogłeś mi powiedzieć, że wyłączyłeś alarm, i oszczędzić kłopotu ludziom z firmy ochroniarskiej. – Dana mówiła tak lodowatym tonem, że wydawało się, że z jej słów zwisają sopelki.

Whit odchylił się w fotelu.

– Myślałem, że to wchodzi w miesięczną opłatę za usługę – odparł spokojnie.

– Wobec tego mogłeś mnie oszczędzić kłopotu. Nie dzwoniłabym po obsługę alarmować i nie robiłabym z siebie idiotki.

Whit zatrzymał wzrok na jej twarzy, po chwili przeniósł go dalej.

– Nie widzę, by to się w jakiś sposób odbiło na tobie.

– Nie widzisz?! – krzyknęła Dana, aż zatrzęsły się sopelki lodu. – Wychodzisz sam w sobotę wieczorem, wcześniej wyłączasz alarm i nie rozumiesz, że to mnie dotyczy?

– Nie rozumiem, ale spodziewam się, że lada moment mnie oświecisz.

– Zrobiłeś tak, aby móc wrócić późno do domu i nie martwić się, że włączy się alarm, który mnie obudzi.

Whit odrzucił na bok pióro i odepchnął się od biurka.

– Zawsze zakładasz najgorsze – rzucił gwałtownie. – A może po prostu

sobie nie życzyłem, żeby mnie dręczyło to cholerstwo?

Odwróciła się. Z odległości trzech metrów świdrowała go zimnymi, niebieskimi oczami.

– A może ja po prostu nie chcę mieć ciebie na głowie? – odgryzła się. Te słowa uderzyły go niczym potężny poryw wiatru pędzącego przez bibliotekę, rozrzucającego książki, przewracającego meble, rozbijającego szkło i miotającego oknem tak gwałtownie, że od hałasu aż mu zadzwoniło w uszach. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nic się nie poruszyło, a wokół panowała cisza.

– A może twoje życzenie się spełni? – wyszeptał.

Dana przymknęła powieki. Nie czując na sobie jej lodowatego spojrzenia, Whit zgarnął z biurka kluczyki i ruszył do garażu. Koło drzwi migotała klawiatura systemu alarmowego. Wykrzywił twarz i otworzył drzwi.

Kiedy skręcał z podjazdu na ulicę, alarm wciąż jeszcze zawodził.

Jechał szybko, wybierając najkrótszą drogę do „Last Cali”. Skoro uznano go za winnego z racji samego podejrzenia, to równie dobrze może być winny naprawdę. Jakieś poronione poczucie obowiązku czy honoru kazało mu uciekać od powabów Brandi, ale teraz koniec z tym.

Zaparkował samochód i wszedł do środka. W lokalu było aż gęsto od dymu. Whit obszedł bar. Nigdzie nie mógł znaleźć Brandi. Poczul narastającą desperację. Musi dziewczynę odszukać, musi ją mieć. Nie wiedział, co zrobić, jeśli to mu się nie uda – zabić się samemu czy wrócić do domu i pozwolić, by Dana zakończyła sprawę?

Nad stolikiem w kącie sali nachylała się jakaś dziewczyna. Miała na

sobie tak krótkie szorty, że dwa półksiężyce pośladków wyglądały na zewnątrz. Whit przypatrywał się pannie. Kiedy się odwróciła i zobaczył, że to Brandi, poczuł dopływ adrenaliny albo testosteronu, a może po prostu ulgę, że jeszcze nie umrze tej nocy. Podskoczył do Brandi i chwycił ją za ramiona.

– Pan Endicott!

– Kiedy stąd wychodzisz?

– O jedenastej – powiedziała otwierając szeroko oczy.

Spojrzał na zegarek, wysilając wzrok w mrocznym, zadymionym pomieszczeniu. Było dopiero wpół do dziesiątej. Zerknął na dziewczynę z wyrazem paniki w oczach. Zrozumiała go bez słów.

– Znajdę kogoś, kto mnie zastąpi – wyszeptała. – Spotkamy się na zewnątrz za dziesięć minut.

Whit czekał w pickupie. Otworzył szybę i utkwiał oczy w drzwiach baru. Wieczorny upał wpełzał do kabiny jak toksyczny szlam, wdzierał się pod skórę, zaciskał na szyi. Powietrze było zbyt ciężkie, by je wciągać w płuca. Zaczynał się krztusić.

W końcu drzwi otworzyły się i na progu stanęła Brandi. Rozejrzała się po parkingu. Whit błysnął światłami. Szybciutko wskoczyła na siedzenie i rzuciła się na niego. Poprzednio robiła to już wiele razy, ale tylko w marzeniach. Teraz mogła je zrealizować. Owinęła mu ręce wokół szyi, mocno przyłgnęła ustami do jego warg i jęknęła z zadowolenia. Pod jej ciałem znajdowała się dźwignia zmiany biegów. Whit przez moment się zastanawiał, gdzie tkwi prawdziwa przyczyna dzikiej rozkoszy dziewczyny, ale kiedy Brandi wcisnęła mu rękę między nogi, rozwiały się wszelkie wątpliwości.

– U ciebie, u mnie, czy tu, na miejscu? – zapytała.

– Myślę, że u ciebie – wysapał.

Cały czas trzymała rękę na jego udzie. Drugą dłoń pokazywała drogę, kiedy przedzierali się przez stare ulice Norristown. W pewnym momencie pomyliła się: kazała mu skręcić w lewo, a powinni pojechać w prawo.

– Ojej, przepraszam – zachichotała.

Po pięciu minutach dotarli na miejsce.

Poprowadziła go alejką ukrytą za rzędem starych budynków z cegły.

– Mieszkam nad tym sklepem wideo – oznajmiła. – Cieszę się, bo oni zamykają o jedenastej. Znasz moją koleżankę Sharon? Mieszka nad barem na rogu. Jest czynny do drugiej w nocy!

Wyjęła klucz z torebki i podała Whitowi, wydymając wargi. Wsunął go do zamka. Nie było tu żadnej wielkiej techniki – drzwi otworzyły się natychmiast. Roześmiana Brandi wbiegła do środka.

Kiedy zapaliło się światło, Whit zobaczył skromne mieszkanie z maleńką kuchenką po lewej stronie, łazienką na prawo oraz łóżkiem, zajmującym pozostałą przestrzeń. Spod kwiecistej kanapy wystawała czarna, satynowa pościel.

– Wchodź dalej. – Wzięła go za rękę. – Siadaj.

Zaprowadziła go do jedynej w pokoju fotela. Podeszła do ustawionej pod oknem mini wieży i złapała stację nadającą muzykę rockową.

– Napijesz się wina? – zaproponowała.

– Chętnie.

Zrzuciła pantofle i podreptała do kuchni, kręcąc tyłkiem. To był zamierzony pokaz. Whit miał siedzieć i podziwiać. Nalała kieliszek wina i podała mu, potem uklękła na podłodze.

– A ty się nie napijesz? – zapytał, kiedy zaczęła rozwiązywać mu sznurowadła.

– Jeszcze nie teraz. – Ściągnęła Whitowi buty i zaczęła masować stopy.

– Dlaczego nie przyłączysz się do mnie? – pytał dalej.

– Jeszcze nie teraz – powtórzyła.

Brandi podniosła się i stanęła na środku pokoju. Rzuciła mu przez ramię spojrzenie spod opadających włosów. Uwodziła go w sposób tak oczywisty, że Whit roześmiałby się na głos, gdyby nie był taki podniecony. Podniosła ręce i ściągnęła koszulkę, ukazując gołe plecy. Rozległ się zgrzyt zamka błyskawicznego. Opadły szorty. Została w bikini cieniutkim jak sznurek, które niczego nie zasłaniało. Nagle odwróciła się przodem do Whita.

Piersi miała mniejsze niż Dana, ale bardziej jędrne. Głaskała je dłońmi, zbliżając się do Whita. Kiedy znalazła się nie dalej niż półtora metra, ścisnęła sutki. Zobaczył dwa malutkie, twarde punkciki. Poprawił się w fotelu i przełknął jeszcze jeden łyk wina. Przejechała rękami po brzuchu i wsunęła kciuki za rąbek majteczek. Kiedy opuściła je do kostek, Whit wstrzymał oddech. Włosy łonowe Brandi były wystrzyżone na kształt walentynkowego serduszka.

Dziewczyna stała teraz całkiem naga, jeśli nie liczyć łańcuszka na szyi i cienkiej bransoletki na kostce nogi. Wsunęła się między nogi Whita i powoli, lubieżnie zaczęła kuć. Odstawił kieliszek na bok i wyciągnął do niej rękę.

Pokręciła głową.

– Wiesz co, Whitman? – powiedziała, rozpinając mu rozporek. – Zależy mi tylko na tym, żebyś był szczęśliwy.

Odchylił głowę i zamknął oczy.

– Jak najbardziej... – zaczął, ale zaraz musiał przerwać, by odchrząknąć. – Nie przestawaj.

Niespełna sto metrów dalej stał ciemny sedan. Za kierownicą siedział młody, czarnoskóry mężczyzna.

– Tobiah? – rozległ się skrzeczący głos przez radio. – Masz kontakt wzrokowy?

– O, tak – odparł Murzyn z uśmiechem, opuszczając lornetkę.

Dana przewróciła się na bok. Przez sen wyczuła pustą część łóżka obok siebie. Otworzyła oczy. W pokoju było już jasno, a poduszka Whita wciąż leżała nie naruszona, gładka i puszysta. Dana usiadła, nasłuchując odgłosów życia, ale w domu panowała niczym niezmacona cisza. Odrzuciła kołdrę i zeszła na parter – do kuchni i dalej, przez hol do biblioteki Whita. Wszystko tam wyglądało tak, jak poprzedniego wieczora, kiedy wychodził. Jeszcze nie wrócił.

Dana ubierała się powoli, jakby mimowolnie. Później pojechała do warsztatu samochodowego, gdzie musiała bez końca czekać w kolejce do punktu usługowego. Kiedy wreszcie doszła do kontuaru, dowiedziała się tylko, że tego dnia już nie zdążą wstawić szyby. Zostawiła samochód i wyjechała z warsztatu pożyczonym wozem – białym taurusem z popsutym radiem.

Dobrnęła do biura i opadła na fotel. Dopiero wpół do dziesiątej, a już czuła się wyczerpana. Zanim zdążyła przejrzeć pocztę, do gabinetu wkroczyła Celeste z olbrzymim stosem papierów.

– Dzień dobry, Celeste, jak się masz?

Mimo że widziały się po raz pierwszy od miesiąca, Celeste nie przywitała jej zbyt wylewnie.

– To są wydruki godzin pracy dla Pennsteelu – oświadczyła kładąc plik kartek na biurku.

– Tak szybko? – Dana była rozczarowana. Straciła pretekst do odłożenia na później ostatecznego rozliczenia czasu pracy przy sprawie

Palazzo Hotel. Współpraca ze sprawnymi sekretarkami ma też i złe strony, Celeste poprawiła na sobie zakiet i zostawiła Dane, wpatrując się smutnym wzrokiem w dokumentację. Wykaz godzin to najgorsza udręka dla każdego prawnika, ale ona po prostu nienawidziła tego z całego serca. Sama idea przeliczania usług prawniczych na godziny budziła w niej wstręt; taki system sprzyja nieefektywnym i nieuczciwym działaniom, a także wywołuje trwały konflikt interesów między klientem i prawnikiem. Od lat prowadziła kampanię na rzecz wprowadzenia systemu rozliczania się według wartości, ale wydawało się, że nikt nie jest na takie rozwiązanie gotowy, włącznie z klientami.

Dziś miała jednak następny powód, by odłożyć wykaz. Ostatnią rzeczą, jakiej w tym tygodniu potrzebuje Charlie Morrison, jest odbiór dobrze znanej, opasłej koperty z firmy „Jackson, Rieders & Clark”. Później – pomyślała, odsłuchując wiadomości nagrane poprzedniego dnia.

Najpierw pojawiło się nazwisko Charliego. Kiedy Dana dodzwoniła się do jego gabinetu, okazało się, że pan Morrison jest już w drodze do Nowego Jorku. Następna wiadomość – od Angeli Leoni – sprawiła, że Danie błyskawicznie poprawił się humor. Angela była niczym podmuch świeżego powietrza – zresztą nie, to złe porównanie. Przypominała raczej powietrze dolatujące z kuchni we włoskiej restauracji – gorące, pikantne i przepyszne. Dana natychmiast chwyciła słuchawkę. Niestety, Angela przed chwilą wyszła do sądu.

Dana znów spojrzała na stos wydruków. Nie można tego dłużej odkładać. Przysunęła papiery do siebie i zabrała się do roboty.

Dziesięć minut później wezwała Tralisa. Hunt stanął w progu jej

gabinetu, poprawiając za ciasny kołnierzyk.

– Zamknij drzwi.

Był zaskoczony dziwnym tonem Dany. Wziął z biurka stos wydruków i zaczerwienił się jak burak.

– Dano, poczekaj, daj mi wytłumaczyć.

– Nie mam zamiaru słuchać twoich kręctw – powiedziała oschle. – Musiałbyś być Einsteinem, żeby wyjaśnić, jakim cudem udało ci się przepracować dwadzieścia sześć godzin jednego dnia.

– To była pomyłka.

– I pewnie również przez pomyłkę wyliczyłeś sobie dwadzieścia godzin pracy siedemnastego? Oraz dwadzieścia dwie godziny dwudziestego? Wygląda na to, że myliłeś się dzień w dzień, ponieważ przez cały czas pobytu w Los Angeles ani razu nie wyliczyłeś sobie mniej niż szesnaście godzin na dobę.

– Dano, harowałem jak wół.

– Ale też jadłeś trzy posiłki dziennie, a co wieczór przez godzinę gadałeś z żoną przez telefon.

– Prawie nie spałem! Bez przerwy rozmyślałem o tej sprawie. Pociłem się nad każdym szczegółem proceduralnym, nad najdrobniejszym dowodem.

– Sam sobie wybrałeś takie życie! – wybuchnęła. – Chcesz mieć robotę, o której nie trzeba myśleć po godzinach, to wynoś się do fabryki, na linię produkcyjną.

Travis opuścił głowę, jakby jego masywny kark nagle okazał się za słaby, by ją utrzymać w pionie.

Danie ścisnęło się serce. Ten facet był nie tylko wartościowym

pomocnikiem, ale też jej ulubieńcem. Z przykrością patrzyła, jak Travis cierpi, nieważne, czy sobie na to zasłużył, czy nie.

– Travis – powiedziała łagodniejszym tonem. – W sprawie Palazzo pracowałeś doskonale, lepiej, niż bym sobie mogła wymarzyć. Nie schrzań tego podobnymi bzdurami – dodała pokazując palcem wydruki.

Hunt wbił wzrok w podłogę i wymamrotał:

– Zawsze mówiłaś, że nasza robota powinna być wyceniana według wartości. Wygraliśmy, prawda? Wywalczyliśmy znakomity wyrok dla klienta. Czy ktoś poniósł szkodę?

– Szkada polega na tym, że to malwersacja. Jeśli nasi klienci mają nam płacić za godziny, to sprzedawajmy im ten czas uczciwie, do cholery.

Travis ciężko opadł na krzesło.

– Pod koniec roku chciałbym otrzymać status wspólnika – powiedział.

– Wiesz, że masz moje poparcie.

Pokręcił głową.

– Dzięki, ale to nie wystarczy. Kiedy dojdzie do wyborów, twój głos będzie osamotniony. Moi konkurenci to Ben Hager, który dostarczył firmie dwóch dobrych klientów, oraz Mark Watley z przepracowanymi dwoma tysiącami godzin do tej pory. A mamy dopiero sierpień! Do końca roku Watley dojdzie do trzech tysięcy. Muszę mu jakoś dorównać.

Dana podparła głowę. Travis jest lepszym prawnikiem od Watleya, a pewnego dnia zapewni kancelarii większe dochody niż Hager. Bardziej niż ci dwaj zasługiwał na awans na wspólnika. Dana zdawała sobie jednak sprawę, że talent niczego nie gwarantuje.

– Przykro mi, Travis – powiedziała – ale nie mogę pozwolić, żebyś się ścigał z innymi kosztem klienta.

Z trudem przełknął ślinę.

– To jaką część tego rachunku mi odetniesz?

– Jedną trzecią – oznajmiła.

Travis zbladł, ale Dana szybko dodała: – I tę różnicę podzielę równo między mój i twój czas pracy.

Travis zamknął oczy z uczuciem ulgi. Cios mógł się okazać dwa razy silniejszy.

– Dziękuję – powiedział wstając. – Jestem ci bardzo wdzięczny.

Na pewno bardziej ucieszyłoby go, gdyby zaakceptowała jego własne wyliczenia. Podszedł do drzwi i zatrzymał się. Nigdy jeszcze tak ostro nie rozmawiali. Teraz nie wiedział, jak się zachować przy wyjściu, a Dana z jakiegoś powodu nie potrafiła go odesłać.

Oboje zostali wyzwoleni z niezręcznej sytuacji przez dzwonek telefonu. Przez interkom rozległ się monotony głos Celeste:

– Don Skelly z firmy „Geisinger”.

Dana przełączyła go na głośnik.

– Słyszałem, że wczoraj nie wyszła sprawa z Andym Broderem – powiedział bez wstępów Skelly.

Dana pokiwała głową.

– Chłopak chciał działać według własnych ustaleń. W dodatku jest bardzo konfliktowy.

– No to wielka szkoda. Sądziłem, że dzięki wam dwojgu w sądzie posypią się iskry.

– Chyba żartujesz, Don.

– Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że nie dorwie go Thompson.

– Założę się, że Broder wraca już na Alaskę.

Odłożyła słuchawkę.

Zrobisz coś dla mnie? – zwróciła się do Trávisa.

– Jasne.

– Zadzwoń do Brodera. – Pogrzebała w stosie dokumentów na bocznym stoliku. Wreszcie znalazła CV Andy'ego. – Sprawdź, czy jest jeszcze na lotnisku w okręgu Bucks, i dowiedz się, jak długo zamierza tam zostać. Zapytaj, dokąd wysłać mu czek z tytułu poniesionych wydatków, do Bucks czy na Alaskę.

– Załatwione.

Kiedy Dana wróciła wieczorem, zastała pusty dom. Chodziła po pokojach, zapalała światła, ale nadal czuła się obco, nieswojo. W końcu zrozumiała, w czym rzecz: jeszcze nigdy nie była w domu sama.

Złożyła ręce na piersiach. Bezcelowe błądzenie nagle zmieniło się w gniewny marsz. Nie do wiary, Whit naprawdę odszedł. Mimo że patrzyła przez palce na przypadki naruszenia umowy z jego strony, to w końcu on rzucił bombę, która zerwała istniejący rozejm. To przypominało pozew wyprzedzający – kiedy adwokat zdaje sobie sprawę, że jego klient lada moment zostanie pozwany do sądu i wcześniej występuje z własnym pozewem, czyniąc z siebie stronę poszkodowaną metodą prostej kombinacji terminami. Właśnie tak działa teraz Whit. Zanim Dana zdążyła zerwać związek, Whit się wycofał pierwszy.

Cóż za idiotyczne określenie: wycofał się. W dodatku nieuczciwie. Mężczyzna zawsze się wycofuje, opuszcza żonę, kobieta natomiast ucieka. To tak, jakby mężczyzna zniknął z powodów politycznych, trzymając się pryncypiów, czy też strajkował, walcząc o coś lepszego, a kobieta uciekała

jak tchórz albo zagubione dziecko.

Danie przyszedł na myśl inny schemat jeszcze częściej stosowany w odniesieniu do kobiety zrywającej małżeństwo: wyrzuciła męża. Co to zazwyczaj oznacza? Że rozkazała: „Wynoś się z domu”? Czy też wykrzyczała tę ostatnią, nieodwołalną obelgę?

Więc jak to w końcu jest – czy to on odszedł, czy ona go wyrzuciła?

Podczas wariackiego krążenia po domu uszła z niej para – Dana opadła na kanapę. Na stoliku leżał stos fotografii – zdjęcia wydarte z albumów podczas sobotniego włamania. Zaczęła je przeglądać. Patrzyła na roześmiane twarzyczki dzieci. Poczowała bolesną tęsknotę za córkami.

Chwyciła słuchawkę. Kiedy usłyszała głos Katriny, z przyjemnością opadła na miękkie poduszki kanapy.

– Witaj, kochanie!

– Mamusiu... – zawołała z oburzeniem Trina. – Dziś wieczorem Kirstie weszła do łazienki i zrobiła mi zdjęcie. A ja byłam w wannie. Naga.

Dana powstrzymała się od śmiechu.

– O, to bardzo niegrzecznie z jej strony. Nie powinna tak postąpić.

– Mówi, że pokaże je wszystkim w szkole.

– Nie martw się, nie zrobi tego. Powiedz jej, że chcę z nią porozmawiać.

Słyszała głośnie wymianę zdań. Trina radośnie oznajmiła Kirstie, że czekają ją kłopoty. Kirstie syknęła, że mała jest skarżypytą. Dana z uśmiechem przygotowała się do ostrej interwencji. Zanim jednak usłyszała z drugiej strony naburmuszony głos Kirstie, w jej głowie kołatała już tylko jedna myśl: Kirstie robiła zdjęcia.

– Kirstie! – krzyknęła. – Zabrałaś swój aparat?

– Tak... – rozległa się niepewna odpowiedź zaskoczonego dziecka.

– Wyjęłaś go z mojej torby?

– No, tak. Myślałam, że już nie będziesz go potrzebować. Uspokojona Dana przymknęła oczy. A więc aparat nie stał się łupem złodzieja. Kirstie wzięła swoją własność, kiedy Dana na górze pakowała rzeczy dziewczynek.

– Posłuchaj uważnie. Ile zdjęć zrobiłaś?

– Sześć albo siedem.

A więc do końca rolki zostało jeszcze kilkanaście ujęć. Jedyne niebezpieczeństwo polegało na tym, że Kirstie mogła przypadkowo przewinąć film i przeświecić go, ale to w najgorszym razie oznaczałoby zniszczenie kilku klatek z dwudziestu czterech. Reszta byłaby do uratowania.

– Słoneczko, muszę dostać twój aparat z powrotem. Nie mogę ci teraz wytłumaczyć dlaczego, ale jutro wyślę do ciebie kogoś, kto go odbierze. Zostaw kliszę w środku. Nie ruszaj jej pod żadnym pozorem. Powiedz cioci Karin, że przyjdzie do was kurier. I nie rób już następnych zdjęć.

– Ale czym ja mam...

– Kup sobie inny aparat.

– No dobrze.

Dana zatelefonowała do szefa drugiej zmiany w firmie usług kurierskich i poprosiła o wysłanie kierowcy do Avalonu jak najwcześniej następnego dnia. Wreszcie odłożyła słuchawkę z poczuciem sukcesu. A więc film, dla którego ryzykowała skręcenie karku, wcale nie został stracony. Jutro znajdzie się u niej na biurku, a przy odrobinie szczęścia zdjęcia dostarczą część materiału potrzebnego do ustalenia przyczyn

katastrofy. Może nawet dzięki nim uda się doprowadzić do uniewinnienia klienta.

Dana leżała w ciemności z szeroko otwartymi oczyma. Odtwarzała w myślach wydarzenia tego dnia i przewidywała, co się zdarzy jutro. Nagle nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie słowa Dona Skelly'ego: „Dzięki wam dwojgu posypią się iskry”. Jeszcze bardziej niespodziewane było to, że przyszło jej na myśl podobne, choć bardziej odległe wspomnienie: „No, wy dwoje z pewnością wykrzesaliście dziś iskry”.

Prawie dwadzieścia lat temu powiedziała tak jej koleżanka z grupy po zajęciach z literatury angielskiej, na których omawiano wiersz „Do jego nieśmiałej kochanki”. Pan Endicott utrzymywał, że autor domaga się, aby jego ukochana przestała udawać cnotliwą, bo przez to tylko tracą cenny czas, jaki mogą spędzić ze sobą. Potem zacytował fragment: „Gdybyśmy mieli dość świata i czasu/ Ta skromność, pani, nie byłaby zbrodnią”. Dana przekonywała jednak, że cnota kobiety to nie jest kwestia udawania czy pretensji, a bohaterowi wiersza zależy po prostu na szybkiej zdobyczy. Przytoczyła inny fragment: „Twój dziwaczny honor obróci się w proch/ zaś wszystkie moje żądze w popiół”.

W tym czasie Dana i Whit osiągnęli już etap spełnienia, a udawanie sprowadzało się do tego, że przed światem występowali dalej jako studentka i nauczyciel. Utrzymywali swój związek w sekrecie – z jednej strony chcieli wzbudzać dreszczyk emocji, a z drugiej uniknąć skandalu. Jednym ze źródeł ekscytacji były dyskusje pełne ukrytych znaczeń, zrozumiałych jedynie dla ich dwojga. Później posunęli się dalej – stworzyli prywatny język, złożony z tajnych gestów i sygnałów. Była to

dość skomplikowana i subtelna konwencja – uniesienie brwi, szybki ruch palcem po podbródku. Potrafili jednak korzystać z niej swobodnie, przeprowadzając długie rozmowy w obecności znudzonych i niczego nie pojmujących kolegów.

Co za ironia, pomyślała z goryczą. Teraz nie potrafili się porozumieć nawet przy użyciu słów.

Nie myśleć o Whicie, przypomniała sobie własną maksymę i wcisnęła głowę w poduszkę. W końcu zasnęła.

Następnego ranka pojechała do warsztatu samochodowego i znowu czekała w długiej kolejce, żeby zapłacić rachunek i odebrać naprawiony samochód. Kiedy wreszcie nadeszła jej kolej, szef punktu usługowego nie mógł znaleźć zamówienia w stosie papierów i znowu kazał czekać.

W pokoju wyłożonym panelami na fotelach krytych winylową tapicerką siedziało kilkanaście osób. Oczekujący oglądali telewizję. Dana woląca stać w warsztacie. O dziesiątej miała się zjawić w Alpine Valley, gdzie razem z Travisem i kilkoma ekspertami zamierzała dokonać przeglądu resztek pozostałych po pożarze. Włączyła bezprzewodowy telefon, żeby zadzwonić do biura, kiedy rozległ się dzwonek.

– Dana, Bogu dzięki! Już się bałem, że cię nie złapię.

W głosie Brada Martina wyczuwało się niecierpliwość i napięcie. Ktoś postronny mógłby sądzić, że istnieje groźba wybuchu wojny nuklearnej, a Brad trzyma palec na guziku atomowym.

– Nie mam pojęcia, jak do tego doszło – mówił z rozpaczą. – To całkowicie wbrew zasadom...

– Brad, o czym mówisz?

– Nic nie wiesz? Włącz wiadomości na kanale szóstym. Właśnie to powtarzają.

Spojrzała na telewizor stojący w poczekalni. Na ekranie widniała postać znajomego mężczyzny. Tłum dziennikarzy podsuwał mu mikrofony. Wpadła do pokoju.

– Zdobyta taśma wyklucza wszelkie wątpliwości odnośnie przyczyny straszliwej tragedii – mówił Ira Thompson. – To nie było działanie siły wyższej, lecz akt wyjątkowej niedbałości i rażącego lekceważenia bezpieczeństwa ludzi. Przypomina to poczynania bandy pijanych nastolatków, rozbijających się skradzionym samochodem.

W tym miejscu Ira zrobił efektowną przerwę, jakby chciał wywrzeć większe wrażenie na sędziach przysięgłych w sali sądowej, podczas gdy w rzeczywistości stał przed tłumem reporterów.

– Mielśmy do czynienia z postępowaniem nie mniej nagannym – powiedział.

Dana przyłożyła aparat do ucha, nie odrywając oczu od ekranu.

– Co to...?

– Zapis głosu z kabiny helikoptera – przerwał Brad. – Ira załatwił sobie kopię taśmy, chociaż nie powinien...

– Ciii! – uciszyła Brada, bo Thompson kontynuował przemowę.

– Trzej dorośli mężczyźni lecieli helikopterem wartym wiele milionów dolarów, ale do tego rodzaju zabawy równie dobrze wystarczyłby chevrolet z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. To wszystko znajduje się na taśmie. W czasie dwudziestoletniej praktyki nigdy nie dysponowałem bardziej ewidentnymi dowodami.

– Mój Boże, co to jest? – wyszeptała.

– Słuchaj. Teraz odtworzy zapis.

Ira Thompson odsunął się od mikrofonów i stanął obok kobiety, która złożyła ręce na piersiach i starała się powstrzymać od płaczu. W głośniku rozległy się szumy zakłóceń statycznych, potem dał się słyszeć donośny głos Vica Sullivana:

– W porządku, już wiem, gdzie jesteśmy. Nadlatujemy nad park rozrywki. Widzę kolejkę górską, jak to się nazywa, Alpine Valley?

Po tym nastąpiła przerwa. Szum zagłuszył wypowiedź Dany. Po chwili znów odezwał się Vic:

– Wiesz co, Ron? Opuść tę zabawkę. Poszukamy dwóch blondynek. Dana stała na środku poczekalni jak skamieniała.

– No nie – wymamrotała. Wszystko przekreślił. Thompson znowu pochylił się nad mikrofonami.

– Zginęło dwanaście osób. Dziesiątki odniosły obrażenia, z tego co najmniej cztery bardzo ciężkie. A wszystko dlatego, że prezes Pennsteelu chciał sobie pogonić za dziewczynami w parku rozrywki jak jakiś młodociany awanturник.

– Nieprawda! – krzyknęła Dana. Ludzie zebrani w poczekalni odwrócili głowy, potem poprawili się na siedzeniach, udając, że wcale jej nie dostrzegają.

– Piloci ponoszą winę nie mniejszą niż Sullivan – oznajmił Thompson.
– Powinni zignorować polecenia, ale zachowali się równie nieodpowiedzialnie, jak pan prezes. Opuścili JetRangera. Zredukowali wysokość tak gwałtownie, że Skyhawk zauważył ich dopiero w momencie, kiedy w niego uderzyli.

Thompson przedstawił drżącą kobietę. Andrea Greenberg stała obok adwokata, kiedy przystąpił do relacjonowania obrażeń Davida Greenberga, Dana wybiegła z poczekalni.

– Brad, jesteś tam jeszcze? – wrzasnęła do słuchawki.

– Tak.

– Muszę natychmiast dostać samochód! – zawołał do człowieka za

kontuarem.

– Słucham? – zdziwił się Brad.

– Dzwonź do NTSB. Nie, do Teda. Powiedz mu, żeby zatelefonował do NTSB. Chcę się zobaczyć z Harrym Reillym. Zaraz jadę do Parsippany.

– Parsippany w New Jersey – sprecyzował.

– Przekaż też Travisowi, że ma sam przeprowadzić inspekcję na miejscu zdarzenia.

Podbiegła do białego taurusa, który przed chwilą zwróciła, i wskoczyła za kierownicę.

– Nie, pani samochód zaraz będzie do odbioru – zaprotestował kierownik serwisu.

– To za późno – odpowiedziała i błyskawicznie wyjechała z garażu.

Ruch był tak intensywny, że potrzebowała dwóch godzin, aby dojechać do regionalnego biura NTSB w północnej części stanu New Jersey. Czekał już tam na nią Ted Keller, który skrócił sobie drogę, lecąc na wysokości prawie dwóch tysięcy metrów.

– Stek kłamstw – powiedział zde gustowany. – Ron nigdy by tego nie zrobił. A zresztą, gdzie miałby wylądować, gdyby się nawet zdecydował? Na szczycie karuzeli?

Zignorowała jego tyradę, by postawić bardziej istotne pytanie:

– Ted, co się stało z moimi wypowiedziami w tej rozmowie? Dlaczego nie było mnie sły chać w nagraniu?

Keller skrzywił się i pomasaował sobie podbródek.

– Twój głos mógł się w ogóle nie zapisać.

– Co takiego?! – Dana starała się odzyskać panowanie nad sobą.

– Wygląda na to, że urządzenie rejestrowało tylko wypowiedzi wychodzące. Dana aż się zachwiała.

– Tutaj również mamy problemy – ciągnął Keller. – Mówią, że nie mogą z tobą rozmawiać, dopóki nie ściągną z Waszyngtonu głównego prawnika.

– Chyba raczej nie chcą – wypaliła maszerując prosto do gabinetu Reilly’ego. Keller szedł za Daną.

Miała rację. Harry Reilly zaprosił ją i Teda do środka. Zastępca Reilly’ego, Jim Cutler siedział pochylony nad biblioteczką. Półki wyglądały jak regał w pokoju małego chłopca – stały na nich miniaturowe modele samolotów, pociągów, autobusów i ciągników.

Reilly usiadł za biurkiem.

– Po pierwsze – zaczął – chcę wam oznajmić, że prowadzimy formalne dochodzenie na temat sposobu, w jaki Thompson wszedł w posiadanie taśmy z nagraniami.

– Wszyscy wiemy, jak to się stało – odgryzła się Dana. Ted skromnie usiadł w kącie, ale Dana wciąż stała. – Pytanie brzmi. Kto to zrobił i dlaczego. A może powinnam zapytać, za ile?

– Jeżeli pani usiłuje sugerować, że to jeden z naszych ludzi... – wtrącił się Cutler.

– Nic nie sugeruję, tylko was oskarżam. A jeżeli Pennsteel nie otrzyma natychmiast zadośćuczynienia za pomówienie, pójdę nie tylko do biura waszego głównego prawnika, ale też do FBI. Może nawet zorganizuję specjalną konferencję prasową.

– Spokojnie. – Reilly podniósł mięsistą dłoń. – Dostaniecie zadośćuczynienie: – Skinął na Jima.

Cutler wręczył Danie kopertę z kasetą magnetofonową.

– Teraz macie to samo, co Thompson – powiedział Reilly. – Nie ma tu żadnego oszustwa, nikt nic nie stracił.

Dana pokręciła głową.

– Została wyrządzona szkoda, być może nie do naprawienia, a wy popełniliście cholerny błąd.

– Jaka szkoda? – jęknął Cutler, siadając obok biblioteczki.

– Ira Thompson nas zaatakował. Zorganizował konferencję prasową i wykorzystał taśmę, zanim my mieliśmy szansę ją przesłuchać. Nastawił opinię publiczną przeciwko Pennsteelowi.

Reilly rozłożył ręce.

– Sullivan powiedział, co powiedział. Nagranie jest faktem, niezależnie od tego, kto pierwszy otrzymał taśmę.

– I tu się mylisz, Harry. Tak samo, jak Ira. Słowa Sullivana zostały wyrwane z kontekstu.

– Jakiego kontekstu? – zachnął się Cutler.

– Z rozmowy prowadzonej ze mną. Połączyłam się z Victorem na kilka sekund przed katastrofą.

Cutler wyprostował się i spojrzał na swojego szefa.

– Pamiętacie tę pauzę po słowach: „Jak to się nazywa, Alpine Valley”? Potem przez pół minuty słychać jedynie trzaski.

Reilly patrzył na Danę, kiwając głową. – Powiedziałam: „Pomachaj tym w dole, Vic. Moje dzieci są tam dzisiaj”.

– A twoje dzieci to... – odezwał się powoli Reilly.

– Tak, właśnie blondynki.

Reilly rozparł się w fotelu, aż sprężyny zapiszczały żałośnie.

– Dlaczego, do cholery, nie powiedziałaś o tym wcześniej?

– Ted przesłał wam faksem listę dwunastu osób, które według nas powinniście przesłuchać. Gdybyście łaskawie na nią spojrzeli, zauważylibyście, że na pierwszym miejscu figuruje moje nazwisko.

Reilly zerknął na Kellera, który przytaknął w milczeniu. Cutler odwrócił wzrok.

– To tyle na temat szkody i błędów – skwitowała Dana.

– W takim razie zgadzam się z tobą – powiedział Reilly. Wyprostował się i pochylił w stronę Dany. – Ale musisz być gotowa to udowodnić.

O tym też zdążyła już pomyśleć. Jeżeli jej wypowiedzi nie zostały zapisane na taśmie, nie będzie mogła przedstawić innego dowodu poza własnym zeznaniem pod przysięgą, a przepisy nie pozwalają jej na występowanie jednocześnie w charakterze świadka Pennsteelu oraz ich reprezentanta podczas procesu. Jeżeli nie zdoła znaleźć niezależnego źródła potwierdzającego przedstawioną wersję, ceną za przedstawienie dowodu będzie rezygnacja z uczestnictwa w sprawie.

– Jestem gotowa – oznajmiła. – No i jak, pogadamy o rekompensacie? Czy zadzwonić do przyjaciół w Departamencie Sprawiedliwości?

Reilly bezradnie uniósł ręce.

– Nie wiem, co moglibyśmy zrobić...

– No to ja wam powiem – przerwała. – Chodzi o dane z radaru. FAA wcisnęło gdzieś nasz wniosek, ale założę się, że wam nie kazali długo czekać.

Cutler zaczął energicznie kręcić głową, patrząc na swojego przełożonego, co dla Dany było tylko potwierdzeniem jej wcześniejszych domysłów – dane z urządzeń radarowych istnieją.

– Musiałbym przekazać je Thompsonowi w tym samym czasie – ostrzegł Reilly, ignorując sygnały dawane przez Cutlera.

– Niczego innego się nie spodziewam – skomentowała oschle.

– To wszystko?

– Niezupełnie. – Dana popatrzyła na Kellera, który jednak nie zorientował się, o co jej chodzi, i odpowiedział grymasem wyrażającym bezradność. – Zorganizujcie nam publiczność. Nie chodzi tylko o prawo przesłania wam oświadczenia na piśmie, które potem wsadzicie do segregatora, ale o prawdziwą szansę wykazania, jak doszło do tego wypadku. .

Reilly przez chwilę pocierał szczękę. W końcu się odezwał:

– W porządku, ale żadnych zamkniętych zebrań. Nie chcę, żeby ludzie gadali, że to wy prowadzicie za nas dochodzenie. Powiecie nam, co waszym zdaniem się wydarzyło, i w tym samym momencie oświadczycie to całemu światu. Zgoda?

– Tak.

Whit już drugi dzień z kolei obudził się z Brandi owiniętą wokół niego niczym pyton. Leżał nieruchomo. Dziewczyna trzymała go tak mocno, jakby wyczuwała, że jej ofiara chce uciec. Whit nasłuchiwał. Zastanawiał się, co go właściwie obudziło.

Brandi spała jak niewiniątka. Łączyła w sobie cechy kobiety i dziecka. Jej szufladę wypełniały kondomy. Od poniedziałkowej nocy nie rozdzielali się, nie opuszczali też mieszkania. Whit przesypiał większość dnia. Miał tyle seksu, ile tylko mógł wytrzymać. Całymi godzinami słuchał, jak Brandi mówi o sobie. Przez dwadzieścia lat nie zdołał napisać książki na temat Wallace'a Stegnera, ale teraz, po dwóch dniach spłodziłby kilka tomów o Brandi.

Jej matka uciekła z domu z innym mężczyzną, kiedy Brandi miała dwanaście lat. Zostawiła zgorzkniałego, zamykającego się w sobie męża i nie potrafiącą sobie z tym poradzić córkę w okresie pokwitania. „Staralam się zająć miejsce mamy. Gotowałam, sprzątałam, robiłam zakupy. Usiłowałam być dla ojca ładna i ujmująca. Ale tata po prostu nie potrafił wyzwolić się z tego smutku. Zrobiłabym wszystko, aby go uszczęśliwić”.

Książka o Brandi, rozdział drugi: pojawia się tajemniczy profesor Endicott, tak bardzo przypominający ojca. Ale oto – tu następuje zwrot w fabule – Brandi dowiaduje się, że z profesora Endicotta można wykrzesać uśmiech! Endicott reaguje na erotyczne zachęty! W końcu bohaterka znajduje tatusia, którego potrafi uszczęśliwić, ponieważ może się z nim pieprzyć.

Whit uniósł się lekko. Zgodnie z przewidywaniami, uda Brandi opasały go silniej. Czuł narastającą desperację. Za wszelką cenę pragnął opuścić mieszkanie Brandi. Żadne nocne przyjemności nie były warte paskudnego samopoczucia, z jakim budził się rano i widział obok siebie chichoczącą dziewczynę, odgrywającą jakieś przedstawienie, w którym nie chciał brać udziału.

Powstał problem, jak się z tego wykaraskać w przyzwoity sposób. Mężczyzna w jego wieku i z jego doświadczeniem nie może bez słowa odejść od dwudziestodwuletniej dziewczyny po spędzeniu z nią dwóch nocy. A już zwłaszcza wtedy, gdy młoda kochanka zna nazwisko i adres swojego umiłowanego.

Hałas, który go obudził, rozlegał się znowu. Brandi otworzyła oczy. Agresywny wrzask przypominał ryk rozwścieczonego byczka, odłączonego od matki. Mimo wszystko można było rozróżnić słowo „Brandi!”.

– Och! – jęknęła zaniepokojona. Wyskoczyła z łóżka i naga podbiegła do okna. – Wynoś się, Sean! – krzyknęła. Podniosła okno i wychyliła się, nie zakrywając piersi. – Mówiłam ci, że nie chcę oglądać twojej gęby!

Whit założył slipki i wyjrzał na dwór ponad jej ramieniem. Pod domem stał chłopak i darł się na całe gardło:

– Chcę tylko z tobą pogadać! Zejdź, Brandi!

Był to ten sam dobrze zbudowany młodzieniec, którego Brandi pogoniła w sobotę wieczorem w „Last Cali”.

– Ubierz się, na miłość boską! – powiedział Whit, odciągając ją od okna.

Dziewczyna założyła podkoszulkę i szorty. Co chwila wychylała się do

chłopaka stojącego na dole. Whit również ubierał się pospiesznie. Jeszcze tego brakowało, żeby jakiś facet przyłapał go tu *in flagranti* i wbiegł z morderczymi zamiarami.

– O co chodzi? – zapytał. – Kto to jest?

– Nikt – zachnęła się Brandi. – Zerwałam z nim w zeszłym tygodniu.

Whit popatrzył na dziewczynę. Postanowił wykorzystać okazję do wyjścia.

– Wytłumaczyłaś mu, dlaczego?

– Nie musiałam. Sam wie – odparła Brandi.

Odsunęła się od okna i nadąsana usiadła na krześle.

Whit przykucnął obok.

– Zbyt lekko traktujesz mężczyzn, Brandi.

Dziewczyna spięła słowa z jego ust jak kociak śmietanę z miseczki.

– Widziałem go w sobotę w „Last Cali” – ciągnął Whit. – Zastanawiałem się wtedy, czy zdajesz sobie sprawę z wpływu, jaki wywierasz na tego młodego człowieka.

– Co takiego?

– Miał bardzo nieszczęśliwą minę, kiedy się od niego odwróciłaś. – Whit melodramatycznie położył dłoń na piersi. – Wyglądał, jakby serce rozpadło mu się na tysiąc kawałeczków.

– Naprawdę? – Podniosła głowę zaintrygowana.

– Pomyślałem też sobie: „To zadziwiające, jak taka śliczna dziewczyna może być okrutna”.

– Okrutna? – wyszeptała Brandi, ale natychmiast pokręciła głową, odrzucając tę myśl. – Nie masz pojęcia, jaki on był okrutny wobec mnie! Powiedział, że w piątek wieczorem musi iść do pracy, a potem moja przyjaciółka Suse widziała go w „Riverdeck Cafe” i...

Whit podniósł ręce.

– Poczekaj. Czy to ja powinienem tego słuchać, czy on? – Wskazał palcem za okno.

Wstała i zamyślona wyjrzała na zewnątrz.

– Chyba sama rozmowa nie zaszkodzi – powiedziała powoli.

– Przynajmniej tyle mu się należy, nie uważasz? Przecież tak dużo dla siebie znaczyliście.

– Może masz rację – westchnęła. – Chodziliśmy ze sobą prawie miesiąc.

Whit starał się zachować powagę.

– A widzisz? – dodał z satysfakcją.

W końcu osiągnął cel.

Krzyki ucichły, kiedy Brandi otworzyła drzwi i zeszła po schodach z zadartą do góry głową. Whit schował się za kotarą. Obserwował dalszy rozwój wypadków. Nastąpiła wymiana zdań. Chłopak otworzył drzwi swojego samochodu od strony pasażera. Brandi zawahała się, on ją błagał, wreszcie wzruszyła ramionami i wsiadła. Wskoczył za kierownicę i szybko odjechali, nie oglądając się za siebie.

Whit poszukał kawałka papieru. Znalazł kopertę. Na odwrocie napisał epistołę pełną wyrazów wdzięczności i żalu, a także najlepszych życzeń dla niej i Seana. Założył sportową kurtkę, schował do kieszeni kluczyki i portfel i wyszedł z uczuciem ogromnej ulgi.

Wsiadł do samochodu i ruszył do domu. Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy tam się znajdzie.

Zbliżało się południe, na zakurzonej drodze słońce piekło niemiłosiernie. Jechał z opuszczonymi szybami. W pickupie nie było

klimatyzacji, zresztą i tak by się już dawno zepsuła. Silnik zaczął się krztusić. Whit spojrzął na wskaźnik poziomu paliwa – strzałka znajdowała się poniżej zera. A więc jechał na nędznych resztkach. Silnik zakasłał dwa razy i wydał przeciągły gwizd.

Dwa kilometry do domu i brak paliwa. W tym przypadku można się doszukać pewnej metafory.

Zauważył stację benzynową ukrytą za bujnym żywopłotem. Wóz z trudem dotoczył się do dystrybutora. Whit wsunął końcówkę węża do wlewu paliwa.

– Dzień dobry – usłyszał życzliwy głos. Z czarnego auta stojącego na sąsiednim stanowisku wysiadł mężczyzna. Burza kasztanowych kręconych włosów sprawiała, że jego głowa wydawała się nienaturalnie wielka.

– Gorąco dzisiaj.

– Owszem. : Pompa terkotała, licznik szumiał; Whit oparł się o samochód i zastanawiał się, co powie Danie. Nie mógł uwierzyć, że ich małżeństwo może się rozpaść z powodu czegoś tak idiotycznego, jak alarm antywłamaniowy. Nigdy też nie pamiętał, że trzeba opuszczać deskę w toalecie, ale to zaniedbanie nie nabrało rangi przyczyny rozwodu. Zabawna rzecz pomyśleć, że Dana może być na tyle zazdrosna, aby podejrzewać go o chęć ukrywania nocnych wypraw i oszustwo.

Kiedy jednak przypomniał sobie, że właśnie ją oszukał, uznał, że to już nie jest takie zabawne.

Ta myśl była niczym cios w żołądek, tak silny, że Whit musiał się oprzeć o nagrzaną blachę błotnika. Pompa wyłączyła się. Rozległ się odgłos brzęczyka, ale Whit tego nie zauważył, ogarnięty falą niespodziewanych nudności. Jezu Chryste, co ja zrobiłem? Owszem, Dana

za daleko posunęła się w poniedziałkowej rozmowie, ale złe słowa można odwołać. Wystarczy za nie przeprosić. A on? Jak, u diabła, mógł się zdecydować na zdradę?

– Musi pan wejść do środka – poinformował kędzierzawy facet.

– Słucham? – Endicott odwrócił się do nieznajomego.

– Trzeba zapłacić za benzynę. To cholerstwo będzie dzwonić, dopóki pan tego nie zrobi.

– No tak.

Odwiesił wąż na miejsce i wszedł do kantorka.

– Jaki numer? – mruknął starszy mężczyzna przy kasie.

– Co ? – Popatrzył na kasjera, jakby facet przemawiał w obcym języku.

– Jaki numer dystrybutora?

– Och. – Whit odwrócił się, by pokazać właściwą pompę, gdy do pomieszczenia wpadł młody czarnoskóry mężczyzna.

– Hej, ktoś właśnie odjechał pana samochodem! – zawołał.

Whit rozdziawił usta i wyskoczył na zewnątrz. Pickup zniknął za najbliższym rogiem ulicy.

Kędzierzawy wskoczył do swojego wozu.

– Niech pan dzwoni po gliniarzy! – krzyknął do czarnoskórego. – Spróbuję go dogonić! – Spojrzał na Whita: – Jedzie pan ze mną?

– Tak! – Whit wgramolił się na fotel pasażera. Z dużym przyspieszeniem wyjechali na ulicę.

– A to sukinsyn – mruknął kierowca. – Wyskoczył nie wiadomo skąd, wlaź do pańskiego samochodu i odjechał. Pewnie zostawił pan kluczyki w stacyjce, co?

Whit kiwnął głową.

– Wszyscy tak robią.

– Ale to stary gruchot – powiedział Endicott. – Ma prawie dwadzieścia lat.

– Na części. Mówię panu, ten kraj schodzi na psy.

Szybko wzięli zakręt i zobaczyli pickupa w dość dużej odległości przed sobą.

– Tam jest! – wrzasnął Whit.

– Widzę. – Kierowca wcisnął gaz. – Trzymajmy się za nim, dopóki nie przyjadą gliny.

Whit skinął, że to dobry plan.

– Nazywam się Ike. – Kędzierzawy wyciągnął rękę. Whit uścisnął ją mocno.

– Whit Endicott.

Ike trzymał się za pickupem w rozsądnej odległości. Coraz bardziej oddalali się od głównej ulicy, minęli przedmieścia i zaczęli krążyć bocznymi, wiejskimi drogami okręgu Montgomery. Kierowca jechał po mistrzowsku, nie mylił zakrętów, nie zbliżał się zanadto ani też nie pozostawał zbyt w tyle.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – powiedział Whit.

– No, wiesz. – Ike wzruszył ramionami. – Człowiek czasem musi się zachować, jak trzeba.

W ślad za złodziejem skręcili na lewo, w kolejną pustą drogę. Ike zerknął we wsteczne lusterko. Whit usłyszał odgłos samochodu nadjeżdżającego z tyłu. Policja, pomyślał z zadowoleniem.

Złodziej też zauważył trzecie auto. Zwolnił i zjechał na pobocze. Wyglądało na to, że się poddaje. Ike zatrzymał się za pickupem, a

uspokojony Whit obejrzał się za siebie. Za nimi zahamował nieoznakowany wóz. Whit czekał, aż wyskoczą z niego policjanci z bronią w ręku. Ze środka wyszedł jednak czarnoskóry facet, który miał wezwać policję na stacji benzynowej. Zdezorientowany Whit odwrócił się do Ike'a, pełen podejrzeń i na granicy wściekłości.

– Niewielka zmiana planów – oznajmił Ike w chwili, gdy nagle załaną słońcem okolicę zasłonił jakiś cień. Whit poczuł tępy ból promieniujący z dolnej części czaszki. Twarz Dce zaczęła mu migać przed oczyma. Cios, jaki zdołał zadać, minął szczękę kędzierzawego kierowcy. Czarny samochód zawirował. Endicott rzucił się do przodu i oburącz chwycił Dce'a za głowę. Coraz bardziej tracił ostrość widzenia, głowa przeciwnika wysunęła mu się z rąk. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył, zanim ogarnęły go ciemności, był kosmyk białych włosów.

Kiedy Dana po południu dotarła do biura, czekała tam już na nią przesyłka kurierska. Chwyciła ją i szybko otworzyła. W środku znajdował się starannie opakowany aparat fotograficzny Kirstie. Przewinęła kliszę i wyjęła rolkę. W końcu trzymała ją w ręku. Zamierzała wezwać Celeste przez interkom, ale się rozmyśliła. Postanowiła sama załatwić sprawę.

W pięknym upale przespacerowała się do punktu położonego o dwie ulice dalej. Film dotarł bezpiecznie do rąk jej zaufanych fachowców zajmujących się wywoływaniem zdjęć. Obiecali, że odbitki otrzyma jeszcze tego samego dnia, przed zamknięciem zakładu.

Kiedy znów zasiadła za biurkiem, do drzwi zapukał nieśmiało Travis. Biedny chłopak, pomyślała, przyzywając go gestem. Boi się, że wciąż jest w niełasce z powodu wykazu godzin. Miała ochotę mu powiedzieć, żeby się przestał martwić, ale w rzeczywistości zależało jej, aby sobie tę sprawę dobrze zapamiętał. Musi poszukać sposobu na odzyskanie zaufania.

– Jak tam było na miejscu wypadku dziś rano? – zapytała.

Travis usiadł i zdał jej sprawozdanie, jakiego oczekiwała. Trochę porozrzucanych szczątków obu wraków, które przetrwały drugą eksplozję, spakowali do toreb i wywieźli dochodzeniowcy z NTSB, więc niewiele zostało do roboty. Specjalista od metalurgii zabrał do laboratorium próbki popiołu i pyłu metalowego, a ekspert od widoczności sfotografował okoliczne wzniesienia. Zdjęcia wykorzysta w badaniach nad perspektywą, z jakiej katastrofę obserwowali świadkowie. I to wszystko.

Dana poinformowała Trávisa o incydencie z nagraniem głosu z kabiny

helikoptera oraz o układzie z Harrym Reillym. Travis poczerwieniał z gniewu. Kiedy przedstawiła mu swój własny dylemat moralny, zamyślił się głęboko.

– Powiem bez ogródek – odparł. – Nie masz obowiązku się wycofywać, chyba że twoje zeznanie nie okaże się niezbędne dla obrony Pennsteelu, zgadza się? A to zeznanie nie będzie konieczne, jeżeli istnieje zapis twoich wypowiedzi w czasie rozmowy, prawda?

– Prawda, ale takiego zapisu nie ma.

Travis podrapał się po plecach.

– Wczoraj wieczorem poczytałem sobie trochę o tych urządzeniach. Nagrywają przekazy radiowe z mikrofonów umieszczonych w Słuchawkach, jakie zakłada się na głowę, ale także inne dźwięki z kokpitu, wychwytywane przez mikrofon zamontowany w suficie.

Dana patrzyła na niego w skupieniu.

– Twój głos był słyszalny w kabinie, prawda? Przecież rozmawiałaś z Sullivanem.

– No tak, ale...

– Kilka lat temu zajmowałem się podobną sprawą. – Nasz człowiek nagrał faceta, który przyznawał się do winy, ale potem zapomniał o tym i na tę samą taśmę nagrał dwie godziny muzyki. Wynajęliśmy inżyniera dźwięku. Zrobił cuda. Odtworzył poprzedni zapis.

– Chcesz powiedzieć, że inżynier dźwięku mógłby odszukać mój głos na pokładowym magnetofonie? – Dana wpatrywała się w Hunta, który wzruszył ramionami. – Travis! To znakomity pomysł!

Jego twarz pojaśniała z zadowolenia. Dana wręczyła mu kasetę.

– Możesz się tym zająć natychmiast?

- Dołożę wszelkich starań.
 - Jak zawsze – skwitowała z uśmiechem.
- Travis z zażenowaniem spuścił głowę.

Jakiś czas później Dana poczuła mocny zapach płynu po goleniu – w drzwiach gabinetu stanął Clifford Austin.

- Masz chwilkę? – zapytał unosząc brwi.
- Jasne, wchodź.

Usiadł zakładając nogę na nogę. Ostre jak brzytwa kanty spodni nawet się nie załamały. Sztywny dżentelmen o wyniosłym sposobie bycia ani razu nie pojawił się w pracy w koszuli z krótkimi rękawami. Taki gość nie wpadałby, żeby sobie ot, tak pogadać. Dana była pewna, że przyszedł z jakąś sprawą.

- Chodzi o rachunki za Palazzo? – zgadywała.
- Tak. Zaczęła bronić decyzji w sprawie obciążenia godzin o jedną trzecią.
- To duże obciążenie, które musimy uregulować w chwili, gdy zaczniemy płacić wysokie sumy w związku z Alpine Valley.
- Charlie zawsze płaci rzetelnie, w terminie trzydziestu dni. Austin zacisnął usta.
- Pennsteel płaci – powiedział. – Morrison nigdy w niczym nie był rzetelny. Może z wyjątkiem niszczenia dowodów.

Dana zarumieniła się mocno.

- To kłamstwo. Gdyby w tym oskarżeniu było chociaż ziarnko prawdy, dawno wyrzuciliby Charliego z palestry.
- Tak doświadczony adwokat, jak ty dobrze wie, że to, co prawdziwe, i

to, co można udowodnić, to czasem dwie różne rzeczy.

Zerwała się z fotela.

– Ależ Cliff...

Ktoś cicho zapukał do drzwi, oboje się odwrócili.

– Przepraszam – powiedział czerwony jak burak Travis i zaczął się wycofywać. – Nie wiedziałem...

– O co chodzi? – warknęła.

– W końcu złapałem Brodera.

– Kogo? – Dana w pierwszej chwili nie miała pojęcia, o kim mowa. – A tak, Brodera. I gdzie on jest?

– Nadal w Filadelfii i planuje jeszcze jakiś czas się tu zatrzymać. Aha, i mówi jeszcze, że nie chce od ciebie pieniędzy. W gruncie rzeczy... – Travis zawahał się i zaczął poprawiać kołnierzyk koszuli. – Zasugerował nawet, gdzie możesz je sobie wsadzić.

Dana roześmiała się krótko, ze zdziwieniem. Travis zwiął.

– Wróćmy do naszych spraw, dobrze? – wtrącił Austin. – Ile twoim zdaniem wyniosą nasze zobowiązania w sprawie Alpine Valley?

Wciąż jeszcze wściekła zabrała się do liczenia. Siedem osób, przeciętnie jeden pięćdziesiąt za godzinę.

– Razem dwieście tysięcy – powiedziała w końcu. – Nie licząc mojego czasu. – I bez kosztów bieżących.

– Więc jak dużego depozytu potrzebujesz na honoraria?

Austin zaskoczył ją ponownie.

– Zamiast depozytu lepiej będzie wymusić szybkie zapłacenie rachunków za Palazzo.

– A jaka to różnica?

– Rozczarowujesz mnie, Dano. – Oparł ręce na kolanach i wstał. – Wpłacenie depozytu spowoduje, że możliwe będą dyskusje o wysokości honorariów. Natomiast finalne rozliczenie powinno raz na zawsze zamknąć sprawę Palazzo.

Patrzyła, jak Clifford kieruje się do wyjścia. Wystawiła dobry, uczciwy rachunek za sprawę Palazzo. Aby to móc zrobić, naraziła na szwank swoje stosunki z Travisem i nie musi zastawiać pułapki na klienta, aby zapłacił.

– Clifford, chcę dorzucić jeszcze jeden punkt na następne posiedzenie wspólników.

– Wszyscy znamy twoje poglądy na temat systemu wyceny pracy – powiedział Austin znużonym głosem. – Połowa z nas recytuje je już przez sen.

– Nie o to chodzi. Mam na myśli czas pracy pomocników. Musimy całkowicie zmienić system. Zmniejszyć minimalne wymagania roczne. Obciąć czas powyżej dwóch tysięcy dwustu godzin. Wprowadzić równowagę w życie tych dzieciaków.

Pokiwał głową z zadowoloną miną.

– Znasz takie stare powiedzenie: Jeśli coś działa, lepiej tego nie naprawiać?

– Cliff, to już się zawaliło.

– Dane o naszych zyskach dowodzą czegoś innego – przerwał jej, zanim zdążyła wytoczyć następny argument. – Pewnego dnia zdasz sobie sprawę, że taki układ jest dla ciebie idealny. Możesz przyciągać klientów, wygrywać procesy, ale gdyby ci kazano prowadzić tę firmę, nie potrafiłabyś sporządzić listy płac. Bo to jest biznes. Twoje talenty sprawiają, że nie musisz prowadzić interesu sama, więc proszę, nie

torpeduj wysiłków ludzi, którzy kierują kancelarią dla ciebie.

Kiedy jakiś czas później zadzwonił telefon, w powietrzu unosił się jeszcze aromat płynu po goleniu.

– Pan Morrison – oznajmiła Celeste przez interkom.

– Charlie – odezwała się Dana do słuchawki. – Przed chwilą był tu twój stary przyjaciel Clifford Austin.

– Tak? Jak się czuje ten sztywniak numer jeden? Czy to już pełne stężenie pośmiertne?

– Niewiele brakuje.

– Jak postępuje dochodzenie? Czy masz złe wiadomości, których nie możesz mi oszczędzić?

– Obawiam się, że tak.

Charlie bez komentarza wysłuchał relacji na temat konferencji prasowej Iry Thompsona i spotkania Dany z Harrym Reillem.

Kiedy skończyła, usilnie starał się zademonstrować dobre samopoczucie.

– A więc zdobyłaś dla nas dane z radaru, a także prawo zorganizowania prezentacji dla NTSB. Jeżeli będą przyznawać punkty tej stronie, która ma najlepszego adwokata, to musimy zwyciężyć.

Uśmiechnęła się, choć optymizm Morrisona był zupełnie nie na miejscu.

– Ale jest i pewien szkopuł, Charlie. Nie będę mogła działać jako twój adwokat, jeżeli przyjdzie mi zeznawać na temat mojej rozmowy z Victorem.

Morrison głośno wciągnął powietrze do płuc.

– Kodeks etyczny, co?

– Właśnie.

– No to nie będziesz zeznawać – powiedział bez wahania. – Ale wtedy stracimy prezentację dla NTSB.

Nastąpiła długa, męcząca cisza.

– Charlie?

– W porządku, jestem tutaj. Cóż, nigdy się nie osiągnie pełni szczęścia, prawda?

Dokładnie to przyszło jej do głowy, ale odpowiedziała:

– Nie próbuj odbierać mi zajęcia.

– Co takiego?

– To znaczy nie martw się. Chyba pamiętasz, że to ja biorę pieniądze za borykanie się z problemami.

– Zgadza się.

– A poza tym, może i z tego jakoś uda się wybrnąć. Travis szuka inżyniera dźwięku, który spróbuje odtworzyć mój głos na nagraniu z helikoptera. Jeśli się uda, nie będę musiała zeznawać pod przysięgą.

Roześmiał się.

– Dlaczego nie mówisz tego od razu, tylko mnie najpierw denerwujesz?

– Bo w razie czego powinieneś pomyśleć o innym adwokacie.

– O nie. Nie będę o niczym myślał. Za to przecież płacę tobie. A skoro już o tym mowa... – W słuchawce rozległ się szelest papierów. – Wczoraj dostałem prośbę o kontakt od Dona Caselli. A może przedwczoraj.

Don Casella był czołowym specjalistą od sporów prawnych w firmie adwokackiej „Foster, Bell & McNeill”; Dana kilkakrotnie skrzyżowała z nim szablę w ciągu swej kariery.

– Po co do ciebie dzwonił?

– Nie wiem. Chyba w związku z katastrofą. Skontaktuj się z nim w moim imieniu, dobrze?

– Jasne.

Odłożyła słuchawkę ze świadomością, że musi się zająć kolejną sprawą. Ostatnio, to znaczy od czasu, gdy Casella ożenił się z jedną z asystentek pracujących w jej firmie, ich spotkania miały charakter pokojowy. Dana pamiętała jednak, że jest on głównie groźnym przeciwnikiem.

Stanowczo za wielu mam tych adwersarzy, pomyślała. Po chwili uświadomiła sobie, że wpatruje się w twarz Whita. Mąż spoglądał na nią z rodzinnej fotografii, stojącej na biurku. Gwałtownie odkręciła fotel.

Jeszcze tego samego dnia dostała przesyłkę z biura Harry'ego Reilly'ego. Gruby plik danych radarowych od razu przekazała Johnowi Diefenbachowi.

Potem Travis poinformował ją, że znalazł odpowiedniego inżyniera. – Dźwiękowiec już zabrał się do roboty nad taśmą z nagraniem z helikoptera.

– Doskonale, dziękuję – powiedziała.

Travis przebierał nogami przy drzwiach.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Przyznaję, że trochę podsłuchiwałem – mruknął. – Kiedy ty i Cliff mówiliście tak głośno...

Podniosła głowę z uczuciem winy.

– Zastanawiam się, o co mu chodziło z Charliem Morrisonem.

Dana zawahała się przez moment.

– Zamknij drzwi – powiedziała odchylając się w fotelu. – Wiesz, że Charlie był tu kiedyś asystentem.

– Tak, zawsze mnie ciekawiło, dlaczego odszedł.

– Powierzono mu przygotowanie dokumentacji do jednej ze spraw Austina. Pracował nad tym trzy tygodnie, przekopał akta dotyczące wszystkich naszych klientów, a na koniec dostarczył prawie trzy tysiące stron danych. Tyle że pół godziny później do Austina zadzwonił adwokat strony przeciwnej ze skargą, że nie dostał jednego dokumentu, na którym mu zależało. Chodziło o coś w rodzaju książki skarg i zażaleń, pisanej odręcznie. Miał na myśli oryginał, rzecz jasna, bo żadnych kopii nie robiono. Nasz klient zarzekał się, że przekazał ją Charliemu, Charlie przysięgał, że w życiu nic takiego nie widział. Austin uwierzył klientowi i to w zasadzie był koniec kariery Charliego.

Travisowi zbiełały wargi.

– Niewiele trzeba, co? – powiedział omdlałym głosem. – Jednego dnia człowiek jest na świeczniku, a następnego...

Nie dokończył zdania. Utkwił oczy w podłódze.

Dana przyjrzała mu się uważnie.

– Co się stało? – zapytała.

Zadzwonił telefon, ale zaczekała, aż odbierze go Celeste.

– Ze mną? Nic.

– Zapomnij już o tym rachunku za Palazzo.

Znowu zadzwonił telefon, a Celeste i tym razem nie podnosiła słuchawki.

– Muszę wracać do pracy – oznajmił Hunt.

Patrzyła z rozbawieniem, jak Travis wychodzi z gabinetu. Kiedy

dzwonek rozległ się po raz czwarty, zdała sobie sprawę, że minęła już piąta i sekretarka wyszła z biura.

Chwyciła słuchawkę, zanim włączyła się poczta głosowa.

– Halo?

– Dana? Czy to rozmowa na żywo, czy automatyczna sekretarka?

– Angela!

– Słuchaj, wiem, że masz od cholery pracy, ale zrób sobie czasem przerwę. Muszę z tobą pogadać.

– Bardzo mi przykro...

– Błagam. Spotkajmy się za dwadzieścia minut w „Morgan’s”.

– Angelo, nie sądzę...

– Na pewno mnie zauważysz. Będę tam jedyną osobą, która nie gada do dyktafonu. Na razie!

Angela Leoni była wyjątkowym prawnikiem – mówiła głośno, ubierała się krzykliwie, pogrywała twardo. Wychowywała się w drugorzędnych szkołach i na ulicy. Praktykowała jako adwokat z Frankiem Doylem – w każdym razie do chwili, kiedy trafił do więzienia federalnego. U lekarza-narkomana, gotowego za sto dolarów podpisać każdy papier, załatwił sobie lewe ubezpieczenie w wysokości dwóch milionów dolarów. Potem forsa poszła z dymem, tak samo jak licencja Doyle’a. Kiedy odsiadywał wyrok, Angela zdołała utrzymać kancelarię, a nawet doprowadzić praktykę do rozkwitu. Niedawno Frank wyszedł na wolność i udawał, że pracuje w firmie jako pomocnik Angeli, która oddawała mu połowę zysków. Sypia z nim od piętnastu lat i stała się najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miała żona Franka i jego dzieci.

Dana z rozrzewnionym wyrazem twarzy odłożyła słuchawkę. Niczego

bardziej nie pragnęła niż posiedzieć z Angela przy drinku, ale ledwie starczało jej czasu w ciągu doby. Nie miała ani minuty na rozrywkę.

Pisk nie naoliwionego kółka wskazywał, że na korytarzu znajduje się wózek rozwożący pocztę po biurze. Chwilę później do gabinetu wszedł posłaniec z kilkoma paczkami. Wśród nich była przesyłka z „Joplin Photos”. Dana z radosnym okrzykiem otworzyła kopertę. Ze środka wypadło sześć zdjęć: pięć fotografii prezentowało wyłącznie zielononiebieską wodę, jedna nazywała wystraszoną buzię Katriny. Dana z zaskoczeniem zaczęła oglądać kopertę ze wszystkich stron, ale nic więcej nie znalazła.

Do przesyłki dołączono notatkę „Pani Svenssen, pozostała część filmu nie została naświetlona. Kiedy robi pani zdjęcia w pomieszczeniu, proszę korzystać z flesza. Jeżeli życzy sobie pani, żebym rozjaśnił niektóre fotografie, proszę dać znać”.

Podniosła negatyw, aby obejrzeć zdjęcia w świetle lampy. Joplin miał rację – tylko sześć klatek zostało naświetlonych. Z tego wynika, że Kirstie włożyła do aparatu nowy film. A więc gdzie jest poprzednia, wykorzystana klisza?

Dana sięgnęła po telefon i zadzwoniła do ośrodka „Gościnne Domki Fulmera”. Po dwunastu sygnałach znów włączyła się telefonistka:

- Pod tym numerem nikt nie odbiera.
- Proszę więc przekazać, że czekam na telefon. Sprawa jest pilna.
- Dobrze, ale oni przed chwilą wyszli na spacer po molo w Ocean City.

Podejrzewam, że nie wrócą wcześniej niż o dziewiątej.

Dana zostawiła wiadomość, by córka zadzwoniła bez względu na porę. Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na zegarek. Było dopiero wpół do szóstej

– miała przed sobą długi i pełen niepokoju wieczór.

Westchnęła głęboko, złapała torebkę i wyszła z biura.

Dawniej budynkiem odpowiednim na siedzibę filadelfijskiej firmy prawniczej był dom, w którym cały parter zajmował bank, może jeszcze ze stanowiskiem pucybuta i kioskiem z gazetami upchniętym gdzieś w rogu. To jednak zmieniło się wraz z nowymi budowlami, wznoszonymi w latach osiemdziesiątych. Teraz we wszystkich biurowcach, na pierwszej kondygnacji standardowo lokowało się butiki i bistra. Mimo że wynajem pomieszczeń na takie cele często przynosi straty właścicielom gmachów, stanowią one prawdziwe błogosławieństwo dla szefów firm prawniczych. Młodych pracowników zachęca się do korzystania z usług miejscowych restauracji w porze lunchu, a nawet do spędzenia w nich godzinki dla złapania oddechu, pod warunkiem jednak, że wrócą do pracy, zanim zdążą wypić trzeciego drinka. Im bardziej zatrudnieni trzymają się wyznaczonych godzin pracy, tym lepiej. Tego rodzaju myślenie spowodowało, że kancelaria „Jackson, Rieders” zbudowała na miejscu salę gimnastyczną. Hasło brzmiało: „Zadbaj o tężyznę fizyczną oraz zadowolenie pracowników i trzymaj ich na miejscu”.

„Morgan’s” była niczym nie wyróżniającą się restauracją, serwującą burgery po osiem dolarów w porze lunchu i rozgotowaną pastę wieczorem. Mimo to stanowiła Mekkę dla ludzi szukających godziny miłej rozrywki. Dana wpadła w sam środek gęstego tłumu, zanim zdołała się przebić do drzwi. Całą przestrzeń od wejścia do obszernej sali wypełniali młodzi ludzie. Gdyby nie bar i widok mężczyzn w doskonale skrojonych garniturach, można by pomyśleć, że trafiło się na parkiet nowojorskiej

giełdy.

Angela stanęła na krześle przy jednym z nielicznych stolików i pomachała do Dany rękoma. Znajdujący się w pobliżu mężczyźni wyrażali głośno uznanie dla biustu Angeli, który znalazł się na poziomie ich oczu. Była kobietą niską i kształtną, o szlachetnym rysunku ust, z burzą czarnych, wytapirowanych włosów. Miała na sobie stanik w stylu Madonny, noszony pod sukienką o jeden numer za małą. Z wyglądu przypominała uczennicę z katolickiej szkoły Najświętszej Panny Marii ze Stiletto i stanowiła żywy dowód, że z nikogo nie sposób wyrwać przeszłości, spędzonej w południowej Filadelfii.

Zeskoczyła na podłogę i powitała przyjaciółkę uściskiem, który byłby łatwiejszy do wykonania, gdyby została na krześle – nawet na dziesięciocentymetrowych obcasach sięgała Danie do podbródka.

– Już zamówiłam. Nadal pijesz te swoje szprycerki? – zapytała.

– Tak, dziękuję. – Dana zajęła miejsce. – Co słychać? Wyglądasz znakomicie.

Angela też usiadła i założyła nogę na nogę.

– No cóż, nie wszystkie możemy być wysokimi, przystojnymi blondynkami, więc wykorzystujemy to, co nam zostało dane. A co u ciebie? Jak tam Whit i dzieciaki? – zapytała.

Czasami zadawane taśmowo pytania Angeli były prawdziwym błogosławieństwem.

– Doskonale. W tym tygodniu są nad morzem razem z moją siostrą i jej dziećmi. Widziałaś ostatnio Mirellę?

Mirella Burke, wspólna przyjaciółka, też pracowała w kancelarii prawniczej. Piętnaście lat temu poznały się na kursie przygotowawczym

dla młodych prawników, zorganizowanym przez radę adwokacką. Szybko zawarły znajomości, niczym żołnierze siedzący w okopach.

Angela pokręciła głową i zrobiła zde gustowaną minę.

– Cholera jasna, ją prawie tak samo trudno dorwać, jak ciebie. Prowadzi duże dochodzenie w sprawie narkotyków i jeżeli nie siedzi w wielkiej ławie przysięgłych, to gdzieś ją nosi razem z agentami federalnymi – mówiła Angela. Nagle jej wyraz twarzy się zmienił. – Popatrz, tam jest Don Casella. Teraz rzadko go spotykam. Zresztą nigdy nie widywałam się z nim tak często, jakbym chciała. Ożenił się. To dopiero strata, co?

– Och. – Dana odwróciła się i zobaczyła Casellę przy barze. – Właśnie miałam do niego zadzwonić. Wybacz, Angelo, to potrwa dwie minutki.

– No, ładnie! – zawołała Angela. – Porzucasz mnie dla pierwszego przystojniaka, jakiego zauważysz.

Casella stał przy kontuarze z drinkiem w ręku; Dana zawołała nad głowami innych gości:

– Masz minutkę, Don?

Dostrzegł ją i zwinnie przecisnął się przez tłum. Kiedy był młodym prawnikiem, zaczynającym karierę w palestrze, ludzie nazywali go nieoszlifowanym diamentem. Teraz, kiedy osiągnął czterdziestkę oraz szczyt formy, wszystkie kanty zostały pięknie wygładzone. Bardzo zadbany, konserwatywnie ubrany mężczyzna stanowił oczywisty wyjątek od reguły, sprawdzającej się w przypadku Angeli: nie pozostało w nim nic z południowej Filadelfii.

– Dobry wieczór, Dano.

– Miałam do ciebie dzwonić.

Uśmiechnął się w wystudiowany sposób. – Damy zawsze mi tak mówią.

Nie pociągał jej za bardzo w czasach, kiedy kobiety latały za nim jak szalone. Nie okazał się też bardziej atrakcyjny jako mężczyzna żonaty, ale traktowała go poważnie w roli prawnika. W całym mieście nie było lepszego specjalisty od skomplikowanych spraw związanych z przestępstwami gospodarczymi.

– Nie o to chodzi – sprostowała. – Charles Morrison prosił mnie, żebym się z tobą skontaktowała w jego imieniu.

– No tak, sam pomyślałem, że może właśnie z tobą powinienem porozmawiać. W tym tygodniu wszyscy mówią o pani Danie Svenssen. Postawić ci drinka?

– Nie, dziękuję, już zamówiłam.

Jakiś mężczyzna z teczką w ręce potracił ją z tyłu i wymamrotał przeprosiny, ledwie odwracając głowę. Casella wskazał wolne miejsce pod ścianą.

– O co chodzi? – zapytała lekkim tonem. – Tylko mi nie mów, że Pennsteel jest zamieszany w wielką malwersację. – Ściszył głos i zmienił ton na złowieszczy. – Sam bardzo bym chciał, żeby tak nie było.

Dana oparła się plecami o ścianę. – Nie rozumiem...

– W ubiegły piątek prezes zarządu Pennsteelu powiedział, że jako reprezentant porządnej firmy obiecuje uprzątnąć teren Alpine Valley i sfinansować koszty naprawy.

Dana patrzyła mu w oczy, starając się ukryć przerażenie.

– Reprezentujesz park rozrywki? – zapytała.

– Owszem, i wierz mi, ich to wcale nie bawi. Zdajesz sobie sprawę,

jaką wartość w tym biznesie ma tydzień w sierpniu? Mówimy o gigantycznych sumach z tytułu utraconych zysków.

Dana przypominała sobie wydarzenia ostatnich dni. Austin miał polecić wspólnikowi, Billowi Moranowi, aby przejął kontrolę nad sprzątaniami. Telefonowała do Morana w poniedziałek i zostawiła mu wiadomość, ale dziś jest środa, a on nie poszedł za ciosem. Ona zresztą też nie dopilnowała sprawy, a przecież sama zaproponowała, żeby Pennsteel zobowiązał się do przywrócenia porządku.

– Dan, bardzo przepraszam. Miałam się tym natychmiast zająć, ale spadło mi na głowę trylion spraw...

– A teraz będzie ich jeszcze o trylion więcej. Ale coś ci powiem, Dano. Z naszego punktu widzenia nie jest za bardzo istotne, kto ponosi odpowiedzialność za katastrofę. Pennsteel przyrzekł, że zrobi porządek. Jedyne problem sprowadza się do kwestii, kto wystartuje pierwszy: Pennsteel czy ja;

– Pennsteel – odpowiedziała szybko. – Wstrzymaj się z pozwem. Daj nam szansę.

– Spotkaj się ze mną i swoimi ludźmi w parku rozrywki w poniedziałek, o dziesiątej rano. Postanowimy, co robić dalej.

Casella odszedł do stolika, przy którym siedzieli jego wspólnicy. Dana wróciła do Angeli.

– Wybacz – przeprosiła.

– Kłopoty?

– A cóżby innego?

– Ach te chłopcy – sarknęła Angela. – Nie da się z nimi żyć, a bez nich nie sposób się procesować.

Kelnerka z wielką wprawą znalazła w tłumie drogę do ich stolika i postawiła przed Daną wino z wodą sodową, a przed Angelą szkocką z lodem. Dana sięgnęła po portfel, ale przyjaciółka zareagowała szybciej. Rzuciła na tacę dwadzieścia dolarów.

– Ja płacę.

– Nie, przez telefon mówiłaś...

– Udawałam, żeby cię zachęcić do przyjścia. To ma być praca, nie zabawa. Barmanka szukała reszty. Dana pociągnęła łyk napoju, zastanawiając się, w czym rzecz. Firma „Doyle & Leoni” zajmowała się sprawami rozwodowymi i mniej poważnymi roszczeniami indywidualnymi. Przez piętnaście lat służbowe drogi Dany i Angeli nigdy się nie krzyżowały.

– No więc – zaczęła Angela, kiedy kelnerka odeszła – chodzi o to że, jak się dowiedziałam, reprezentujesz firmę, której helikopter niedawno rozbił się w parku rozrywki.

Zaskoczona Dana odchyliła się na krześle.

– Zgadza się.

– Tam były dzieci Frank’ego, dokładnie na miejscu zdarzenia. Frankie to oczywiście Frank Doyle, dawny partner i wieloletni kochanek Angeli.

– O Boże! Coś im się stało?

– Są w straszliwym szoku. Nawet nie masz pojęcia, jakim.

Dana pomyślała, że jednak może to sobie wyobrazić, ponieważ były tam również jej córki.

– Miałam na myśli obrażenia fizyczne – sprecyzowała.

– Wymiotują, nie mogą spać. Psycholog twierdzi, że to bez wątpienia syndrom związany z przeżyтым stresem. Te blizny zostaną im już na

zawsze.

Dana nie zdołała opanować śmiechu.

– Angelo, minęło dopiero pięć dni. To za mało, żeby się pojawiły choćby strupy.

– Lekarze znają się na rzeczy. Dzieciaki odbyły już dwie sesje, a czeka je jeszcze długie leczenie. Dlatego pytam, co zamierzasz z tym zrobić?

– Co ja zamierzam z tym zrobić? – powtórzyła Dana ze szczególnym naciskiem.

Angela prychnęła niecierpliwie.

– No, rozumiesz, chodzi o ten helikopter.

– Nie, nie rozumiem. W wypadku uczestniczył też samolot.

– Tak, ale nie ubezpieczony.

– A więc chodzi wam o forszę?

– Daj spokój, Dano, nie udawaj Greka.

– To ty daj spokój, Angelo. Dobrze wiesz, że nie możesz dostać odszkodowania za szkody psychiczne, jeżeli nie ma obrażeń fizycznych.

Teoretycznie była to prawda, chociaż sądy w stanie Pensylwania znęcały się nad wspomnianą regułą od mniej więcej stu lat. Wykroiliły sobie wyjątek dla powodów, którzy widzieli wypadek, jakiemu uległ członek ich rodziny, albo chociaż słyszeli jego odgłosy. Trudno było przewidzieć, jak uda się rozciągnąć i nagiąć tę zasadę w przypadku, gdy setki dzieci przebywały w parku podczas katastrofy.

Angela oczywiście też wzięła pod uwagę ten fakt.

– Przypuszczam, że z tym zdołam sobie poradzić – powiedziała. Pociągnęła spory łyk whisky.

– Ale nie przeprowadziłaś jeszcze nawet pobieżnego dochodzenia. Jak

możesz domagać się pieniędzy od Pennsteelu, jeśli nie masz zielonego pojęcia, kto ponosi winę? Zresztą chyba nikt tego nie wie.

– Posłuchaj. – Angela pochyliła się nad stołem. Oparła na nim łokcie. – Nie chcemy występować do sądu. I myślę, że i wam na tym nie zależy.

Nawet ślepy dostrzegłby, o co powinno jej chodzić. Nie zamierzają występować z pozwem, ponieważ nazwisko Doyle'a nie pojawi się w dokumentach. Ktoś może przyjrzeć się im uważniej i stwierdzić, że Frank nadal prowadzi praktykę, chociaż stracił licencję. Z kolei Pennsteel z pewnością wolałby, żeby setki ludzi nie wystąpiły do sądu z pozwami, po przeczytaniu w gazecie, że zrobił to Doyle.

Dana poprawiła się na siedzeniu.

– Sformułowaliście już żądania? – zapytała.

– A ty masz jakąś propozycję? – odbiła piłeczkę Angela. W takich potyczkach nikt nigdy nie chce rozpocząć licytacji.

– Nie, i nie zaproponuję niczego bez obszerniejszych informacji. Nie wiem nawet, ile dzieci wchodzi w grę; w jakim są wieku; gdzie się wtedy znajdowały; co widziały.

– Wszystkie te wiadomości mogę ci dostarczyć.

– Będzie mi też potrzebny raport psychologa.

– Załatwione.

Załatwione? Jaki lekarz napisze taką opinię na podstawie dwóch spotkań, przeprowadzonych w ciągu czterech dni po wypadku? Dana wiedziała, kto to może być. Ktoś podobny do faceta, który pomógł Doyle'owi zgarnąć dwa miliony dolarów z ubezpieczenia na podstawie fałszywych papierów.

Dana odstawiła szklanę.. – Poczowała nagły przypływ złości.

Zapraǳnęła, aby cała sprawa stała się czymś więcej niż tylko ǳierką o frajerskie pieniądze.

– Zastanowiłam się, Angelo – odparła. – Lepiej będzie, jak wystąpicie z pozwem do sądu. Przedstawimy swoje ustalenia zgodnie z obowiązującymi przepisami. Rozumiesz, wszystko odbędzie się uczciwie.

Przy stoliku zapadło lodowate milczenie.

– Popełniasz błąd, Dano – powiedziała po chwili Angela.

– Nie po raz pierwszy w tym tygodniu – odpowiedziała wstając. – Niedługo zadzwonię. Umówimy się na lunch, dobrze?

Odwróciła się i ruszyła prosto do wyjścia, przedzierając się przez tłum. Pewnie rzeczywiście zrobiła błąd. Doyle może ustąpić, ale równie dobrze może iść dalej i wywołać lawinę setek identycznych pozwów. Co więcej, nie wszystkie będą pozbawione podstaw. Weszła do windy i oparła się o ścianę. Nie miała wątpliwości, że w dniu katastrofy wiele dzieci przeżyło ciężki szok. I te, które patrzyły na poparzonych, i te, które spędziły upiorne pół godziny, uwięzione w kolejce górskiej. I może także jej własne córki.

Dziewczynki w końcu zadzwoniły późnym wieczorem. Szczebiotały jedna przez drugą i walczyły o pierwszeństwo przy telefonie. Były na deptaku w Ocean City. Katrina po godzinnych zmaganiach wygrała wypchaną pandę. Dana obliczyła, że zdobycie zabawki musiało kosztować z pięćdziesiąt dolarów. Córki zapewniały, że nie zapominają smarować się kremem z filtrem, ale jednak Irina spaliła sobie ramiona, a z noska Kirstie schodzi skóra. Przez całe rano Trina siedziała w wodzie, a kiedy wyszła, jej kostium kąpielowy był pełen mokrego piasku. Kirstie niemiłosiernie wyśmiewała się z siostry z tego powodu.

– Kirstie – wtrąciła się Dana, kiedy dziewczynki wreszcie przerwały, by zaczerpnąć powietrza. – Kiedy w sobotę rano wyciągałaś z mojej torby aparat fotograficzny, była w nim rolka filmu?

– Pewnie. Mamusiu, przecież sama robiłaś zdjęcia, zapomniałaś?

– Kochanie, teraz dobrze się zastanów i przypomnij sobie, gdzie położyłaś tę kliszę.

– No... oczywiście do zamrażalnika.

– Gdzie?

– Do lodówki. Dziadek Svenssen mówi, że tam powinno się przechowywać filmy. Jest chemikiem, więc się na tym zna.

Dana wstała i ze słuchawką przy uchu poszła do kuchni. Sznur był na tyle długi, że mogła dosięgnąć lodówki. W szufladzie zamrażalnika, między główką sałaty i pęczkiem marchewek leżała mała pomarańczka i czarna kasetka z filmem.

Dana parsknęła śmiechem. Klisza cały czas spokojnie leżała, w miejscu, gdzie nikt by jej nie szukał. Bezpieczna, nie tknięta, gotowa do wywołania. Dana zamknęła lodówkę i uszczęśliwiona wróciła na kanapę.

– Gdzie tatuś? – zapytała Trina.

– Tak, daj nam tatę – zawtórowała Kirstie.

Dobry nastrój natychmiast opuścił Dane.

– Pracuje teraz w bibliotece – powiedziała. Kłamstwo było mało wiarygodne nawet dla jej córeczek, ale dodała: – Bardzo dobrze mu dzisiaj idzie z pisaniem. Nie chciał nawet przerwać na obiad.

– W porządku – ustąpiła natychmiast Kirstie.

– Porozmawiamy z nim wtedy, gdy nie będzie miał już nic więcej do napisania – dodała Trina.

– Kocham was. Niedługo znów zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę. Wstydziła się, że skłamała, ale jeszcze bardziej była zawstydzona postępowaniem Whita.

Paliło się światełko automatycznej sekretarki. Wcisnęła guzik, żeby odtworzyć nagrane rozmowy.

– Stary – odezwał się nieznany głos. Ktoś mówił dialektem rzadko słyszonym w Valley Forge. – Czy nie mieliśmy się spotkać dziś wieczorem o ósmej? Olewasz mnie?

To z pewnością pomyłka. Dana chciała wykasować zapis, ale włączyła się następna rozmowa.

– Hej, Whit – rozległ się ten sam głos, co poprzednio. – Gdzie jest ten gość, który uczył mnie, jak być legendą dla pań?

A więc ten facet nie pokręcił numerów. Dana przez chwilę wpatrywała się w telefon. Wstała z kanapy. Za oknami zapadał zmrok. Otworzyła

drzwi w saloniku i wyszła na taras. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Idąc brzegiem basenu, czuła, jakby brodziła w wodzie. Jej ciało pokryło się błyszczącym potem. Bluzka i rajstopy przylgnęły do skóry. Weszła do przebieralni, zgasiła światła nad basenem, zdjęła ubranie.

Powietrze nie ochłodziło nagiej skóry, ale kiedy Dana wskoczyła do basenu, woda niemal ją zmroziła jak arktyczna bryza. Zaczerpnęła powietrza, zanurzyła się w mrocznej toni i przepłynęła całą długość basenu. Wynurzyła się dopiero po drugiej stronie w gejzerze srebrzystych kropel. Na niebie mrugały gwiazdy. Przewróciła się na wznak. Biernie unosiła się na powierzchni, wreszcie leciutka jak piórko w ciężkim, gęstym powietrzu.

Dana przypomniała sobie podobne noce z przeszłości. Późnym wieczorem, kiedy dziewczynki już usnęły, siadała obok Whita na bujanej kanapce, otwierali butelkę dobrze schłodzonego chardonnay, potem zrzucali ubrania i zanurzali się w wodzie. Wymieniali pocałunki, czując na ustach smak wina i pożądania. Wychodzili na brzeg i wili sobie miłosne gniazdko z ręczników. Niekiedy nawet budzili się w tym miejscu o różowym świcie, splątani ramionami i nogami.

Dana stanęła na kafelkowej posadzce, robiąc dużą kałużę z chlorowanej wody. Patrzyła na rozciągającą się poniżej dolinę. Na dole połyskiwały tysiące światel, a daleki, zgłuszony szum samochodów jadących autostradą docierał na górę, złagodzony, jakby owinięto go wilgotną gazą i watą.

Tu jest tak jak na szczycie świata, powiedział Whit, kiedy zdecydowali się na zakup działki.

Ale ten szczyt to jedynie punkcik na kuli ziemskiej, wirujący tak szybko wokół własnej osi, że Dana straciła orientację, która droga

prowadzi w górę, a która na dół. Wiedziała tylko, że Whit od niej odszedł. Nie ma go od dwóch dni, właśnie zaczyna się trzecia noc, a on nie odezwał się ani słowem.

Podniosła ubranie, wróciła do domu i skasowała obydwie nagrania poczty głosowej.

Kiedy wreszcie zdołała zasnąć, zadzwonił telefon przy łóżku.

– Posłuchaj – odezwał się niski głos. Mężczyzna nawet się nie przedstawił. Nie silił się też na wstępne grzeczności. – To jest zupełnie nieoficjalna rozmowa, rozumiesz? Mam wyrzuty sumienia w związku z dzisiejszym rankiem, więc chcę ci zrobić prezent.

Dana usiadła na brzegu łóżka. – Dzwonił Harry Reilly z NTSB. Jeżeli nie chce wymienić swojego nazwiska, to i ona tego nie robi.

– W porządku – odpowiedziała powoli.

– To ściśle poufna informacja. FBI i BATF prowadzą niezależne dochodzenie. Zależy im, żeby nic się nie wydostało na zewnątrz. FBI? Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej?

– Mój Boże, o co tu chodzi? – Zapaliła nocną lampkę. Mały krążek światła pojawił się na blacie szafki.

– Znaleźliśmy coś na miejscu zdarzenia. Musiało spadać oddzielnie, bo leżało sto metrów od wraków i prawie że nie było naruszone przez ogień. To nie ma nic wspólnego z przyczyną wypadku, ale może chciałabyś ten wątek pociągnąć dalej.

– Mhm – Dana znalazła pióro i notatnik.

– To skrzynia z MP-5K.

Dana aż zaniemówiła na moment.

– Masz... masz na myśli karabiny? – wyjąkała.

– Tak, karabiny maszynowe.

– A co by Loudenberg robił z taką bronią?

– Zaraz, zaraz, nikt nie powiedział, że skrzynia wypadła ze skyhawka. –

Daj spokój. Dobrze wiesz, że prezes Pennsteelu nie był zamieszany w przemyt broni.

– Niczego nie wiem.

Harry wyłączył się. Dana zacisnęła usta i odłożyła słuchawkę. Nikt nigdy się nie dowie. Na tym w gruncie rzeczy polega ciężar dowodów.

W hit obudził się z ostrym, tępym bólem głowy i paskudnym uciskiem w brzuchu, jakby mu się zbierało na wymioty. Przypominało to najgorszego kaca, jakiego człowiek może się dorobić. Whit nie zdziwił się więc, że leży koło sedesu. Ale kiedy trochę doszedł do siebie, zaczął się zastanawiać, dlaczego pokrywa ubikacji jest zamknięta, a w pomieszczeniu panuje ciemność.

Podniósł się i zaczął macać dookoła siebie wyciągniętymi rękami. Palce natrafiły na ścianę po jednej i drugiej stronie; toaleta miała nie więcej niż dwa metry szerokości. Odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, powtórzył wcześniejszą operację i odszukał dwie pozostałe ściany, przednią i tylną. Dzieląca je odległość była podobna. Zaczynał wątpić, czy to naprawdę toaleta. Ale na środku stało coś, co wyglądało jak sedes.

To jednak musi być kabina w ubikacji, uznał. Na pewno wszedł tutaj, zanim urwał mu się film, a ktoś na zewnątrz zgasił światło. Zresztą to bez znaczenia. Teraz najważniejsze było, jak się wydostać.

Wstał. Poczul zawrót głowy. Wyciągnął ręce, żeby uchwycić górną krawędź drzwi kabiny, ale trafił na solidną, pełną ścianę. Zaczął macać wyżej, ale wciąż miał pod palcami gładką, plastikową powierzchnię. Zachwiał się. Odczekał chwilę, aż odzyska równowagę i znów przytknął do ściany obie ręce. Wyciągał je coraz wyżej, aż do sufitu.

Nie było drzwi jak w zwykłej kabinie. To pewnie przenośna latryna, pomyślał. Spotyka się takie na rogach ulic w Paryżu lub na weselnych przyjęciach, organizowanych na świeżym powietrzu. Whit potrafił sobie

wyobrazić, że przestał kontaktować w męskiej toalecie w jakimś barze, ale nie mógł pojąć, jakim cudem wylądował w przenośnej kabinie.

Ciekawe, czy bardzo narozrabiał. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że trzymał w rękach głowę faceta, który mu się wymknął. Z tego wynika, że był kompletnie zalany.

Otóż wcale nie! – Nagle sobie wszystko przypomniał. Wracał do domu... ukradli mu pickupa.

Złodziej się jednak zatrzymał.

Facet o imieniu Ike powiedział: „Niewielka zmiana planów”.

Whit wszystko zrozumiał: stał się ofiarą psoty wymyślonej przez studentów. Odwrócił się. Pomacał przednią ścianę. Tym razem jego palce trafiły na szparę. Tak to drzwi, pomyślał. Opuścił rękę, żeby poszukać klamki. Nic z tego.

– Może to toaleta dla mańkutów – zastanowił się głośno, dalej szukając po omacku. I znowu fiasko.

Obmacał dokładnie całe drzwi. Wykrył trzy dziurki na śruby w miejscu, gdzie powinna być przymocowana klamka.

Co to za rozróżba? Uderzył pięścią w plastik i krzyknął:

– Hej, otwórzcie! Wypuście mnie!

Potem czekał, nasłuchiwał, ale nic się nie działo. Walił dalej, wrzeszczał. I nic.

W środku panowała potworna duchota. Whit ściągnął kurtkę i powachlował trochę. Potem wszedł na pokrywę toalety i zaczął obmacywać sufit. Wreszcie znalazł otwór wentylacyjny, zatopiony w płaszczyźnie ze szklanego włókna. Kiedy jednak wcisnął palce do przewodu, zamiast wirnika znalazł włochaty materiał zasłaniający wylot.

A może to nie żaden wygłup? Może chłopak Brandi chce się zemścić? Whit zaczął sobie przypominać, jak młodzieniec ma na imię.

– Sean! – zawołał, waląc pięściami w drzwi. – Sean! Otwórz! To nie tak, jak myślisz! Chciałem tylko z kimś porozmawiać!

Tym razem usłyszał rytmiczny oddech. A może łkanie? Czy Sean ma wyrzuty sumienia?

– Sean, wypuść mnie! Ona kocha ciebie!

I znowu rozległy się jakieś dźwięki, tym razem głośniejsze; dochodziły z góry, przez sufit. To chichot nadawany przez głośnik umieszczony w otworze wentylacyjnym.

– Przykro mi, nie zgadłeś – przemówił nieznajomy głos.

– Kto tam? – zapytał Whit. – Czego chcesz?

– Od ciebie niczego, więc usiądź i uspokój się. Zostaniesz uwolniony, jak tylko dostaniemy to, o co nam chodzi.

Whit podniósł głowę. Nie Sean i nie studencka rozróbka? Whit wyłowił z pamięci obraz opalonej, młodzieńczej twarzy, ponad którą widać było białe jak śnieg włosy.

– Popelniacie błąd! – zawołał. – Złapaliście niewłaściwego człowieka. Zaległa długa cisza. Whit wyobraził sobie, jak porywacze patrzą na siebie z niepokojem.

– Przykro mi, profesorze – odezwał się w końcu ten sam głos, co poprzednio. – Nie zaszła żadna pomyłka.

Tej nocy Dane prześladowała we śnie uporczywa myśl. Ciężka, toporna i nieruchoma, od dawna zalegała na dnie jej świadomości i oto nagle wydostała się na powierzchnię.

Dana, całkiem rozbudzona, usiadła na łóżku.

Odrzuciła kołdrę i zbiegła po schodach do kuchni. W lodówce, w świetle czterdziestowatowej żarówki leżała rolka filmu, ukryta w miejscu, w którym nikomu by nie przyszło do głowy jej szukać.

A przecież ktoś tej kliszy poszukuje.

Zacisnęła w dłoni czarne pudełeczko i usiadła w ciemnym salonie. To właśnie tutaj znajdowały się fotografie, poszukiwane przez włamywaczy. Skradziono aparat fotograficzny z samochodu, kieszonkowiec zerwał jej z ramienia pokrowiec na aparat i zniknął w tłumie w Alpine Valley.

Ktoś starał się zdobyć ten film od piątku, a ona dopiero teraz to sobie uświadomiła. A przecież Whit podsuwał jej podpowiedź. „Obrabowała nas banda amatorów”, zrzędził w sobotę wieczorem. Nie zginęło nic wartościowego, ponieważ włamanie miało tylko zakamuflować fakt, że chodzi o zabranie filmu. Złodziejowi, który wybił szybę w mercedesie nie zależało na zdobyciu laptopa. Chciał wziąć aparat fotograficzny. Musiał wiedzieć, jak Dana wkładała go do walizeczki od komputera. Celem kieszonkowca w parku też nie była torebka.

Dana otworzyła dłoń i patrzyła na kliszę, widoczną w bladym świetle księżycy sączącym się przez okna. Zdjęcia mogą ujawnić ślady awarii mechanicznej albo sabotażu. Z pewnością też pokażą uszkodzenia

kadłubów oraz wzajemne położenie obu zniszczonych maszyn. Być może uda się na tej podstawie wyliczyć kąt uderzenia.

A ktoś prawdopodobnie z całego serca pragnie, aby do tego nie doszło.

Dana zacisnęła ramiona złożone na piersiach. Liczba podejrzanych może być dowolnie duża, poczynając od Iry Thompsona, a kończąc na Pennsteelu.

Istnieje też inne wytłumaczenie: ktoś nie chce, by jakiś nie związany z katastrofą szczegół został ujawniony. Niewykluczone, że chodzi o skrzynię z karabinami maszynowymi.

Chodziła po domu z rolką filmu w ręce, aż za oknami ukazała się szara mgła przedświt. Musi dać tę kliszę do wywołania, ale teraz nie wolno już zawierzyć filmu żadnemu komercyjnemu laboratorium, nawet jej ulubionemu zakładowi. Potrzebny będzie ekspert, który przeanalizuje fotografie. Dana poznała już większość najwybitniejszych specjalistów w kraju; każdy z nich mógłby się tym zająć. Ona jednak potrzebowała kogoś niezależnego, kto nie ma powiązań z Pennsteelem ani z zainteresowanymi towarzystwami ubezpieczeniowymi. Problem w tym, że wszyscy specjaliści, którzy odpowiadają tym warunkom, już się znajdowali na jej liście płac. Wszyscy – z wyjątkiem jednego.

Kiedy nadszedł poranek, ubrała się w najbardziej jaskrawe ciuchy, jakie zdołała znaleźć w szafie – cytrynowożółty kostium i wzorzystą bluzkę w stylu tropikalnym. Wsiadła do wypożyczonego taurusa. Przed wyjazdem na ulicę zatrzymała się. Przy krawężniku nikt nie parkował, wokół było pusto. Mimo to Dana wysiadła z auta. Dyskretnie rozejrzała się po okolicy, udając, że przed wyruszeniem w dalszą drogę dokładnie sprawdza koła.

Warsztat naprawiający szklane elementy w samochodach otwarto pięć

minut po siódmej; Dana jako pierwsza wjechała do środka.

– Dzień dobry, pani Endicott – powitał ją zza biurka kierownik. – Pani mercedes stoi na zewnątrz. Poproszę Herba, żeby go przyprowadził.

– Znakomicie – odparła, ale zanim kierownik zdążył zatelefonować, podeszła do jego stanowiska i dodała cicho: – Prawdę mówiąc, wolałabym odebrać swój samochód dopiero dziś po południu. Czy do tej pory może mi pan pożyczyć inny wóz?

– Ależ pani Endicott...

Zauważyła wyhaftowany monogram na koszuli mężczyzny.

– Zapłacę za to dodatkowo, Les.

Wzruszył ramionami.

– Gdzie jest toaleta?

Pokazał ręką. Dana weszła i zamknęła drzwi. Zdjęła kostium i sprawdziła, czy klisza nadal leży bezpiecznie ukryta między miseczkami biustonosza. Założyła ubranie wyciągnięte z walizeczki. Włosy zwinęła w kok na czubku głowy, obejrzała się w lustrze i głęboko wciągnęła powietrze. Oto jej nowy wizerunek: szorty w kolorze khaki, tenisówki, granatowa podkoszulka i czapka baseballowa. Miała nadzieję, że prezentuje się teraz zupełnie inaczej niż kobieta, którą być może ktoś śledził, gdy jechała do warsztatu.

Kiedy wyszła z toalety, Les popatrzył z niedowierzaniem.

– Pani Endicott? – zawołał. – Mamy dla pani beżowego buicka.

– Dzięki – powiedziała i pobiegła do samochodu.

Prywatne lotnisko w okręgu Bucks było niemal tajnym miejscem. – Pas startowy ciągnął się ukryty za szpalerem drzew iglastych. Bucks stanowiło

pewnie przystań jakiegoś zamożnego nowojorczyka. Dana dwukrotnie objechała lotnisko, zastanawiając się, czy dobrze trafiła. Nie widziała wieży radiowej, tylko długi, płaski pas asfaltu, hangar z falistej blachy oraz metalowy barak.

Wskazówką okazał się znany dziup, zaparkowany przy końcu pasa startowego, koło małej przyczepy mieszkalnej, ustawionej na cylindrycznych blokach na kawałku pylistej ziemi.

Kiedy Dana podjechała bliżej, spod przyczepy wyczołgały się dwa psy. Rzuciły się do buicka, szczekając przeraźliwie. Opuściła szybę i zawołała uspokajająco:

– Dobrze pieski! Dobrze miłe zwierzaczki!

W końcu przestały hałasować. Machając ogonami, obserwowały nieznajomą. Dana wysiadła z auta, podeszła do przyczepy i zapukała do aluminiowych drzwi z siatkowym ekranem. W środku zobaczyła zlew pełen brudnych naczyń. Na kontuarze powoli obracał się wiatrak wentylatora. Dana uderzyła fala ciepłego powietrza.

– Halo? – zawołała i zapukała raz jeszcze. Za siatką pojawiła się kobieta z krótkimi włosami, ubrana w stanik od bikini i trykotowe spodenki.

– Przepraszam, szukam Andy’ego Brodera.

Kobieta otworzyła drzwi na oścież. Na jej ramieniu odznaczał się mięsień trójgłowy, a tak płaskiego, umięśnionego brzucha mogliby pozazdrościć mężczyźni. Obie panie taksowały się jednakowo wnikliwym spojrzeniem.

– Nie wspominał, że kogoś oczekuje – powiedziała gospodyni.

– Bo nie oczekuje – wyjaśniła Dana. Po chwili dodała: – Przyszłam tu

służbowo.

Kobieta wzruszyła ramionami; na barkach uwidoczniły się piramidki mięśni.

– Pracuje przy swoim samolocie – powiedziała w końcu. – Po drugiej stronie terminalu.

Gospodyni nie mówiła żartobliwym tonem, więc Dana uznała, że dumną nazwę „terminal” nosi barak z prefabrykatów oraz blaszany hangar.

– Dziękuję.

Metalowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Dana ruszyła przez pole w towarzystwie dwóch psów. Jaskrawe słońce odbijało się od metalowych dachów. Kroki podrywały z ziemi kłęby kurzu. Trawa była sucha i zbrązowiała. Parne powietrze buchało żarem.

Mimo upału Dana poczuła dreszcze niepewności. Wizyta na lotnisku może się okazać kolosalnym błędem. A jeśli to Ted Keller poluje na film, a Andy Broder pełni funkcję zastępcy. Wtedy będzie musiała dobrowolnie oddać to, czego nie zdołali ukraść.

Usłyszała brzęk metalu uderzającego o metal. Kierując się tym dźwiękiem, weszła przez otwarte drzwi do szopy zwanej hangarem. W środku stał samolot typu Piper Cub, ale to nie stamtąd dochodził hałas. Okrążyła szopę.

W cieniu, na pasie startowym stał jednosilnikowy samolot z wysoko umieszczonymi skrzydłami: Cessna 172 Skyhawk. Taka sam maszyna jak Loudenberga – z tą różnicą, że biała i niebieska farba paskudnie odłaziła z kadłuba. Pod spodem widniały nogi w dżinsach i roboczych butach. Stukot rozległ się ponownie – dobiegał spod pokrywy silnika.

– Przepraszam! – zawołała.

Spod kadłuba wyłonił się tułów mężczyzny.

– Szukam Andy’ego Brodera.

– No to go pani znalazła. – Andy stanął obok Dany.

Był ubrany tak jak poprzednio, tylko białą koszulę zmienił na roboczą, niebieską. Dana natomiast wyglądała dziś zupełnie inaczej, więc chłopak przyglądał się jej ciekawie. Nie poznał pani adwokat, dopóki nie zdjęła czapki i nie rozpuściła włosów.

– Dana Svenssen – powiedział ostrym, ale nie szyderczym tonem.

– Możemy chwilkę porozmawiać? – zapytała.

– Już raz rozmawialiśmy. – Broder odwrócił się do niej plecami i schował się za samolotem. Poszła za chłopakiem.

– A więc pan też lata skyhawkiem. – Starła się mówić swobodnie.

– Zgadza się. Gdyby pani mnie zatrudniła, miałaby pani dwóch ekspertów za cenę jednego.

– Właśnie w tej sprawie tu przyjechałam. Chcę pana zatrudnić.

– Dlaczego? T zapytał podnosząc z ziemi klucz do nakrętek. – Od czasu naszego spotkania postarzałem się zaledwie o kilka dni.

– Chodzi o specjalne zadanie.

Pochylił się nad silnikiem, chowając głowę i ramiona. Po chwili odezwał się, a jego głos dudnił, odbijając się od metalowych ścianek.

– Układ nie ulega zmianie. Jeżeli nie dostanę gwarancji, że będę zeznawał w sądzie, pani propozycja mnie nie interesuje.

– Niewykluczone, że sprawa w ogóle nie trafi do sądu.

– Więc mnie to nie interesuje – powtórzył dobitnie.

– Może by mnie pan jednak wysłuchał? – powiedziała zniecierpliwionym, podniesionym tonem.

– Już rozmawialiśmy.

– Ale nie na ten temat! – krzyknął.

Głos rozległ się daleko na pasie startowym.

Broder wyjął głowę spod pokrywy motoru – w kąciku ust zadrżał mu mięsień.

– No dobrze, przyciągnęła pani moją uwagę. – Rzucił na ziemię klucz.

– Daję pani pięć minut. Chodźmy do mojej sali konferencyjnej.

Zanurkował pod skrzydłem, a zaskoczona Dana poszła tym śladem. Andy usiadł w cieniu i poklepał trawę.

– Niech pani przysunie sobie krzesło – zaprosił.

Czuła się głupio, ale skrzyżowała nogi i usiadła naprzeciwko.

– No dobra, co to za specjalna sprawa?

Wzięła głęboki oddech. Zastanawiała się, od czego zacząć.

– W ubiegłym tygodniu – powiedziała – włamano mi się do samochodu, a także splądrowano dom. No i jeszcze ktoś chciał mi ukraść torbę.

– Co za pech!

– Nie sądzę. To celowe działanie jednego człowieka.

– Kogo?

Znowu się zawahała. Wyglądał tak młodo i ładnie, kiedy leżał oparty na łokciu. Przypominał chłopaka z rozkładówki w czytany przez Kirstie magazynie „Teen Dream”. To śmieszne zakładać, że taki chłopak może pomóc. Nagle poczuła się głupio, przypominając sobie podejrzenia, że Broder jest złodziejem.

– Mam rolkę z filmem – oznajmiła. – Są tam zdjęcia wraków zrobione przed drugą eksplozją.

Usiadł prosto, otwierając szeroko oczy.

– Jak pani ją zdobyła?

– Sama zrobiłam zdjęcia.

Zagwizdał.

– No, no! Umie pani trzymać karty przy orderach.

Jeden z psów położył się obok chłopaka. Andy poklepał czworonoga z roztargnieniem.

– Fotografie pokażą położenie obu maszyn względem siebie – mówił dalej. – A pewnie też punkty styku. Jeżeli kolizję spowodowało zmęczenie materiału, to mamy dowody w rękę. Może też chodzić na przykład o sabotaż. Jezu, pani wie, co to oznacza?

– Oczywiście. Trop w badaniu przyczyny kolizji.

– Ale kto szuka zdjęć?

– Gdybym znała odpowiedź, nie potrzebowałabym pana – rzuciła opryskliwie.

– No, dobra. Kto jeszcze wie, że pani zrobiła zdjęcia?

– Nikomu o tym nie mówiłam, ale mogło mnie widzieć ze stu ludzi. Wypadek nastąpił o dziesiątej dwadzieścia rano. Na miejsce kolizji przyjechałam o dziesiątej trzydzieści. Potem upłynęło jeszcze sporo czasu. Mój Boże, nie mam pojęcia... pół godziny?

Dana przypomniała sobie, jak po wariacku pędziła przez park i u podnóża kolejki górskiej patrzyła ze ściśniętym sercem na akcję uwalniania uwięzionych w górze dzieci. Później znalazła swoje córki i w końcu wspięła się na diabelski młyn.

– Kiedy robiłam te fotografie, mogło być piętnaście po jedenastej – powiedziała w końcu.

– A zatem ten, kto panią widział, musiał znajdować się już na miejscu wypadku albo przyjechał tam nie później niż godzinę po zdarzeniu. Ta osoba zna przyczynę kolizji, inaczej nie chciałaby kraść dowodów.

Dana zerwała źdźbło trawy i ostrożnie rozerwała je na połowę wzdłuż żyłki na grzbiecie.

– Mam rację? – zapytał Andy.

Zwinęła włosy na czubku głowy i w zamyśleniu przytrzymała je w tej pozycji.

– Być może komuś zależy na filmie z powodów, które nie mają związku przyczyną kolizji – zasugerowała.

– Na przykład jakich?

Opuściła ręce, włosy znowu opadły na ramiona.

– To, co powiem, zostanie między nami, jasne?

– Myślałem, że cała rozmowa ma charakter poufny.

Mruknęła zdziwiona, że zapomniała wygłosić standardową formułkę na temat tajemnicy, do jakiej zobowiązany jest każdy ekspert.

– Racja.

– No więc?

– W rumowisku znajdowała się skrzynia z karabinami. Broder zagwizdał przez zęby i zakołysał się.

– Organizacja paramilitarna – rzucił zwięźle.

Ciało Dany przeszył silny dreszcz.

– No nie... – jęknęła z niedowierzaniem.

– Moim zdaniem właśnie na to wygląda. Spotkałem się z tego rodzaju typkami w wojsku. I na Alasce. Nikt nie czuje się bardziej zwolniony od przepisów rządowych niż mieszkańcy Alaski. A wie pani, czym się

głównie zajmują? Bawią się w żołnierzy po lasach i przemycają broń. Dzięki temu zawsze mają nowoczesne uzbrojenie, a przy okazji zarabiają na boku trochę forsy.

Temperatura w cieniu przekraczała trzydzieści stopni, ale Dana poczuła chłód. „Nie było gorszego wypadku od eksplozji w Oklahoma City” – mówili w sobotę w dzienniku telewizyjnym. Obruszyła się na takie porównanie.

– Nie wierzę – powiedziała wreszcie. – Może na Alasce, może w Montanie, ale nie tu. Poza tym, dlaczego ludzie z paramilitarnej szajki interesowałiby się zdjęciami? Federalni już znaleźli broń, wiedzą, na kogo była zarejestrowana awionetka i kto nią leciał. Grupa paramilitarna nie ma powodu martwić się o przyczynę kolizji. Mało prawdopodobne, żeby takie osoby występowały o odszkodowanie.

– Może i racja – przyznał Andy. – Ale zamiast spekulować, lepiej wywołać zdjęcia.

– Właśnie do tego chcę pana wykorzystać – oznajmiła.

– A konkretnie? – zapytał uśmiechając się głupawo, dokładnie tak, jak to zrobił podczas pierwszej rozmowy w poniedziałek.

– Chodzi o wywołanie kliszy, przeanalizowanie zdjęć, dokonanie przeglądu innych danych oraz zrekonstruowanie katastrofy. Potem należy ustalić, kto zamierzał mi ukraść kliszę. I nie daję żadnej gwarancji, że dojdzie do zeznawania w sądzie – dodała sucho.

Broder roześmiał się.

– No i jak?

– W porządku, niech mnie pani wpisze na listę. Proszę mną dysponować. Aha, mówmy sobie po imieniu. – Pochylił się do Dany. –

Gdzie film? Przywiozłaś go ze sobą?

Po chwili wahania skinęła głową.

– No, to ruszajmy.

Podniósł się błyskawicznie i znikł za rogiem hangaru, zanim Dana zdołała się podźwignąć z ziemi.

– Andy, poczekaj, dokąd...

– Masz szczęście, że wiem, jak postępować w ciemni. – Szedł wielkimi krokami przez pole w kierunku przyczepy. – Wyszukam odpowiednie miejsce i jakoś się tam wkręcę dziś wieczorem.

– Andy, poczekaj! – Dana musiała biec, żeby go dogonić. – To zbyt poważna sprawa, żeby się tak spieszyć.

– Nikt nie może ci zarzucić, że działasz zbyt szybko – rzucił przez ramię. – Ściskasz ten film od tygodnia.

– Posłuchaj, rzecz w tym, że mam tylko jedną rolkę.

Znieruchomiał.

– Aha, rozumiem. – Złożył ręce na piersi i oparł się o samochód. – No i co? Zamierzasz podrzucić ją do pobliskiej budki z napisem „Zdjęcia ekspresowe”?

– Jasne, że nie.

– A co? – Andy wskazał ręką samochód.

Dana zrozumiała, dlaczego chłopak tak szybko maszerował przez pole: myślał, że rolka jest ukryta w wozie.

Odwróciła się tyłem i sięgnęła pod koszulkę. Po chwili znów stanęła przodem do Andy’ego. W dłoni trzymała film.

Broder utkwili wzrok w rowku między jej piersiami. Nie przeniósł spojrzenia nawet wtedy, gdy już odebrał kliszę. Upał był wręcz nie do

zniesienia. Dana ruszyła do samochodu.

– Lepiej już pojedę do biura – powiedziała.

Andy pospieszył za panią adwokat.

– Nie zapominaj, że zdjęcia to zaledwie jeden z elementów układanki. Jeżeli mam zrekonstruować kolizję, muszę mieć więcej materiałów. Na przykład dane radarowe.

– Przekażę ci sprawozdanie, jak tylko je otrzymam – obiecała siadając za kierownicą. W samochodzie było nie mniej upalnie niż na zewnątrz.

– A co z twoim sztabem, który zorganizowałaś w poniedziałek? Mogę się do nich dołączyć?

– Tylko za moim pośrednictwem.

Andy zrobił kwaśną minę:

– A co, wstydzisz się mnie?

– Posłuchaj – odparowała ostro – nie mam pojęcia, kto ugania się za filmem. To może być każdy. Nawet ktoś z tych, co siedzieli w sali kinowej.

Oparł się o dach samochodu. – A skąd wiesz, że ja nie poszukuję twoich zdjęć? Dobre pytanie. Dana usiłowała odpowiedzieć w sposób najbardziej przekonywający.

– Bo zrezygnowałaś z okazji włączenia się do dochodzenia.

– To mogła być zasłona dymna. – I o tym pomyślałam.

– No i co?

– Uznałam, że nie jesteś na to dość cwany.

Andy roześmiał się serdecznie.

– Zadzwoń do ciebie wieczorem – obiecała.

– Powodzenia. – Broder wskazał na swoją przyczepę.

Dana zrozumiała, że nie ma tam telefonu.

– Ja się z tobą skontaktuję – zaproponował.

– Nie, nie chcę, żeby w biurze ktoś wiedział, że i ty w tym siedzisz.

– Chciałem zadzwonić do domu.

– Ach tak. – Jeden z psów zaczął się energicznie ocierać o nogę Brodera, gdy Dana rozważała propozycję. – W porządku – powiedziała w końcu. Wyjęła z torebki długopis. – Możesz mnie złapać pod numerem...

Wsunął rękę przez szybę do samochodu.

– Mam papier – oznajmiła Dana.

– Ale w ten sposób nie zgubię tej ważnej informacji.

Dana przycisnęła długopis mocniej, niż to było konieczne, i zapisała numer telefonu na odwrocie dłoni Andy'ego. Oba psiaki stanęły na tylnych łapach i wsadziły noski przez okno.

– Dobre pieski. – Pogłaskała kosmate łebki, założyła ciemne okulary i wyjęła kluczyki. – No i jeszcze ostatnia sprawa. Twoje honorarium. Myślałeś o tym?

W oczach Brodera zapaliły się chochlikowate światełka.

– Chcesz, żebym podał swoją cenę?

Dana zacisnęła usta i zapaliła silnik.

– Sto dolarów za godzinę – rzuciła.

– Wszystko pokręciłaś – doleciał ją głos Brodera.

Nacisnęła gaz.

– To nie pieski, tylko suczki!

Wyjeżdżając na szosę, zauważyła we wstecznym lusterku, że Andy ciągle jeszcze się śmieje.

Wpół do dwunastej Dana usiadła za swoim biurkiem. Zadzwoiła do Mirelli Burke.

– A po co ci wiedzieć o tym gównie? – Mirella potrafiła się wysławiać jak angielska królowa, jeżeli jej na tym zależało. Wolała jednak mówić z akcentem typowym dla mieszkańców Południowej Karoliny i używać słów najczęściej słyszanych w północnej Filadelfii. Mirella, pięćdziesięcioletnia, czarnoskóra kobieta, samotnie wychowała troje dzieci. Prawo ukończyła na studiach wieczorowych. Teraz pełniła funkcję zastępcy prokuratora federalnego. Występowała też jako dumna mama trójki absolwentów najlepszych amerykańskich uniwersytetów.

Dana udzieliła mglistej odpowiedzi, wspominając o prawie dotyczącym kontroli broni i komisjach doradczych.

– Aha – mruknęła Mirella tonem wskazującym, że nie czuje się przekonana. Godzinę później przesłała jednak potrzebne informacje telefaksem. Dana wyjmowała z maszyny kolejne strony. MP5K to karabin zaprojektowany w Niemczech; ma zaledwie trzydzieści centymetrów długości, ale celnie trafia na dystans do dwustu metrów. Faks wypluł też zdjęcie o grubym ziarnie, ale dostatecznie wyraźne, by można było rozróżnić przedni uchwyt oraz charakterystyczną krzywizną magazynka. Broń mieści piętnaście ładunków, a na wystrzelenie wszystkich wystarczą dwie sekundy. Jest to karabin bardziej precyzyjny i potężny niż uzi. Z tego powodu stanowi ulubiony oręż sił specjalnych na całym świecie. Niewielkie rozmiary i gładkie powierzchnie powodują że to również

idealna, łatwa do ukrycia broń dla bandytów i terrorystów.

Może nie byłoby źle, gdybym musiała się wycofać ze sprawy, pomyślała patrząc z przerażeniem na otrzymane zdjęcie.

Na godziny popołudniowe Dana zwołała posiedzenie zespołu. Młodzi ludzie zgromadzeni wokół konferencyjnego stołu mieli ponure miny. Wszyscy oglądali wczorajszą konferencję prasową Thompsona. Wpatrywali się w Dane szeroko otwartymi, zmęczonymi oczyma.

– Lyle, czy są już jakieś wnioski odnośnie troskliwości, jaką się muszą wykazać piloci?

– Tak. – Zapytany poprawił okulary na nosie i odwrócił stronę w notatniku. – Artykuł 91 Federalnych Przepisów Lotniczych wymaga od pilotów czujności pozwalającej zauważyć inną maszynę w powietrzu i uniknąć zderzenia z tym obiektem.

– Na czym ma polegać ta czujność?

– Sądy sugerują trzy różne miary. Po pierwsze, czujność wymaga, aby pilot widział zagrożenie i unikał zderzenia, jeżeli takie rozwiązanie nie jest rozsądne. Po drugie, ma widzieć i unikać, chyba że byłoby to czymś więcej niż posunięciem nieroztropnym. Po trzecie, ma widzieć i unikać, chyba że z powodów fizycznych nie jest w stanie tego zrobić.

– Ten ostatni wariant brzmi dość twardo – wtrącił Travis.

– No tak – włączyła się Sharon. – Kiedy w ogóle można mówić o fizycznej niemożności?

– W zasadzie tylko w kontekście wyjątkowo złych warunków pogodowych – odparł Lyle.

Dana przypominała sobie, jak w piątek wyglądało niebo. Było

przejrzyste, bezchmurne i idealnie błękitne.

– Kate, zrelacjonuj nam, co znalazłaś w archiwum Pennsteelu – poprosiła.

Młoda kobieta w końcowym okresie ciąży wstała ciężko i niezgrabnie.

Posłusznie omówiła dokumenty dotyczące szkolenia ludzi oraz konserwacji maszyn, przekazane jej z wydziału lotniczego. Pennsteel wymagał od swoich pilotów, by co pół roku przechodzili kursy doskonalące; musieli oni mieć również dyplom ukończenia koledżu oraz cztery tysiące godzin przepracowanych w powietrzu, w tym co najmniej pięćset godzin na sprzęcie, jakim będą latać dla Pennsteelu. Obaj piloci, którzy wieźli Vica w piątek, spełniali te wymagania z nadstatkiem. Wydział zajmujący się konserwacją maszyn również z nawiązką realizował wymagania FAA w dziedzinie rutynowej kontroli i przeglądów. Zaledwie tydzień przed zderzeniem JetRanger przeszedł całkowity przegląd wszystkich systemów.

Jak dotychczas, były to najlepsze informacje w poruszanej sprawie, ale kiedy tylko Katie skończyła mówić, Brad Martin podniósł rękę z panicznym wyrazem twarzy.

– Nie chcę nikogo obrazić, Dano, ale co z tego? – powiedział. – I tak już umoczyliśmy. Thompson ma całą amunicję w postaci nagrania z kokpitu.

– Zaraz, zaraz, powoli – mruknął Travis. – Przecież wiesz, że to manipulacja.

– Tak, ale jak mamy to udowodnić?

– Pracujemy nad tym, kapujesz?

Brad wypuścił powietrze z płuc pod ciężkim wzrokiem Trávisa, ale nie

był przekonany.

Dana rozejrzała się po sali. Połowa młodych prawników siedziała z łokciami opartymi na stole i twarzą ukrytą w dłoniach. Pozostali wciskali plecy w oparcie krzesła, jakby chcieli się schować. Morale zespołu to kwestia bardzo ważna i zarazem delikatna. Nadmierny optymizm nie prowadzi do niczego dobrego. Jeżeli prawnik nie potrafi dostrzec słabych punktów w prowadzonej sprawie, nie może ich uniknąć. Ale defetyzm jest równie groźny: przekonanie, że sprawy nie da się uratować, staje się zazwyczaj samospełniającym się proroctwem.

Szukając sympatycznej nuty, Dana skończyła na odpytaniu Trávisa.

– A jak tobie idzie śledztwo w sprawie Loudenberga?

– Przygotowałem prezentację w postaci slajdów – odpowiedział Hunt z uśmiechem.

W sali rozległ się pomruk niedowierzania. Travis przyciągnął projektor, opuścił ekran i przyciemnił światło.

– Oto Bill Loudenberg. – Wyświetlił pierwszą klatkę. Była to odbitka ze zdjęcia, ale dość dobrej jakości. Mężczyzna ze zdecydowanym wyrazem twarzy o piaskowych włosach, w pomarańczowym kombinezonie myśliwskim stał ze strzelbą w ręku obok wyciągniętego na ziemi, okazałego kozła.

– Urodzony w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku w Montrose w stanie Pensylwania. Z wyjątkiem trzech lat służby wojskowej i pobytu w Wietnamie... – w tym momencie na ekranie ukazał się chudy młodzieniec w mundurze wojskowym, dosłownie skóra zdjęta z chłopca, którego Dana widziała w jednym z pokrowców na zwłoki w Alpine Valley – ... Bill przebywał w rodzinnej miejscowości przez całe

życie. W ostatnich latach mieszkał przy Rural Route numer dwa w Montrose, okręg Susquehanna.

Teraz na ekranie pojawiło się zdjęcie głównej ulicy w Montrose, a następnie wyświetliła się mapa z zakreślonym miejscem w północnej części stanu.

– Żonaty, imię żony Dottie. Dzieci: Bill junior, lat dwadzieścia trzy; Donald, lat dziewiętnaście, Louise, lat piętnaście.

Teraz nadszedł czas na zdjęcie rodzinne: Loudenberg siedzi obok żony na tle trójki dzieci. Sądząc po wyglądzie potomstwa, fotografia została zrobiona pięć lat temu.

– Nie był właścicielem nieruchomości. Wynajmował dom i stodołę wraz z trzydziestoma akrami ziemi.

Kolejny slajd prezentował dotknięty zębem czasu wiejski dom z wykrzywionym gankiem, pokryty dachem z blachy. Następny pokazywał rozpadającą się stodołę. Na podwórku znajdowały się wycięte z drewna figury – postacie kobiet w długich majtkach w zielone groszki. Rzeźby zrobiono na wzór karykatur zamieszczanych w gazetach.

Dana uniosła się z fotela; jak to jest – Loudenberg mieszka w nędznej, wydzierzawionej norze i lata skyhawkiem?

– Kto posiada prawo zastawu na samolocie? – przerwała wykład.

– Nikt. Bill był właścicielem awionetki bez żadnych ograniczeń. Kupił samolot mniej więcej przed rokiem i zapłacił gotówką. Cena: około czterdziestu tysięcy.

– Z czego się utrzymywał?

Travis pokazał następne zdjęcie: przed sklepem stały zaparkowane dwie ciężarówki.

– Pracował jako kierownik lokalnego sklepu żelaznego pod nazwą „True Value”.

– Był współwłaścicielem?

– Nie.

– To skąd brał pieniądze?

– Jego pomocnik ze sklepu mówi, że Bill dostał spadek. W miejscowym Sądzie nie ma wzmianki o sprawie spadkowej na nazwisko Loudenberg, ale być może chodzi o inne nazwisko albo inny sąd. Bill wydał wszystkie pieniądze na zakup samolotu.

– Zamówmy analizę obciążenia kredytowego – powiedziała Dana.

– Już próbowałem. Ale zdaje się, że facet za wszystko płacił gotówką. Jego nazwisko nie występuje w żadnej bazie danych – wyjaśnił Travis.

– Sprawdźmy jego żonę. Mario – zwróciła się Dana do asystentki – zbadamy jeden okręg po drugim. Jeśli zajdzie konieczność, przekroczymy granice stanu.

Maria skinęła głową i zaczęła coś zapisywać. Dana też robiła notatki. Człowiek, który nie ma nic, nagle dostaje pokaźny zastrzyk gotówki, którego nie sposób wyśledzić, a pieniądze przeznacza na zakup samolotu. Może też nielegalnie kupuje broń?

– Najlepszym kumplem Loudenberga i jego towarzyszem na polowaniach był Jake Ziegler, właściciel miejscowego sklepu z bronią – kontynuował Travis.

Tym razem pojawiła się fotografia sklepu z bronią. Dana poczuła nieprzyjemny dreszcz: gdzie się człowiek obróci, tam wyłazi sprawa z bronią.

– Pan Ziegler nie zgodził się na rozmowę – poinformował sucho Travis,

kiedy na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny zasłaniającego twarz ramieniem. – Tak samo, jak pani Loudenberg i jej córka Louise.

Znów zdjęcie chałupy. Tym razem z zasłoniętymi żaluzjami we wszystkich oknach.

– Identycznie zachował się Bill junior, który mieszka w przyczepie na końcu działki.

Teraz pojawiła się ponura twarz młodego człowieka ze słabo zarysowanym podbródkiem, prawie połączonym z szyją. Chłopak rzucił w obiektyw ukratkowe, bojaźliwe spojrzenie.

– Bardzo chętna do rozmowy była z kolei jego żona Judy. – Travis zaprezentował następne zdjęcie. Wiejska dziewczyna, tleniona blondynka, szeroko uśmiechała się do fotografa. – Niestety, wrócił Bill junior i trzeba było zakończyć wywiad.

W pokoju rozległ się głośny śmiech.

– Mogło ci się oberwać! – krzyknęła Dana, śmiejąc się jak pozostali.

– Trzeba przyznać, że szybko stamtąd zwałem, ale myślę, że warto było zaryzykować – odparł Travis i zawiesił głos, aby podsycić ciekawość słuchaczy.

– A to dlaczego? – zapytała Dana.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie krótko ostrzyżonego, zdrowo wyglądającego młodzieńca.

– Podejrzewam, że w momencie zderzenia za sterami mógł siedzieć Donny, młodszy syn Loudenberga.

– Naprawdę? – Dana wyduła wargi. W pokoju rozległ się szum. Gdyby udało się to udowodnić, chyba nie potrzeba byłoby już nic więcej. Niedoświadczony pilotnastolatek to łakomy kąsek dla przysięgłych. – Miał

licencję?

– Nie, nie odbył nawet kursu szkoleniowego. Judy mówi jednak, że ilekroć Bill wyjeżdżał tego lata, zabierał ze sobą Donny'ego. Sądzi, że ojciec sam uczył syna latać.

Następny slajd przedstawiał fragment pastwiska z krótko ściętą trawą.

– Tutaj, za stodołą, mieli prowizoryczny pas startowy. Sąsiad słyszał samolot w piątek rano, o świcie.

Travis pokazał już wszystko, co przygotował, i wyłączył rzutnik.

– Jaki jest czas przelotu z Montrose do Alpine Valley dla skyhawka? – zapytała Dana.

– To zależy od siły wiatru, ale przypuszczalnie niewiele ponad godzinę.

– Zderzenie nastąpiło o dziesiątej dwadzieścia, a słońce wstało o wpół do szóstej – ciągnęła. – Pytanie: co robili przez trzy lub cztery godziny.

– To by się zgadzało z koncepcją lotu treningowego – wtrącił Travis.

– No, dobrze – zgodziła się Dana. – Przyjmijmy, że tego dnia Donny prowadził samolot. Jak to możemy udowodnić?

– Nie ma sposobu – odparł szybko Brad. – Jeśli z obu wraków nic nie zostało, to nie ustalimy, kto pilotował.

Travis rozmyślał dłuższą chwilę.

– Warto się postarać o księgę lotów Loudenberga. Spiszemy wszelkie odloty i przyloty, a potem poszukamy świadków. Może ktoś pamięta, że za sterami siedział chłopak.

– Trzeba też porozmawiać z kolegami Donny'ego – zasugerowała Sharon. – Na pewno się przechwalał, że lata samolotem.

– A więc opinie świadków z drugiej ręki?

– To powinno się wpleść do deklaracji przeciwko wyłączeniu interesów

– stwierdził Lyle. – Latając bez licencji, złamałby wszystkie reguły FAA.

W sali podniósł się szum. Młodzi prawnicy robili notatki i po cichu wymieniali między sobą uwagi. Dana czuła, jak kumuluje się w nich umysłowa energia. Właśnie ze względu na taką atmosferę podjęła pracę w wielkiej firmie prawniczej. W małej kancelarii albo w warunkach praktyki indywidualnej nie mogłaby liczyć na współpracę z dużym zespołem i burzę mózgów. Firma Jackson, Rieders” miała mnóstwo wad, ale w ludziach tkwiła jej wyjątkowa siła. Czasami dobrze sobie o tym przypomnieć, pomyślała Dana.

– Co robił Donny? – zapytała Trávisa. – Czym się zajmował?

– Latem pracował u ojca w „True Value”. Właśnie ukończył pierwszy rok studiów w Bucknell.

– Ach tak. – Danie zrobiło się smutno. Bucknell to ceniony prywatny koledź w głębi stanu. Chłopak musiał być największą nadzieją rodziny, otwierał sobie drogę do lepszego życia. – Otrzymywał stypendium?

Po chwili ciszy Travis wymamrotał:

– Nie wiem.

– Nie szkodzi – pocieszyła go szybko. – Przekazałeś nam niezwykle obszerne informacje. A nie dowiedziałeś się przypadkiem, jak głosowali w czasie ostatnich wyborów? – zapytała z uśmiechem.

– Nie, ale wszyscy są zarejestrowani jako republikanie – oświadczył Hunt, prowokując kolejny wybuch śmiechu.

Po zebraniu Travis poszedł z Daną do jej gabinetu. Kiedy tam dotarli, Celeste zawołała:

– Mam na linii sekretarkę z Pennsteelu. Mówi, że to pilna sprawa.

– Przełącz ją do mnie. – Dana podniosła słuchawkę; Travis blokował drzwi swym potężnym ciałem.

Po chwili ciszy rozległ się głos przedsiębiorczej kobiety:

– Pani Svenssen, przed chwilą był tu jakiś człowiek, który upierał się, by osobiście dostarczyć przesyłkę przedstawicielowi naszej kompanii. Odebrał ją pan Haguewood. Kazał mi panią o tym powiadomić.

Danie serce podeszło do gardła.

– Wezwanie do sądu wraz ze skargą? – zapytała.

– Tak to wygląda.

– Jakie nazwiska figurują na dokumentach?

– David A. Greenberg i Andrea M. Greenberg, jego żona.

Tyle właśnie znaczy przyrzeczenie Iry Thompsona w kwestii uprzedzenia o wystąpieniu z pozwem. Travis zakręcił się na pięcie i zaklął pod nosem.

– Skąd wpłynęło?

– Z sądu okręgowego w Filadelfii.

A więc nie z Montgomery, gdzie mieszkają Greenbergowie i nie z Lehigh, gdzie znajduje się siedziba Pennsteelu; nawet nie z Northampton, gdzie doszło do kolizji. Thompson złożył pozew w Filadelfii. Pracujący tam sędziowie przysięgli pochodzą z biednych, zaniedbanych dzielnic śródmiejskich i traktują system prawny jak dodatek do Loterii Stanu Pensylwania.

Wyrok filadelfijskiej ławy przysięgłych jest przeciętnie trzy razy wyższy w porównaniu z werdyktami zapadającymi w ościennych okręgach.

– Proszę, niech mi pani prześle to faksem.

– Dobrze.

– Thompson to żmija – stwierdził z goryczą Travis, kiedy Dana skończyła rozmowę.

Wzruszyła ramionami z obojętnością.

– Nawet gdybyśmy zostali uprzedzeni, niewiele by nam z tego przyszło. I tak nie moglibyśmy powstrzymać go przed wystąpieniem do sądu.

– W porządku – powiedział Travis. – Przynajmniej wiemy, że nie można mu w niczym wierzyć.

O godzinie siedemnastej do gabinetu Dany weszła Celeste z torebką w rękę i swetrem przewieszonym przez ramię. Latem ciepłe okrycie zakładała w biurze, aby chronić się przed działaniem klimatyzacji, a zdejmowała je, kiedy wracała do domu autobusem.

– Były dziś dwa tajemnicze telefony do ciebie – oznajmiła. – Najpierw dzwonił mężczyzna, który nie chciał się przedstawić ani podać swojego numeru. Powiedział tylko, że koniecznie powinnaś obejrzeć wieczorne wiadomości.

Jeżeli zobaczę kolejną konferencję prasową Thompsona, zejdę z tego świata, pomyślała Dana.

– A drugi telefon? – zapytała.

– Też anonimowy. Facet dzwonił trzy razy. Nie podał nazwiska, nie nagrał się też na pocztę głosową. Powiedział, że zatelefonuje raz jeszcze.

– Pewnie chce mi coś sprzedać – zbagatelizowała sprawę i pozwoliła Celeste iść do domu. Później, kiedy zadzwonił telefon i zauważyła po światełkach na konsoli, że jest to rozmowa z zewnątrz, poczuła ucisk w

dołku – typowy objaw strachu. Terrorysty czy ludzie z organizacji paramilitarnej? Trzy dzwonki. Po czwartym włączy się automatyczna sekretarka.

Dana podniosła słuchawkę.

– Otrzymałem wiadomość od ciebie – odezwał się Charlie Morrison. – Na czym polega kryzys dnia dzisiejszego?

Dana poczuła ulgę.

– Thompson wystąpił do sądu z roszczeniem.

– Wiem. Nie traci czasu, co?

– Rzeczywiście. Ale nie w tej sprawie dzwoniłam.

Zaczęła mu mówić o nocnym telefonie Reilly’ego, ale Charlie jej przerwał.

– Poczekaj moment – rzucił do słuchawki.

Na linii zapadła cisza. Po niedługiej chwili rozległo się lekkie stuknięcie. Zaraz potem znów rozległ się głos Morrisona.

– Dano, jesteś tam?

– Tak, Charlie, ja...

– Mike?

– Melduję się, sir.

– Dano, to Mike Pasko, dyrektor do spraw bezpieczeństwa i służb specjalnych Pennsteelu. Powtórz mu teraz wszystko.

Zawahala się.

– No, nie wiem, Charlie. Reilly mówił, że to poufna wiadomość.

– Dobrze, ale Mike’a musimy wtajemniczyć. Opowiadaj.

– Panie Pasko, to jest ściśle tajne.

– Rozumiem.

– Dochodzeniowcy z NTSB znaleźli w rumowisku skrzynię z karabinami maszynowymi.

– Jakiej produkcji, jaki model?

– MP5K – poinformowała szybko. – Nie wiadomo, z którego samolotu wypadły.

– Dla mnie to oczywiste – wtrącił z zapalem Charlie. – Mike, kto wozi taki towar?

– Żli chłopcy, sir. Pani Svenssen, przypuszczam, że trzeba oczyścić pilotów Pennsteelu?

– Zgadza się.

– Wobec tego powinienem polecieć do Nowego Jorku i odszukać ekipę naziemną, która sprawdzała JetRangera przed jego odlotem stamtąd w ubiegły piątek. Dowiemy się, czy zauważyli na pokładzie jakiś ładunek.

– Dobra myśl. – Dana była pod wrażeniem. – Jeżeli ich pan znajdzie, niech pan zapisze nazwiska i adresy. Wyślę kogoś, żeby odebrał od nich oświadczenia pod przysięgą. Proszę tylko nikomu nie wspominać o karabinach. Niech sami opiszą to, co widzieli.

– Zrozumiałe.

– Dzięki, Mike – odezwał się Charlie. Pasko wyłączył się, a Morrison dodał:

– To gość dobry na kryzys. Warto go wykorzystać.

– W porządku.

– Czy masz inne złe wiadomości, których nie możesz mi oszczędzić? Musiała się chwilę zastanowić. Klisza, kradzieże, włamanie do domu – to wszystko są niedobre nowiny, ale może mu ich oszczędzić – tak przynajmniej uznała.

– Nie, na dziś wystarczy.

– Świetnie. Co byś powiedziała, żebyśmy się na chwilę oderwali od tej całej roboty? Spotkajmy się, ty z Whitem i ja z Marie, na obiedzie w najbliższy weekend. Potem proponuję pójść do teatru.

Dana przymknęła oczy. Przez większą część dnia potrafiła wyrzucić z myśli Whita, ale teraz wspomnienie wróciło. Poczowała ostry ból, jakby się mocno oparzyła.

– Byłoby bardzo miło – powiedziała radosnym głosem. – Pozwól, że sprawdzę termin w kalendarzu i dam ci znać.

– Zgoda.

Odłożyła słuchawkę. Wpatrywała się w okno niewidzącym wzrokiem. Słońce zaczynało zachodzić za rzeką Shuykill.

Z powodu upału Whit rozebrał się do slippek. Zmiętego, zwiniętego w rolkę ubrania użył jako poduszki na podłodze, gdzie stęchłe, rozgrzane powietrze wydawało się stosunkowo najchłodniejsze. Na szczęście miał toaletę. Nawet zakładnicy w ambasadach rzadko korzystają z takich luksusów. W kącie stał siedmiolitrowy termos z wodą. Jedzenie przynoszono raz dziennie, po zmroku. Whit wprawdzie nie widział po ciemku strzelistego, złotego symbolu McDonald'sa na opakowaniu, ale dostatecznie dużo czasu spędził na podróżach z dziećmi, żeby rozpoznać jedzenie po zapachu. Żarcie zawsze było gorące, co prawdopodobnie oznaczało, że w pobliżu znajduje się restauracja tej sieci. To z kolei pozwoliło zawęzić liczbę miejsc, gdzie mogą go przetrzymywać, zaledwie do miliona punktów na mapie.

Nadejście obiadu zapowiadano przez głośnik w suficie: „Profesorze, zaraz otworzymy drzwi, ale tylko na tyle szeroko, żeby podać jedzenie. Proszę się ustawić w rogu toalety, koło sedesu. W momencie nachylenia drzwi wymierzmy do pana z dwóch luf. Jeżeli zrobi pan choćby najdrobniejszy ruch, wystrzelimy”.

Mowę zawsze wygłaszał Ike. Miał charakterystyczny, wojskowy sposób mówienia. Nie czuło się w nim ani groźby, ani współczucia.

Kiedy drzwi zostały uchylone, Whit zauważył przez szczelinę niewyraźne kształty. Na pierwszym planie pojawiła się ręka trzymająca torbę z jedzeniem, za nią widniał szereg pionowych linii, podobnych do słupów telefonicznych albo słupków bramki na boisku piłkarskim. I

jeszcze pomarańczowa plama na dalszym planie.

– Profesorze. – Dobiegający z sufitu głos Ike’a wyrwał Whita z rozmyślań. Dostał już obiad, więc czego jeszcze chcą? Przecież nie zaproszą go na koniak i cygaro. – Mamy dla pana niewielką robotę. Podamy panu kartkę. Usiądzie pan na sedesie i odczyta na głos tekst, który się na niej znajduje. Jeśli się pan poruszy, wystrzelimy.

– Jak mam czytać po ciemku?

– Będzie światło.

Whit usiadł na pokrywie ubikacji. Domyślił się, że odczyt zamierzają nagrać na wideo, więc zawołał:

– Poczekajcie, muszę się ubrać.

Koszula i spodnie były przeupocone. Naciągnął na siebie wilgotne, lepkie ciuchy i usiadł, jak mu kazano. Drzwi otworzyły się szeroko, ostre światło błysnęło mu prosto w oczy. Zasłonił dłońmi twarz. Usłyszał szelest podsuwanego papieru. Wziął kartkę i przystawił ją do oczu. Ike szeptał do kogoś. Z odległości metra dobiegł Whita jeszcze jeden odgłos – szum włączonej kamery? W tle, gdzieś daleko, rozbrzmiewał głuchy, niewyraźny warkot pojazdów jadących szosą.

Żrenice Endicotta stopniowo przystosowały się do światła. Odsunął kartkę, by przeczytać tekst. Był ciekaw, jak wysoko ocenili jego życie. Ale to, co zobaczył, spowodowało, że znów pociemniało mu w oczach.

– Kim jesteście, do cholery?!

– Proszę czytać.

– Ale moja żona nie będzie miała pojęcia, o co wam chodzi!

– Na pewno się zorientuje.

Teraz zrozumiał dokładnie, jaką wartość ma jego życie. Dopóki Dana

posiada coś, na czym im zależy, i jak długo on sam może ją przekonać do oddania tej rzeczy, tyle będzie żył. Kiedy jednak skończą nagrywać, cena jego życia znacznie spadnie.

– Najpierw się napiję. – Sięgnął za plecy, by wymacać ucho dzbanka z wodą.

– Proszę się pospieszyć. – Głos dobiegał z prawej strony. Ike stał metr od człowieka z kamerą.

Whit cisnął termosem, skoczył przed siebie i uderzył kamerzystę w brzuch. Mężczyzna stęknął i osunął się na ziemię. Whit przeskoczył nad nim i zaczął biec.

Przez minutę nie słyszał niczego poza rżeniem własnych płuc, walczących o łyk powietrza, i uderzeniami stóp o podłogę. Oczy przystosowywały się do ciemności. Whit zdał sobie sprawę, w jakim miejscu go przetrzymywano. Porywacze zaczęli pościg.

Ucieczka prosto przed siebie na otwartej przestrzeni niczego nie da, pomyślał. Musi być jednak jakieś wyjście z sytuacji. Odwracał głowę na wszystkie strony, szukając rozwiązania. Za plecami zobaczył goniącego go człowieka o siwych włosach. Znowu spojrzął przed siebie – właśnie dobiegał do ściany wysokiej na siedem metrów.

Skreślił w prawo. Ike pobiegł po przeciwprostokątnej, by przeciąć drogę Endicotta. Whit patrzył, jak przeciwnik się zbliża; był wyprostowany i dosłownie płynął w powietrzu. Białe włosy w ciemności wyznaczały tor tego lotu niczym światła na pasie startowym. Whit nie zdołał zrobić uniku. Ike rzucił go na ziemię. Whit uderzył biodrem w jakiś twardy, metalowy przedmiot. Poczul przeszywający ból w nodze, ale zaczął się podnosić. Nagle usłyszał metaliczny szczęk tuż koło ucha.

– Nie ruszaj się – sapnął Ike, jakby odgłos repetowanej broni nie wystarczał.

Może zresztą rzeczywiście nie wystarczał. Martwy Endicott nie był dla nich nic wart, przynajmniej do czasu nagrania taśmy wideo. Poza tym wystrzał usłyszałoby zbyt wielu ludzi.

Rozległy się odgłosy kroków. Nadchodził pomocnik Ike'a. Whit uskoczył na bok i znów ruszył sprintem. Jeden z mężczyzn chwycił go za rękę, więc odkręcił się i zadał silny cios; musiał dobrze trafić, bo z satysfakcją zarejestrował trzask kości. Sekundę później jednak sam otrzymał mocne uderzenie w brzuch, które wycisnęło z niego całe powietrze. Drugi napastnik zrobił półkole i złapał Endicotta z tyłu. Ike jeszcze kilkakrotnie uderzył profesora w brzuch i wymierzył kończący cios w splot słoneczny.

Na niebie mrugały gwiazdy. Ciało Whita zrobiło się miękkie, bezwładne. Był na granicy świadomości, kiedy usłyszał krzyk: „Chryste, jak mocno go uderzyliście?”

Wystarczająco mocno, pomyślał i osunął się na ziemię.

Wieczorem Dana zgasła światło w swoim gabinecie, zajrzała do kilku innych, jeszcze otwartych pokoi, żeby powiedzieć dobranoc, i wsiadła do windy. Nacisnęła przycisk z napisem „Garaż” i wylewnie pożegnała się z ekipą sprzątającą biuro.

Jednak natychmiast po tym, jak zamknęły się drzwi kabiny, wcisnęła inny guzik i pojechała na trzydzieste dziewiąte piętro. W recepcji domu maklerskiego światła były przyćmione, nikogo w zasięgu wzroku. Skierowała się do schodów przeciwpożarowych, cicho zamknęła za sobą drzwi prowadzące na klatkę schodową i weszła na wyższe piętro. Na czterdziestej kondygnacji drzwi z klatki schodowej były zamknięte, ale pasował do nich ten sam klucz, który otwierał salę ze stanowiskiem dowodzenia.

Tego dnia rano, kiedy Dana odebrała mercedesa z warsztatu i zaparkowała go na zwykłym miejscu w podziemnym garażu, przyszedł jej do głowy pewien plan. Ludzie starający się ukraść zdjęcia wiedzą, gdzie mieszka i jakim samochodem jeździ; wobec tego z łatwością ustalą, gdzie zaparkowała. A jeżeli znajdą to miejsce, dalej już trafią do wszystkich ewentualnych kryjówek, a także ludzi, z którymi będzie się usiłowała spotkać.

Ale tutaj za nią się nie dostaną. Nawet jeśli przechytrzą strażnika w holu, jeżeli zdołają przeszukać wszystkie piętra, nie odnajdą jej w punkcie dowodzenia, bo Dana ma jeden jedyny klucz.

Zamknęła za sobą drzwi i zaryglowała się od środka. Z okien roztaczał

się panoramiczny widok miasta w nocy. Obserwowała obracającą się reklamę na szczycie budynku PECO, secesyjne kształty Liberty Place oraz złotą poświatę rzucaną przez wieżę Bell Atlantic.

Toalety były już wykończone, brakowało tylko na drzwiach symboli: damska, męska. Dana uznała, że pierwszą w kolejności jest łazienka dla pań. Weszła, rozebrała się i umyła w płytkiej umywalce. Pomysł Trávisa, żeby w sali zainstalować prycze do spania okazał się rewelacyjny. Rozłożyła jedną z kozetek.

Godzina dwudziesta trzecia. Zaczęły się wiadomości. Dana niechętnie włączyła telewizor i przysiadła na brzegu łóżka, gotowa wysłuchać najnowszej informacji Iry Thompsona na temat jego zarzutów. Mniej więcej w dziesiątej minucie dziennika prowadzący redaktor oznajmił radośnie: „Filadelfijski prawnik, Peter Seferis, złożył dzisiaj pozew zbiorowy przeciwko korporacji Pennsteel w związku z piątkową katastrofą w parku rozrywki Alpine Valley”.

Skoczyła na równe nogi, kiedy pokazano Seferisa. Stał na stopniach sądu federalnego w garniturze od Brianego, świeżo ogolony mimo popołudniowej godziny i gotowy do występu przed kamerami.

– Mówimy o setkach, może tysiącach dzieci – recytował – które nie tylko były świadkami koszmarnego wydarzenia, ale też obawiały się o własne życie. Nie sposób wymierzyć emocjonalnych i psychicznych szkód, jakie ponieśli młodzi ludzie.

Finansowe roszczenia nie zostały sprecyzowane, ale szacowano, że chodzi o kwotę przekraczającą miliard dolarów.

Dana wpatrywała się w ekran również wtedy, gdy pojawiła się na nim mapa pogody. Dobrze znała Petera Seferisa. Nie był ekspertem w

dziedzinie awiacji, psychiatrii czy nawet obrażeń indywidualnych. Specjalizował się w odszkodowaniach dla grup zagrożonych. Często udawało mu się doprowadzić do uznania istnienia takiej grupy, ale tym razem polegnie. Przepisy prawa nie pozwalają traktować danej sprawy jako działania przeciwko grupie, jeżeli dominujące znaczenie mają problemy indywidualne; w tym przypadku psychiczne szkody poniesione przez poszczególne dzieci trzeba będzie udowodniać indywidualnie. Mimo to Seferis nieźle zarabia: oskarżeni zazwyczaj wypłacają duże kwoty, aby zaspokoić żądania określonego skarżącego, a także wysokie honoraria dla adwokata. W rewanżu Seferis zgadza się przypieczętować układ i nie podtrzymywać kontaktów z żadnym z potencjalnych członków grupy. To był dobry biznes, nawet jeśli samą działalność Petera jako prawnika należałoby ocenić bardzo krytycznie.

Angela Leoni też zachowała się okropnie, ale Seferis przekroczył już wszelkie granice. Katastrofa została zamieniona w koryto dla prawników.

Dana postanowiła, że musi zapewnić sobie poparcie Charliego Morrisona. Tym razem Seferis nie dostanie żadnych pieniędzy; ona będzie walczyć.

Wyłączyła telewizor, ale zanim się położyła spać, podeszła jeszcze do telefonu, by zadzwonić do domu i odtworzyć pocztę głosową. Pierwszy z anonimowych rozmówców jest już znany. Dana miała nadzieję, że drugiego zidentyfikuje równie łatwo.

Automatyczna sekretarka zapowiedziała cztery nowe rozmowy. Dwa pierwsze połączenia okazały się głuche. Potem nagrały się Kirstie i Trina. Gadały naraz: „Tatusiu, tatusiu, odbierz... daj mi... nie... tatusiu, to my! Zadzwoń do nas? Kochamy cię!”

Dana wpatrywała się w światła wielkiego miasta. Ogarnęła ją panika. Co by się stało, gdyby ktoś był w domu i odebrał telefon od dziewczynek, a potem zapytał, gdzie spędzają wakacje? Albo przysłuchiwał się wypowiedzi nagranych na sekretarkę?

Wreszcie czwarte połączenie – kolejny głuchy telefon.

Dana wybrała całodobowy numer działu obsługi abonentów. Pięć minut później jej domowy telefon został wyłączony.

Kiedy Whit doszedł do siebie, stwierdził, że znów jest w swojej celi. Niebawem Ike zainteresował się nim ponownie.

– Dajemy panu drugą szansę, profesorze – powiedział przez głośnik. Po stoczonych walce Whit czuł ból w okolicach pasa i krew w ustach, ale wstał, kiedy otworzyli drzwi i podali mu kartkę z tekstem. Endicott przygotowywał się bez pośpiechu. Jego pamięć przypominała raczej stare, zakurzone archiwum niż bazę danych zainstalowaną w komputerze, więc upłynęła dłuższa chwila, zanim przypomniał sobie, co ma zrobić.

– Profesorze – ponaglił Ike.

– W porządku, już. – Whit usiadł prosto przed obiektywem kamery i odczytał tekst:

Dano, zostałem zatrzymany przez grupę uzbrojonych mężczyzn, którzy mnie zabiją, jeżeli nie spełnisz ich żądań. Wiesz, o co im chodzi. Włóż to do grubej, wyściełanej koperty i zawieź jutro rano na stację kolejową Paoli. O godzinie siódmej pięćdziesiąt osiem wsiądź do podmiejskiego pociągu SEPTA R5 i zajmij miejsce w trzecim wagonie. Połóż kopertę na półce nad swoim fotelem. Wsiądź na stacji Pensylwania Centralna i nie oglądaj się za siebie. Jak tylko zostanie sprawdzona zawartość koperty, uwolnią mnie, całego i zdrowego. Nie próbuj kontaktować się z policją. Jeśli to zrobisz, już nigdy ani ty, ani dzieci mnie nie zobaczycie.

Kiedy wyłączyli światło i zamknęli drzwi, Whit znów rozebrał się do

bielizny, opryskał się wodą i położył na podłodze. Zastanawiał się nad tym, co przed chwilą przeczytał. W tekście zauważył, jeden błąd, a także bardzo istotną, pocieszającą informację: że dziewczynki są bezpieczne.

Błąd polegał na tym, że Dana nie jeździła już do pracy pociągiem. Dawniej żyła według rozkładu jazdy linii R5, ale kiedy jej pozycja zawodowa nabrała dużego znaczenia, nie mogła sobie pozwolić, aby choć przez minutę nie mieć kontaktu z klientem czy kancelarią. Dana nigdy nie korzystała z telefonu komórkowego w miejscach publicznych, więc ostatnio jeździła wyłącznie samochodem.

Whit przeanalizował ważne spostrzeżenia. Po pierwsze, porywacze dobrze znali Dane. Po drugie, obiekt ich zainteresowania nie był przedmiotem jedynym w swoim rodzaju. Po trzecie, dowiedzą się, jeżeli Dana powiadomi policję. Czyżby chodziło o skorumpowanych gliniarzy?, zastanawiał się. W ostatnich czasach policja filadelfijska mogła rywalizować z nowojorską w dziedzinie korupcji oraz z policją Los Angeles, pod względem braku efektywności i sprawności. Whit odrzucił tę hipotezę. Po namyśle doszedł do wniosku, że to tylko pusta groźba.

Najważniejsza obserwacja nasunęła się Whitowi jednak wtedy, gdy Ike zadawał nokautujący cios. Do Whita dotarł już znany głos. Profesor przypomniał sobie, kiedy i gdzie usłyszał go po raz pierwszy: przy samochodzie Ike'a. Zanim dostał w głowę pałką od czarnoskórego mężczyzny, ktoś zapytał: „Chryste, jak mocno go uderzyliście?” Nie mógł sobie jednak przypomnieć, kto to mówił. Odtwarzał w myślach ten głos raz po raz, aż jego dźwięk wbił mu się w umysł na dobre, ale twarz i nazwisko nie chciały się pojawić.

Ale znał ten głos, z całą pewnością.

I miał przed sobą wiele godzin, żeby sobie przypomnieć właściwą osobę.

W piątek rano Dana założyła podkoszulkę, szorty i ruszyła po schodach przeciwpożarowych. W szafce w gabinecie miała ubranie na zmianę – stałe zabezpieczenie od czasu, gdy kiedyś musiała pracować przez dwa dni i noc bez przerwy. Zmęczenie po takim wysiłku było mniej uciążliwe niż noszenie nieświeżego, zmiętego ubrania, którego stan pozwalał się domyślać różnych rzeczy. Przez cały dzień dowcipni koledzy pytali szyderczo: „Dano, gdzie spędziłaś ostatnią noc?”

Wyjęła wieszak z szafy i poszła jeszcze dwa piętra w górę, do firmowego fitness klubu. Tam wzięła prysznic, wysuszyła włosy i ubrała się jak należy. Rzeczy noszone poprzedniego dnia wcisnęła do worka gimnastycznego i wyszła w eleganckim, czarnym kostiumie.

Kiedy szła do gabinetu, widziała, jak Travis siedzi w swoim pokoju przy biurku i je śniadanie.

– Dano? – Poderwał się i szybko wybiegł na korytarz, z papierową serwetką zatknietą za kołnierzyk. – Usiłowałem się z tobą skontaktować wczoraj wieczorem...

– A co się urodziło? – zapytała wyjmując pocztę z przegródki w swoim gabinecie.

– Mnóstwo spraw.

Travis usiadł. Skrzywił się, gdy zauważył, że nie zdjął serwetki. – No więc jest to działanie grupowe...

– Chodzi o wystąpienie Seferisa? Już się zabrali do dzieła?

– Nie wiem...

– Zadzwoń do Pennsteelu i się dowiedz. Poproś Lyle’a, żeby zaczął pracować nad problemem certyfikacji grupy. Powiedz Bradowi, że chcę mieć materiał dla prasy. Musimy wyraźnie ogłosić, że Pennsteel nie ugnie się przed żadną próbą wymuszenia. Jesteśmy całym sercem ze wszystkimi dziećmi, które w ostatni piątek doznały szoku w parku rozrywki, ale należy pamiętać, że Pennsteel również poniósł straty w katastrofie. Rozpatrywanie sprawy w kategoriach grupowych jest najzupełniej niewłaściwe, a pan Seferis doskonale o tym wie.

Travis notował najszybciej jak potrafił.

– Co jeszcze? – zapytała Dana.

– Mamy też nowy pozew. Od rodziny o nazwisku Doyle.

Dana zadrżała – a więc Angela Leoni postanowiła jednak blefować.

– Gdzie został złożony?

– W filadelfijskim sądzie okręgowym, jak pismo Thompsona. Prawdę mówiąc, wszystkie zarzuty dotyczące zaniedbania są słowo w słowo przeniesione z pozwu Thompsona.

Nic dziwnego. Odszkodowania nie zasądza się za oryginalność sformułowań. Mnóstwo wyroków decydujących o milionowych wypłatach orzeczono w odpowiedzi na standardowo spisane skargi.

– Czy w związku z tym opublikowano jakąś informację prasową?

– Na razie nie.

Angela musiała działać ostrożnie: wystąpiła z pozwem do sądu, ale nazwisko Franka chroniła przed dziennikarzami. To ograniczyłoby liczbę identycznych oskarżeń, gdyby Seferis nie wystąpił z inicjatywą.

W poczcie znajdowała się między innymi wstępna analiza Johna

Diefenbacha. Dana musiała poświęcić dużą część przedpołudnia, żeby odcyfrować pismo eksperta. Diefenbach zbadał taśmy z nasłuchem radiowym oraz całą gamę danych radarowych, pochodzących z czterech źródeł: czujnika ARTS III na lotnisku Philadelphia International, anteny QARSA w Allentown, anteny podstawowej w Bazie Lotniczej Marynarki Wojennej Willow Grove, a nawet z krążownika „Aegis”, płynącego wzdłuż brzegów New Jersey do Morskiej Stacji Uzbrojenia Earle. W każdym z tych obiektów znajdował się nadajnik emitujący w przestrzeń energię elektromagnetyczną. Kiedy wiązka trafiła na cel, część energii odbijała się i wracała do anteny odbiorczej. Odległość namierzonego celu obliczało się mierząc czas potrzebny energii na podróż z nadajnika do analizowanego obiektu i z powrotem do odbiornika. Można było też ustalić prędkość ruchem obiektu, jeżeli uwzględniono się zmianę odległości w stosunku do upływającego czasu.

Diefenbach nie miał trudnego zadania, kiedy śledził drogę JetRangera, ponieważ helikopter miał transponder wysyłający własny sygnał w odpowiedzi na pytania wszystkich nadajników. Sygnał transpondera kodowano za pomocą czterocyfrowego numeru, specjalnie przyznawanego przez Kontrolę Ruchu Powietrzego, więc był on tak charakterystyczny, jakby JetRanger składał na niebie własny podpis. Badając cztery parametry – szerokość i długość geograficzną, wysokość oraz czas – Diefenbach mógł wytyczyć drogę lotu JetRangera od Wall Street aż do Alpine Valley.

Odtworzenie trasy skyhawk okazało się trudniejsze. Awionetka nie posiadała transpondera, w każdym razie sprawnego, a wskazania radarowe były słabe i niejednoznaczne. Cofając się od punktu zderzenia, Diefenbach

odkrył kilka niezidentyfikowanych sygnałów na pułapie około siedmiuset metrów. Prawdopodobnie pochodziły ze skyhawka. Ekspert rozważał różne konfiguracje, ekstrapolował i w końcu wyznaczył kurs samolotu z północnowschodniej Pensylwanii do Alpine Valley.

W tym punkcie kończyła się część raportu Diefenbacha, której można by nadać nazwę narracji. Przewidywane tory lotu zostały wyrysowane na szeregu skomplikowanych wykresów na zwyczajnym papierze, a także na kalce nałożonej na mapę topograficzną. Dana przyglądała się temu wszystkiemu uważnie, z dołu, z boku i od góry, ale nie potrafiłaby uczciwie powiedzieć, co właściwie ogląda.

Zamknęła oczy, potarła skronie i usiłowała się skoncentrować, ale jej mózg pracował jak radiowy skaner, który przebiega przez setkę częstotliwości, ale nie znajduje odpowiednio silnego sygnału, żeby się na nim zatrzymać.

Poszła na wyższe piętro, gdzie znajdowały się automaty z napojami, i wypila dietetyczną coca-colę; to był jej lunch. Kiedy wróciła do siebie, zastała na biurku faks złożony z pięciu kartek. Na wierzchu leżała krótka nota od Mike'a Pasko z Pennsteelu:

Pani Svenssen, odnalazłem dwóch członków załogi, którzy dokonali inspekcji JetRangera przed wylotem z Nowego Jorku i byli w kokpicie na kilka minut przed startem. Pozwoliłem sobie odebrać ich oświadczenia, które przesyłam w załączeniu. Oryginalną wersję z podpisami i autoryzacją przekażę później.

Dana przerzucała kartki. Była zdenerwowana – Pasko nie powinien sam

odbierać oświadczeń. Powiedziała mu wyraźnie, że wysłała prawnika. Przeczytała obydwa zeznania; ich autorzy przysięgali, że kiedy JetRanger odlatywał z Nowego Jorku w ubiegły piątek, na pokładzie nie znajdowało się nic większego od aktówki.

Od razu zadzwoniła do Pasko.

– Tu Dana Svenssen. Dobra robota – zaczęła.

– Cieszę się. Co jeszcze mogę zrobić?

– Nie wiem. A czym jeszcze się pan zajmuje?

– Mój wydział jest wyszkolony we wszystkich formach nadzoru i dochodzeń. Utrzymujemy regularny kontakt z agendami zajmującymi się wdrażaniem prawa. Obserwujemy też na bieżąco pewną liczbę znanych sabotażystów, szpiegów przemysłowych oraz wybranych grup terrorystycznych.

Kiedy usłyszała termin „grupy terrorystyczne”, wstała z biurka i podeszła do okna, skąd rozciągał się widok na srebrną wstęgę rzeki Schuylkill, aż po złotą starogrecką fasadę Muzeum Sztuki. Jeszcze wczoraj nie pozwoliłaby nikomu z zewnątrz prowadzić dochodzenia w swoim imieniu, choćby kandydat był najwybitniejszym profesjonalistą i bystrzakiem, ale dziś sprawy przedstawiały się inaczej.

– Panie Pasko...

– Proszę mówić do mnie po imieniu.

– A więc Mike. Teraz należy ustalić, skąd się wzięły karabiny.

– Jasne.

– Chciałabym się też dowiedzieć o wynikach dochodzenia FBI oraz BATF. Ciekawi mnie też, dlaczego ich badania są tak ściśle tajne.

– Zaraz się za to zabiorę.

Późnym popołudniem do gabinetu weszła Celeste z kwaśną miną.

– W holu czeka jakiś chłopak – oznajmiła oburzona. – Ma doręczyć ci przesyłkę, ale nie chce jej przekazać nikomu z nas.

Dana ruszyła do recepcji. Posłańca łatwo było zauważyć – siedział na biurku. Zaniepokojona recepcjonistka musiała wychylać się na boki, aby coś widzieć. Miał na sobie koszulkę bez rękawów i podniszczone szorty, zrobione z długich dzinsów. Nosił ciemne okulary o lustrzanych szklach, włosy gładko zaczesał do tyłu.

Na widok pani adwokat zeskoczył z biurka. Dana nerwowo zerkała na przesyłkę, którą posłaniec trzymał w ręku. Koperta miała standardowy format i była cienka. Nie mogła więc kryć w sobie niczego groźniejszego niż wezwanie sądowe. Dana wyciągnęła rękę; chłopak podał kopertę i odszedł do windy.

Dana wyjęła ze środka kartkę z odręcznie napisaną wiadomością:

Spotkaj się ze mną za kwadrans na rogu Szesnastej i Market.

– Co takiego...? – Odwróciła się, szukając posłańca. Chłopak stał w windzie i z coraz szerszym uśmiechem obserwował zaskoczenie prawniczki. Kiedy drzwi już się zamykały, na jego twarzy, przy ustach pojawiły się dołeczki.

Pięć minut później Dana zjechała na parter, obwiązała głowę czarnym, jedwabnym szalem i założyła okulary przeciwsłoneczne. Wyszła na rozpaloną przestrzeń, pokrytą betonem oraz asfaltem. Ruszyła w kierunku południowoschodnim. Przechodziła przez budynki biurowe, przez chwilę

zatrzymała się w holu Ritza-Carltona, wreszcie wyszła na ulicę Szesnastą i stanęła w kolejce przed stoiskiem z napojami chłodzącymi. Na Market Street stał zaparkowany otwarty dżip.

– Co ty wyprawiasz, Broder? – zapytała wsiadając do samochodu.

– Ja? – Andy wrzucił pierwszy bieg i włączył się do ruchu. – To przecież ty zginęłaś gdzieś wczorajszej nocy. A twój domowy telefon został wyłączony.

– Co takiego? – zawołała Dana, ale zaraz sobie wszystko przypomniała. Nie spała w domu, a biuro obsługi abonentów wyłączyło jej linię. – Bardzo przepraszam, zostałam na noc w mieście.

– Dzięki za informację.

– No, a co jest takie pilne?

Andy skręcił na najbliższym rogu i wbił w nią oczy.

– Mam tylko jedno pytanie: gdzie byłaś, do cholery?

– Już ci powiedziałam... – odparła niecierpliwie.

– Nie pytam o zeszłą noc, ale o piątkowe przedpołudnie.

– Zrobili odbitki? No i jak wyszły?

– Czy ty, kobieto, wisiałaś na niebie?

– No, niezupełnie – mruknęła z uśmiechem. – Dostałam się na szczyt diabelskiego młyna. Znalazłeś coś ciekawego?

– Na szczyt diabelskiego młyna – powtórzył z podziwem w głosie. Nie spodziewała się podobnej reakcji. Aż poczerwieniała z zadowolenia.

– Drobiazg – powiedziała. – Powinieneś mnie widzieć, jak stamtąd złażłam. Operator gdzieś się zapodział. – Słyszac własne przechwałki, zaczerwieniła się jeszcze mocniej. – Gdzie zdjęcia? Zabrałeś je ze sobą? – zapytała.

– Owszem. – Andy oderwał wzrok od Dany. – Pojedźmy tam, gdzie spędziłaś ostatnią noc, i popatrzymy sobie na fotografię. Prowadź.

Przygryzła wargę. Stanowisko dowodzenia było jedynym miejscem, w którym czuła się bezpiecznie; to jej forteca.

– Daj spokój – ponaglił ją Andy. – Straciliśmy już tydzień.

– Wiem, ale...

– Słuchaj, pracujemy razem nad tą sprawą czy nie?

Jego zwilżone wodą włosy wyschły. Gorący wiatr rozwiewał kosmyki na wszystkie strony. Andy skręcił na zachód, w bulwar Johna Kennedy'ego. Kiedy przyspieszył, pęd powietrza zerwał Danie nakrycie głowy. Chciała złapać szal, ale nie zdążyła.

– No więc? – powtórzył Andy, odwracając się do pasażerki. W jego okularach widziała swoje „odbicie. Wiatr plątał jej jasne włosy.

– Pracujemy razem – zgodziła się.

Pół godziny później czekała na czterdziestym piętrze. Z windy wysiadł Broder. Otworzyła drzwi prowadzące do stanowiska dowodzenia. Wślizgnął się do środka i przesunął okulary na czubek głowy. Zatrzymał się i uważnie obejrzał pomieszczenie.

– Co tu jest? – zapytał.

– Moja sala konferencyjna – odparła filuternie.

Roześmiał się i rzucił plik zdjęć na stół. Na wierzchu leżała fotografia trzech dziewczynek. Robiły śmieszne miny do obiektywu i obejmowały się ramionami. Dana odchrząknęła.

– A co to?!

Broder stał pod niewielką lodówką w drugim końcu pokoju.

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł.

Przyjrzała się dokładniej nieznanym sobie dzieciom – na ich koszulkach widniał napis: „Drużyna Odkrywców”.

– Ach tak, zapomniałam. Moja córka zrobiła kilka zdjęć na początku kliszy.

Odłożyła na bok jeszcze kilka fotografii zrobionych przez Kirstie: dzieciaki kręcą się na karuzeli, zdenerwowana opiekunka trzyma za kołnierz chłopca wymachującego nogami w powietrzu, Trina z zamkniętymi oczami wysuwa język, by posmakować różowej waty cukrowej.

– Śliczna dziewczynka – zauważył Broder.

– Moja córka.

– No to nic dziwnego.

Kolejna fotografia stanowiła zaskakujący, ponury kontrast w stosunku do poprzednich. JetRanger i skyhawk tkwiły na rusztowaniu kolejki górskiej w pozycji, która wydawała się nieprawdopodobna. Samolot leżał na boku ze skrzydłem wycelowanym w niebo, za nim znajdował się częściowo widoczny helikopter. Obok obu wraków wznosiło się rusztowanie kolejki. Obraz był tak wyraźny, że Dana mogła nawet rozróżnić ubrudzone sadzą twarze ratowników.

Straszny widok, ale dobre zdjęcie, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę, że zostało zrobione z prymitywnego aparatu na bujającej się gondoli. Było jeszcze kilkanaście zbliżonych ujęć; Dana dokładnie obejrzała wszystkie i pytająco spojrzała na Brodera.

– Czy one nam pomogą, czy zaszkodzą?

– Na razie trudno powiedzieć. Kiedy dostaniesz dane z radaru?

– Och, już je mam.

Wyciągnęła z aktówki sprawozdanie Diefenbacha. Broder usiadł okrakiem na krześle i zaczął czytać pierwszą stronę.

Dana także zabrała się do pracy. Zasiadła przy komputerze w drugim końcu sali. Wpisała hasło pozwalające wejść do systemu biurowego i otworzyła bazę danych Marii. Trzy formalne skargi zostały już wprowadzone, a daty odpowiedzi uwzględnione w kalendarzu. Wysłała pocztą elektroniczną kolejną informację do Billa Morana, by mu przypomnieć, że w poniedziałek rano mają się spotkać w parku z Donem Casellą. Brad Martin przekazał emailem wstępną wersję informacji dla prasy; Dana zredagowała tekst i odesłała Bradowi, dołączając instrukcję, że materiał powinien trafić do niedzielnych gazet.

Do wieczora Dana załatwiała wszystkie sprawy, w które można się zaangażować za pośrednictwem modemu. Burczało jej w brzuchu. Przez cały dzień wypila tylko kawę i dietetyczną coca-colę. Spojrzała na Brodera. Wciąż ślęczał nad danymi radarowymi. Teraz robił notatki i obliczał coś na papierze.

– Zorganizuję coś do jedzenia – powiedziała.

– Ja pójdę – zaprotestował podnosząc głowę.

– Nie ma powodu...

– To przecież za tobą chodzą, nie za mną.

Zaproponował system pukania do drzwi, sygnalizujący jego powrót. Dane ogarnęło niemiłe uczucie. Jeszcze zeszłej nocy pobyt w centrum dowodzenia traktowała bardzo poważnie. Teraz, kiedy pojawił się tu Andy, sytuacja zaczęła przypominać dziecienną zabawę w szpiegów.

Komputer wydał dźwięk oznajmiający nadejście poczty elektronicznej. Były dwie nowe wiadomości. Pierwsza pochodziła od Travisa.

Dano, poszukiwania w kwestii zadłużenia kredytowego utknęły na żonie Loudenberga. Zatelefonowałem do sprzedawcy w „True Value”. Kiedy poprzednio z nim się kontaktowałem, był bardzo rozmowny, teraz milczy jak zakłęty. Nie sadzisz, że Thompson mógł się do niego dobrać? Co dalej robić?

Wpatrywała się w ekran. Już nie miała wrażenia, że uczestniczy w dziecinnej grze. Szybko wystukała odpowiedź:

Zacznij pisać projekt odpowiedzi na złożone pozwy z zarzutami. Powinniśmy opracować właściwy szablon. Podejrzewam, że przyda się nam wielokrotnie. Dopóki tego nie skończysz, zostaw Loudenbergów w spokoju.

Przesłała wiadomość.

Zanim rozległo się umówione pukanie do drzwi, na dworze zapadł zmierzch. W sali nie było żadnego światła, mrok rozjaśniały tylko refleksy miejskich latarni i zielonkawa poświata bijąca z komputerowego ekranu.

– Andy? – zapytała szeptem.

– Tak.

Przekręciła klucz w zamku. Chłopak wślizgnął się do środka. Przyniósł dwie torby jedzenia i pizzę.

– Czy ktoś widział, jak wysiadałeś na tym piętrze?

– Nie. Poczekalem, zeby miec windę tylko dla siebie i wcisnałem trzy inne przyciski.

Usiadł i zabrał się do pizzy. Dana krążyła po ciemnym pokoju. Dookoła wznosiły się inne budynki. Widać było jak na dłoni, co się dzieje w oświetlonych pokojach. Po drugiej stronie ulicy młoda prawniczka z innej kancelarii ślęczała przy biurku. Dana miała wrażenie, że siedzi w pokoju przesłuchań, wyposażonym w dwustronne lustro. Dane też mógł ktoś podglądać:

– Chodź. Siadaj i jedz – odezwał się Andy.

Wzięła kawałek pizzy i zaczęła rozpakowywać torby. Woda sodowa, chipsy, pączki. Pomijając mleko i płatki zbożowe, było tam wszystko, co się jada na studenckich przyjęciach. Przy takiej diecie Andy nie zachowa na długo swojej muskularnej sylwetki, pomyślała. Zniosła jedzenie do prowizorycznej kuchenki, potem ciężko usiadła przy stole. Broder wrócił do lektury raportu Diefenbacha, zjadając pizzę.

Dana zebrała zdjęcia z katastrofy. Przeglądała jedno po drugim. Wyteżyła wzrok, usiłując znaleźć na nich coś ważnego, ale wkrótce była w stanie dostrzec tylko czarne i żółte plamy.

– Wyglądasz na wykończoną – stwierdził Andy.

Wyprostowała się i palcami przeczesła włosy.

– Przyjrzyj mi się dobrze. – Roześmiała się niewesoło. – To się nazywa wiek średni. Pewnego dnia ciebie też dopadnie.

– Możesz przestać gadać o wieku? O co chodzi? Oboje jesteśmy po trzydziestce.

– Ale ty ją dopiero przekroczyłeś.

Przewrócił oczami.

– Dlaczego się trochę nie prześpisz?

Kiedy pomyślała o śnie, kozetka wydała jej się luksusowym łóżem.

– Kiedy wychodzisz? – zapytała.

– Nie wychodzę. – Pochylił się nad swoimi notatkami.

– Andy...

– Zapomnij o tym – dodał. – Nie zostawię cię tu samej.

– Zatrudniłam cię do rekonstrukcji katastrofy, a nie do ochrony.

– No i co z tego? Dostałaś dwóch ludzi za cenę jednego.

– Nie jesteś mi potrzebny.

– Mam inne zadanie. Przesuń kozetkę do łazienki, jeżeli się wstydzisz.

Możesz nawet się tam zabarykadować. Ja sobie porządę tutaj.

– Porządysz sobie? – zapytała unosząc brwi.

Andy uśmiechnął się głupio i wrócił do pracy. Dana zrobiła, jak jej poradził – zaciągnęła kozetkę do toalety, którą przeznaczyła dla pań. Po cichu zamknęła za sobą drzwi i przysunęła do nich prycę, zdjęła ubranie i położyła się na plecach. Mimo zabarykadowanych drzwi czuła się niepewnie, leżąc nago, więc założyła koszulkę.

Później, gdy już odpływała w nieświadomość, zaczęła się zastanawiać, skąd Broder właściwie wie, ile ona ma lat. Zanim jednak zdołała rozwikłać tę zagadkę, zapadła w głęboki sen.

Cela była tak dokładnie zabezpieczona przed dopływem światła, że Whit mógł oceniać upływ czasu tylko według długości swego zarostu. Ostatni raz golił się w środę rano. Skorzystał z różowej, plastikowej jednorazówki, którą znalazł w mieszkaniu Brandi. Pocierając spoconą dłonią kłujący podbródek, uznał, że siedzi w niewoli już trzeci dzień, a więc jest piątek wieczór. Termin wyznaczonego na piątkowy rano spotkania minął parę godzin temu. Whit zastanawiał się, czy Ike potwierdził zawartość koperty, której dostarczenia zażądał, czy też Dana po prostu nie pojawiła się we wskazanym miejscu. W poniedziałek wieczorem powiedziała mu: „Nie zamierzam się tobą przejmować Whit”. Cóż, miał kłopot.

Usłyszał na zewnątrz głos Ike'a i znowu przypomniał sobie znajomy głos drugiego porywacza. Uderzył się ręką w czoło, ale to nie pobudziło pamięci do wystarczającego wysiłku.

– Profesorze – dobiegł z głośnika głos Ike'a. – Musi pan odczytać następne oświadczenie.

Jeszcze jedno? Czy to znaczy, że Dana nie zareagowała na pierwszą wiadomość?

– A co to, serial telewizyjny? „Śmierć w toalecie”, odcinek drugi? – zawołał.

– Nieważne – warknął Ike. Najwyraźniej nie było mu do śmiechu. Porywacze musieli popełnić błąd. Gdyby Dana zlekceważyła ich za pierwszym razem, nie trudziliby się nagrywaniem drugiej kasety. Coś

spieprzyli, inaczej nie dawaliby jej drugiej szansy.

Była to też druga szansa dla Whita.

Myśl, powiedział sobie, naciągając ubranie i przygotowując się na występ przed kamerą. Przypomnij sobie. To ostatnia okazja. Drzwi otworzyły się. Whit dostał kartkę. Myślał z takim wysiłkiem, że aż nabrzmiały mu żyły na skroniach.

– Gotowy? – zapytał Ike.

To wszystko nie miało sensu.

– Tak – odparł.

Dana obudziła się w ciemności i spojrzała na zegarek – elektroniczne cyferki wskazywały za kwadrans czwartą. Znowu coś usłyszała: odgłos cichej rozmowy. Zsunęła się z łóżka i po cichu otworzyła drzwi.

Broder stał na środku pokoju, odwrócony do niej tyłem. W rękę trzymał telefon komórkowy.

– Tak, jeżeli możesz mi ją przygotować – powiedział. – Będę za godzinę. No tak, w porządku. Przepraszam, że cię obudziłem.

Wyłączył aparat, odwrócił się i zobaczył Dane.

– Przykro mi. Ciebie też obudziłem.

– Co się dzieje? Dokąd się wybierasz?

Andy wziął pączka ze stojącego na stole pudełka i odgryzł kawałek.

– Chcę przelecieć nad Alpine Valley – wyjaśnił. – Żeby się przekonać, czy potrafię zrekonstruować trasy lotu. – Popił ciastko łykiem kawy. – Chyba odtworzyłem tę sytuację – dodał.

Dana otworzyła szeroko oczy i wyskoczyła z łazienki.

– Jak to wygląda? Pokaż!

– Najpierw muszę przelecieć się tą drogą i sprawdzić kilka szczegółów.

– Idę z tobą. Andy zmierzył półnągą Dane wzrokiem.

– Mnie to pasuje – powiedział z uśmiechem.

Dana zaczerwieniła się i schowała z powrotem w łazience.

– Daj mi pięć minut, ubiorę się – zatrzasnęła drzwi, ale zaraz znowu je otworzyła. – I ani się waż ruszyć beze mnie.

Wyjechali z miasta, kierując się na północ. Panowała jeszcze głęboka noc. Na niebie widniał żółty, zamglony półksiężyc.

– Popatrz. – Broder, jedną ręką pokazał zdjęcie, drugą kręcił kierownicą dżipa. – Widzisz prawą płożę?

Dana otworzyła schowek i podsunęła fotografię do światła. Zauważyła linię ukośnie przecinającą płożę helikoptera: głęboka rysa na metalu.

– No i co? – spytała.

– To zostało zrobione jakimś ostrym przedmiotem.

– Takim jak śmigło samolotu? – Podejrzliwie oglądała wrak skyhawk.

– Wątpię. Płożę mogła rozciąć sztaba z rusztowania kolejki górskiej. Nie widać śmigła, więc trudno stwierdzić, czy jest uszkodzone.

– Nie widać śmigła, bo go tam nie ma – wtrącił Andy.

– Może odpadło, kiedy samolot uderzył w kolejkę.

– Popatrz uważnie na tę płożę. Widzisz drugą rysę?

Przyjrzała się dokładniej – równolegle do poprzedniej biegła druga, mało widoczna linia.

– Pierwsze ostrze uderzyło w płożę i ją rozcięło. Ułamek sekundy później uderzyło drugie ostrze. Już nie tak mocno, bo śmigło oderwało się od samolotu i ześlizgnęło po płożie.

Dana wyobraziła sobie tę scenę – nos samolotu wsuwa się pod helikopter, a łopatki śmigła przecinają wszystko, co napotkają na drodze.

– A teraz popatrz na zdjęcie z watą cukrową – powiedział Andy.

– Co takiego?

– Na zdjęcie twojej córeczki. Odszukała odbitkę w pliku innych.

– Spójrz na niebo w tle, za dziewczynką.

Dana wpatrzyła się w zdjęcie, po chwili mruknęła zaskoczona:

– Myślałam, że to ptak!

– Ja też.

W pewnej odległości za Katriną widać było niski garb zalesionego wzgórza, a wyżej, na niebie, samolot lecący niemal pionowo.

– Powiększę fotografię. Wtedy zdołamy odczytać numer na ogonie i dowieść, że to skyhawk. Idzie bardzo ostro do góry.

– Może chcieli przeskoczyć wierzchołek?

Andy przytaknął.

– Ale wzgórze było z pięćset metrów pod nimi – powiedziała Dana. – Diefenbach uważa, że skyhawk leciał na pułapie około siedmiuset metrów.

– Tak, wiem.

– A więc?

– Uważam, że się pomylił.

Dana czekała na dalszy ciąg, ale Andy patrzył na drogę i nie odzywał się.

– Nie powiesz mi, o co chodzi? – ponagliła chłopaka.

– Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego?

– Bo jeżeli nie mam racji... – Nachylił się, by zamknąć schowek – to ty jesteś ostatnią osobą, przed którą chciałbym wyjść na osła.

Światło zgasło i twarz Andy'ego znikła w ciemności.

Kiedy Dana wsiadała do samolotu Brodera, niebo robiło się szare, a księżyc przybrał bladą barwę. Termos z kawą wsunęła za siedzenie, przypięła się pasem i wyjrzała przez okno. Kiedyś już latała jednosilnikowym samolotem, ale nigdy nie siedziała na miejscu drugiego

pilota. Stąd perspektywa była inna.

Broder też wydawał się inny. Obserwowała, jak obchodzi wkoło samolot, sprawdzając wszystko przed startem. Przebrał się. Ubranie muskularnego, chłopięcego posłańca zamienił na dżinsy i koszulkę polo. Kiedy wskoczył do kokpitu, przypominał raczej rozważnego, skupionego pilota niż sprytnego łobuziaka. Skontrolował poszczególne systemy, rozłożył mapy, wyznaczył kierunek lotu i ołówkiem zaznaczył trasę na planie.

Chociaż na lotnisku byli zupełnie sami, otworzył okno i krzyknął: „Gotowe!”. Ustawił gaźnik i zapalił silnik, który zaskoczył z hukiem. Śmigło powoli zakręciło się w powietrzu; kiedy zwiększył obroty, silnik zawył. Maszyna potoczyła się przed siebie. Na końcu pasa startowego zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Czekał, aż silnik osiągnie właściwy poziom obrotów, sprawdził odległości, iskrowniki i ustawił instrumenty.

– Ruszamy! – zawołał, otwierając przepustnicę. Samolot szybko potoczył się po pasie, gwałtownie drząc pod wpływem wibracji motoru.

– Hej! – krzyknęła Dana. – Naprawiłeś to, nad czym wtedy pracowałeś? Błysnął białymi zębami spod okularów przeciwsłonecznych.

– Trochę za późno o to pytać!

– Jeszcze jesteśmy na ziemi – odparła, ale to już nie było prawdą. Koła oderwały się od podłoża, Andy pociągnął do siebie dźwignię sterowniczą i samolot zaczął się wzbijać w powietrze. Przed nimi na niebie wznosił się księżyc. Pod skrzydłami migały wierzchołki drzew. Kiedy skręcili lekko na północ, horyzont przechylił się. Na wschodzie pojawiło się słońce.

Dana była oczarowana widokiem.

– Popatrz – wyciągnęła rękę. – Słońce wstaje, a księżyc jeszcze nie zaszedł. A my jesteśmy uwięzieni pośrodku.

– Uwięzieni? – powtórzył zdumiony Broder. – W żadnym razie. – Założył słuchawki radiowe na głowę. – Cały świat należy do nas.

– Masz rację.

– Tak jest w górze. Wiesz, mnóstwo ludzi uważa Alaskę za Ostatnią Granicę, ale ja oddałbym wszystko za to jedno niebo. Tutaj można naprawdę podążyć, dokąd się chce. Nie ma świateł drogowych, pasów, barierek. Nie ma w ogóle drogi, z wyjątkiem tej, jaką można sobie samemu naszkicować. Nie ma też innych reguł jak te, które człowiek sam sobie narzuca podczas lotu.

Jakby podkreślając, o co mu chodzi, pochylił samolot w lewo i skierował się na północny wschód.

Dana obserwowała ziemię umykającą pod kadłubem skyhawka. Pola obsiane złotą kukurydzą zaczęły ustępować miejsca srebrzącej się pszenicy, potem pojawiły się ciemne lasy.

– Jak tu pięknie! – westchnęła Dana.

– Owszem. Latanie to druga z najsilniejszych emocji, znanych człowiekowi.

Po chwili wahania Dana zapytała: – Jakie przeżycie zajmuje pierwsze miejsce?

– Lądowanie – odparł Andy.

Roześmiała się.

– Słyszałam tę opinię w innej wersji – powiedziała. – To nie latanie jest niebezpieczne, tylko lądowanie.

– Och, ja nie odczuwam żadnego strachu. Wiesz, dlaczego? Bo sam

siedzę za sterami.

Przyglądała się Andy'emu. W ciągu lat pracy poznała mnóstwo młodych, gorliwych facetów – w firmie „Jackson, Rieders & Clark” jest ich zawsze pełno – ale nigdy nie spotkała człowieka tak entuzjastycznie traktującego własną pracę.

– To cudowne: kochać to, co się robi – mruknęła.

Usłyszał jej uwagę poprzez szum silnika i huk wiatru. Spojrzał na nią zaintrygowany.

– A ty nie kochasz swojej roboty?

– Niezbyt często. Chcesz trochę kawy?

Andy przytaknął. Wyciągnęła termos i nalała parujący płyn do dwóch kubków.

– A jak to wyglądało, kiedy zaczynałaś?

– Wtedy kochałam pracę w kancelarii. – I co takiego się wydarzyło?

– Właściwie sama nie wiem. Trudno wytłumaczyć – powoli sączyła kawę, zastanawiając się nad odpowiednim porównaniem. – Powiedzmy, że jako szef linii lotniczej masz dostarczyć na miejsce grupę pasażerów i zabrać na pokład inną grupę ludzi. Przyjmijmy także, że kilka razy na dzień zdarzają się poważne zakłócenia w systemie kontroli ruchu powietrznego i wtedy nikomu nie pozwalają lądować. No więc ty, jako szef porządnej, przestrzegającej prawa linii lotniczej...

– Uważaj, w tym miejscu możesz się mylić.

– ... kołujesz nad lotniskiem, czekając na pozwolenie lądowania. Jednak w tym czasie inne linie podejmują decyzję samodzielnie. Pusto napasie? No to lądujemy. Ich pasażerowie są zachwyceni. Wszyscy, którzy czekali na twój samolot, pędzą wymieniać bilety, by skorzystać z

konkurencyjnych linii, a pasażerowie na pokładzie twojej maszyny buntują się, ponieważ ty nie łamiesz reguł tak jak pozostali.

– No dobrze, ale na tych, co lądują bez pozwolenia czekają kary.

– Najwyżej dostanę po łapach, co nie jest szczególnie przykre. Tym bardziej że ich wpływy zwiększają się czterokrotnie w rezultacie większych obrotów. A ty wciąż krążysz nad lotniskiem. Pasażerowie wszczynają awanturę na pokładzie. W dodatku kierownictwo przekazuje przez radio informację: musimy podnieść o sto procent ceny biletów, żeby zadowolić akcjonariuszy; trzeba też zmniejszyć zużycie paliwa.

– Nie zrozumieć – wtrącił Broder. – Jak to się ma do twojej sytuacji?

Dana wypila trochę kawy.

– Nasz system prawny załamuje się – powiedziała. – Ludzie przestrzegający reguł wychodzą na tym fatalnie, a inni, którzy gwałcą normy i wykorzystują luki w prawie, ciągle idą do przodu. Tak jest zawsze. A sprawiedliwość? Krąży gdzieś wysoko w chmurach. I nigdy nie dotyka ziemi. – To brzmi dość przygnębiająco.

– Owszem. – Dana wypila kawę do końca. – Ale tak właśnie jest.

– Mimo wszystko trzymasz się tego zajęcia. Dlatego że porządni ludzie liczą na dobrego prawnika i uczciwy wyrok.

Dana roześmiała się ze smutkiem.

– Trzymam się tego, bo muszę płacić rachunki i mam dwoje dzieci, którym trzeba opłacić szkołę.

– Daj spokój, przecież nie żyjesz od pierwszego do pierwszego.

– Fakt. Ale wiesz, jak się definiuje termin „przeżycie”? Trzeba zarabiać o dziesięć procent więcej niż rok wcześniej.

Andy przyglądał się jej z wielką uwagą.

– Skomplikowana z ciebie kobieta – powiedział.

– Nie jestem skomplikowana, mam tylko skomplikowane życie. Po minucie wskazał coś za oknem. – Popatrz tam.

Dana nachyliła się ponad jego ramieniem i spojrzała na zachód.

– Co takiego? – zapytała. – Nic nie widzę.

– Księżyc znikł – wyjaśnił Andy. – Już nie jesteście w pułapce.

Godzinę później ich oczom ukazały się pozostałości po pożarze w Alpine Valley. Wśród nadpalonych wierzchołków drzew ukazał się wielki, diabelski młyn i przetrącony szkielet kolejki górskiej. Minęła szósta rano. Na ziemi nie było widać żywej duszy, całe niebo należało do Dany i Andy'ego.

Broder przymknął przepustnicę i zaczął zataczać powolne, koncentryczne kręgi nad parkiem rozrywki. Park rozłożył się na dnie doliny, łańcuch niewysokich wzgórz otaczał go ze wszystkich stron z wyjątkiem wschodniej. Andy spoglądał to na wysokościomierz, to na mapę. Co minutę odwracał głowę, obserwując ziemię.

Po czwartym okrążeniu powiedział:

– Teraz zawrócimy i odnajdziemy szlak helikoptera.

Otworzył szerzej przepustnicę. Skierował samolot na północny wschód, a kilka minut później wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

– W porządku, lecimy na wysokości około ośmiuset metrów. Na takim pułapie radar zlokalizował w tym miejscu JetRangera. Helikopter zmierzał na południowy zachód, do siedziby Pennsteelu.

Dana sięgnęła po raport Diefenbacha. Broder naszkicował ołówkiem trasę lotu na mapie topograficznej, która była dołączona do sprawozdania.

Lecieli dokładnie wzdłuż narysowanej linii. Po stronie wschodniej żadnych wzgórz; Alpine Valley z przodu, ale odrobinę w prawo, czyli na północ.

– Teraz uważaj – powiedział.

Pochylił maszynę i skręcił o kilka stopni na północ. Park znalazł się dokładnie pod nimi.

– Czy JetRanger też skręcił na północ? – zapytała analizując mapę.

– Dlaczego?

Broder ruchem głowy pokazał lewe okno; Dana wychyliła się, żeby lepiej widzieć. Na południe od Alpine Valley rozciągało się duże osiedle rezydencjalne: regularnie rozmieszczone domy i ulice.

– Sprawdź to u wujka Teda – powiedział. – Ale mogę się założyć, że jego departament wymaga, aby piloci latali z dala od terenów mieszkalnych, jeżeli to możliwe. Dzięki temu napływa mniej skarg na kłopoty z hałasem. Przypuszczalnie także każą zmniejszać prędkość nad gęsto zaludnionymi rejonami. Z zapisu radarowego wynika, że JetRanger właśnie tak postąpił, mniej więcej w tym miejscu.

Danie przyszła do głowy przerażająca myśl.

– To znaczy, że helikopter skręcił na północ i zderzył się z samolotem?

– Nie. W tym punkcie samolot znajdował się jakieś trzysta metrów niżej. W każdym razie taka jest moja teoria. A teraz zawróćmy i przelećmy trasę, jakiej się trzymał Loudenberg.

Znów zmienił kierunek na północny wschód i zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, podchodząc do Alpine Valley. Tym razem leciał torem położonym bardziej na północ i mniej więcej równoległym do poprzedniej drogi.

– Poczekaj chwilkę – wtrąciła Dana, która obserwowała wysokościomierz. – Jesteś na poziomie ośmiuset metrów. Na tym samym pułapie leciał JetRanger. A mówiłeś, że samolot znajdował się o trzysta metrów niżej.

– Jeszcze nie obniżyłem lotu. Ale... – Andy zerknął na mapę Diefenbacha i nagle zanurkował. – W porządku, już schodzę.

Przyspieszenie wbiło Dane w fotel. Kiedy Broder wyrównał poziom, wysokościomierz wskazywał pułap pięciuset metrów. Dana chwyciła sprawozdanie z obserwacji radarowych i zaczęła kartkować.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Diefenbach twierdzi, że samolot leciał na stałej wysokości około siedmiuset metrów.

– Dlatego, że jedyne wyraźne echo samolotu odbierano na tym pułapie. Diefenbach przyjął więc założenie, że skyhawk przez cały czas zdążał do celu na tej wysokości. Ja natomiast uważam, że awionetka pozostawała na pułapie siedmiuset metrów tylko przez moment, w trakcie wznoszenia się z pięciuset na osiemset metrów i po raz drugi, kiedy schodziła z ośmiuset na pięćset.

– Ale na pozostałych wysokościach też zarejestrowano by echo.

– Niezupełnie, doktorze Watsonie – powiedział z uśmiechem Andy. – W takim terenie nie można odebrać dobrego echa poniżej granicy pięciuset metrów nad poziomem morza. Występuje zbyt wiele zakłóceń wywołanych przez cele naziemne.

– No dobrze. – Dana wciąż zachowywała sceptycyzm. – Dlaczego więc nie było echa na poziomie ośmiuset metrów?

– Ponieważ samolot leciał zbyt blisko śmigłowca. Obraz nałożył się na radarze. Odbiornik zarejestrował tylko jedno echo.

To było bardzo prawdopodobne. Dana przypomniała sobie ostrzeżenie Diefenbacha, że dwa samoloty można śledzić tylko wtedy, gdy są w odległości nie mniejszej niż sto sześćdziesiąt metrów. Jeżeli dystans jest krótszy, na ekranie pojawia się jeden punkcik.

– Uruchom wyobraźnię – powiedział Broder. – Siedzimy teraz w skyhawku, wysokość pięćset metrów. JetRanger znajduje się trzysta metrów wyżej. Lecimy do tego samego punktu, ale my znajdujemy się bardziej na północ i nieco z tyłu. Przewiduję, że śmigłowiec był dokładnie tutaj. – Wyciągnął rękę do góry i przed siebie. – A teraz, uważaj, co się dzieje.

Wysokościomierz ciągle pokazywał pięćset metrów, ale wydawało się, że widoczna w dole ziemia zaczyna się wznosić.

– Wzgórze! – krzyknęła Dana. – To, które widać na zdjęciu Triny!

– Zgadza się. Loudenberg nie zwracał uwagi na ukształtowanie terenu. Wpadł w panikę i właśnie tutaj... – Andy mocno pociągnął do siebie dźwignię steru – ... wyskoczył ostro w górę.

Nos samolotu był skierowany prosto w niebo, wskaźnik szybkości pionowej gwałtownie przesunął się do przodu.

– W tym momencie wznosił się po tak stromym torze, że zaczął się bać, iż utraci siłę ciągu – wyjaśnił dalej Andy.

– Co to znaczy?

– Kiedy kąt nachylenia skrzydła jest zbyt duży, samolot traci zdolność unoszenia się w powietrzu. Jeżeli nie opuszczę nosa i natychmiast nie zwiększę ciągu, spadniemy.

– Więc na co czekasz?! – krzyknęła przerażona Dana.

Andy z uśmiechem przesunął dźwignię do przodu i szerzej otworzył

przepustnicę. Głos silnika wszedł na ton wyższy o oktawę, gdy zwiększyła się moc. Maszyna wróciła do poziomego położenia. Wysokościomierz wskazywał prawie osiemset metrów.

– Na tej wysokości wystąpiło kilka niezidentyfikowanych sygnałów radarowych. Uważam, że to był skyhawk. Podsumujmy: ominęliśmy górę, prawie straciliśmy siłę ciągu i wspięliśmy się o przeszło dwieście pięćdziesiąt metrów. Wszystko trwało mniej więcej minutę. W tym samym czasie JetRanger skręcił na północ. Teraz powiedz, gdzie znajduje się helikopter?

Dana zamknęła oczy, usiłując wyobrazić sobie całą sytuację. JetRanger leci wyżej, zmniejsza prędkość i skręca na północ. Skyhawk przemieszcza się kursem równoległym, trochę dalej na północ, i raptownie wznosi się o prawie trzysta metrów.

– Jest prawie dokładnie nad nami – odparła.

Broder przytaknął.

– A teraz postaraj się wcielić w Loudenberga. Nie zauważyłaś, że śmigłowiec zrobił zwrot na północ, więc zastanawiasz się, gdzie się podział. Rozejrzyj się.

Dana odwróciła się w lewo, ale ta część nieba była zasłonięta. Popatrzyła prosto w górę, potem przeniosła wzrok na prawo. Za każdym razem miała przed oczyma skrzydło.

– To jest jeden z najlepszych samolotów – poinformował Broder. – Jednak umieszczenie skrzydła nad kabiną powoduje, że kiepsko widać, co się dzieje na górze. Loudenberg nie był w stanie zauważyć helikoptera.

– Znakomicie – jęknęła. – Loudenberg nie widział helikoptera i nie mógł go wyminąć, zatem nie ponosi winy. Ale co robiła załoga

JetRangera? Oni powinni zauważyć samolot i odsunąć się na bok. W piątek na niebie nie było ani jednej chmurki.

– No właśnie, w takich warunkach najtrudniej zauważyć inny obiekt w powietrzu. Na szarym albo białym niebie dobrze widać ciemną sylwetkę samolotu. Wyraźnie kontrastuje z tłem. Ale nie wtedy, kiedy niebo jest błękitne. Weź jeszcze pod uwagę blask słońca. O dziesiątej rano śmigłowiec leciał na południowy wschód. Słońce świeciło pilotom prosto w oczy. Skyhawk wyskoczył im spod nóg, nie mieli szansy zauważyć samolotu.

– Musieli go jednak usłyszeć.

– W kokpicie helikoptera panuje taki hałas, że trzeba mieć specjalny sprzęt, żeby rozmawiać przez radio.

– No to przynajmniej Loudenberg powinien usłyszeć...

– I słyszał warkot śmigła JetRangera. Wiedział, że helikopter jest gdzieś tam, na niebie. Ale na tej podstawie nie da się ocenić dystansu. Załóż to na głowę.

Podał Danie słuchawki z mikrofonem. Usłyszała głośny szum i daleki odgłos rozmów prowadzonych przez radio. Broder poruszył ustami. Zsunęła słuchawkę z ucha i zapytała:

– Co mówiłeś?

– Że w powietrzu nie można polegać na słuchu. Oddała mu słuchawki, zastanawiając się nad sytuacją.

– Ale wciąż jeszcze mamy siedemdziesiąt metrów różnicy w pionie. Dlaczego doszło do zderzenia?

Alpine Valley leżała dokładnie w dole. Broder położył maszynę na prawe skrzydło i zrobił następne kółko.

– Mam taką oto teorię – powiedział. – Założmy, że jestem Loudenbergiem i przez chwilę lecę w cieniu śmigłowca.

– Świadomie?

– Zabawmy się przez moment. Zaskoczyło mnie wzgórze, za szybko wystrzeliłem w niebo, niemal straciłem równowagę. Jestem trochę zdezorientowany, nigdzie nie widzę helikoptera. Co wtedy robię?

– Wznosisz się jeszcze wyżej? – odpowiedziała z niedowierzaniem.

– Bingo. Podrywam nos do góry, żeby lepiej widzieć, co się dzieje powyżej, ale jest już za późno. Najpierw uderzam go śmigłem. Jedna łopatką przecina prawą płożę helikoptera, potem uderza druga. Śmigło się odrywa, samolot wpada w spiralę. Prawe skrzydło unosi się i trafia w główny rotor śmigłowca.

– A w skrzydłach są zamontowane zbiorniki paliwa.

– No właśnie. Wirnik uderza w prawe skrzydło, zbiornik zapala się. Dochodzi do pierwszej eksplozji. W tym samym czasie odpada główne śmigło JetRangera i helikopter spada jak kamień.

– Razem ze skyhawkiem, który znajduje się pod nim!

Dana przycisnęła twarz do szyby i zmierzyła wzrokiem park rozrywki. Milczała przez chwilę, układając sobie w myśli scenariusz. W końcu pokręciła głową.

– To się nie mogło tak odbyć. Dlaczego pilot samolotu miałby świadomie lecieć blisko helikoptera?

– Niegrzeczni chłopcy zawsze tak robią. W taki sposób wchodzą w amerykańską przestrzeń powietrzną. Trzymają się ogona samolotu, który wkracza na nasz teren legalnie i chowają się za jego odbiciem na radarze. W rezultacie nikt nie wie, że oni tu są. To samo odnosi się do lotu na małej

wysokości. Oni nazywają to szybowaniem. Jeżeli leci się odpowiednio nisko, pozostaje się niewidocznym dla radaru.

– Ale to nie był lot międzynarodowy – zaprotestowała. – No i Loudenberg nie miał powodu się ukrywać. Nikt go nie śledził. Nigdy nie uda mi się sprzedać tej historii ławie przysięgłych.

Broder wysunął szczękę i wpatrzył się w dal.

– No to już wiem, dlaczego nasz system sprawiedliwości nie funkcjonuje.

– Jak to?

– Bo wy nie potraficie spojrzeć dalej, wyjść poza to, w co wierzą przysięgli.

– A nad czym jeszcze miałabym się zastanawiać? – zapytała.

– Nad tym, gdzie jest prawda – odrzekł. – Najpierw trzeba sobie wyobrazić, co się wydarzyło, a dopiero potem myśleć, w jaki sposób to zaprezentować.

Przez jakiś czas milczeli. Zdenerwowany Broder krążył nad parkiem. Pierwsza odezwała się Dana:

– Chyba powinnam dowiedzieć się czegoś więcej o Loudenbergu. Sama wybiorę się do Montrose.

– Nie do Montrose.

– Co takiego?

– Oni nie lecieli stamtąd, przynajmniej w ostatniej fazie podróży. Chwyła sprawozdanie z danymi radarowymi i zaczęła je przeglądać.

– A skąd?

– Z miejscowości o nazwie Laporte.

– Gdzie to jest?

Broder przesunął do góry ciemne okulary i popatrzył na Dane z uśmiechem.

– Dowiedzmy się tego.

Laporte było małym miasteczkiem w okręgu Sullivan, położonym niecałe sto kilometrów na południe od Montrose; tak przynajmniej wyliczyła Dana, mierząc palcem odległość na mapie. Niewiele wiedziała o tej okolicy. Jeden ze współników, obecnie na emeryturze, miał tu letni domek w górskiej miejscowości wypoczynkowej Eagles Mere. Było to serce okolicy: miasteczko z epoki wiktoriańskiej, z ulicami obsadzonymi drzewami i dwupiętrowymi pawilonami z kamienia i drewna, stojącymi na brzegu dużego, prywatnego jeziora. Mieszkańcy Filadelfii i Nowego Jorku od czterech pokoleń spędzali tu wakacje. Na gankach wciąż jeszcze stały wiklinowe fotele, należące do babek obecnych właścicieli. W Laporte siedzieli przez całe lato, a od początku września do kolejnej wiosny osada była zupełnie pusta. Pojawiali się tam jedynie mężczyźni z okolicznych miejscowości, którzy uzupełniali sobie skromne zasiłki dla bezrobotnych, dorabiając jako stróże opuszczonych domów.

Okręg Sullivan należał do najslabiej zaludnionych w całym stanie. Wspólnik Dany chętnie opowiadał taką oto historię: kiedy kupił domek wraz z częścią posiadłości należącej do jego kuzyna, transakcję sfinalizowano przy udziale prawnika z Laporte, który jednocześnie reprezentował sprzedawcę, bank i małe towarzystwo ubezpieczeniowe, nie wspominając już o stowarzyszeniu właścicieli nieruchomości z Eagles Mere. Pełnił on również funkcję okręgowego adwokata i prokuratora. Zresztą był to jedyny prawnik w całym okręgu. Wspólnik Dany powiedział mu kiedyś żartem: „Może by mnie pan zatrudnił? Chyba

przydałby się panu pomocnik”. W odpowiedzi usłyszał: „Do diabła z pomocnikami. Mnie jest potrzebny przeciwnik!”

Z lotu ptaka było widać rzadko rozrzucone posiadłości. Górzysty teren w większości pokrywały gęste kępy lasów. Tylko gdzieś tam stał dom, przed nim pickup, a z tyłu piętrzył się stos drewna. Drogi zliczyłoby się na palcach – niełatwo było się tu dostać ani stąd wyjechać.

Andy krążył przez dziesięć minut w powietrzu, przenosząc wzrok z okolicy na mapę i z powrotem. Nigdzie jednak nie znalazł ani śladu lotniska, pasa startowego czy choćby płaskiego i na tyle obszernego pola, żeby posadzić maszynę.

– To nie może być tutaj – powiedziała Dana.

Andy zatoczył jeszcze jedno kółko i znalazł się nad wąską dolinką. Pod nimi wiała się samotna droga, z obu stron obramowana zalesionymi wzgórzami. W kilku miejscach widniały polany, ale tak małe, że przez drzewa nawet za dnia niewiele światła przenikało przez okna znajdujących się tam chat.

– Jesteś pewny, że dobrze wyliczyłeś? – zapytała.

– Jeżeli gdzieś tkwi błąd, to w danych z radaru, nie w mojej nawigacji – odparł Andy.

– Chyba przyjemnie być tak pewnym siebie.

– Jasne, to wspaniałe uczucie – przyznał. – Popatrz tam dalej.

Przez kilkaset metrów szosa biegła po lekkiej krzywiźnie – to był najprostszy odcinek w promieniu trzydziestu kilometrów.

– Domyślam się, że to był właśnie pas startowy Loudenberga.

– Gdzie? – Dana przytknęła nos do szyby. – Tam, na tej drodze?

– Tak.

Dokładnie obserwowała pagórkowatą okolicę.

– Jak to? Przecież nie mógł zostawiać samolotu na szosie.

– Niedaleko pewnie jest jakaś polanka. Zejdźmy i rozejrzyjmy się.

– Co? Czy chcesz lądować na szosie? – krzyknęła. – Broder, pamiętaj, że to samolot, a nie helikopter.

– A ty pamiętaj, że lecisz z pilotem z Alaski – odparł z uśmiechem. – Kiedyś musiałem lądować na krze lodowej.

Poderwał samolot i zaczął krążyć trzysta metrów wyżej, aby lepiej widzieć, czy coś nie jedzie. Począł, aż zniknie załadowana drewnem ciężarówka, i obniżył lot nad dolinką. Kiedy przed ich oczyma ukazał się prosty odcinek drogi, przesunął dźwignię przepustnicy i powoli ześlizgnął się nad szosę. Dana kurczowo wbiła palce w krawędź fotela. Duże koła lekko dotknęły podłoża, a ułamek sekundy później także małe kółko na dziobie stanęło na ziemi.

– Widzisz? – powiedział. – To nic wielkiego.

Na lewo od szosy ukazała się wolna przestrzeń; Andy musiał poruszyć sterem i nacisnąć hamulec, żeby tam skręcić. Kiedy zjechali z asfaltu, samolot zakołysał się mocno. Potężne konary rozłożystych drzew prawie nie przepuszczały słonecznego światła.

– Tu jest ledwie tyle miejsca, żeby skyhawk mógł zawrócić – zauważył Broder.

– A więc to dobra kryjówka. – Dana patrzyła na otaczający ich ciemny las. – Wsiądźmy i rozejrzyjmy się trochę.

Polanka powstała niedawno. Poszycie stanowiły krzaki i niedokładnie wykarczowane zarośla, które już powoli odrastały. Były tam też trzy pniaki, ucięte piłą tuż nad ziemią. Andy przykucnął, by przyjrzeć się

glebie.

– Widzisz jakieś ślady samolotu Loudenberga? – zapytała Dana.

– Ziemia jest tak sucha i twarda, że nie zostaną na niej nawet ślady mojego samolotu.

Dana uważnie obserwowała polanę, krążąc po obwodzie. Po kilku minutach znalazła to, czego szukała: trudną do zauważenia ścieżkę idącą przez las na szczyt wzgórza.

– Sprawdźmy tutaj – zawołała i ruszyła pod górę.

To mogła być tylko dróżka wykorzystywana przez sarny. Korzenie i kawałki skał utrudniały marsz, krzaki boleśnie drapały Dane w kostki. Żałowała, że wybrała się tu w szortach i tenisówkach. W połowie drogi Andy zatrzymał Dane.

– Nie tak szybko – powiedział cicho. – Jeżeli tam jest obóz organizacji paramilitarnej, to na pewno wystawili straż.

Dana nie mogła uwierzyć, że w tak cichym i spokojnym miejscu może leżeć obóz. Pozwoliła jednak, aby Broder szedł pierwszy; w dżinsach i butach roboczych bez trudu przedzierał się przez gąszcz. Posuwał się dużymi krokami, jakby stromizna wcale mu nie przeszkadzała; tylko jego miarowo napinające się mięśnie pośladków wskazywały, że marsz wymaga wysiłku. Dana maszerowała za Andym z oczami wlepionymi w wierzchołki drzew.

W miarę jak zbliżali się do szczytu wzniesienia, robiło się coraz jaśniej. Wkrótce przed nimi otworzyła się druga polana. Andy zboczył ze ścieżynki i szedł dalej ostrożnie, aby nie wpaść w pułapkę. Dana okrążyła kępę krzewów – teraz mogli dobrze się przyjrzeć okolicy.

Na polanie stał niski, drewniany barak, pomalowany na szarobrązowy

kolor. Płaski dach zasłaniały gałęzie wiecznie zielonych drzew, spod których ledwie było widać zainstalowaną na górze antenę satelitarną. W tylnej ścianie znajdowały się dwa okna – oba zamknięte. Nie zauważyli żadnych śladów życia – na zewnątrz ani wewnątrz.

– Sprawdźmy, co tam jest? – zapytał szeptem Andy.

Skinęła głową. Zgięci w pół zagłębili się w las, żeby przedostać się na drugą stronę polanki. Przed barakiem rosła wysuszona, zbrązowiała trawa. Zauważyli kolejne dwa okna i ciężkie, stalowe drzwi. Wokoło panowała niczym niezmacona cisza.

Andy wskazał ręką budynek i pytająco uniósł brwi. Dana przez chwilę obserwowała otoczenie. W końcu skinęła głową. Broder podniósł gałąź. Dana prześlizgnęła się pod nią i wyszła z lasu na otwartą przestrzeń.

Naprzeciwko nagle wyrosła ciemna sylwetka mężczyzny. Andy objął Danę w pasie i rzucił ją na ziemię. Leżeli bez ruchu, wyteżając słuch. Serca łomotały im głośno. Nic się jednak nie zdarzyło. Broder powoli zsunął się z pleców Dany. Podnieśli głowy. Tajemniczy kształt wciąż stał nad nimi. Kiedy Dana odzyskała oddech, zauważyła, że to jedynie płaska figura wycięta z dykty.

Czekali nadal, rozglądając się dookoła, ale nic się nie poruszyło. Z trawy nie wyłoniły się też inne kartonowe sylwetki. Wstali i przyjrzeni się z bliska makiecie. Była podziurawiona kulami.

– To jest strzelnica – powiedział Andy.

Niewyraźne linie nakreślone kredą wyznaczały stanowiska strzeleckie. W okolicznych zaroślach leżało jeszcze kilka tekturowych ludzików.

– Sprawdźmy tę chałupę – zaproponowała Dana.

Przebiegli szybko przez otwarty teren i przyłgnęli do ściany baraku.

Przesunęli się do okna. Dana przyklęła, wychyliła głowę, zerknęła do wnętrza i znów się schowała.

– Widzisz kogoś? – zapytał szeptem Andy.

– Pusto.

Podnieśli się oboje. Wewnątrz znajdowało się jedno obszerne pomieszczenie. Pod lewą ścianą zauważyli dwie podwójne prycze, na środku stół z laminowanym blatem i winylowe krzesła, a na prawo telewizor i kanapę.

– To wygląda na domek myśliwski.

Dana przypomniała sobie, że Loudenberg zajmował się łowieniem zwierzyny. Trudno było sądzić, że trafili na obóz zbrojnej grupy – nie było ani strażników, ani bunkrów, ani zasieków z drutu kolczastego.

Z drugiej strony myśliwi nie ćwiczyliby się w strzelaniu do ludzkich sylwetek i aż tak bardzo nie ukrywaliby swojej bazy.

Andy cichutko syknął Danie tuż koło ucha. Ułamek sekundy później usłyszała z tyłu szczęk repetowanej broni.

– Wiesz, najdroższa – powiedział Broder, chwytając Danę za pupę. – Chyba nie trafiliśmy, gdzie trzeba.

Odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Masz rację. On mówił, że tam jest podwójne łóżko i kominek – odparła.

– Ręce na głowę! Odwróćcie się, bardzo powoli – rozkazał męski głos.

Oboje posłusznie wykonali polecenie. Naprzeciwko nich znajdowali się dwaj mężczyźni z karabinami. Dana natychmiast rozpoznała broń po charakterystycznych uchwytach i zaokrąglonych magazynkach – poczuła dreszcz w okolicach krzyża.

– Zaraz, co się dzieje? – zapytał Andy.

– Weszliście na prywatny teren, kolego – odpowiedział człowiek stojący z lewej strony. Miał wyjątkowo mały podbródek i rzadkie jasne włosy.

– Mój Boże, Ralph! – krzyknęła Dana. – Gdzieś ty mnie wywiózł?

– Bardzo nam przykro – odezwał się Broder. – Właśnie się zorientowaliśmy, że pomyliliśmy drogę, naprawdę. Nie zamierzaliśmy wdzierać się na waszą ziemię.

Jeden z mężczyzn podniósł karabin, ale drugi nadal trzymał ich na muszce.

– Co wy za jedni? Skąd się tu wzięliście?

– Jestem Ralph Bellamy z WilkesBarre. – skłamał gładko Andy. A to...
– posłuchajcie, wolałbym, nie wymawiać nazwiska tej pani.

– A to czemu?

– O rany, ona ma męża, rozumiecie? Nikomu nie chcieliśmy się naprzykrzać. Szukamy tylko miejsca, w którym moglibyśmy spędzić kilka godzin sam na sam. Wiecie, jak to jest. Kumpel wspomniał mi o chacie w tych stronach, ale pewnie źle skręciłem.

Blondyn roześmiał się. Towarzysz rzucił mu ostre spojrzenie.

– Dajcie spokój – łagodził sytuację Andy. – Nie dorobiłem się jeszcze własnego mieszkania, mam tylko ciężarówkę. Popatrzcie tylko, to nie jest kobieta, z którą można pobaraszkować w takich warunkach.

– Zamknij się, Ralph – skarciła go Dana.

Blondyn obrzucił ją aprobującym spojrzeniem i machnął karabinem w stronę lasu.

– No już, wynoście się stąd.

– Zaczekaj – wtrącił się drugi. – Lepiej się dowiedzieć, co na to powie szef.

– Kto tu dowodzi, Zack? – Blondyn przyglądał się Andy'emu. – Niczego nie widzieliście, kapujecie?

– Jasne! – Andy chwycił Dane za rękę. – Dzięki!

Na miękkich nogach przeszli przez otwartą przestrzeń. Obejrzeni się za siebie dopiero, gdy znaleźli się wśród drzew. Drugi z mężczyzn też podniósł lufę karabinu, ale wciąż gniewnie potrząsał głową.

– Spadajmy, zanim zmienią zdanie – powiedział Andy.

Pobiegli w kierunku ścieżki. Las okrył ich ciemnością. Zejście na pierwszą polanę było równie trudne, jak marsz pod górę. Dana poślizgnęła się i zjechała dwa metry po ziemi pełnej korzeni i odłamków skalnych, zanim Andy zdążył ją chwycić. Podniosła się chwiejnie. Broder ruszył przodem.

– Te karabiny... – powiedział odwracając się przez ramię.

– To MP5K. Wiesz, kim jest ten blondyn, który nas puścił? – Dana rozpoznała go dzięki slajdom Tralisa Hunta.

– No, kto to?

– Syn Loudenberga, Bill junior.

– Jezu.

Zrobiło się jaśniej – zbliżali się do polany przy drodze. Dana przyspieszyła kroku, kiedy między drzewami zauważyła błysk metalowego kadłuba. Andy nagle się zatrzymał. Wpadła na niego całym ciałem. Zaskoczona otworzyła usta, ale nie zdążyła krzyknąć, bo zakrył jej twarz ręką. W oczach Dany pojawiły się gniewne błyski.

– Popatrz – szepnął i wskazał kierunek głową. Przy samolocie stało

trzech mężczyzn. Każdy miał broń MP5K. Jeden zbliżył się do skyhawka. Dwaj pozostali wycelowali do kokpitu, kiedy wchodził do środka. Po chwili wynurzył się, trzymając coś w dłoni.

Andy zaklął cicho.

– To kluczyk do stacyjki – wyjaśnił.

Mężczyzna z kluczykiem zeskoczył na ziemię i krzyknął coś do towarzyszy. Z luf wystrzeliły płomienie. Po stoku przetoczył się huk. Dana i Andy rzucili się na ziemię. Rozległ się odgłos kul uderzających w kadłub. Jeden z pocisków trafił w szybę, rozbijając ją w drobny mak.

Andy złapał Dane za rękę i błyskawicznie wycofał się do lasu. Potknęła się o wystający korzeń i runęła jak długa. Andy chwycił ją w talii, podniósł i ponaglił do szybszego marszu.

Ogień z karabinów został przerwany jak nożem uciął – wystraszeni nagłą ciszą przywarli do miękkiego poszycia. Przytulili się do siebie za osłoną z krzaków i natężyli słuch, by dosłyszeć słabe głosy, dobiegające z dużej odległości.

– Ci dwaj faceci z obozu opowiedzą, jak wyglądamy – powiedział szeptem Andy. – Wtedy wszyscy zaczną nas szukać.

Dana przyjrzała się dróżce. Na twardym i suchym gruncie nie zostawały żadne ślady. Jeżeli w grupie mężczyzn nie ma indiańskiego tropiciela, to chyba nie uda się im trafić na ślad dwójki intruzów, pomyślała.

– Moglibyśmy dojść do szosy, zatrzymać samochód i poprosić o pomoc – powiedział Broder.

– Ale oni właśnie tam się najpierw skierują – odparła Dana.

– Możemy więc wejść głębiej w las i schować się.

Wybór był trudny: albo bezpieczny las i żadnej szansy na pomoc, albo pomoc na szosie, tyle że duże ryzyko.

– Wychodzimy na szosę – zdecydowała.

– W porządku, ale musimy iść lasem co najmniej dwa kilometry, żeby wyjść znacznie niżej.

Dana skinęła głową. Wstali i zaczęli biec po nierównym terenie. Dana nie zwracała uwagi na gałęzie chłoszczące ją po ramionach i kostkach nóg. Tak bardzo chciała zachować ciszę, że nawet wstrzymała oddech. Kiedy w końcu zaczęła oddychać, jej pierś unosiła się i opadała niczym miech.

Andy wytyczył szlak prowadzący na zachód. Po pół godzinie szybkiego marszu wychylili się z krzaków rosnących na skraju dwupasmowej szosy. Było sobotnie popołudnie, a oni znajdowali się na skraju pustej drogi w jednym z najrzadziej zaludnionych zakątków Pensylwanii. Dana nie spodziewała się, że będzie tu panował ruch jak w godzinie szczytu w wielkim mieście, ale też nie sądziła, że w trakcie półgodzinnego czekania nie pojawi się ani jeden pojazd.

Leżeli ukryci za krzakami. Andy obserwował szosę z jednej strony, Dana z drugiej. Od czasu do czasu zmieniali pozycję. Dana zdążyła już wbić sobie w pamięć wygląd każdego liścia i krzewu w najbliższej okolicy, kiedy w końcu usłyszeli cichy świst opon na asfalcie. Samochód wyjechał zza zakrętu. Stara, zakurzona, niebieska ciężarówka z plandeką toczyła się powoli. Andy przygotował się do skoku, ale przecucie kazało Danie powstrzymać chłopaka.

Samochód zatrzymał się na poboczu, w pewnej odległości od nich, a zza drzewa, na które gapiła się przez pół godziny, wyszedł mężczyzna z

karabinem maszynowym na ramieniu.

– Obstawili całą szosę – syknął Andy.

Mężczyźni przeprowadzili krótką rozmowę. Potem człowiek z karabinem znów wtopił się w las, a ciężarówka pojechała dalej. Andy i Dana bezszelestnie wyczołgali się z kryjówki i weszli głębiej między drzewa.

– Nie zdołają pilnować całej drogi – powiedziała Dana. – Nie ma ich tyłu.

– Nie wiemy, ilu ich jest, jak szeroko się rozstawili i jak często samochód objeżdża posterunki.

– Nie będą nas szukać bez końca.

– Pewnie, że nie. Tylko do czasu, aż nas znajdą.

Dana wysforowała się naprzód, żeby spokojnie przeanalizować sytuację. Jeżeli Andy ma rację, chowanie się nic nie da, pomyślała. Istnieją tylko dwie możliwości, a jedna z nich to uciekać jak najszybciej. Odwróciła się do Andy'ego.

– Musimy wrócić do samolotu – oznajmiła.

– Co? Skyhawk jest cały podziurawiony. A nawet jeśli się tam dostaniemy, to nie odlecimy.

– Nie chodzi o to, żeby lecieć, tylko wezwać pomoc przez radio.

– Zabrali kluczyk, zapomniałaś?

– A nie możesz jakoś zewrzeć przewodów?

– Owszem dałbym sobie radę, ale potrzebuje godziny, żeby nad tym popracować.

Przez kilka minut maszerowała w milczeniu. W końcu zapytała:

– A czy FAA nie zacznie nas szukać? Czy nie tak się dzieje, gdy nagle

znika samolot?

Andy potrząsnął głową.

– Nie zgłosiłem planu lotu. Wszyscy przypuszczają, że właśnie wracam na Alaskę.

Dana przyglądała mu się z zakłopotaniem.

– Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon. Dzisiaj rano. Mówiłeś do kogoś...

– Dzwoniłem do Carly. Prosiłem, żeby nalała paliwo do maszyny.

Carly, to pewnie kulturystka z przyczepy na lotnisku, pomyślała Dana. Tyle że tam nie ma żadnych linii telefonicznych.

– Chwileczkę – rzuciła ostrym tonem. – Jakim cudem mogłeś się z nią połączyć, skoro w Bucks nie ma telefonu?

Andy zaczerwienił się lekko, potem głupawo roześmiał.

– W porządku, złapałaś mnie. Ona ma telefon komórkowy.

– No to dlaczego mówiłeś...

– Posłuchaj, to nie jest najgorsze kłamstwo, na jakie się zdobyłem, aby dostać numer telefonu od kobiety.

W uśmiechu pokazał wszystkie swoje dołeczki, ale Dana odsunęła się od niego z oburzeniem. Instynkt jej nie oszukiwał, powinna się podporządkować pierwszemu wrażeniu. To lekkomyślny dzieciak bez krzty poczucia odpowiedzialności i zrozumienia, jak trudne jest ich położenie. Żałowała, że nie nawiązała współpracy z Dougiem Wetherbym albo Edim Stolzem. Oni załatwiliby sprawę w sposób profesjonalny, a nie bawili się w młodzieńcze, napędzane testosteronem gierki.

Nagle przyszła jej do głowy inna myśl i cały gniew natychmiast gdzieś uciekł. Wróciła biegiem i chwyciła chłopaka za ramiona.

– Andy, przecież ja mam swój telefon komórkowy! Leży w mojej torbie w kokpicie!

Broder otworzył szeroko oczy, ale zaraz potrząsnął głową.

– Nie damy rady przebić się przez obławę – powiedział.

– Oni się rozeszli, aby nas szukać, więc nie pilnują samolotu, który nie może odlecieć.

– I tak nic z tego. W okolicy na pewno nie ma wieży z ruchomym przekaźnikiem telefonicznym.

Dana zastanawiała się przez chwilę.

– Musimy spróbować – podsumowała.

Przy samolocie został jeden człowiek. Dana i Andy widzieli zza krzaków, jak zdejmuje czapkę i ociera pot z czoła. Był to Billy Loudenberg. Najwyraźniej traktował to zadanie jak karę, a nie żołnierską powinność. Oparł się leniwie o podpórkę skrzydła. Karabin miał niedbale zawieszony na ramieniu, lufą do góry.

Broder bacznie obserwował polankę i otaczający ją las.

– To za bardzo niebezpieczne – powiedział.

Dana domyśliła się jednak, że chłopak rozważa sytuację i przygotowuje jakiś plan.

– Ty pobiegiesz do samolotu, czy ja mam to zrobić? – spytała nagłaco.

Andy westchnął z rezygnacją.

– Podejdę z przeciwnej strony i postaram się go odciągnąć. Jeśli mi się uda, pobiegiesz do samolotu, zabierzesz komórkę, i wrócisz tu pędem i poczekasz na mnie. Ale nie ruszaj się, dopóki teren nie będzie wolny.

Pochylił się jak najniżej i pobiegł przez las. Dana przygotowała się do skoku.

Z głębi lasu po drugiej stronie polany rozległ się głos Andy'ego. Nie słyszała słów, ale z tonu wywnioskowała, że Broder udaje, iż z nią rozmawia; co jakiś czas wybuchał śmiechem.

Loudenberg wyprostował się i chwycił karabin. Powoli odwracał głowę, uważnie obserwując teren. Kiedy Andy znów się odezwał, Billy ruszył biegiem do lasu.

Dana odczekała chwilkę i podniosła się z klęczek. Ostrożnie przeszła

przez zarośla. Kiedy znalazła się na polanie, pobiegła do samolotu najszybciej, jak mogła. Błyskawicznie otworzyła drzwi i wskoczyła za fotel.

Torba leżała na podłodze, tuż obok metalowego termosu na kawę. Dana zarzuciła ją na ramię, zeskoczyła na ziemię i pędem ruszyła do lasu. W połowie drogi przypomniała sobie o kopercie z fotografiami, za którymi jacyś ludzie uganiali się od tygodnia.

Wróciła do samolotu i znów wskoczyła do kokpitu. W tyle kabiny leżała koperta, a obok notatki Brodera dotyczące raportu radarowego. Chwyciła wszystko razem i już wycofywała się tyłem z kokpitu, gdy nagle za plecami usłyszała szczęk metalu.

– No dobrze, paniusiu, połóż ręce na głowę i odwróć się bardzo powoli. To był Zack, towarzysz Loudenberga. Zobaczyła jego odbicie w szybie, którą miała przed nosem. Stał wyprostowany, z karabinem opartym o pierś. Palec trzymał na spuście.

– W porządku, nie strzelaj! – zawołała.

Rzuciła na ziemię torbę i papiery, wysunęła przed siebie lewą rękę, prawą położyła na głowie i zaczęła się zsuwać na dół na kolanach. W szybie zauważyła, że Zack rozluźnił się, widząc, że go posłuchała.

Gwałtownie wyrzuciła nogę do tyłu, celując w rękę trzymającą karabin. Podbiła broń do góry, odwróciła się i z całej siły uderzyła Zacka termosem w twarz. Rozległo się głuche stęknięcie, trysnęła fontanna krwi. Zack osunął się na ziemię.

Tuż za nim ukazała się lufa drugiego karabinu – Dana krzyknęła ze złości i rozpacz. Nagle rozpoznała Andy'ego.

– Chryste, Dano – powiedział. – Nie musiałś facetowi łamać nosa.

Głośno wypuściła powietrze z płuc. Podniosła torebkę i papiery. Wskoczyła z samolotu.

Billy Loudenberg leżał nieprzytomny kilka kroków dalej.

– Weź to! – Broder wcisnął jej w drżące ręce karabin. Wyciągnął ze skrytki na narzędzia długi kawał drutu i związał nim obu mężczyzn. Ściągnął koszulę, rozerwał ją na połowę i wykorzystał materiał do zakneblowania pojmanych.

– To nam da pewną przewagę – oznajmił. Podniósł drugi karabin i ruszył do lasu.

Dana wcisnęła zdjęcia i papiery do torby, zarzuciła pasek na ramię i przyciskając karabin do piersi, popędziła śladem Andy'ego. Biegli przez las z dwadzieścia minut. Kiedy nie było słyhać żadnych odgłosów z tyłu, a ciszę mącił tylko jej głośny, spazmatyczny oddech, Dana zaryzykowała i zwolniła. Andy przystanął. Oddychał równomiernie, ale pot pokrył mu ramiona i piersi. Wilgotne włosy skręciły się i przyłgnęły do czaszki.

Dana włączyła telefon komórkowy. Na wyświetlaczu ukazał się napis: Brak sygnału.

– A nie mówiłem?! – wtrącił Andy, przyglądając się Danie. Odwróciła się, by mu odpowiedzieć, ale kiedy antena poruszyła się, na ekranie mignął słaby sygnał. Spojrzeli na siebie, potem sprawdzili kierunek, w którym wychyliła się antena.

– Idziemy tą drogą. – Wskazała kierunek.

Zapadał zmierzch, góry rzucały długie, mroczne cienie na las, ale kiedy między drzewami przebijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca, zauważyli przed sobą czystą, błękitną tafłę; Okrążyli jezioro. Na

zachodnim krańcu woda kryła się już w cieniu, rzucającym przez baldachim z gałęzi drzew klonowych. Grunt był porośnięty trawą i dzikim wawrzynem.

– Bezpiecznie?

Andy chwilę obserwował brzeg jeziora i skinął głową. Dana rzuciła karabin i zwała się na ziemię. W trawie grały świerszcze, z bagna ukrytego wśród trzciny dobiegał rechot żab. Leżała na plecach, przyglądając się, jak małe chmurki zmieniają kolor na szary, a potem czarny.

Niespodziewanie wybuchnęła:

– Ralph Bellamy?

Andy spojrzał na nią zaskoczony. Roześmiał się.

– To przecież ty nazwałaś mnie „Ralph”.

– Bardzo dziwne, że ci faceci kupili twoją historyjkę.

– Wiesz, najlepsze są takie kłamstwa, które zbytnio nie odbiegają od prawdy. Kiedy zrozumiała, co miał na myśli, zaczerwieniła się.

– Chyba się napiję wody – mruknęła.

Klękła na brzegu jeziora. Woda pachniała chłodem i słodyczą. Dana pochyliła się i zanurzyła w niej twarz, potem przysiadła na piętach i strząsnęła krople z włosów. Andy obserwował ją z bliska.

– A tobie nie chce się pić?

Dokładnie zbadał wzrokiem brzeg, zanim odłożył karabin, wyciągnął się na brzuchu i zanurzył usta w jeziorze.

Kiedy wrócili do kryjówki pod klonami, Dana spróbowała jeszcze raz uruchomić telefon, ale sygnał był równie kiepski, jak poprzednio. Objęła ramionami kolana i przez lukę w zaroślach przyglądała się, jak na wodzie

igrają błyski gasnącego światła dnia. Widziała przeciwległy brzeg, a za nim odległe, niebieskawe garby gór. Jak tu pięknie, pomyślała. I jak trudno to piękno pogodzić z obecnością ludzi, przed którymi uciekają.

Andy miał nie mniej poważny wyraz twarzy. Siedział zgarbiony, z brodą opartą na kolanie, oczy miał podkrążone ze zmęczenia.

– Przykro mi z powodu twojego samolotu – powiedziała Dana. – Chyba nie miałeś pojęcia, w co się ładujesz, kiedy się zgłaszałeś do tej roboty?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Nagle wydał się Danie taki młody. Pogłaskała go po twarzy i niemal ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje pod palcami twardą szczecinę.

– Zeszłej nocy wcale nie spałeś, prawda?

Chwycił jej rękę i pocałował wgłębienie dłoni. Poczowała dreszcz przebiegający przez całe ramię. Delikatnie cofnęła rękę.

– Może teraz prześpisz się trochę? – zaproponowała.

– Dano...

– Ja zostanę na straży, a ty odpoczniesz.

Broder był za bardzo wyczerpany, żeby się sprzeczać – wyciągnął się na trawie i zamknął oczy.

Kiedy Dana nabrała pewności, że usnął, podniosła dłoń i przyglądała się miejscu, w które ją pocałował.

Mężczyzna powoli skręcił na rogu i zwolnił jeszcze bardziej na długim, krętym podjeździe. Przed oczyma miał pięciopiętrowy budynek. Niemal we wszystkich oknach świeciło się światło, ale parking był prawie pusty. Kierowca zatrzymał samochód na skraju drogi, wyjął spod siedzenia czarną kominiarkę zrobioną na drutach oraz płócienny plecak. Naciągnął czapkę na głowę, zakrywając białe włosy, i zarzucił plecak na ramię.

Przystanął pod drzewem i założył gogle. Teraz otaczająca go ciemność nabrała koloru sepii. Ciemna sylwetka przesuwiała się na tle czarnego muru, nie wychodząc poza linię drzew. Kiedy znalazł się poza ogrodzonym terenem, przeszedł przez trawnik. Brama była zamknięta na łańcuch zaopatrzonej w ciężką kłódkę. Palcami zbadał kształt dziurki od klucza. Włożył do środka elektryczny szpikulec. Kiedy zaczął otwierać bramę, zazgrzytały zawiasy. Mężczyzna wyciągnął z plecaka puszkę z olejem. Wystarczyło kilka kropel, by furtka otwarła się bezszelestnie.

Z oczami utkwionymi w ziemię pokrytą kawałkami metalu i niedopałkami papierosów dotarł do skraju szybu. Przeszedł jeszcze sto metrów po jego obwodzie, aż natknął się na drabinę. Szczeble trzeszczały i uginały się pod jego ciężarem, kiedy schodził pod ziemię, na głębokość siedmiu metrów.

W kącie po stronie północnowschodniej znajdowała się dwumetrowa, turkusowa skrzynia. Mężczyzna otworzył mniejszą skrzynię, ustawioną z tyłu i włączył mikrofon.

– Profesorze, proszę się cofnąć do kąta przy sedesie. Po otwarciu drzwi

zobaczy pan dwa wycelowane w siebie karabiny. Jeżeli pan się poruszy, broń wystrzeli – powiedział.

– Dobrze, dobrze, znam tę śpiewkę – rozległ się głos Whita. – Macie dla mnie inne nowiny?

Mężczyzna wyłączył mikrofon, wyjął z plecaka wodę i jedzenie. Musiał zastosować chytry fortel, bo dziś nie miał do pomocy Tobiaha. Dlatego przez dłuższą chwilę przemawiał do nieobecnego kompana, zdejmując łańcuch owinięty dookoła kabiny.

Tym razem jednak profesor nie próbował żadnych sztuczek.

– Co się dzieje? – zapytał, kiedy drzwi zostały otwarte. – Załatwiliście coś z moją żoną?

Białowłosy mężczyzna zatrzasnął drzwi i znów zapiął łańcuch na kłódkę.

– Kurczaki z KFC? – zawołał profesor z głębi toalety. – No to mają być wyjątkowo chrupkie!

Mężczyzna uśmiechnął się pod wąsem, zebrał swoje manatki i ruszył na górę po drabinie. Zadzwoił ukryty w plecaku telefon.

– Słucham, sir – zameldował się białowłosy, gdy już wyszedł na powierzchnię.

– Co robimy dalej?

Zamierzał rozmawiać krótko – jego partner nie wiedział, gdzie znajduje się ta kryjówka. I tak miało pozostać.

– Kolejne złe wiadomości – zakomunikował.

– Zniknęła? Wiem o tym.

Mężczyzna przymknął oczy w zamyśleniu. Zrozumiał, że jego kontakt miał z kolei swój kontakt. Nie objął władzy tak szybko, jak się spodziewał.

– Tak jest, sir. Proponuję zamknąć całą operację.

– Nie! – usłyszał przerażony głos. Uśmiechnął się. – Nie, posłuchaj...
odszukam tę kobietę.

– Będę się kontaktował – odparł mężczyzna i wyłączył aparat.

Od strony jeziora dobiegał cichy plusk, jakby woda lekko uderzała o dryfującą łódkę. Powietrze w dalszym ciągu było gorące i nieruchome, ale chlupotanie wody działało orzeźwiająco, jakby sam odgłos pobudzał wiaterek.

Dana otworzyła oczy, zastanawiając się, jak długo spała. Gwiazdy zniknęły z nieboskłonu, nad wierzchołkami drzew wznosił się sierp księżyca. Było jednak tak parno i duszno, że jeszcze nie mogła być bardzo późna noc. Z powodu upału Dana ledwie mogła oddychać.

Przeciągnęła się i odwróciła na plecy. Obok, na trawie zauważyła parę wysokich butów, niebieskie dzinsy, slipy i skarpetki. Usiadła i wyjrzała przez prześwit w krzakach. Jezioro było oświetlone przez księżyc. W srebrzystej poświacie zauważyła w wodzie ciemną sylwetkę mężczyzny.

Powoli przeszła na skraj zarośli. Andy stał odwrócony do niej plecami. Patrzyła na jego błyszczące ciało, widoczne od ramion po białe, krągłe pośladki, częściowo zanurzone w ciemnej toni. Księżyc odbijał się od powierzchni wody. Widok wywarł na Danie niemal hipnotyczne wrażenie, tak intensywne, że kiedy rozległ się plusk, a Andy zniknął, Dana zastanawiała się, czy to nie złudzenie.

Chwilę później chłopak wypłynął kilka metrów dalej. Tym razem woda sięgała mu do połowy ud. Otrząsnął się jak spaniel, z włosów spłynęła fontanna kropelek.

Dana miała wrażenie, że gorąco pełźnie ze środka ziemi, wspina się po jej nogach i kładzie na ramionach niczym ciężkie brzemię. Czowała

charakterystyczne napięcie w piersiach, łonie i kroczu. Gotowa była za chwilę wybuchnąć.

Andy znowu zanurkował i tylko srebrzyste kręgi na wodzie wskazywały miejsce, w którym się zanurzył.

Dana, tak bardzo rozgrzana i ospała, ledwie zdawała sobie sprawę, że zdejmuje ubranie. Ściągnęła bluzkę przez głowę, rozpięła szorty. Spodenki opadły do kostek. Wciąż było za gorąco. Uwolniła ze stanika boleśnie nabrzmiałe piersi, zrzuciła na ziemię majteczki.

Broder wynurzył się – tym razem twarzą do brzegu. Mimo dzielących ich kilku dobrych metrów Dana usłyszała, że wstrzymał oddech. Stał nieruchomo. Strugi wody spływały mu po ciele. Dana zrobiła krok w jego kierunku.

Andy trzema susami wybiegł na brzeg. Miał tak chłodne i mokre ramiona, że kiedy przytuliła się do niego, odniosła wrażenie, iż z jej skóry z sykiem uchodzi para. Byli równego wzrostu, więc zetknęli się całym ciałem. Wsunął dłonie w jej włosy, wargami musnął szyję.

Dana objęła go ramionami. Przywarli do siebie ustami. Ta sytuacja różniła się od jej dotychczasowych doświadczeń i wszystkiego, co potrafiłaby sobie wyobrazić. Trzymała w ramionach ciało Andy'ego, ale jednocześnie wydawało jej się, że ma do czynienia z czymś płynnym – to przez tę wodę z jeziora. Położyła dłonie na jego plecach i wchłaniała go w siebie opuszkami palców, piła potężnymi łykami pożądania.

Czuła, że chłopak też jest bliski eksplozji. Arogancko wsadził jej język w usta. Pochylił się do piersi, łapczywie ssał sutki, jak człowiek ginący z pragnienia. Poczowała jego erekcję. Dotknął ją raz, potem drugi, bardziej zdecydowanie. Dania zmiękły kolana. Gwałtowna chęć, by się dla niego

otworzyć, była nie do powstrzymania.

Chwyła głowę Andy'ego. Znowu całował jej usta. Próby penetracji w niższych rejonach stawały się coraz bardziej uporczywe. Jeszcze sekunda, a wpuści go do środka. Siła oderwała się od niego i zdążyła zapytać:

– Andy, masz...?

– Co? Ach tak, mam – wydyszał ciężko. Podstawił jej od tyłu nogę; oboje upadli na trawę. Zaczął grzebać w kieszeniach dżinsów, aż znalazł to, czego szukał.

Dana z westchnieniem ulgi przewróciła się na plecy.

Oślepiła ją woda, spływająca z włosów Andy'ego. Teraz Broder kojarzył się jej z płynnym ogniem; starała się pić jak najwięcej. Dana owinęła Andy'ego nogami. Poczwała go w sobie, w głębi ciała. Zaczynała wspinać się na szczyt. Jęknęła głośno. Oczy Andy'ego rozbłysły, kiedy całował ją namiętnie. Wznosiła się coraz szybciej, szła po coraz bardziej stromej drodze, aż wreszcie znalazła się na szczycie. Z okrzykiem eksplodowała w ulewnym deszczu pękających świetlnych kul.

Andy osiągnął zaspokojenie chwilę później. Jęknął głośno. Echo jego głosu niosło się po pustym, dziewiczym lesie jak okrzyk godowy.

Ciemność gęstniała. W gałęziach szemrał lekki wiatr. Kiedy serca zwolniły rytm, powietrze wreszcie zrobiło się trochę chłodniejsze. Andy przewrócił się na bok i przytulił Danę do siebie. Zasnęli trzymając się w ramionach.

W nocy temperatura znacznie spadła, Dana obudziła się, drżąc z chłodu. Nad jeziorem unosiła się upiorna, biała mgła. W głębi lasu rozlegał się przerażający krzyk ptaka. Dana oparła się na łokciu i

zesztywniała – z mgły wynurzył się ciemny kształt.

Do wody zbliżył się jeleń. Stał na szeroko rozstawionych przednich nogach i opuścił łeb ozdobiony wspaniałym porożem. Widać było napięte mięśnie na brązowym zadzie. Zwierzę zdawało sobie sprawę z obecności człowieka, ale spokojnie piło wodę, aż się nasyciło, a potem zniknęło wśród drzew.

Obok Dany majaczyła niewyraźna sylwetka Andy'ego Brodera. Spał skulony, odwrócony w jej kierunku, z ramieniem pod głową. Miał zmierzwiene włosy. Długie, ciemne rzęsy rzucały cień na policzki.

Uważnie przyjrzała się nieruchomej postaci. Nie znalazła żadnego podobieństwa do wielkiego ciała o długich kończynach, które tak dobrze poznała w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Andy był niezbyt wysoki, ale krzepki. Skojarzył się jej ze środkiem wybuchowym zamkniętym w pojemniku z napisem: Uwaga, zawartość pod ciśnieniem.

Nie do końca potrafiła zrozumieć, co tutaj robi, z tym młodym, pewnym siebie człowiekiem, którego po pierwszym spotkaniu chciała jak najszybciej wyekspediować z powrotem na Alaskę. Od początku wiedziała, że chłopak jest w stanie ją rozzłościć, ale teraz przekonała się, że Andy potrafi też doprowadzić do szaleństwa.

Pojawiło się zimne światło poranka. Teraz już nie mogła zrzucić winy za swoje zachowanie na niesamowitą, księżycową aurę lub hipnotyczny trans. Kierowała nią siła pożądania. Dana nagle doznała tego uczucia, któremu wcześniej musiały ulec miliony innych ludzi. Tak ciężko haruję, tak wiele daję z siebie. Oto moja nagroda. Pojęcia dobra i zła nie odnoszą się już do mnie. Zaslужuję na to. Chcę tego, myślała gorączkowo.

Przysunęła się do Andy'ego i wzięła do ust jego męskość. Drżąc

wykonywała długie, posuwiste ruchy. Kiedy jego biodra zaczęły się unosić w podnieceniu, usiadła na nim okrakiem. Przez cały czas kołatała jej w głowie jedna myśl: Tak! Tak. Zaslужuję na to. Boże, jak bardzo tego chcę!

Po jakimś czasie wstali. Ich ubrania były wilgotne od porannej rosy, z ust wydobywały się kłęby pary. Zaczęli się szybko ubierać. Broder stracił koszulę, z której zrobił kneble. Dana patrzyła, jak Andy naciąga dżinsy. Kiedy chciał zapiąć rozporek, odsunęła jego rękę i zrobiła to sama.

Uśmiechnął się leniwie.

– Pewnie uważasz mnie za taniego żigolaka.

– Nie jesteś taki tani, płacę ci sto dolców za godzinę.

Roześmiał się, przytulił ją i pocałował. Ciepło jego ciała było tak rozkoszne, że mogłaby trwać w objęciach bez końca. Z trudem się odsunęła.

– Wyrzuty sumienia? – mruknął, nie chcąc jej puścić.

– Nie, z jakiego powodu? – odparła zaskoczona.

Przelotnie popatrzył na lewą rękę Dany, opartą na jego biodrze.

– Ach, to. – Widoczna na palcu obrączka nagle wydała się jej zupełnie obcym przedmiotem. – Jestem w separacji – dodała. Sama nie wiem, dlaczego nie ściągnęłam obrączki wcześniej.

Zaczęła ją okręcać wokół palca, ale krążek nie chciał przejść przez staw. Tkwił na swoim miejscu od piętnastu lat.

Andy pochylił się, aby zawiązać buty.

– Od jak dawna nie jesteście razem? – zapytał.

– Mam wrażenie, że od zawsze – odparła.

– Gdzie on mieszka?

– Nie wiem. – Whit od dłuższego czasu nie pokazywał się w domu.

– Posłuchaj, co to ma być? – wtrąciła z uśmiechem. – Dziś pytanie, dziś odpowiedź? Zwróć uwagę, że ja nie wypytuję o twoją kumpelkę.

Broder wyprostował się.

– Chodzi o Carly?

– Myślałam, że się nazywa Atlas.

– No tak, ma niezłe rozbudowane ciało – przyznał. – Lataliśmy razem w piechocie morskiej.

– To ona jest pilotem?

– Tak. A gdyby zeszłej nocy wyszła tu z lasu i zobaczyła nas na golasa, to zgadnij, na kogo by się rzuciła.

Danie aż zapało dech w piersiach.

– Carly jest... ?

– Sprawdziłem to, możesz mi wierzyć.

Dana przyglądała mu się przez chwilę, potem parsknęła śmiechem.

Ruszyli w głąb lasu z karabinami zarzuconymi na ramiona. Słońce podnosiło się powoli. Delikatne światło sączyło się przez gałęzie. Stopniowo robiło się cieplej.

Dana znów spróbowała uruchomić telefon.

– Do kogo zadzwonisz? – zapytał Andy, kiedy czekała na pojawienie się sygnału.

– Do mojej przyjaciółki z biura Prokuratora Federalnego. Nazywa się Mirella Burke. Co prawda znajdujemy się poza jej terenem działania, ale ona już będzie wiedziała, z kim się skontaktować i jakie guziki nacisnąć.

Wyświetlacz ciągle informował o braku sygnału.

Maszerowali dalej. Było jeszcze bardzo wcześnie, ale upał stopniowo narastał. Dzień zapowiadał się nie mniej gorący od wielu poprzednich. Co

piętnaście minut Dana zatrzymywała się, by sprawdzić, czy jest łączność, ale sygnał nie był ani trochę silniejszy. Teraz zaczęła się dodatkowo martwić, na jak długo wystarczy baterii. Postanowiła odczekać pół godziny. Kolejna próba też zakończyła się fiaskiem.

– Spróbujmy pójść tędy. – Broder skręcił w prawo.

Dana cały czas obserwowała wyświetlacz – sygnał nagle całkiem zniknął z ekranu.

– Nie, Andy. To nie jest dobra droga – zaprotestowała.

Podniosła oczy i zorientowała się, dokąd chłopak zmierza. Przed nimi wznosiła się stromizna nie porośniętej drzewami góry. Dana zadarła głowę. Zobaczyła skalisty szczyt. To był najwyższy i najlepiej odsłonięty punkt w promieniu wielu kilometrów.

Schowała telefon i śladem Andy’ego zaczęła się wdrapywać na zbocze. Kiedy stanęła na szczycie, nie mogła złapać oddechu. Po chwili znowu uruchomiła telefon.

Kiedy na wyświetlaczu pojawiły się pasma sygnałowe, spojrzeli na siebie triumfująco.

Mirella Burke otworzyła drzwi swą okazałą tylną częścią ciała i wkroczyła do pokoju przesłuchań, niosąc wysokie szklance, napelnione wodą z lodem. Dana posłała jej spojrzenie pełne wdzięczności i pociągnęła potężny łyk. Zwyczaje kultywowane przez miejscową policję wymagały, aby ludzi odnalezionych w głuszy otulić ciepłym kocem i wlewać w nich gorącą kawę, nawet jeśli temperatura przekracza trzydzieści stopni. Przez długie godziny ofiar nie karmiono niczym innym poza wyjącem sygnałem uprzywilejowanego samochodu. Dana umierała z pragnienia.

Andy tak samo. Chwycił szklankę i wypił wodę jednym duszkiem. Ktoś dał mu nową białą koszulę. Była na niego o numer za duża, spadała mu z ramion i fałdowała się na torsie.

– Panie Broder, w holu czeka agent, który chce z panem porozmawiać o samolocie – oznajmiła Mirella.

– Znaleźli moją maszynę? – zapytał Andy odstawiając pustą szklankę.

– Chyba tak.

Wychodząc dotknął ramienia Dany.

– Zaraz wracam.

Mirella zamknęła za chłopakiem drzwi i odwróciła się do przyjaciółki.

– Wszystko w porządku, dziecinko? – zapytała, stojąc z rękami na biodrach.

Czekali dwie godziny, zanim ich wypatrzył samolot ratowniczy. Później odbyli godzinną podróż, a od dwóch godzin siedzieli tutaj, w budynku federalnym w Scranton. Dana miała na ciele liczne szramy i

zadrapania. Czują tępy, pulsujący ból w tylnej części czaszki i uporczywe pragnienie.

– Owszem, nic mi nie jest – odparła.

– Może przynieść ci jeszcze jedną kanapkę?

– Mirello, proszę, po prostu usiądź i powiedz mi, co się dzieje.

Piękna twarz przyjaciółki zachmurzyła się. Mirella miała urodę afrykańskiej królowej, cudownie wyrobione kości policzkowe, egzotycznie skośne oczy i włosy zebrane w kok tuż nad karkiem. Jednak długie lata posilania się tanim smażonym żarciem zrobiły swoje. Odlewane z plastyku fotele w budynkach rządowych z pewnością nie były dostosowane do jej figury – zwały mięsa wylewały się poza krawędzie krzesła.

– Znaleźli samolot, kierując się koordynatami, które podał twój młody towarzysz. Rzeczywiście, maszyna jest podziurawiona jak sito.

– A co z obozem?

– Tam na górze jest chałupa, to fakt. Ale nic więcej.

Dana ukryła twarz w dłoniach. Oczywiście nie spodziewała się, by uzbrojeni faceci siedzieli; spokojnie przez dwadzieścia cztery godziny, czekając na FBI, ale podświadomie wierzyła, że tak się stanie. Podniosła oczy na Mirellę. – Złapali Billy’ego Loudenberga?

– W domu na farmie nikogo nie ma.

– No więc niech sprawdzą szpitale, żeby znaleźć Zacka. Złamałam mu nos, więc pewnie wieczorem zgłosił się do ambulatorium.

– Tak, ktoś się tym zajmuje. – Mirella patrzyła w bok.

– Ktoś? – Dana poderwała się z miejsca. – Czy ta sprawa nie ma charakteru priorytetowego?

– Posłuchaj, dziś jest niedziela, a tutaj ludzie są bardzo zajęci. Dla wielu pracowników to pierwsza wolna niedziela od wielu miesięcy.

Dana nie wierzyła własnym uszom.

– Paramilitarne czubki biegają po okolicy z karabinami, a gliniarze nie chcą zrezygnować z wolnego dnia? Mirello, jechałaś tu trzy godziny, a to nawet nie jest twój rewir.

– Zrobiłam to, ponieważ ty miałaś kłopoty, kochanie. A tutejsi funkcjonariusze z pewnością wiedzą tylko tyle, że jacyś durnie strzelali do samolotu, a to jedyne przestępstwo uszkodzenia cudzej własności. W jaki sposób mogliby uzasadnić masową obławę, skoro brak dowodów, że chodzi o grupę paramilitarną? Do cholery, przecież nasi prześladowcy nie mieli nawet mundurów.

Dana chodziła po pokoju. Sama już pomyślała o mundurach. Wszystkie informacje na temat ruchów paramilitarnych ilustrowano zdjęciami mężczyzn w polowych uniformach, a faceci z polany byli ubrani w podkoszulki i dżinsy. Jeden miał nawet na nogach sportowe buty firmy Reebok.

– A co powiesz o karabinach, które wam dostarczyliśmy? – Dana nie ustępowała.

– Zostały odesłane do laboratorium kryminalistycznego – Mirella wzruszyła ramionami. – Do diabła, taką bronią bawi się mnóstwo niegrzecznych chłopców.

– A strzelnica z tekturowymi sylwetkami?

– Nie ma ani śladu.

– Na trawie widziałam linie narysowane kredą.

– Rysowanie na trawie to nie przestępstwo.

– Mirello! A co z anteną satelitarną na dachu? Tam musi być jakiś system łączności.

– A tak, to się nazywa odbiornik telewizyjny.

– No nie...

– Czy ty myślisz, że na takim zadupiu jest łączność satelitarna?

Dana wlepiła w przyjaciółkę wzrok. W końcu Mirella spuściła oczy.

– Co jest grane? – zapytała Dana.

– Zejdź ze mnie, dziecinko – odpowiedziała Mirella, kładąc na stole dłonie, by pomóc sobie przy wstawaniu. – Ja tu występuje gościnnie i jedynie powtarzam ci to, co usłyszałam.

Dana zacisnęła usta i wskazała ręką drzwi.

– No to odszukaj gospodarza i zawiadom go, że chcę z nim mówić. Natychmiast.

Mirella posłusznie wyszła. Zaraz potem do pokoju wkroczył Andy. Kiedy zobaczył minę Dany, zapytał:

– Co się stało?

– Nic – odpowiedziała rozgoryczona. – Nawet nie kiwnęli palcem, by złapać tamtych gości. Od nikogo nie mogę się doczekać prostej odpowiedzi, z moją najlepszą przyjaciółką włącznie. A co z twoim samolotem?

– Zorganizowałem mechanika. Pojedzie i zrobi, co się da, żeby przysposobić skyhawk do lotu. To zajmie parę dni.

Do pokoju weszła Mirella w towarzystwie chudego mężczyzny o ascetycznym wyglądzie. Przedstawiła go jako Dicka Lomaksa, zastępcę prokuratora federalnego w Scranton.

Lomaks oparł się plecami o drzwi.

– Panie Lomaks – zaczęła Dana. – Proszę mi wyjaśnić, jakie kroki podejmuje pański urząd w celu zatrzymania mężczyzn, którzy na nas napadli.

– Nie wolno mi tego ujawnić. Prowadzimy śledztwo.

– Jeżeli ma pan na myśli śledztwo w sprawie napastników – odparła Dana – to trudno byłoby to w ogóle nazwać śledztwem.

– Tu chodzi o coś więcej.

Dana czekała na dalszy ciąg, ale Lomaks milczał jak grób. Odwróciła się do Mirelli.

– O czym on gada?

– Złotko, oni przyglądają się tym typkom od dawna.

– No to niech idą ich aresztować, zanim ktoś zginie.

– Nikomu nic się nie stanie – łagodziła Mirella.

– Potrzebujemy czasu, żeby poskładać wszystkie elementy układanki – wtrącił Lomaks.

– Więcej czasu?! – wybuchnęła Dana. – Co to ma być? Następna klapa, jak z Freemanami w Montanie? Pozwolicie im robić przez pół roku, co tylko chcą, żeby nikt was nie oskarżył o nadużycie siły?

W bladych oczach Lomaksa pojawił się błysk.

– Ja to pieprzę – powiedział do Mirelli. – Sama się nią zajmuj.

Chwycił klamkę, by otworzyć drzwi, ale Dana stanęła mu na drodze.

– Nie, to pan będzie się mną zajmował, panie Lomaks, bo jak nie, to jutro zwołam konferencję prasową i poinformuję cały świat, co się wydarzyło – zarówno tam, na górze jak i tu, w tym biurze.

Zamknął drzwi na powrót.

– To nie może mieć miejsca. Została już powołana wielka ława

przysięgłych. Nie wolno pani nikomu nic o tym wspominać.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim do Dany dotarło znaczenie jego słów; w jej oczach zapaliły się złe błyski.

– Nie zdołacie mnie powstrzymać – upierała się.

– Wiadomości są zastrzeżone dla wielkiej ławy przysięgłych – dodał Lomaks.

– Na to, co osobiście słyszeliśmy i widzieliśmy, nie można zarzucać zasłony z napisem: wielka ława przysięgłych.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie poważnego przestępstwa!

– Co z tego? My musimy się bronić przed roszczeniami wynoszącymi pięćdziesiąt miliardów dolarów!

Mirella położyła rękę na ramieniu Dany.

– Daj spokój – powiedziała. – Potrzebujesz nas tak samo, jak my ciebie.

Dana rzuciła się na nią z płonącymi oczyma.

– Co ty najlepszego robisz, Mirello? Bierzecie mnie w dwa ognie?

– Słuchaj no, nie pogrywaj tak ostro, bo Lomaks zamknie ci usta nakazem sądowym tak szybko, że ci się zakręci w głowie.

– Znakomicie, wydajcie mi nakaz – odgryzała się Dana. – Ja go nie uszanuję, a jeśli uwięzicie mnie za obrazę sądu, w ciągu dwudziestu czterech godzin postawię wszystkich adwokatów z izby cywilnej pod domem Janet Reno. Może wtedy komuś uda się zrozumieć, kto tu jest ofiarą.

Oczy Mirelli zrobiły się małe i błyszczące niczym ziarenka kawy.

– Poczekajcie tu – poprosiła. Chwyciła Lomaksa za łokieć i wyprowadziła na korytarz. Dana opadła na krzesło, Andy przysiadł na brzegu biurka z brodą opartą na dłoni i obserwował swoją towarzyszkę.

Po dwóch minutach prokuratorzy wrócili.

– Dajcie mi miesiąc – powiedział Lomaks. – W tym czasie sporządzimy akt oskarżenia. Potem będziecie mogli mówić, co się wam żywnie spodoba.

Dana popatrzyła na Andy'ego.

– Posłuchaj, dziecinko, do procesu masz i tak więcej niż dwa lata – wtrąciła się Mirella. – Nic na tym nie stracisz.

Dana potrząsnęła głową – Mirella nie знаła się na roszczeniach cywilnych. W większości przypadków takie sprawy odbywają się przed rozpoczęciem procesu. Dana wiedziała, że prawdziwa batalia nie toczy się o to, by przekonać przysięgłych, że Pennsteel nie ponosi winy, ale o przekonanie potencjalnych powodów, by zrezygnowali z roszczeń. Walka rozpocznie się więc niebawem.

Mirella podeszła do Dany i powiedziała cicho:

– Nie namawiałabym cię, gdyby nie chodziło o coś ważnego. Tym razem musisz mi uwierzyć.

Miesiąc. Dana przymknęła oczy i po cichu liczyła sobie w pamięci. Zebranie danych potwierdzających teorię Andy'ego w kwestii trasy lotu skyhawk zajmie tydzień, może dwa. Kolejny tydzień lub dwa potrwa przygotowanie atrakcyjnej, wywołującej wrażenie symulacji komputerowej, która zilustruje kolizję. Dana zdecydowała, że posunie się o krok dalej niż Ira Thompson – zamiast konferencji prasowej w jego stylu, roześle zaproszenia na prezentację pełną gębą, łącznie z grafiką.

– Zgoda, miesiąc – oświadczyła w końcu. Pochyliła się nad Mirellą. – Ale żadnej prolongaty. Słyszysz, co mówię, dziecinko?

O drugiej siedzieli w wynajętej, czerwonej toyocie camry; dojeżdżali do bramki na autostradzie wiodącej na południe. Prowadził Andy. Jechali w milczeniu – Dana nieustannie myślała o rozmowie z Mirella i Lomaksem. Powiedzieli, że muszą przygotować sprawę, ale z jej punktu widzenia problem już był zupełnie jasny: zeznania naocznych i wiarygodnych świadków, namacalne dowody w postaci samolotu i broni, trop umożliwiający odnalezienie dwóch podejrzanych, których z pewnością uda się nakłonić, by zeznawali przeciw pozostałym. Tymczasem prokuratorzy nie tylko nie zamierzają aresztować przestępców, ale jeszcze narzucają świadkom formalny nakaz milczenia przez miesiąc. Dlaczego?

– Masz jakąś teorię? – Andy potrafił czytać w jej myślach.

Spojrzała na chłopaka.

– Nawet dwie, tylko nie wiem, która gorsza.

– Powiedz o nich.

– Dobrze. Teoria numer jeden: Lomaksowi zależy na złapaniu grubszej ryby niż ci faceci, i to z powodu znacznie poważniejszego niż przemyt karabinów i ostrzelanie twojego samolotu. Może nasi prześladowcy zamierzają wysadzić coś w powietrze. W dodatku Lomaks musi ich złapać na gorącym uczynku.

– To brzmi rozsądnie. A druga teoria?

– To jest jakiś kamuflaż, w którym maczają palce zarówno Mirella, jak i Lomaks.

– A co takiego chcą ukryć? – zapytał Broder, unosząc brwi.

– No, z całą pewnością fakt, że ich niedorobiona policja tak fatalnie dziś się spisała. Mirella okłamała mnie przynajmniej dwukrotnie, kiedy mówiła o tym, co oni robią w sprawie dochodzenia na miejscu zdarzenia oraz aresztowania Billy’ego Loudenberga i Zacka.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że twoja przyjaciółka ma powiązania z prawicową grupą paramilitarną.

– To nie – przyznała Dana. – Ale kamuflaż nie musi mieć na celu ukrycia przestępstwa; raczej chodzi o to, by zatuszować fakt, że ktoś coś spieprzył. Być może Lomaks już wcześniej przyskrzynił tych gości, ale nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, co takiego robią naprawdę, i przyznał im immunitet. Albo założmy, że broń wyciekła z magazynu dowodów FBI. Gdyby ktoś to wywęszył, Departament Sprawiedliwości miałby niezły pasztet.

Przejechali kilka kilometrów w całkowitym milczeniu. Pierwszy odezwał się Andy:

– Mogę cię o coś zapytać?

– Śmiało.

– Dlaczego nie powiedziałaś im o filmie, kradzieżach i włamaniu?

– Bo się bałam, że nasza historia jest zbyt niewiarygodna. Pomyślałam, że uznają mnie za czubka, jeśli im zacznę opowiadać, że ktoś mnie śledził, dzwonił do biura i włamał się do mojego domu, żeby ukraść rolkę filmu. – Dana wzruszyła ramionami. – Zresztą i tak wygląda na to, że olewali mnie od pierwszej chwili...

– Ktoś podejrzany do ciebie telefonował? – przerwał Andy.

– Tak, dzwonił kilka razy i nie chciał podać nazwiska. To było we

czwartek. A wieczorem na domowej automatycznej sekretarce nagrało się kilka głuchych telefonów.

– Ach, to mogłem być ja. – Broder uśmiechnął się głupawo.

– Andy... – zawołała podrażniona. – Dlaczego po prostu nie zostawiłeś informacji?

– Nie wiedziałem, jak wygląda twoja sytuacja.

– Jaka sytuacja?

Dotknął jej dłoni. Znowu ta obrączka. Dana złożyła ręce na kolanach, by ją ukryć.

– Nie miałeś powodu do obaw. W czwartek ja byłam tylko adwokatem, a ty ekspertem pracującym nad sprawą roszczeń, to wszystko.

– Być może ty się rzeczywiście tylko tym zajmowałaś – powiedział i znów uśmiechnął się szeroko. – Ale ja myślałem jeszcze o czymś innym.

Spojrzała na niego złym wzrokiem.

– A czemu ty nie powiedziałeś FBI, że ci faceci uganiają się za moim filmem?

Broder wyprzedził ciężarówkę, dodał gazu i dopiero potem odpowiedział:

– Bo nie sądzę, żeby to była ich sprawka.

– Co takiego?

– Sama mówiłaś, że to bez sensu. Dlaczego mieliby się przejmować zdjęciami z miejsca katastrofy? ATF dostało karabiny, FAA ma numer skyhawk, koroner ustalił tożsamość Loudenberga i jego chłopaka. Fotografie już bardziej ich nie obciążą.

– Ale jeżeli ze zdjęć wynika, że to była wina samolotu...

– No i co? Kto by ich pozywał o odszkodowanie?

Dana podniosła rękę.

– A zatem do mojego samochodu i domu włamywała się inna banda? –

Dana potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Może takie rzeczy dzieją się w twojej głuszy, ale w Pensylwanii to już gruba przesada.

– Niedawno wątpiłaś w istnienie paramilitarnej grupy na tym terenie.

– No, cóż... – Odwróciła twarz do okna. – Wtedy wszystko wydawało się inne.

Do Filadelfii mieli jeszcze siedemdziesiąt kilometrów, kiedy Dana przypomniała sobie, że trzeba sprawdzić pocztę głosową. Baterie w telefonie komórkowym były wyczerpane, ale włączyła ładowarkę do gniazdka pod deską rozdzielczą i zadzwoniła do biura.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin po jej wyjściu napłynęło ze sto telefonów. Pracowicie odsłuchiwała jedną rozmowę po drugiej. Odkładała na później te, które mogły poczekać, pilne wiadomości sprawdzała dokładnie. Kilka razy zgłosił się Hunt – każdy kolejny telefon wskazywał, że Travis jest coraz bardziej rozgorączkowany. Wreszcie dotarła do wiadomości, której się obawiała. „Dano, mam informację od inżyniera dźwięku”, mamrotał z przygnębieniem Hunt. „Wykorzystał wszystkie dostępne programy filtrujące, ale przykro mi, tam nie ma twojego głosu. Bardzo żałuję”.

Dana jęknęła głośno.

– Co się stało? – zainteresował się Andy.

Wyjaśniła pokrótce, w czym rzecz, przewinęła taśmę automatycznej sekretarki i podała Andy’emu telefon, żeby sam posłuchał. A więc klops: jej słowo przeciw matactwom Iry Thompsona. Zostanie świadkiem, a więc

będzie musiała zrezygnować z funkcji prawnego doradcy Pennsteelu. Oto ironia losu. W ten weekend ona i Andy ryzykowali życie dla sprawy, którą zajmie się ktoś inny.

Broder wysłuchał informacji Trávisa i oddał Danie telefon.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – powiedział. – Chciałaś udowodnić, że rozmawiałaś z Sullivanem, czy też starasz się dowieść, że śmigłowiec nie obniżał lotu?

– O jedno i drugie. To idzie w parze.

– Pewnie, ale też to są dwie różne rzeczy.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Nie musisz mieć tej rozmowy, żeby wykazać, iż JetRanger nie obniżył pułapu – mówił Andy. – Wszystko, czego ci trzeba, jest w nagraniu.

– Jak to?

– Jeżeli chcesz opuścić helikopter w pionie, wykonujesz tak zwane kolektywne zejście. Opuszczasz kolektywną dźwignię, co powoduje jednoczesną zmianę przełożenia na wszystkich łopatkach wielkiego śmigła. A to wywołuje charakterystyczny odgłos.

Dana wyprostowała się.

– Czy na tyle wyraźny, żeby było go słycać na taśmie z pokładowego urządzenia rejestrującego dźwięki?

– Właśnie.

– A więc jeżeli takiego odgłosu nie ma...

– To znaczy, że helikopter utrzymywał stały pułap lotu.

– Andy! Jesteś wspaniały!

Żaden inny ekspert nie zwrócił uwagi na ten szczegół. Danie przyszła

do głowy jeszcze jedna myśl.

– A gdyby taki manewr przeprowadzić w innym JetRangerze, byłbyś to w stanie usłyszeć na taśmie?

– Pewnie. Wtedy dźwiękowiec mógłby porównać zapisy na obu taśmach. Minutę później Dana połączyła się z żoną Teda Kellera i poprosiła o zawołanie męża, który ścinał trawę przed domem.

– Ted, słyszałeś o manewrze kolektywnego schodzenia? – zapytała prosząc wzrokiem Andy’ego, by potwierdził, że nie przekreśliła terminu.

Broder kiwnął głową.

Po chwili milczenia Keller wybuchnął:

– Ale ze mnie idiota!

– Słucham?

– Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?! Gdyby Ron zrobił to, o co go oskarżają, musielibyśmy to usłyszeć.

– Poleciałbyś innym JetRangerem i...

– No jasne! Odwołam swój jutrzejszy poranny lot i natychmiast się tym zajmę.

Rozłączając się, Dana posłała Andy’emu olśniewający uśmiech.

Postanowili jechać do kancelarii i ukryć się w sali dowodzenia na czterdziestym piętrze. Dana chciała jednak wpaść po drodze do domu, by zabrać trochę ubrań. W Valley Forge skręcili na zachód i ruszyli pod górę, do posiadłości Endicottów. Zaparkowali na podjeździe i weszli do środka od frontu.

Andy zatrzymał się w holu.

– Opowiedz mi to jeszcze raz – poprosił. – Jak to musisz ciężko

harować, bo masz tyle rachunków do zapłacenia.

Wykrzywiła się, przechodząc obok Brodera, by wejść na piętro. Andy chwycił ją za rękę.

– Poczekaj. Pozwól, że się tam najpierw rozejrzę.

Dana wyszła przed dom, żeby wyjąć ze skrzynki pocztę. Kiedy wróciła do środka, zapytała głośno:

– Wszystko w porządku?

– Tak – odkrzyknął Andy. – Mogę wziąć prysznic?

– Nie krępuj się.

Dana weszła do kuchni i położyła listy na kontuarze. Przez wychodzące na taras okno widziała wyschnięty, zbrązowiały trawnik. Poziom wody w basenie obniżył się o kilkanaście centymetrów. Nawet rośliny trzymane wewnątrz zaczynały więdnąć. Usłyszała szum wody z prysznica na piętrze. Wyobraziła sobie Andy'ego stojącego pod silnym strumieniem. Poczowała fale gorąca.

Wyjęła z lodówki napój. Popijała przerzucając korespondencję. Rachunki, katalogi, zaproszenie na przyjęcie dla pana Whitmana Endicotta z małżonką. Znów podniosła puszkę do ust, obrączka głośno stuknęła o metal. Dana zmoczyła rękę pod kuchennym kranem, solidnie namydliła palec i moc no pociągnęła, ale krążek ciągle nie chciał zejść. Trzeba będzie pójść do jubilera, żeby przepiłował, pomyślała.

Dalsze katalogi, ulotki, kilka reklamowych kaset wideo opakowanych w zwykły, brązowy papier. Wyjęła jedną z nich, ale nigdzie nie znalazła ani nazwy, ani logo firmy wysyłającej. Na opakowaniu było tylko nazwisko Endicott. Kiedy rozpoznała pismo Whita, poczuła ukłucie w sercu.

Patrzyła na kopertę z zaskoczeniem. Czyżby to wizualny list? Tego nigdy by się po nim nie spodziewała. Szybko otworzyła przesyłkę i wsunęła kasetę do magnetowidu.

Nagranie zostało zarejestrowane na ręcznej kamerze w czwartek wieczorem; data i godzina widniały na dole ekranu. Kilka sekund rozbiegówki i pojawił się Whit. Miał potargane włosy i zmęczoną twarz. Wyglądał, jakby przed chwilą wyczołgał się z łóżka i za chwilę miał się znowu położyć. Dana obserwowała ekran, stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wygląda na to, że spędził wyczerpujący tydzień, skomentowała w duchu.

Po chwili jednak wstrzymała oddech i zacisnęła dłonie na ramionach. Taśma doszła do końca, a Dana wciąż z niedowierzaniem patrzyła na śnieżynki migające na ekranie telewizora.

Co robić? Film z aparatu został już wywołany, wyznaczony pociąg odjechał dawno temu, w piątek rano. Co porywacze sobie pomyśleli, kiedy się nie zjawiała? Czy wzięli pod uwagę, że mogła nie otrzymać instrukcji? A może zrealizowali swą groźbę w piątek wieczorem? Nie – musieli uwzględnić ewentualność, że wiadomość nie dotrze. Na pewno podejmą następną próbę skomunikowania się, analizowała w myślach. Jasne, Dana przypomniała sobie, że dostała drugą kasetę.

Pobiegła do kuchni i chwyciła przesyłkę. Paczka wyglądała identycznie jak poprzednia – żadnych znaczków, brak stempla pocztowego. Tylko nazwisko wypisane ręką Whita.

Na schodach rozległy się kroki Andy'ego. Dana chwyciła obie kasety i frontowymi schodami pobiegła do sypialni na piętrze. Zamknęła drzwi od środka i rzuciła się do magnetowidu.

Druga kaseta została nagrana w piątek wieczorem. Włosy lepiły się do czaszki Whita, jego koszula wyglądała tak, jakby ją zmoczono i wykręcono ręcznie. Miał pobrużdżoną, pociemniałą twarz z wyraźnym zarostem.

– Dano? – zawołał z dołu Andy.

Nie miała śmiałości rozgłosić telewizora. Przyłożyła ucho do głośnika.

„Czas ucieka”, mówił Whit. Miał chropawy głos, jakby bolało go gardło albo bardzo chciało mu się pić. „Jeżeli dostawa nie zostanie zrealizowana, ci ludzie mnie zabiją. Musisz precyzyjnie wykonać ich polecenia. Włóż wspomniany przedmiot do koperty. O siódmej piętnaście w sobotę wieczorem zawieź ją na teren wyścigów konnych. Masz przyjechać sama, przez cały czas będziesz obserwowana. Kup bilet i zajmij miejsce, kopertę połóż sobie na kolanach”.

– Dano, gdzie jesteś? – dobiegł ze schodów głos Andy’ego.

„W czasie przerwy przejdź przez pole do sklepu pod nazwą „Koński świat”. W środku zauważysz stół z książkami na sprzedaż. Jedna z książek ma tytuł „Encyklopedia koni”. Włóż kopertę między kartki pierwszego egzemplarza od dołu i wróć na trybunę. Masz tam zostać do godziny jedenastej. Wykonaj instrukcje, a oni mnie uwolnią natychmiast po otrzymaniu przesyłki. Dano, jeśli zrobisz coś nie tak, oni mnie zabiją”.

Obraz zniknął z ekranu telewizora.

Dana pobiegła do telefonu, podniosła słuchawkę, ale nie usłyszała sygnału. Linia wyłączona. Idiotka! – skarciła się w myślach. Rozglądała się gorączkowo po pokoju – zauważyła swoją torebkę, rzuconą na łóżko.

Wyjęła telefon komórkowy. Bateria była wyczerpana, ale w szafce leżała ładowarka.

– Dano, co się dzieje? – wołał Andy z holu.

Uruchomiła telefon, ciągle słysząc słowa Whita: „Nie próbuj kontaktować się z policją”. Typowe żądanie. Porywacze przedstawiają je za każdym razem, ale ludzie przeważnie i tak dzwonią na policję.

„Ci faceci dowiedzą się, jeżeli to zrobisz”.

Jakim cudem? Czyżby mieli swojego człowieka w aparacie sprawiedliwości? Czy to jest ta zatajona sprawa? Ale przecież Mirella nie wpłatałaby się w coś podobnego. Zawsze przepadała za Whitem, rozważała Dana.

„Inaczej ty i dzieci już nigdy mnie nie zobaczycie”.

Dana poczuła w sercu przeraźliwy chłód. Dziewczynki wiedziały, jak się układają sprawy między rodzicami – dzieci zawsze się orientują w takich rzeczach, choćby nie wiem jak starać się to ukryć. Gdyby doszło do najgorszego i porywacze zrealizowałyby groźbę, jak mogłaby spojrzeć córkom w oczy? Tatuś zginął, bo mamusia nie chciała podporządkować się poleceniom.

– Dano?! – Andy szarpał kłamkę. – Wpuść mnie.

Sobotni wieczór także już minął, ale pokazy koni odbywały się również w niedzielę wieczorem. Pytanie, czy porywacze o tym wiedzą i spróbują zorganizować kolejne spotkanie. Miała nadzieję, że tak.

– Dano, otwórz! – Broder bębnił pięściami w drzwi.

Odłożyła telefon i przekręciła klucz w zamku.

Andy stał z uniesioną ręką. Miał na sobie tylko ręcznik przewiązany w pasie, jego włosy po kąpieli pociemniały i skręciły się lekko. Powoli

opuścił ramię.

– Co się stało? – zapytał.

Podniosła z łóżka kopertę ze zdjęciami.

– Potrzebne mi są negatywy – powiedziała. – I wszystkie odbitki, jakie zrobiłeś.

– Po co?

– Nie mogę ci teraz wyjaśnić. Po prostu oddaj mi kliszę i zdjęcia.

Andy skrzywił się i zatoczył ręce na piersiach.

– Wiedziałem, że tak się stanie – oznajmił.

– Co takiego?

– Że dopadnie cię poczucie winy, kiedy wrócisz do szczęśliwego, rodzinnego domu. Powinienem się zmyć? Już mnie nie ma w tej sprawie ani w twoim łóżku, co?

Dana zacisnęła pięści, żeby nie stracić panowania nad sobą.

– Nie o to chodzi, Andy – powiedziała.

– Jak widzę, on wcale tak dawno nie odszedł. A więc wzięłaś sobie faceta na pocieszenie, zgadza się?

– Proszę cię... – Dana ogarnęła rozpacz. – Powiedz mi tylko, gdzie są negatywy i odbitki.

– Nie. – Andy był uparty jak muł. – Nie powiem, dopóki mi nie wyjaśnisz, co się dzieje.

Dana nie wytrzymała. Rzuciła się na Brodera, waląc go pięściami w piersi.

– Daj mi to! – wrzeszczała. – Oddaj film!

Andy złapał ją za rękę.

– Uspokój się – powiedział. – Przestań ze mną igrać.

– Ja?! – krzyknęła z oburzeniem, usiłując się wyrwać z uścisku. – To przecież ty uważasz wszystko za wspaniałą przygodę, a mnie porwali męża!

Dana wybuchnęła płaczem. Andy zrobił się biały jak kreda.

– Boże, Dano, wybacz – prosił, puszcżając jej ręce; ukryła twarz w dłoniach. Andy objął ją i przytulił do siebie.

– Pozwól sobie pomóc.

Przyłgnęła do niego wyczerpana, zbyt słaba, by się sprzeczać, czy też odrzucić wsparcie. Czowała się zmęczona, tak strasznie zmęczona.

– Proszę – wyszeptał Andy.

Dana odrzuciła głowę do tyłu, popatrzyła mu w oczy i powoli skinęła głową.

Andy wziął samochód i o wpół do siódmej wrócił z ośmioma paskami negatywów i plikiem odbitek. Dana włożyła wszystko do koperty i zamknęła mosiężną klamerką aktówki.

– Nie będą zachwyceni, że film jest już wywołany – powiedział Broder.

– Pomyślą, że postanowiłaś sobie zachować komplet odbitek.

Usiadł na łóżku i jeszcze raz odtworzył drugą kasetę.

– Nic na to nie mogę poradzić – skwitowała Dana.

– Możesz zatrzymać odbitki.

– Nie. Nie chcę ryzykować.

W pośpiechu wzięła prysznic. Kiedy wyszła z kabiny, lustro było zaparowane – musiała przetrzeć szkło ręką, żeby widzieć swoje odbicie. Jej oczy patrzyły martwo. Gdzie teraz może być Whit?, zastanawiała się z żalem. W jakimś bunkrze, zamknięty w ciasnym pomieszczeniu. Prawdopodobnie źle się z nim obchodzą, a już na pewno ucierpiała jego godność. A to wszystko z jej powodu.

W dodatku musiała oddać swój koronny dowód.

Otworzyła drzwi łazienki.

– Czy na negatywach są oznakowania, które by wskazywały, w jakim formacie wykonano odbitki?

– Nie – powiedział Andy, odrywając wzrok od telewizora.

Dana stała w progu.

– To może zatrzymam mniejsze zdjęcia – zasugerowała niepewnie.

– Dobry pomysł – potwierdził Andy. – Prawdę mówiąc, tak znakomity,

że już sam na niego wpadłem. Ukryłem komplet zdjęć w większym formacie pod wykładziną w samochodzie.

– Co? – zapytała, choć doskonale słyszała słowa. Uznała, że to bardzo sprytne, pokrętne, a przy tym irytujące z jego strony.

– Znasz stare powiedzenie: Będziesz przeklęty, jeśli to zrobisz, będziesz przeklęty, jeśli tego nie zrobisz? – Andy uśmiechnął się szeroko.

– Skoro więc człowiek tak czy inaczej jest potępiony, to może sobie pozwolić na ryzyko.

Dana mruknęła coś z goryczą i podeszła do garderoby. Postanowiła założyć mocno rzucające się w oczy ubranie. Jeśli zapowiadają, że będą ją obserwować, to ona im ułatwi zadanie. Wyjęła perłowo-żółtą letnią sukienkę zawiązywaną na górze na troczki. Położyła ją na łóżku.

Andy oglądał pierwszą kasetę.

– Czy twój mąż zawsze wyglądał, jak siódme nieszczęście? – zapytał.

– Na miłość boską! – parsknęła Dana. – Jego życie jest w niebezpieczeństwie.

– Przepraszam – mruknął Andy.

Dana otworzyła szufladę i zaczęła szukać odpowiedniej bielizny.

– Co myślisz o wyznaczonych punktach kontaktowych? – zapytał Broder. – Kojarzy ci się z czymś linia R5 i teren wyścigów konnych?

– Raczej nie. – Dana wyjęła stanik, ale go odłożyła, gdy sobie przypomniała, że wybrała sukienkę bez pleców. – R5 to podmiejska linia.

– Jeździłaś nią kiedyś?

– Tak, przez długi czas do pracy. A także na zawody hippiczne. Moja starsza córka ma bzika na punkcie koni.

– Aha – mruknął z namysłem.

Dana odwróciła się do Andy'ego.

– O co chodzi? – zapytała.

– Czy twój mąż wiedział o zdjęciach?

– Tylko tobie o nich mówiłam.

– Aha – powtórzył Broder.

– Do czego zmierzasz? – Wzięła sukienkę i weszła do garderoby, żeby się przebrać.

– Sam nie wiem. Coś mi się po prostu przypomniało. Kiedy byłem kilunastoletnim chłopcem, przyłapali mnie, jak paliłem chrust na polu sąsiada. Nawet nie próbowałem się bronić czy tłumaczyć, czułem tylko znudzenie i ciekawość. Mama zamknęła mnie w pokoju i postraszyła, że jak wróci ojciec, to ze mną porozmawia.

Dana założyła sukienkę i zawiązała na karku troczki.

– No i co?

– Uznałem, że nie będę czekał. Zabrałem manierkę, wojskowy nóż szwajcarski, zlałem na dół po rynnie i zviałem do lasu. Zastawiłem sidła na królika, zbierałem jagody i przez trzy dni spałem pod gołym niebem. W życiu nie miałem lepszej zabawy. Kiedy wreszcie znaleźli mnie ratownicy, rodzina szalała ze szczęścia na mój widok i nikt już nie wspominał o paleniu chrustu na polu sąsiada.

– Nie bardzo rozumiem. – Dana wygięła się, by zapiąć suwak na plecach.

– Może i ty ucieszysz się z powrotu męża?

Otworzyła drzwi. Andy stał w progu i czekał na reakcję Dany.

– Mówmy bez ogródek – rzuciła. – Uważasz, że Whit sfingował swoje porwanie po to, abym go znowu przyjęła?

– To tylko teoria.

– Która ma pewien feler.

– Jaki?

– To Whit ode mnie odszedł.

Dana odwróciła się na pięcie i zapatrzyła się w okno.

– Nie dopięłaś zamka błyskawicznego.

Zanim zdążyła się odsunąć, Broder zasunął suwak i otoczył ją ramionami.

– Wybacz – powiedział. – Byłem głupi, że zacząłem o tym gadać. Ale przynajmniej nie jestem takim durniem, jak twój mąż.

Wyrwała mu się z oczyma płonącymi gniewem, ale w wyglądzie Andy'ego było coś, co kazało jej milczeć. Na ustach miał swój zwykły, oszałamiający uśmiech, ale za pogodną maską kryło się zmęczenie, a nawet dostrzegła strach. Przytuliła się do chłopaka.

– Pozwól mi jechać ze sobą – powiedział cicho.

– Nie, będę mnie obserwować. Muszę być sama. Andy, proszę, poczekaj tu na mnie.

Broder w końcu ustąpił, pieczętując zawartą zgodę pocałunkiem.

Tego wieczora odbywały się światowej klasy zawody w skokach przez przeszkody, więc parking na terenie wyścigów konnych był zapchany do granic możliwości. Lokatorzy położonych w sąsiedztwie domów siedzieli przy krawężnikach przed swoją posesją, trzymając w ręku ogłoszenie z napisem: Parkowanie – pięć dolarów. Dana zatrzymała się koło starszego mężczyzny w szortach i podkoszulku bez rękawów. Podjazd przed jego domem był już zastawiony samochodami, ale dziadek wskazał Danie

miejsce na trawniku między krzewami hydrangei i rabatką geranium. Przyjął pieniądze, odsłaniając w uśmiechu bezzębne usta.

Na niebie gasło światło kończącego się dnia, w trawie grały pasikoniki, wszędzie roznosił się piżmowy zapach koni. Pole, na którym odbywały się pokazy, było ogrodzone ze wszystkich stron, przy bramie skupił się tłum. Widzowie byli w większości ubrani na sportowo, w szorty lub dżinsy. Dla wielu jednak ten wieczór stał się znaczącym wydarzeniem towarzyskim. Ludzie z wyższych sfer zwykle siadywali w łóżach, popijali szampana i prezentowali okazałe stroje, stosowne do rangi wydarzenia – panie występowały w kapeluszach i pantoflach na wysokich obcasach, panowie nosili blezery i eleganckie spodnie ze skóry.

Dana szybko ruszyła do kasy, mijając jeźdźca w świecących butach do kolan i szykownie skrojonej kurtce. Przy okienku siedziały dwie dostojne damy z organizacji charytatywnej, niemal dotykając się srebrzystymi głowami w trakcie pasjonującej pogawędki.

Dana dwukrotnie chrząknęła. Po chwili zdecydowała się przerwać kobietom rozmowę.

– Przepraszam, chciałabym kupić bilet.

Jedna z pań popatrzyła na nią z oburzeniem.

– Bilet? A na co?

– Na dzisiejsze zawody.

Druga dama ściągnęła usta i pokazała napis: bilety wyprzedane.

– Nie, mnie nie chodzi o miejsce numerowane – wyjaśniła Dana. – Potrzebuję tylko wejściówkę.

– Nie sprzedajemy wejściówek i nigdy tego nie robiliśmy – wycodziła starsza pani przez zaciśnięte zęby. – Na finały mamy wyłącznie miejsca

numerowane.

– Ale musiało pani coś zostać!

Damy wróciły do przerwanej rozmowy. Dana odeszła od okienka. Jeżeli nie zdoła się dostać na zawody, to także nie wejdzie tam człowiek, który ma odebrać przesyłkę – chyba że wcześniej kupił bilet. Nie wolno rezygnować, zagrzewała się w duchu do walki. Już nie stawiała się na jedno spotkanie; jeżeli coś pójdzie nie tak i tym razem, to z pewnością nie z jej winy.

– Czy ktoś ma wolny bilet?! – zawołała głośno. – Potrzebny mi jeden bilet!

Nikt na nią nie spojrzał. – Zapłacę sto dolarów gotówką za bilet! – krzyknęła, nie zważając na stojącego na drodze policjanta.

Do Dany natychmiast rzuciło się kilka osób, wymachując jej przed nosem biletami. Dobiła targu z chłopcem w koszulce polo. Młodzieniec wepchnął pieniądze do kieszeni szortów i mruknął: „Takiej głupoty jeszcze nie widziałem!”

Danie przypadło miejsce na stadionie, na trzecim poziomie. Przepisnęła się do schodów. Mijała sprzedawców hot dogów i przekupniów z wiklinowymi koszami.

– Przepraszam, przepraszam, proszę, przepraszam, dziękuję – powtarzała, pokonując już czternastą w swoim rzędzie parę kolan.

Usiadła na foteliku i położyła kopertę na kolanach. Latarnie oświetlały skomplikowany tor przeszkód i pięciu porządkowych, którzy pracownicy wyrównywali grabiami ziemię przed każdą przeszkodą. Po przeciwnej stronie areny wznosiła się druga trybuna. Ktoś mógł stamtąd obserwować Dane. Przekonałby się, że przyszła sama i przyniosła kopertę. Widziała

soczewki kilkunastu lornetek skierowanych w swoją stronę. Po kolei przyglądała się ukrytym za nimi ludziom. Tak silnie wyteńczyła wzrok, że aż obrazy zaczęły się jej rozpląwać przed oczami. Tam musi być wysłannik porywaczy, na pewno spróbują też dzisiaj wieczoru, muszą się tu jakoś dostać mimo braku biletów, przekonywała samą siebie.

Przez skrzeczące megafony zapowiedziano rozpoczęcie imprezy – podnieceni widzowie zaczęli zajmować miejsca. Zagrano fanfary na trąbkach sygnałowych. Oddział kadetów z akademii wojskowej w barwnych strojach wkroczył na owalny plac. Za nimi sunęła procesja jeźdźców w sztywnych toczkach. Konie stąpały lekko. Widzowie kartkowali program zawodów, nanosząc na marginesie swoje typy. Dana zachowywała się tak samo, kiedy przychodziła tu z Kirsten i Katriną, ale tym razem było inaczej.

W domu wrzuciła do torby telefon komórkowy; czuła, jak świerzb ją rękę, aby go wyciągnąć i zadzwonić do dziewczynek. Wbijała sobie paznokcie w rękę, żeby opanować pokusę. Ludzie polujący na film wiedzą, gdzie ona mieszka, zdają sobie sprawę, kim jest jej mąż. Czy jednak mają pojęcie o dzieciach, czy potrafią podsłuchać rozmowę telefoniczną i odszukać dziewczynki?

Dana, jak większość adwokatów, sukcesywnie rozwijała swoją wiedzę w różnych dziedzinach. W efekcie prowadzonych spraw znała się na destylacji alkoholu, konserwacji dzieł sztuki czy księgowości. W trakcie przygotowań do procesu Palazzo Hotel nauczyła się dość dużo o elektryczności, by wymienić instalację we własnym domu, a nawet zyskać kwalifikacje elektryka. Nigdy natomiast nie miała do czynienia z telekomunikacją, nie umiała też znaleźć odpowiedzi na pytania, które się

narzucały. Oto siedzi na trybunie z nowoczesnym urządzeniem telekomunikacyjnym pod ręką i boi się z niego skorzystać.

Kiedy usłyszała głośnie brawa, zaskoczona rozejrzała się dookoła. Skończyła się już pierwsza połowa, zaczęła się przerwa. Ludzie opuścili trybuny i tłumnie pośpieszyli na pole położone w północnej części kompleksu. Dana zrobiła to samo. Zapadł zmierzch, włączono więcej świateł, z oddali dobiegały dźwięki kobzy. Zapach rozgrzanego tłuszczu i słodkiej coca-coli przyciągał masy ludzi do punktów zjedzeniem i napojami. Dana szła do środkowej pętli, na której rozgrywano zawody.

Kioski z pamiątkami i inne stoiska zbudowane były na kształt miniaturowych pawilonów, niewiele większych od domków dla lalek. Księgarnia pod nazwą „Koński świat” mieściła się w maleńkiej, biało-niebieskiej budce, której okap udekorowano wiktoriańskim piernikiem. Dana wraz z tłumem zainteresowanych wciskała się do środka przez dwuskrzydłowe drzwi, mocno trzymając kopertę.

W niewielkim sklepie towar wystawiono na półkach pod ścianami pozbawionymi okien oraz na długim stole. Ludzie poruszali się drobnymi kroczkami po maleńkiej przestrzeni. Na przedzie szła kobieta, która donośnym głosem zaganiała do kupy troje dzieci. Obok sunęła młoda para trzymająca się za ręce. Za nimi dreptało dwoje starszych ludzi, głośno warczących na siebie.

Dana znalazła „Encyklopedię koni” w tylnym rzędzie książek umieszczonych na stole pod wybitym oknem. W ogromnym tomie spokojnie zmieściłaby się koperta. Zostało tylko osiem egzemplarzy tego tytułu, ale przy cenie czterdziestu pięciu dolarów było rzeczą mało prawdopodobną aby wysprzedano je, zanim przerwa dobiegnie końca.

Dana rozejrzała się szybko i wsunęła kopertę między kartki tomu leżącego na samym dole.

Na zewnątrz głośniki zachrypiały po raz drugi, obwieszczając zakończenie przerwy i rozpoczęcie finałowej rundy skoków. Dana wróciła na miejsce i została tam aż do dziewiątej. Potem wstała i opuściła trybunę.

Weszła do budki telefonicznej i zamknęła za sobą drzwi. Miała nadzieję, że na tej linii porywacze nie założyli podsłuchu.

– Proszę z O'Donnellami – powiedziała. Kiedy po chwili usłyszała głos siostry, poczuła ogromną ulgę.

– Och, Karin, dzięki Bogu!

– Martwiliśmy się o ciebie. Wiesz, że twój domowy telefon nawalił?

– Karin, musisz coś dla mnie zrobić.

– Dobra, mów.

– Spakuj się, wymelduj i zawieź dzieci do dziadków. Zostańcie tam, dopóki do was nie zadzwonię. Nikomu ani słowa, dokąd się udajecie.

Karin przez chwilę milczała jak grób. Zawody dobiegły końca, Dana niewidzącym wzrokiem przyglądała się bezimiennemu tłumowi mijającemu w drodze na parking.

– Mówisz poważnie? – stwierdziła Karin.

– Jestem przerażona. Nic więcej nie mogę ci teraz powiedzieć. Moim dzieciom prawdopodobnie grozi niebezpieczeństwo...

– Mama i tata oszaleją.

– Wiem, przepraszam...

– Będziemy u rodziców przed północą. Zadzwon do nas, dobrze?

– Dziękuję, Karin.

Dana odłożyła słuchawkę i oparła się o szklaną ścianę kabiny.

Dziewczynki wreszcie były bezpieczne.

Kiedy Dana zatrzymała samochód przed domem, Andy czekał na nią przy drzwiach.

– Wszystko w porządku? – zapytał, kiedy weszła do środka.

– Nie wiem – odparła przygnębiona i poszła schodami na piętro. – Nie mam pojęcia, czy porywacze tam byli dziś wieczorem. Pewnie nie, a koperta wciąż leży na stole.

– Nie, oni ją zabrali – powiedział cicho Andy.

Dana odwróciła się do niego gwałtownie – musiała się chwycić poręczy, żeby nie spaść ze schodów.

– Skąd wiesz?

– Miałem nadzieję, że uda mi się zauważyć łącznika.

– Byłeś tam? To niemożliwe, przecież zabrakło biletów!

– Przyczaiłem się z tyłu, w stajni – Andy zaczął wchodzić do Dany. – Cała operacja kosztowała mnie pięć minut pracy przy wyrzucaniu gnoju z boksów.

– Co takiego?

– Nikt nie zwraca uwagi na osobę pracującą fizycznie. Każdy unika kontaktu wzrokowego z parobkiem. Tak czy inaczej, jeżeli mnie udało się tam dostać, to z pewnością im także.

– Czy ty choć raz mógłbyś zrobić to, o co cię proszę? – zapytała Dana, zaciskając pięści z wściekłością.

– Och, zrobiłem to nawet dwa razy. – Andy uśmiechnął się szeroko.

Dana przyglądała mu się przez chwilę.

– No i jak? Zauważyłeś łącznika?

– Nie. – Twarz chłopaka spoważniała. – Po tobie do sklepiku weszło z pięćdziesiąt osób, a kiedy ja się znalazłem w środku, koperty już nie było w książce.

Dana wyjrzała przez okno. Z półpiętra widziała światła migające w dolinie i odbicie księżyca w czarnej wodzie w basenie. Porywacze byli dziś na zawodach. To znaczy, że Whit nadal żyje, analizowała w myślach Dana.

Coś jednak się nie zgadzało.

– Zaraz, zaraz – powiedziała, odwracając się do Andy’ego. – Jak dojechałeś na teren wyścigów? Przecież zabrałam samochód.

– Wziąłem auto z garażu.

Dana zeszywniała na chwilę, potem zbiegła po schodach, do garażu. Zapaliła światło. Na widok starego, poobijanego pickupa głos uwiązł jej w gardle.

– To wóz Whita – wyrzuciła z siebie. – Odjechał nim z domu.

– Dobry Boże, nie miałem pojęcia. Kluczyki były w środku. Tak samo jak pilot do otwierania garażu.

– Porywacze odstawili tu samochód z powrotem. Nie mogli znaleźć lepszej kryjówki. Porzuconym gdzieś pickupem zainteresowałyby się policja.

Andy położył jej rękę na plecach. Dana zadrzała.

– Spakuj się – powiedział. – Spływamy stąd.

Andy wycofał samochód z garażu, nie zapalając świateł. Było już po północy; przejechali ukradkiem obok toyoty camry i w kompletnej ciemności sunęli w dół aleją przecinającą zbocze góry. Ruch zaczął się

dopiero przy skrzyżowaniu. Na szosie biegnącej wiaduktem migotał sznur samochodowych reflektorów. Ciągąca się w kierunku północnym estakada umożliwiła skręt w lewo i wjazd na most, ale Andy nagle szarpnął kierownicą o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i dodał gazu.

– Nie, to jest jeszcze jedna droga prowadząca do miasta – powiedziała Dana.

– Wiem. A jeśli ci zależy, aby dowiedzieli się o tym także twoi przyjaciele, to pojedę prosto jak strzełił.

– Śledzą nas? – Dana poczuła ucisk w sercu.

– Postaram się im w tym przeszkodzić.

Andy trzymał się prawego pasa, wskazówka prędkościomierza wskazywała setkę. Ruch był niewielki, chociaż kilka samochodów przemknęło obok nich z szumem. Broder przesunął wzrok z jednego lusterka na drugie. Kiedy mijali zjazd Great Valley, powiedział:

– Nie oglądaj się teraz. Chyba mamy towarzystwo.

Dana wstrzymała oddech i instynktownie chciała spojrzeć do tyłu.

– Mówiłem ci, nie patrz!

Usiadła z oczyma utkwionymi przed siebie:

– Co widzisz? – zapytała.

Andy zerknął w lusterko.

– Ciemny sedan, duży, prawdopodobnie lincoln – poinformował zwięźle.

– Jedzie za nami?

– Z całą pewnością. Pytanie tylko, dlaczego. Ale znam sposób, żeby się o tym przekonać.

Docisnął pedał gazu do podłogi i skręcił w lewo. Samochód przeciął

drugi pas i zjechał z drogi z piskiem amortyzatorów. Wóz jadący z tyłu zareagował wściekłym wyciem klaksonu. Dana uderzyła głową o metalowy dach, kiedy pickup zjechał na pas rozdzielający przeciwległe części szosy i zaczął się wspinać na jezdnię po drugiej stronie. Kiedy wjechali na odcinek prowadzący na północ, rozległ się jeszcze jeden klakson.

– Teraz możesz popatrzeć – zawołał Andy, włączając się do ruchu.

Dana odwróciła się. Kierowca jadący tuż za nimi wygrażał pięścią, ale nikt nie próbował powtórzyć ich manewru. Po drugiej stronie szosy granatowy lincoln jechał dalej na południe. Nieważne, winny czy nie; teraz już z pewnością nie ścigał Dany i Andy'ego.

Trzy metry kwadratowe powierzchni. Dwadzieścia metrów sześciennych objętości. Tyle przestrzeni miał Whit w latrynie, a z każdego kąta spoglądała na niego twarz Dany.

Po całkiem długim zaroście Whit orientował się, że musi być niedziela wieczorem. Nie wiedział dokładnie, ile czasu upłynęło, ale czuł w kościach, że jest już za późno. Za późno na ratunek, za późno na wyrzuty sumienia, stanowczo zbyt późno na pojednanie. A za to wszystko może winić wyłącznie siebie.

Życie skąpo wydziela ludziom szanse, po jednej na głowę, a sukces od porażki można odróżnić po tym, jak się wykorzystuje okazję, kiedy się ona pojawia, myślał ze smutkiem. Endicott miał swoją szansę, ale nic nie zrobił. Przy drugim nagraniu mógł zasygnalizować Danie, że wie, kim jest jeden z porywaczy, ale niestety nie potrafił sobie tego przypomnieć.

To wszystko jest chore, nienormalne, kłął w duchu. Pamięta – milion szczegółów dotyczących Dany, nawet sprzed wielu lat – słowa, jakie wypowiedzieli, kiedy się spotkali; ubranie, jakie miała na sobie, kiedy ją po raz pierwszy rozbierał; zapach jej włosów, kiedy je całował w wietrzną noc. A jednocześnie nie mógł zidentyfikować głosu, który należał do człowieka związanego z jej obecnym życiem. Kiedyś wiedział o Danie wszystko, teraz... Stracił z nią kontakt. Była jak ktoś znajomy, do kogo wysyła się kartkę na Boże Narodzenie. W następnym roku kartka wraca z adnotacją: Adres odbiorcy nieaktualny.

Sięgnął po dzbanek i wypił duży łyk letniej wody. Myśl, ponaglał sam

siebie. Przypomnij sobie. Nagle z chaosu wyłonił się wyraźny, ostry obraz.

Uniesione kieliszki, rozproszone światło, kryształowe naczynia wypełnione musującym płynem. Byli tam ich krewni i powinowaci: uśmiechnięty od ucha do ucha Karl, Anna opiekująca się maleńką Triną. A także Karin z mężem i dzieciaki chichoczące pod stołem. Obiektyw pamięci omiół pokój i skupił się na postaci Dany. Śmiała się, wprost promieniała szczęściem. I wtedy Whit sobie przypomniał. Wydawali uroczyste przyjęcie z okazji awansu Dany na partnera w kancelarii.

Ale jakie było jego miejsce w tej radosnej scenie? Kamera obróciła się i odszukała go – siedział z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wymuszonym uśmiechem, zastanawiając się, co oni wszyscy muszą o nim myśleć.

Awans na partnera stanowił dobrą okazję do uroczystego spotkania. Dana zyskała szacunek swoich pracodawców. Materialną przyszłość miała już zapewnioną. Dziewczynki otrzymają doskonałe wykształcenie; oni wybudują wymarzony dom.

Whit wychylił kieliszek szampana, myśląc: A co ze mną?

– Nie zawsze wszystko kręci się wokół ciebie, Whit! – skarciła go pewnego razu Dana, ale on wierzył, że pewien przydział szczęścia przysługuje każdemu małżeństwu, a każda złota gwiazdka na karcie życia Dany nie musi oznaczać czarnego krzyżyka na jego karcie. To dlatego się rozminęli. Każde wspomnienie kojarzyło się Whitowi z sukcesami żony, a także wzmagało gorzyc własnych porażek.

Podniósł się zeszywniały i usiłował rozciągnąć zastygłe mięśnie. Na wszystko już za późno, nawet na nocne odwiedziny Ike'a i jego kumpla, pomyślał ponuro.

Zdażył się już zorientować, że porywacze zostawiają go samego w ciągu dnia. Zauważył również, że nikt go nie usłyszy, choćby nie wiadomo jak długo krzyczał. Latrynę obwiązywali długim łańcuchem zamykanym na kłódkę, więc nawet gdyby więzień oparł się rękami o ściany i kopał obydwoma nogami, drzwi nie ustąpią. Wierzył Ike'owi: to była pierwszorzędna kryjówka.

Zresztą bez znaczenia, podsumował rozważania. Pobyt w latrynie i tak zmierza do końca. Jeżeli Dana zeszłej nocy dostarczyła przesyłkę, a porywacze dotrzymują słowa, zostanie zwolniony. Jeżeli natomiast nie zrobiła tego, a Ike kłamie, pana profesora czeka uwolnienie innego rodzaju. „Kąt, pod którym człowiek pada ostatecznie...”

Koło latryny dały się słyszeć głosy. Whit usiadł i wytężył słuch. Po chwili przez głośnik w suficie popłynął głos Ike'a:

– Profesorze, otworzymy drzwi, żeby podać panu jedzenie. Proszę się cofnąć do kąta przy sedesie. Wymierzmy z dwóch karabinów. Jeżeli pan się ruszy, broń wystrzeli.

Ike monotonnym głosem recytował instrukcje; wydawał się równie znudzony procedurą, jak Whit.

Tym razem zamiast papierowej torby – podali pudełko. Whit wymacał krawędzie i podniósł wieczko. Wewnątrz wyczuł twardą krągłość jabłka, kanapkę z plastrami mięsa i dwa ciasteczka z cukrem. Zorientował się, że to standardowe pudełko na lunch, jakie przekupnie sprzedają podczas zawodów w jeździe konnej.

– Ciekawe, czy wróciliście z łupem? – zawołał podnosząc głowę do sufitu. Nie doczekał się odpowiedzi. Odgryzł kawałek bułki myśląc, że to może być jego ostatni posiłek.

– Profesorze, mamy następne oświadczenie do odczytania – odezwał się po chwili Ike.

W znudzonym głosie pojawił się nowy ton. Czy to współczucie? Nie, gorzej – zakłopotanie.

– Moja żona nie przyszła – powiedział tępo.

– Ależ nie, przyszła. Zrobiła wszystko zgodnie z instrukcjami.

Whit skoncentrował się na tych słowach tak bardzo, że niemal przeoczył następną wypowiedź Ike'a.

– Jest jednak problem z przedmiotem, który dostarczyła. Nie jest w takim stanie, jakiego się spodziewaliśmy. I dlatego musi pan odczytać kolejną wiadomość.

Whit siedział z głową opartą o ścianę w czasie, gdy Ike przygotowywał się do sesji wideo. Dana pojawiła się, wykonała polecenie, oni dali jej jeszcze jedną szansę, a to oznacza kolejną szansę dla niego.

Ike recytował dobrze znane instrukcje tym samym co zawsze, znużonym głosem, ale Whit nagle usłyszał w zakamarkach pamięci inny głos. Skoczył na równe nogi.

Przypomniał sobie, kim jest drugi porywacz.

– Jestem gotowy! – zawołał.

W poniedziałek rano miss Teksasu zwymiotowała, gdy tylko oderwała głowę od poduszki. Travis przyniósł jej na tacy śniadanie – biszkopty z solą oraz piwo imbirowe. Ożywiła się trochę, ale kiedy powiedział, że musi iść do pracy, zwymiotowała ponownie, tym razem prosto na męża. Travis poszedł się przebrać. W tym czasie królowa piękności usnęła. Jest taka, że czasami trudno uwierzyć, co wydostaje się z jej żołądka.

Pocałował żonę w czoło i zszedł do holu. Z salonu dobiegał szmer głosów – to dekorator zabierał się do pracy wraz z ekipą, która miała za zadanie założyć karnisze. Na podłodze rozwinięto nowy, orientalny dywan, wszędzie leżały porzucane próbki materiałów na draperie i obicie mebli. Plan był taki, żeby najpierw uporządkować salon, potem jadalnię, wreszcie pokój rodzinny – nie, poprawił się Travis, pokój pobytowy, bo, jak zauważył dekorator, określenie „pokój rodzinny” brzmi za bardzo mieszczańsko. Kiedy wszystkie prace zostaną zakończone, rachunek wyniesie prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Miss Teksasu nie miała nic przeciwko temu, żeby poczekać z umeblowaniem mieszkania. Nie musiała zapraszać swej matki. Była pewna, że poradzi sobie bez niej, chociaż nie udało się to żadnej z jej sióstr. Jednak Travis doznał nagłego olśnienia: skoro można wziąć kredyt, to po co czekać? W zeszłym tygodniu zaciągnął pożyczkę o wysokim oprocentowaniu, ale niewielkich ratach miesięcznych, z terminem spłaty za pół roku. Do tego czasu będzie już miał do dyspozycji udział w zyskach przewidziany dla partnerów; ustanowi na nim zastaw i uzyska

refinansowanie na lepszych warunkach.

– Możesz zaprosić tu całą swoją rodzinę i połowę sióstr, jeżeli zechcesz, kochanie – powiedział jej.

– Postarajcie się za bardzo nie hałasować – zwrócił się po chwili do dekoratora, biorąc teczkę. – Moja żona nie czuje się dzisiaj najlepiej.

Tego dnia wszyscy źle reagowali na pogodę. Był to kolejny nieznośnie upalny dzień. Travis czuł się jak w Dallas w lipcu, podczas wakacyjnego treningu przed studenckim sezonem futbolowym. Wycofał samochód sprzed domu i włączył klimatyzację. W radiu podawali prognozę: – zapowiada się dalszy upał i susza, ale też – oto pierwszy od wielu tygodni promyk nadziei – jest dwadzieścia procent szans, że w czwartek zaczną padać.

Zastanawiał się, czy tego dnia w pracy także ujrzy światło nadziei. Sobotnie sprawozdanie inżyniera dźwięku mogło przyprawić o rozpacz. Mimo wszystkich zastrzeżeń i ponurych przewidywań dźwiękowca, Travis wierzył, że specjalista zdoła wyszukać głos Dany na nagraniu. Niestety nic z tego nie wyszło.

Travis przyjechał do biura, zabrał swoją pocztę z biurka sekretarki i skręcił na korytarz. Zauważył, że Brad biega po jego gabinecie w nagłym ataku paniki.

– Och, mój Boże! – Brad tak szybko krążył po małym pomieszczeniu, jakby odbijał się od ścian. – Widziałeś ten pasztet? Widziałeś, jaki numer nam wycięły te dupki? I co my teraz zrobimy, do cholery?

Travisowi udało się wyrwać Bradowi z ręki pogniecioną gazetę.

– To nie moja wina! – krzyknął Brad, kiedy Hunt przebiegał wzrokiem

przez tekst. – Wysłałem informację dla prasy, dokładnie tak, jak powiedziała Dana. Jeżeli ktoś zrobił błąd, to tylko ona. Powinna przewidzieć...

– Wracaj do swojej roboty. – Travis chwycił Brada za ramiona i wypchnął go na korytarz.

Na pierwszej stronie sobotniego „Inquirer”, w jej dolnej połowie, znajdowała się kolejna informacja na temat Petera Seferisa i jego akcji grupowej oraz odpowiedzi Pennsteelu na pozew o odszkodowanie. Wydrukowano wszystkie uwagi Dany, współczującej dzieciom, które w piątkowe przedpołudnie znalazły się w parku rozrywki, ale dorzucono też następujące zdanie: „Pennsteel nie ma zamiaru ugiąć się przed tego rodzaju wymuszeniem”.

Następne wiadomości tego ranka nie były ani trochę lepsze. Nagrane na kasety wywiady z naocznymi świadkami okazały się bezwartościowe. Owszem wszyscy widzieli, jak spada samolot i helikopter, ale nikt nie zauważył, że maszyny spadają razem. Ogłoszenie z prośbą o przekazanie filmu z katastrofy publikowano przez siedem dni w rozmaitych gazetach. Żadnego rezultatu. Travis nie mógł w to uwierzyć. W parku rozrywki pewnie ze stu ludzi miało kamery. I co, nikt nie był na tyle przytomny, żeby zarejestrować katastrofę?

Travis opadł na krzesło z poczuciem bezradności. Poza zeznaniem Dany nie istniał inny sposób obalenia wersji wydarzeń przedstawionej przez Irę Thompsona. A z tego wynikało, że firma „Jackson, Rieders & Clark” musi się ze sprawy wycofać. Inną konsekwencją będzie to, że Travis straci pozycję w zespole i nie wystąpi na procesie jako pomocniczy

adwokat, nie wspominając już o szansie nabicia następnego tysiąca godzin pracy do końca roku. Skończy w tej firmie jako szara myszka.

Co więcej, nie awansuje na stanowisko partnera i zostanie na lodzie z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów długu i powiększoną rodziną.

Odwrócił się do komputera i odszukał ostatnią wiadomość od Dany – pochodziła z piątku wieczorem. Przeczytał ją dwukrotnie, ale nie zrozumiał sensu. Dlaczego ma sobie dać spokój z Loudenbergiem? To przecież jego najważniejsza idea.

Usiłował się dodzwonić do Dany, ale okazało się, że nie wiadomo, gdzie ona przebywa. Spróbował złapać ją w domu, jednak usłyszał tylko informację, że linia jest uszkodzona. Dziwna sprawa.

Znał jeszcze jedno miejsce, gdzie mógł znaleźć Dane. Zespół zajmujący się sprawą Palazzo miał zwyczaj się ukrywać w piwnicy „Bakcave”, kiedy w biurze robiło się za gorąco. Zaczął grzebać w szufladach biurka, aż znalazł skrawek papieru z zanotowanym numerem telefonu odnotowanym w oficjalnym spisie. Zadzwoił, ale nikt się nie zgłaszał.

Kiedy po jakimś czasie zadzwieczał telefon na jego biurku, błyskawicznie chwycił słuchawkę; po raz pierwszy w życiu miał nadzieję, że to dzwoni Dana, a nie miss Teksasu. W rzeczywistości nie była to ani jedna, ani druga.

– Cześć, Travisie – powitała go Judy Loudenberg. – Coś się do mnie nie odzywasz.

– Och, witaj, Judy. Przepraszam, miałem od cholery roboty.

– No, możesz nawet od czasu do czasu do mnie zatelefonować?

– Posłuchaj, Judy, to chyba nie jest dobry pomysł. Sama wiesz, jak

patrzył na mnie Bill junior i tak dalej.

– Billy wyjechał. Wszyscy wyjechali! Mam cały dom tylko dla siebie.

– A dokąd oni się wynieśli?

– Dottie pojechała do swojej siostry w Binghampton i zabrała ze sobą bachora. A Billy...? Po prostu zniknął bez słowa.

– Często tak robi? Wyjeżdża i nie informuje cię, dokąd?

– Jego stary też tak przepadał na całe dni. Dottie mówi, żebym się tym nie martwiła. Chłopy mają co robić w lesie. No cóż... – Jej głos stał się lepki i kuszący. – Może tu wpadniesz?

– Bardzo bym chciał, Judy, ale jestem tak cholernie zajęty... Przerwała mu śpiewnym refrenem:

– Wiem coś, czego ty nie wiesz, wiem coś, czego ty nie wiesz...

– Chodzi ci o to, że Donny latał bez licencji? – przycisnęła ją Travis.

– Billy wyjeżdżał z kraju w zeszłym miesiącu – podśpiewywała dalej.

– A dokąd?

– Nie wiem, ale musiał sobie załatwić paszport.

– Co to ma wspólnego z wypadkiem?

– No, sam sobie dośpiewaj.

Travis spojrzał na stertę papierów na biurku, na ostatnią wiadomość od Dany, na artykuł w „Inquirerze”, a wreszcie na fotografię miss Teksasu. Jesteś wolna dziś po południu? – zapytał.

– Wolna nie, ale dla ciebie dostępna. – Roześmiała się. – Do zobaczenia.

Dzwonek telefonu huczał w głowie Dany niczym młot pneumatyczny walący o wielki kamień. Rozbudzona usiadła na kozetce. Do pokoju stanowiska dowodzenia sączyło się światło słoneczne; Andy już wstał, ubrał się i pracował przy stole.

– Odebrać? – zapytał.

Dana pokręciła głową – wystarczyło niewielkie poruszenie, żeby poczuła w skroniach pulsujący ból. Powoli podniosła rękę, by spojrzeć na zegarek.

– Wpół do jedenastej! – zawołała.

– Usnąłeś na krótko przed świtem. Nie chciałem cię budzić.

Telefon nie przestawał dzwonić – słuchała sygnału z narastającym niepokojem. Z wyjątkiem rodziny nikt nie wiedział, gdzie ona jest, a krewnym przecież surowo zakazała tu dzwonić. Poprzedniego dnia późnym wieczorem jej ojciec wywiózł dziewczynki do domu swojego przyjaciela nad zatoką Chesapeake – tam nikt nigdy nie będzie ich szukać. Dana solennie sobie przyrzekła, że nikomu nie da szansy wysledzić miejsca pobytu córek.

Dzwonienie w końcu ustało – uznała, że to pomyłka albo ktoś szukał Marii.

Wstała z łóżka i chwiejnym krokiem poczłapała do łazienki, zastanawiając się, co ma dzisiaj do roboty. Od czwartku nie kontaktowała się z Charliem Morrisonem; nawet jeśli nie powinna mu opowiadać o wydarzeniach w Laporte, to jej obowiązkiem było poinformowanie go o

wszystkim, co wie na temat przebiegu kolizji. Dostała także kolejne złe wiadomości: Peter Seferis i Angela Leoni wystąpili z następnymi pozwami. Istniało również zagrożenie ze strony Dona Caselli.

Don Casella. Nagle Dana coś sobie przypomniała i wpadła w przerażenie. Wyskoczyła z łazienki, rzuciła się do telefonu i wystukała numer do Billa Morana.

– Dzisiaj jest nieobecny, pani Svenssen – poinformowała ją sekretarka.

– Pojechał do Alpine Valley na spotkanie z Donem Casellą?

– Nie, wybrał się na długi weekend nad morzem.

Dana walnęła słuchawką z całej siły, znów ją podniosła i wykrciła numer Dona Caselli. Miała nadzieję, że Don i Moran skontaktowali się ze sobą i coś uzgodnili.

– Nie ma go tutaj, pani Svenssen – odpowiedziała sekretarka Caselli.

– A wie pani, gdzie może być? Albo kiedy wróci?

– Dziś rano ma spotkanie gdzieś w terenie. Przed chwilą telefonował i zapowiedział, że przed powrotem do biura musi wpaść na chwilę do sądu.

Dana zamknęła oczy.

– Czy mogę się z nim jakoś skontaktować? Jaki numer ma telefon w jego samochodzie?

– Obawiam się, że pan Casella dziś nie korzysta ze swojego samochodu.

– Jeżeli się znowu odezwie, niech mu pani przekaże, że chcę się z nim pilnie spotkać w dowolnym czasie i miejscu. Proszę mu też powiedzieć, żeby nie składał pozwu.

Dana rozłączyła się i przytknęła pięści do głowy. Za późno. Casella pojechał już do parku i zamierza złożyć pozew przeciwko Pennsteelowi.

Zadzwoiła znowu – tym razem do siedziby Pennsteelu:

– Mówi Dana Svenssen. Muszę pilnie rozmawiać z panem Morrisonem.

– Ach, pani Svenssen. Charlie usiłuje się z panią skontaktować od samego rana.

Po chwili rozległ się głos Charliego:

– Dano, tu się rozpętało prawdziwe piekło.

– Co...?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musisz natychmiast przyjechać. Jesteś mi potrzebna.

Pennsteel utrzymywał kilkanaście fabryk ulokowanych w starzejących się budynkach przemysłowych, plujących kłębamii czarnego dymu na tanie osiedla mieszkaniowe. Kwatera główna firmy mieściła się natomiast w bukolicznym otoczeniu parku biurowego. Teren był zielony i doskonale utrzymany, pod każdym drzewem ustawiono ławeczkę, po sztucznym stawie leniwie pływało łabędzie stadło. Dana zawsze była pod wrażeniem kontrolowanego spokoju tego miejsca, które kojarzyło się jej z powieściami Jane Austen albo terenem szpitala psychiatrycznego.

Dziś jednak okolica wyglądała inaczej. Na parkingu brakowało wolnych miejsc, więc Dana postawiła mercedesa na trawie, obok wielu innych wozów. Liczne głosy powtarzały jakiś gniewny refren, przed głównym wejściem migotały niebieskie i czerwone światła.

Wspięła się na pagórek. Na dziedzińcu stało pięć radiowozów, obok znajdowały się trzy wozy transmisyjne z telewizji. Przy fontannie przed głównym wejściem kłębił się tłum kobiet i dzieci; niektóre osoby trzymały transparenty własnej roboty z napisami: Pennsteel ma serce ze stali,

chronić nasze dzieci przed gruboskórnymi korporacjami.

Strategiczną pozycję między dziennikarzami, kamerzystami i rzeźbą przedstawiającą kulę ziemską – logo Pennsteelu – zajmował elegancko ubrany mężczyzna. Miał głos zachrypnięty od ciągłego krzyku. Teraz też głośno przemawiał w imieniu swoich klientów. Był to Peter Seferis.

Dana skrzywiła się, czując pulsujący ból w głowie. Zaczęła się przedzierać przez tłum, żeby usłyszeć, co Seferis mówi dziennikarzom. Przekonywał, że manifestacja pojawiła się spontanicznie, kiedy rodzice dzieci ofiar z Alpine Valley przeczytali aroganckie uwagi przedstawicieli Pennsteelu po tym, jak do sądu wpłynął pozew o odszkodowanie. Twierdził, że sam nie bierze udziału w demonstracji, ale oczywiście rozumie uczucia jej uczestników oraz wspomaga ich wysiłki. Pennsteel musi słuchać; Pennsteel musi zobaczyć, Pennsteel musi zapłacić.

To był ten chóralny refren, jaki słyszała wcześniej: „Pennsteel musi zapłacić. Pennsteel musi zapłacić”. Wśród demonstrantów znajdowały się też prawdopodobnie osoby pamiętające czasy wojny wietnamskiej, bo jakiś głos zawołał: „Hej, hej, co powiecie, ile dzieci zabijecie?”

Dziesięciu ochroniarzy ustawiło się tak, aby zablokować wejście do środka, ale za tym szpalerem w drzwiach stała starsza wiekiem sekretarka; na jej polecenie Dana przepuszczono. Sekretarka zrobiła zwrot i skierowała panią adwokat do windy, zawiozła na najwyższe piętro, a potem poprowadziła korytarzem. Zatrzymała się przed podwójnymi, dębowymi drzwiami. Otworzyła jedno skrzydło i odsunęła się na bok.

Była to sala obrad zarządu Pennsteelu; przy długim, błyszczącym stole siedziało kilkanaście osób. Sekretarka zajęła miejsce przy końcu stołu. Charlie Morrison wstał i podszedł do Dany. Ujął ją za łokieć i powiedział:

– Mamy duże kłopoty.

– Wiem, widziałam...

– Jest coś gorszego. Park rozrywki wystąpił dzisiaj z pozwem.

Dana zadrżała.

– Charlie, to moja wina. Powinnam...

– Ciii! Pozwól, że ja będę mówił. Posadził Dane obok siebie.

– Drodzy państwo, pragnę przedstawić Dane Svenssen z kancelarii „Jackson, Rieders & Clark”, naszego zewnętrznego doradcę prawnego.

Zgromadzeni nie powitali jej uśmiechem. Siedzący u szczytu stołu przewodniczący spotkania, Oliver Dean, przybrał marsową minę, ostro kontrastującą z łagodnym wyrazem twarzy, jaki widniał na portrecie Deana wiszącym z tyłu na ścianie. Po lewej stronie siedzieli starszy mężczyzna z surową twarzą kwakra i prawie równie wiekowa pani w kapeluszu z bażancimi piórami. Po prawej wiercił się na fotelu Ted Keller; Tim Haguewood i John Schaeffer patrzyli na siebie spode łba. Najbardziej przyjazna twarz spoglądała na nią z portretu powieszzonego obok podobizny Deana. Był to wizerunek Victora Sullivana z szerokim, irlandzkim uśmiechem.

– Pani Svenssen – powiedział Oliver Dean. – Właśnie słuchaliśmy Kena Llewellyna, naszego dyrektora do spraw public relations.

Wzrok mówiącego spoczął na postaci pulchnego mężczyzny z kunsztownie ufryzowanymi włosami.

– To jeden z ludzi Haguewooda – szepnął Danie do ucha Charlie. Llewellyn skinął głową. Przed sobą miał trzy różnokolorowe foldery i cztery pióra – wszystko ułożone w najlepszym porządku.

– Rozmawiałem ze swoimi ludźmi w trzech sieciach telewizyjnych.

Wszyscy mówili to samo: otrzymali anonimowe informacje przez telefon, że dzisiaj przed naszą siedzibą główną odbędzie się marsz protestacyjny. Demonstracja została najwidoczniej sprowokowana przez wypowiedź, wydrukowaną w niedzielnym wydaniu „Inquirer”.

Z czerwonego foldera Llewellyn wyjął wycinek prasowy. Dana poczuła, jak pulsujący ból w skroniach nasila się, kiedy usłyszała swoje własne słowa: „Pennsteel nie ugnie się przed tego rodzaju wymuszeniem. To jest niestosowne działanie, a pan Seferis świetnie o tym wie”.

Twarze zebranych zmarszczyły się ze złości. Opublikowano fragment wyrwany z szerszej wypowiedzi, pominięte zostały wyrazy współczucia, nadające całości bardziej zrównoważony charakter, ale nie można było zaprzeczyć, że te słowa wypowiedziała Dana. Odchrząknęła, przygotowując się do wyznania winy.

– No tak, zgadza się – powiedział Charlie, zanim Dana zdążyła otworzyć usta. – Ja zatwierdziłem tę informację dla prasy. I co w niej złego? To wszystko prawda.

Dana odwróciła się do niego – Morrison nie mógł zaaprobować tekstu, którego mu nigdy nie pokazała.

– Powinieneś go puścić przez Kena – wtrącił Haguewood.

– Po co? To nie była żadna reklamowa bzdura o dobrej woli wobec okolicznych mieszkańców.

Llewellyn nastroszył się, Haguewood zaczął narzekać. Wtedy Oliver Dean zdecydował się na interwencję.

– Może gdybyś się porozumiał z Kenem – powiedział unosząc wysoko brwi – mielibyśmy do czynienia z większym ładunkiem dobrej woli niż ta, którą cieszymy się w tej chwili.

Charlie nie pozwalał się zbić z tropu.

– Nie mogliśmy przewidzieć, że Seferis wykręci taki numer. Byliśmy przeświadczeni, że jeżeli wyrazimy ubolewanie i opublikujemy oświadczenie pojednawcze, on odwróci kota ogonem i wykorzysta to przeciwko nam. Dana napisała dobrą, zwięzłą informację, opartą ściśle na prawnych aspektach sprawy, a ja to poparłem. I popieram w dalszym ciągu.

Obrzucił obecnych wyzywającym spojrzeniem; członkowie zarządu jeden po drugim odwracali oczy; wreszcie Charlie doszedł do Olivera Deana. Przewodniczący dał znak sekretarce. Kobieta podniosła się z plikiem dokumentów i zaczęła je rozdawać. Dana szybko przejrzała kartki. Był to pozew w imieniu parku rozrywki, przedstawiony przez Dona Casellę – nie tylko złożony do sądu, ale też oficjalnie przekazany Pennsteelowi. Casella był na tyle sprytny, żeby nie iść śladem Iry Thompsona w wyborze miejsca rozprawy; złożył wniosek w sądzie powszechnym w okręgu Northampton. W okręgu Filadelfia sędziowie przysięgli mogli sobie być pazerni na pieniądze, ale Alpine Valley należało do największych pracodawców w Northampton: każdy członek ławy będzie znał osobę, której kieszeń schudnie na skutek zamknięcia parku.

Dyrektorzy kompanii mieli jednak większe zmartwienia niż miejsce rozprawy.

– Dziesięć milionów dolarów! – zachnął się John Schaeffer, wodząc palcem po linijkach końcowego akapitu zażalenia.

– I to tylko za szkody poniesione dotychczas. Oni domagają się też rekompensaty za utracone zyski w wysokości dwudziestu tysięcy dziennie.

Za sześć miesięcy naliczą nam kolejne cztery miliony. Razem czternaście milionów oprocentowanych na sześć procent dziennie. Zgodnie z oczekiwaniem, autorem tych uwag był Tim Haguewood, dyrektor finansowy.

– To nie potrwa sześć miesięcy – wtrącił Charlie Morrison. – Ani nawet sześć tygodni. Wywołuję burzę w szklance wody.

– Mnie to raczej przypomina tropikalny huragan – sprzeciwił się Haguewood, a siedzący dalej Llewellyn zachichotał.

Oliver Dean zatrzymał się na drugiej stronie. Zdawał się bardziej przejęty tym, co tam znalazł, niż wysokością żądanego odszkodowania.

– Tutaj piszą, że nie dotrzymaliśmy przyrzeczenia, iż posprzątamy park. – Rzucił szybkie spojrzenie na dwóch dyrektorów siedzących obok, a potem popatrzył z wyrzutem na Charliego i Dane. – To prawda?

– Nie. Wcale nie – odparł zdecydowanym tonem Charlie. – Zamierzamy wywiązać się z obietnicy. Musimy jednak najpierw posłać tam naszych ludzi, aby oszacowali straty i sporządzili kalkulację kosztów. Na tym etapie przeprowadzamy działania logistyczne.

– A to kosztuje nas każdego dnia dwadzieścia tysięcy dolarów – wtrącił Haguewood. – Czy nie pora, żeby ktoś wreszcie ruszył swój tyłek?

– Ależ, Tim – powiedział z wyrzutem Dean.

Dana, podniosła rękę. Ból rozsadzał jej czaszkę, ale musiała zabrać głos. Nadszedł czas, by rzucić się na ostrze własnego miecza.

– Panowie, to wszystko... – zaczęła.

– To bardzo wygodne – przerwał jej Charlie – być mądrym po fakcie i wytykać ludzi palcami. Ale miejmy na uwadze jedno: w dniu katastrofy wszyscy się zgodziliśmy, że dobrowolne wystąpienie z propozycją

uporządkowania terenu jest właściwym rozwiązaniem. Tymczasem zauważyłem, że tylko Dana zabrała się do rzeczy. W ciągu dwudziestu czterech godzin po wypadku skierowała do tej sprawy sześciu prawników, którzy pracują w pełnym wymiarze godzin. Przed upływem trzech dni ściągnęła z całego kraju kilkunastu czołowych ekspertów lotniczych. W pięć dni po wydarzeniu załatwiła nam prawo przedstawienia prezentacji w NTSB, zanim oni opublikują swoje stanowisko w kwestii wypadku.

– A w dziesięć dni po katastrofie dostajemy to! – Haguewood wydał usta i rzucił na stół pozew Caselli. Charlie odsunął fotel i wstał.

– O czym my właściwie mówimy? Mamy kilkudniową zwłokę. Ile nas to będzie kosztować? – Pstryknął palcami w kierunku Haguewooda, jakby się spodziewał, że dyrektor finansowy zaraz wyciągnie kalkulator i poda mu odpowiedź. – Może ze sto tysięcy dolarów, w najgorszym razie. Czy muszę wam przypominać, że jedenaście dni temu Dana wywalczyła dla nas wyrok, który pozwolił korporacji zaoszczędzić miliony dolarów? – Zaczął krążyć po sali. – No i co my chcemy zrobić najlepszego? Zlinczować ją z powodu drobnych strat, a tym samym stracić najlepszego adwokata, jakiego mieliśmy? A może lepiej byłoby przestać liczyć grosze i dać jej wsparcie, jakiego potrzebuje?

Tim Haguewood siedział z wściekłą miną, ale Charlie zwrócił się do triumwiratu u szczytu stołu:

– Jeżeli nie stać nas na to, by płacić lojalnością za lojalność i okazać pani Svenssen poparcie w obecnej sytuacji, to znaczy, że nasza kompania jest rzeczywiście tak niemoralna, jak utrzymują demonstranci.

Jeden z obecnych zaczął nerwowo chrząkać, inny poprawił się na siedzeniu, ale wszyscy siedzieli cicho, dopóki nie przemówił Oliver Dean.

– To bardzo cenna uwaga, Charlie – powiedział.

Jednak Haguewood miał jeszcze jeden nabój.

– A jaki sens ma pomaganie pani Svenssen, skoro będzie bronić sprawy, której obronić się nie da? Wszyscy słuchaliście nagrania z kokpitu i niezależnie od tego, co mówi nasz adwokat – wskazał palcem na Dane – nie istnieje żaden sposób, żeby wybrnąć z sytuacji.

– Istnieje.

Był to nowy głos w dyskusji. Zebrani odwrócili się w stronę Kellera. Ted podniósł się z krzesła i stał wyprostowany jak żołnierz.

– JetRanger w żadnym momencie nie obniżył pułapu lotu. Możemy to udowodnić.

Dana skoczyła na równe nogi.

– Ted, poleciałeś dziś rano innym JetRangerem? Otrzymałeś wyniki od dźwiękowca?

– Tak. Potwierdził, że na nagranej taśmie nie ma nic, co by przypominało zmieniony odgłos pracy silnika.

– O czym wy mówicie? – zapytał Dean.

Dana z błyskiem w oku spojrzała na przewodniczącego.

– Panie Dean, dysponujemy dowodami, że helikopter leciał na stałej wysokości. To samolot zbliżył się do niego od dołu i uderzył, powodując katastrofę. Jeżeli będziemy mieli kilka dni czasu, przygotujemy materiały wizualne, aby zademonstrować, w jaki sposób i dlaczego doszło do wypadku – dodała patrząc na siedzących przy stole. – W NTSB zgodzili się nas wysłuchać, prasa domaga się informacji; dlaczego by tego nie ułatwić za jednym zamachem? Może zorganizować publiczną prezentację, zaprosić ludzi z NTSB, adwokatów występujących z

roszczeniami, dziennikarzy z gazet i stacji telewizyjnych, i raz na zawsze przekonać wszystkich, dlaczego Pennsteel nie ponosi żadnej odpowiedzialności za tę katastrofę?

W pokoju zaległa cisza. Po chwili kwakier siedzący obok Olivera Deana powiedział:

– No cóż, na Boga, czemu nie?

Dean popatrzył na kobietę w kapeluszu – odpowiedziała mu skinieniem głowy, od którego zakołysały się pióra na jej kapeluszu.

– Charlie? – przewodniczący pytał dalej.

– Jestem za.

– No więc przegłosujmy tę propozycję. Wszyscy się zgadzają?

Tak jak podczas fali na stadionie piłkarskim, kolejno podnosiły się ręce; przypominało to efekt domina, przy czym ostatni był Tim Haguewood. Niechętnie wyraził zgodę.

– Jeszcze jedno – wtrąciła Dana. – Chodzi o coś, co mogłoby trafić do dziennika telewizyjnego o szóstej wieczorem.

Zebrani zaczęli się krzywić, jakby im doniesiono, że u bram twierdzy stoją barbarzyńcy.

– Chciałabym natychmiast skontaktować się z Harrym Reillem z NTSB i ustalić datę prezentacji. Potem ktoś z obecnych... na przykład Ken... zszedłby na dziedziniec i poinformował o tym reporterów.

– Świetny pomysł – pochwalił Dean. – Ale, ale, Charlie, a może ty i Dana razem staniecie przed kamerami?

– Oczywiście. Posiedzenie zostało przerwane.

W ciągu godziny zakończyła się także demonstracja przed wejściem do

siedziby Pennsteelu. Dana nawiązała kontakt z Harrym Reillym, który zgodził się zebrać swoich ludzi i wysłuchać jej w czwartek. Razem z Charliem przed wejściem do budynku. Llewellyn zaczął zbierać kamerzystów i dziennikarzy. Wokół przedstawicieli Pennsteelu zgromadził się tłum kobiet z dziećmi. Wszyscy wyli i wrzeszczeli podczas wystąpienia Dany. Wreszcie Peter Seferis zdał sobie sprawę, że mikrofony wylapują każde słowo i uciszył zebranych, by usłyszeć to, o czym wkrótce dowie się reszta świata.

Kiedy zapadła cisza, słychać było głos Dany:

– ... Niezbite dowody, że załoga helikoptera nie popełniła błędu. Straszliwa tragedia została spowodowana wyłącznie przez lekkomyślną taktykę lotu pilota skyhawk. W czwartek zademonstrujemy, w jaki sposób doszło do wypadku. Zobaczą to wszyscy zainteresowani. Każdy obecny tu dzisiaj, każdy poszkodowany i prawnik. Proszę, przyjdźcie tam i sami zobaczcie. Poznajcie fakty, zanim zaczniecie szukać winnych.

Kiedy dziennikarze wyłączyli kamery, z tłumy protestujących uszła para. Odjechał Seferis. Wkrótce potem matki zaczęły upychać dzieciaki w miniwanach.

Kiedy wracali do budynku, Charlie zwrócił się do Dany:

– Złożyłaś dziś solenne zobowiązanie, ale czy jesteś pewna, że możemy wygrać sprawę?

– Tak.

Przyglądał się jej uważnie.

– Masz jakąś tajną broń?

– Może i mam – odparła i podała mu rękę. – Dziękuję za to, co zrobiłeś, Charlie. Wychodziłeś dla mnie ze skóry, choć na to nie zasłużyłam.

– Jestem innego zdania – mruknął otwierając drzwi. – A poza tym, to ja powinienem ci dziękować. Stworzyłaś mi znakomitą okazję.

– Jakim cudem?

– Chodzi o walkę o stanowisko Vica. Teraz grono kandydatów poważnie się zawężyło. W grę wchodzimy praktycznie tylko ja i Haguewood. Widziałaś tych starszków obok Oliego?

– Mhm.

– To są dwa wahające się głosy w zarządzie. Jeżeli nie zmarnuję tej okazji, opowiedzą się za mną.

37

Travis zatrzymał się w Montrose, żeby kupić kilka kartonów piwa, kanapek z mięsem i serem oraz czipsów. Kiedy zaproponował wyprawę na piknik, Judy Loudenberg o mało nie zemdląła na progu swej przyczepy kempingowej.

– Masz jakieś ulubione miejsce? – zapytał, ale w rozmowie okazało się, że dziewczyna przez dwa lata małżeństwa nie ruszyła się dalej jak do chałupy teściów. Było za gorąco, żeby wybierać się na długą przejażdżkę, więc ostatecznie Judy rozłożyła prześcieradło w cieniu stodoły.

– Słodki z ciebie facet – mruknęła; po brodzie spływała jej oliwa. – Wiedziałam to już wtedy, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam. Ten gość pewnie wie, jak trzeba traktować damę, powiedziałam.

– Komu powiedziałaś? – Travis omal się nie zakrztusił.

– Samej sobie, głuptasie. Myślałam też: ten facet na pewno przyniesie dziewczynie cukierki albo kwiaty. A może nawet coś z biżuterii. I jeszcze

będzie jej opowiadał, że żadna inna nie jest taka ładna.

– A Billy tego nie robi?

– No wiesz co? Prawie nigdy. Jemu tylko jedno w głowie. A ostatnio nawet i to nie bardzo.

Judy spojrzała na Trávisa zalotnie, starając się uśmiechnąć w sposób znaczący. Na przedzie miała dwa krzywe zęby.

– Ostatnio? To znaczy od katastrofy?

– Nie, jeszcze wcześniej. Jakby miał kłopot. Ważniak. Nawet mi nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Wielka sprawa, rozumiesz?

– Czy to mogło mieć coś wspólnego z miejscem, do którego wyjechał?

– Nie mam pojęcia. – Judy przeżuła kęs kanapki i popiła łykiem piwa.

Travis zmusił się, by pogłodzić dziewczynę po głowie.

– Jestem pewny, że wiesz o wiele więcej, niż mówisz – zachęcał.

– Idę o zakład, że ty też. – Zachichotała lubieżnie i wpiła się w jego usta. Hunt przełknął już swoją kanapkę, ale zapach cebuli i oregano płynący z ust Judy spowodował, że o mało się nie zadławił. Wstrzymał oddech. Starał się odwzajemnić pocałunek nie otwierając ust, żeby nie mogła wsadzić języka. Nie zdradzam miss Teksasu, powtarzał sobie. To tylko robota. Zresztą miss Teksasu zawsze prosiła, żeby jej nie opowiadał o pracy.

Judy klapnęła na prześcieradło; Travis otworzył jej kolejną puszkę piwa.

– A co to za historia z wyjazdem Billa seniora za granicę? – zapytał.

– Nie wiem – odparła i pociągnęła łyk piwa. – Dottie powiedziała, że chodzi o jakiś interes. Mówiłam ci, że potrzebował paszportu.

– Interes związany z prowadzeniem sklepu „True Value”?

– Nie, głuptasie! – krzyknęła waląc go w kolano. – On prowadził jeszcze inny biznes. Miał wspólników, zawierał umowy...

– Może to miał na myśli Billy junior mówiąc, że musi się zająć interesem ojca.

Judy wzruszyła ramionami i znów łyknęła zdrowo. Niespodziewanie parsknęła śmiechem, aż piwo poleciało jej nosem, wreszcie przysiadła i mocno pocałowała Trávisa. Po raz kolejny wstrzymał oddech i udzielił sobie następnej lekcji: James Bond nigdy się nie wahał, jeśli miał uwieść kobietę w zamian za informacje; nigdy się też na nianie wyrzygał.

Przez następną godzinę Judy nie mogła się zdecydować, czy woli się powyglupiać, czy też upić; ilekroć dobierała się do Trávisa, ten wciskał jej następną puszkę piwa. Judy poszła za róg stodoły, żeby się wysiusiać. Kiedy wróciła, miała na sobie tylko koszulę, której nie obciągnęła porządnie. Travis nie palił się jednak, by wykorzystać powstałą sytuację. Zaserwował dziewczynie następne piwo. Wypiła do ostatniej kropelki i padła na prześcieradło z szeroko rozrzuconymi nogami. Minutę później nie miała pojęcia o Bożym świecie.

– Judy, Judy – szeptał Travis, trąc ją w ramię, ale ona tylko chrząknęła, przewróciła się na bok i ukryła twarz w trawie.

Hunt powoli podniósł się z ziemi, ostrożnie okrążył stodołę i wszedł do przyczepy kempingowej. Oględziny zaczął od sypialni. Poszperał w szufladkach toaletki. Po stronie Billy'ego: bielizna osobista, skarpety, kilka noży myśliwskich, podkoszulki, koszule robocze, niebieskie dżinsy. Po stronie Judy w zasadzie to samo plus kilka staników i majteczki bikini. Żadnych listów, zdjęć, dokumentów. Pod łóżkiem także pusto.

W kuchni i saloniku też nie znalazł żadnych papierów, jeśli nie liczyć

starego numeru programu telewizyjnego.

Między przyczepą i chałupą Loudenbergów rozciągała się wolna przestrzeń. Travis rozejrzał się dookoła, po czym pędem pobiegł przez pole w stronę przekrzywionego ganka. Drzwi były zamknięte. Okrążył budynek, zajrzał do wszystkich okien. Zwykły wiejski dom – od frontu salon i pokój stołowy, między nimi schody, a z tyłu kuchnia i łazienka.

W jednym z okien siatka zabezpieczająca przed owadami ugięła się, kiedy Travis się o nią oparł. Wisiała luźno, nie była dokładnie zahaczona. Chwytał za dolną część ramy i zaczął nią szarpać, aż puścił górny uchwyt i siatka opadła na ziemię. Podsunął ręce pod okno, żeby je unieść. Szczęście go nie opuszczało – okno nie było zamknięte i pozwoliło się przesunąć na tyle, żeby mógł się wślizgnąć do środka.

Wylądował na zwiniętym, szmacianym chodniku na środku salonu. Obok fotela zauważył stojak na gazety, ale znalazł tam tylko nieaktualne numery pisma „Pole i Strumień”. Przeszedł przez jadalnię, obok stołu udekorowanego nieśmiertelnikami. Na zabałaganionym kuchennym kontuarze leżało kilka kopert. Przejrzał ich zawartość – głównie kondolencje oraz rachunki za opał i elektryczność, obydwa przeterminowane.

Travis przeszukał wszystkie szafki, schowki i szuflady, zaglądał pod łóżka i za meble. Gdzieś przecież musiał być dokument wyjaśniający źródło spadku Loudenberga albo potwierdzający wyjazd z kraju czy po prostu nawiązujący do podróży służbowych.

Travis wpadł w panikę. Jeżeli niczego ważnego nie znajdzie, jeżeli nie zrobi czegoś, co spowoduje zasadniczy zwrot w sprawie, może się pożegnać z myślą o awansie na partnera. Będzie trzeba przełożyć spłaty

ogromnej pożyczki, bank nałoży sekwestr na dom, a miss Teksasu natychmiast wróci do mamy.

– Travisie? – zawołała Judy.

Travis rzucił się do okna – dziewczyna w kusej koszuli plątała się koło stodoły. Podeszedł do zlewu, zwilżył twarz wodą i otworzył szafkę na lekarstwa, szukając aspiryny.

– Travisie, gdzie jesteś?

Zatrzasnął drzwi z takim rozmachem, że szafka aż się zakołysała. Zabawne, pomyślał i znów otworzył drzwiczki. W miejscach, gdzie powinny się znajdować śruby mocujące konstrukcję do ściany, były jedynie pozaginane gwoździe. Wyrwał je i odsunął szafkę.

– Travisie?

Podskoczył do okna, z szafką w rękach. Judy zdążyła już założyć spodnie. Za chwilę przyjdzie poszukać go tutaj. Błyskawicznie podbiegł do zlewu, aby umieścić szafkę na miejscu. Nagle zauważył przybitą do ściany torebkę. Oderwał ją i z zaskoczeniem przyglądał się zawartości. Kolejną torebkę znalazł w rezerwuarze nad sedesem, trzecia była w obudowie wanny. Nie miał czasu liczyć, ale bez wątpienia zgarnął więcej niż pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Szybko wbiegł do jadalni – przez okno zauważył, że Judy zagląda do jego samochodu. Chwycił garść nieśmiertelników i wy dostał się przez tylne drzwi. Obszedł dom i ruszył do dziewczyny przez puste pole z rękami założonymi za plecy.

– Ach tak! – zawołał. – Śpiąca Królowna w końcu się przebudziła.

– A gdzieś ty się urwał? – zapytała Judy, biorąc się pod boki.

Travis z galanterią pokazał zwędzony z domu bukiecik.

– Zerwałem dla ciebie trochę kwiatków.

Judy aż otworzyła usta ze zdumienia, potem rzuciła mu się na szyję.

– Jesteś najcudowniejszym facetem, Travisie!

– Nikt nie jest za dobry dla ciebie – odpowiedział i objął ją jedną ręką; drugą w tym samym czasie wrzucił do samochodu tobołek z forszą.

Było już po czwartej, kiedy Dana wyszła z Pennsteelu i ruszyła w drogę powrotną do Filadelfii. Upłynęło prawie dwadzieścia godzin od chwili, gdy podrzuciła kopertę na terenie wyścigów konnych – wobec tego Whit powinien wyjść na wolność. Już będzie miała za sobą najgorszą część koszmaru.

Wystarczyło, że o tym pomyślała, a ból głowy zmniejszył się trochę. Podróż trwała godzinę, a Dana cały ten czas spędziła na rozmowach przez telefon. Najpierw zadzwoniła do Dona Caselli, by go prosić o wybaczenie i wyznaczyć spotkanie na następny dzień rano. Później skontaktowała się z Bobem Kopecem, specjalistą do spraw środowiska naturalnego z firmy „Harding & McMann”, aby go zatrudnić jako pomocniczego radcę prawnego, odpowiedzialnego za nadzorowanie procesu uprzątnięcia parku rozrywki. Wreszcie wystukała numer Norma Wieceka z UAC, żeby go zaprosić na czwartkową prezentację w NTSB. Tak jak przewidywała, Wiecek jęczał, że to koszmarny pomysł ujawniać publicznie dowody na tak wczesnym etapie. Poza tym zapytał, jakim cudem przygotowują taki materiał w ciągu trzech dni. Dana poświęciła kwadrans na przekonanie Wieceka, a następnie zatelefonowała do Dona Skelly’ego z Geisinger.

– Jasna cholera – krzyknął po wysłuchaniu Dany. – To będzie największy show w mieście. Gdzie masz zamiar zorganizować spęd?

– Właśnie chciałam zapytać, czy moglibyśmy jeszcze raz skorzystać z waszego audytorium.

– Właśnie chciałem ci to zaproponować.

– A więc zgoda?

– Jasne.

Dana ugrzęzła w korku na autostradzie. Przypomniała sobie, że jeszcze nie sprawdziła, co u Celeste, ale sekretarka poszła już do domu. Z poczty głosowej odsłuchiwała wiadomość od Mike'a Pasko z Pennsteelu – prośba o telefon.

– Przepraszam za spóźnienie, pani Svenssen – powiedział, kiedy Dana się z nim połączyła. – Nikt nie chciał udzielić mi informacji o prowadzonym dochodzeniu. Prawdę mówiąc, nie zgodzili się nawet potwierdzić, że dochodzenie w ogóle jest prowadzone.

– Tego się obawiałam – wtrąciła Dana.

– Choć naturalnie taka odpowiedź też coś nam mówi.

– A co dokładnie?

– Że tam musi być jakiś informator.

Głośne trąbienie przywołało Dane do rzeczywistości – zdała sobie sprawę, że przekroczyła linię dzielącą pasy ruchu, więc pospiesznie skręciła w prawą stronę. Jeżeli Lomaks ma informatora w grupie paramilitarnej, to go musi ochraniać. To znaczy starać się, żeby nikt z tej organizacji nie nabrał podejrzeń, że jej członkowie są obserwowani. To miałyby sens.

– Wiem coś jeszcze – dorzucił Pasko. – Dochodzenie nie jest prowadzone przez FBI czy BATF. Zajmuje się tym DEA.

DEA, czyli agencja do walki z narkotykami? Znow wszystko straciło sens.

Wóz Whita stał na miejscu zarezerwowanym dla jednego z partnerów

Dany, który wyjechał na wakacje. Kiedy Dana zaparkowała swój samochód, z szoferki pickupa wyskoczył Andy.

– Cześć – powiedział.

Dana poszła za nim do windy.

– Załatwiłeś sprawę z laboratorium fotograficznym? – zapytała.

– Tak.

Zatrzymała się, nagle przejęta strachem, kiedy zobaczyła jego twarz.

– O co chodzi?

– Na chwilę wpadłem do twojego domu, kiedy wracałem. Przesłali kolejną kasetę wideo.

– *Dano...* – Whit musiał odchrząknąć i zacząć raz jeszcze – *Dano...*

Głos mu odmawiał posłuszeństwa – może dlatego, że ostatnio nieczęsto mówił, może z powodu pragnienia albo choroby. Data i godzina na dole ekranu wskazywały, że kasetę nagrano kilka godzin temu. A więc jeszcze niedawno Whit żył. Dana stała jak zamurowana w pokoju dowodzenia, wpatrując się w obraz.

– *Problem polega na tym, że porywacze nie mogą mnie uwolnić, jak długo istnieje ryzyko, że nie wykonasz ich poleceń w pełni. Zatem mój pobyt tutaj będzie trwał nadal, bez końca, dopóki nie uzyskają pewności, że podporządkowałaś się im bez zastrzeżeń. Jeżeli pójdziesz na policję albo jeżeli ten przedmiot ujrzy światło dzienne, ci ludzie się o tym dowiedzą, a ja zginę.*

– *Dano...* – Wstrzymała oddech, widząc, jak Whit odkłada zapisaną kartkę i zwraca się prosto do kamery. – *Kocham cię.*

Odetchnęła. Andy chciał ją przytulić, ale odsunęła go i zaczęła przewijać taśmę. W jej oczach pojawiły się łzy. „Bez końca”, powiedzieli. „Aż będą pewni”. A kiedy to nastąpi? Do rozpoczęcia procesu upłyną jeszcze przynajmniej dwa lata.

Podbiegła do stołu i zaczęła grzebać w leżących tam papierach, aż znalazła plik zdjęć większego formatu. Nie powinnam zatrzymywać tych ludzi. Oni wiedzą. W jakiś sposób dowiadują się wszystkiego, myślała gorączkowo. Rzuciła się do drzwi i złapała za klamkę.

– Nie zapomniałaś o tym? – zapytał.

W jednej ręce trzymał długie, wąskie pudełko, a w drugiej rolkę papieru.

– Co to jest?

– Slajdy, które zrobiłem dziś po południu, i ich powiększenie.

Nie rozumiała, o czym Andy mówi, ale wyrwała przedmioty z ręki. Otworzyła drzwi.

– A czy nie zapomniałaś jeszcze o czymś?

Poczuła się tak, jakby dostała silny cios w brzuch. Przecież nie wiedziała, dokąd zawieźć odbitki. Oparła się plecami o drzwi. Fotografie wysypały się na podłogę. – Nie mogę nic zrobić, żeby go uratować! – krzyknęła osuwając się powoli.

Andy podniósł Dane.

– Ciii! Ocalimy twojego męża. Musimy tylko wymyślić sposób.

– Nie ma sposobu – jęknęła tuląc twarz do jego ramienia. – Nawet gdybym wiedziała, dokąd jechać, oni nigdy nie uwierzą, że sobie czegoś nie zatrzymaliśmy.

– Musimy się dowiedzieć, kim są i dlaczego to robią.

– Wiemy, kim są.

– Naprawdę?

– A nie?

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

– „Jeżeli pójdziesz na policję, porywacze się o tym dowiedzą, a ja zginę” – zacytował słowa Whita.

Dana otworzyła szeroko oczy.

– Wczoraj byliśmy na policji, a on dziś jeszcze żyje.

– Z tego wynika, że dranie zupełnie się nie orientują, co się tutaj dzieje.

Dano, porywacze nie mają nic wspólnego z facetami z Laporte.

Nie chciała w to uwierzyć, dopóki inna myśl niosła ze sobą więcej nadziei.

– Nie, to oznacza, że oni rzucają czcze pogroźki.

– No, twój mąż traktuje ich raczej poważnie. Boże, on jest tak samo zdenerwowany, jak na pierwszej kasecie.

Spojrzała na Brodera pustym wzrokiem i odepchnęła go tak mocno, że chłopak aż się zachwiał.

– Gdzie to jest? – zawołała. – Gdzie jest pierwsza kasetka? Muszę obejrzeć pierwszą kasetę!

Znalazła ją koło telewizora i wsunęła do szczeliny magnetowidu. Na ekranie pojawił się ziarnisty obraz Whita. Usłyszała jego chropowaty głos.

– „Dano, zostałem zatrzymany przez grupę uzbrojonych ludzi, którzy nie zamierzają mi zrobić krzywdy, ale będą musieli mnie zabić, jeżeli ty nie podporządkujesz się ich poleceniom. Wiesz, o co im chodzi”.

– Jest! – krzyknęła, cofając taśmę, by lepiej przyjrzeć się lewej ręce Whita, który mówiąc zgiął palec wskazujący i dotknął paznokciem zęba, a potem uniósł dłoń i podrapał się w głowę.

Dana odsunęła się od ekranu, zakrywając ręką usta.

– O co chodzi? – pytał Andy. – Co się stało?

– On mi chce coś powiedzieć. Używa naszego tajnego języka!

– Tajny język? Dano, to wspaniale! – zawołał Andy.

– Nie, wprost przeciwnie. – Zasłoniła twarz rękami; między palcami ciekły jej łzy. – Nie pamiętam tego. Nic sobie nie potrafię przypomnieć.

Raz po raz odtwarzała kasety aż do wieczora. Andy drzemał na kozetce po drugiej stronie pokoju, a Dana wlepiła oczy w ekran przyciszywszy głos i z całej siły zaciskając dłonie. Myśl, ponaglała się w duchu. Przypomnij sobie.

„Dano, zostałem zatrzymany przez grupę uzbrojonych ludzi, którzy nie mają zamiaru zrobić mi krzywdy, ale będą musieli mnie zabić, jeżeli ty nie podporządkujesz się ich żądaniom”. Ten zagięty palec wskazujący lewej ręki. „Wiesz, o co im chodzi”. Paznokieć uderzający o ząb. „Włóż ten przedmiot do koperty...” Whit skrobie się palcem w głowę.

To jest wskazówka – aluzja do włosów. Tego była niemal pewna. Whit opisywał czyjeś włosy. Ale co mają wspólnego zęby i włosy?

Nigdy nie uda się tego zrozumieć. To tylko gra, głupia zabawa kochanków z odległej przeszłości. Zamiast szczebiotać jak małe dzieci, wybrali sobie język szpiegów. Nikt nie zakładał, że ich kod przeżyje więcej niż pół roku.

A jednak Whit jakimś cudem wciąż pamiętał ten język.

Niemożliwe. Zawsze Dana była osobą, która zapamiętywała daty urodzin i numery telefonów. To ona potrafiła recytować z głowy Federalne Przepisy Procedury Cywilnej. Whit nie potrafił nawet przypomnieć sobie nazwisk sąsiadów po pięciu latach mieszkania obok. Jakim cudem mógłby pamiętać kod, o którym ona zapomniała?

Zdesperowana odwróciła wzrok od telewizora.

Nie myśleć o Whicie, powtarzała sobie jak refren w przykrych momentach, kiedy ich małżeństwo się psuło. Ale też była za bardzo posłuszna tym słowom. Zapomniała o dawnym Whicie, o okresie zalotów, o tym, jak wtedy wyglądał. Jak więc mogła zapamiętać skomplikowany system znaków i sygnałów, wymyślony dwadzieścia lat temu?

Jeszcze raz obejrzała wszystkie taśmy. Wszystko na nic. Może jedynie dokładnie wykonać polecenia porywaczy. Nie pójdzie na policję, nikomu nie pokaże filmu.

Wyłączyła telewizor i położyła się na łóżku, ale nie potrafiła wyzwolić się od natrętnych myśli. Ilekroć zamykała powieki, przed jej oczami przesuwały się obrazy widziane na kasetach wideo. Biegły coraz szybciej, głos stawał się silniejszy, aż wreszcie Whit zaczął krzyczeć: „Jeżeli nie podporządkujesz się ich poleceniom – dzieci już nigdy mnie nie zobaczą – czas ucieka – Zabiją mnie!”

Usiadła nagle. Broder spał w drugim końcu pokoju. W nikłym świetle przebijającym z zewnątrz skóra chłopaka miała biały, połyskliwy odcień. Podeszła do Andy’ego i przyglądała się, jak jego pierś podnosi się i opada zgodnie z rytmem oddechu. Spał jak dziecko, spokojnie, z czystym sumieniem. Widok nagiej skóry i odgłos oddechu w otaczającej ich ciszy

podziały na nią jak hipnoza.

– Andy – szepnęła.

Zadrzał i odwrócił się do Dany.

– Mmmm? – mruknął. – Mam ci pomóc sobie przypomnieć?

– Nie. – Dana uklękła obok niego. – Chcę, żebyś mi pomógł zapomnieć. W jego otwartych oczach pojawił się błysk zrozumienia. Andy wyciągnął do Dany rękę.

Whit czuł przez sen zapach róż; słodki, przypominający piżmo aromat. Śniły mu się bladoróżowe pączki kwiatów, rozchylające jedwabiste płatki, które opadały na biały adamaszek. Dana śmiała się cicho, unosiła się nad tymi płatkami, a jej ślubna suknia powiewała na wietrze. Welon spływał obfitymi fałdami i owijał się wokół bosych stóp panny młodej. Dana podniosła ręce i wyrwała z wianka jeszcze jedną różę. Płatki wypadały spomiędzy palców – Whit znowu poczuł piżmową woń róż. Wyciągnął rękę, ale zrobił to nieporadnie – płatki wyslizgnęły mu się z dłoni. Śmiech Dany oddalał się, zapach zaczął słabnąć. Nie!, zawołał. Chciał złapać Danę, ale nie był w stanie jej dosięgnąć. Opuścił wzrok i zauważył, że nie ma rąk.

Obudził go gwałtowny dreszcz. Leżał wciśnięty między sedes i ścianę; złożone na piersiach ręce zdrętwiały. Przekręcił się i usiadł, oddychając ciężko, spazmatycznie. Co za głupi sen. W latrynie z pewnością nie było różanego aromatu.

Przejechał dłonią po zarośniętej twarzy, ale teraz mierzenie czasu według długości brody nie miało już sensu. Ike powiedział wyraźnie, że uwolnienie nie nastąpi zbyt szybko. Whit zdawał sobie też sprawę, że nie może liczyć na rychłą śmierć, skoro regularnie dostarczają mu jedzenie i wodę. Najbardziej prawdopodobne było to, że zdechnie z nudów. Znał już na pamięć każdy centymetr kwadratowy latryny. Wciąż myślał o Danie, a kiedy starał się przenieść swój umysł gdzie indziej, zawsze kończyło się na obiekcie najmniej pożądanym – na książce Stegnera.

Przez całe lato, kiedy taka koncentracja mogłaby przynieść pozytywne skutki, nie był w stanie zmusić się do zastanowienia nad dziełem swego życia. Teraz, kiedy nie miało to sensu, mógł myśleć wyłącznie o powieści. No tak, wiadomo, skąd się wziął zapach róż – Stegner wykorzystuje różę jako metaforę małżeństwa Olivera i Susan: jest ono jak krótkotrwały, cudowny, rozkwitający kwiat, kiedy oboje jeszcze wierzą, że świat niesie im obietnicę szczęścia i zachowują nadzieję. Ale potem kwiat szybko więdnie – wkrada się rozczarowanie, odbierające im zdolność podtrzymania miłości.

Whit rozprostował kości – po raz pierwszy od dwudziestu lat zastanawiał się, dlaczego bohaterowie nie zdołali utrzymać tego uczucia przy życiu. Czy dlatego, że było to absolutnie niemożliwe, czy też dlatego, że przestali próbować? Czy warto się było o nie starać, czy należało zrezygnować? Teraz Whit inaczej rozumiał przesłanie Stegnera niż dwadzieścia lat temu.

Usiadł ciężko na krawędzi toalety. Myśli kłębiły mu się w głowie. Całkowicie niewłaściwie interpretował powieść. W książce wcale nie chodziło o to, jak po cichu, z godnością nauczyć się żyć z rozczarowaniem. Stegner opowiadał o dwojgu ludzi, którzy popełnili najpotworniejszy błąd w swoim życiu. Stan spoczynku nie jest przeznaczeniem człowieka. Oliver i Susan nie powinni do tego dążyć. Pochylali się ku sobie niczym dwie linie – Whit określił tę konstrukcję mianem fałszywego łuku. „Jeżeli nie ma zwornika, taki fałszywy łuk może okazać się wszystkim, czego człowiek spodziewa się w życiu”, napisał.

Tak właśnie stwierdził; w gruncie rzeczy chciał powiedzieć: oczekuj więcej, nie zadowolaj się małością, nigdy nie przestawaj szukać zwornika.

Z głośnika na suficie rozległ się zniekształcony głos Ike'a; Whit zacisnął powieki, jakby chciał się zamknąć przed hałasem. Nie teraz. Nie przerywajcie mi teraz. Czy nie widzicie, że po dwudziestu latach zacząłem wreszcie pracować – krzyknął w duchu.

– Profesorze, chcę pana przeprosić za niespodziewany zwrot sytuacji – powiedział Ike. – Nie zamierzaliśmy przetrzymywać pana tak długo. Mam nadzieję, że to pan zrozumie.

Whit nie odpowiedział – był zbyt zajęty próbą wbicia sobie w pamięć ostatnich myśli.

– Zyskał pan mój szacunek, profesorze. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że zachowa się pan tak odważnie. Zaskoczył mnie pan.

Zamknij się i spadaj. Czy tu nie można mieć chwili ciszy i spokoju? – odparł w myślach Whit.

– Wiem, że jest panu niewygodnie. Co prawda nie możemy zapewnić innego lokum, ale chciałbym trochę poprawić pańskie położenie.

Whit podniósł oczy. W końcu słowa Ike'a zaczynały do niego docierać.

– Profesorze, co moglibyśmy dla pana zrobić? – spytał Ike.

Endicott skoczył na równe nogi.

– Wiem! – krzyknął. – Wiem! Dajcie mi papier, pióro i światło, żebym mógł tu pisać!

Patrzył w górę z nadzieją czekając na odpowiedź. Wytężył słuch. Dobiegł go głos prowadzonej szeptem dyskusji.

– Załatwione – oznajmił wreszcie Ike.

Która godzina? – zapytała niewyraźnie Dana. Nad rzeką Delaware wstawał świt, dzienne światło wlewało się w kaniony ulic biegnących ze wschodu na zachód, przenikało przez okna biurowca. Dana i Andy leżeli na pryczy nadzy, spleceni w uścisku.

– Dopiero piętnaście po piątej. Pośpij jeszcze.

– Nie mogę, mam tyle roboty... Och, Andy! Zapomniałam ci powiedzieć, że w czwartek robimy prezentację dla NTSB. Wezwałam na dziś ludzi od symulacji komputerowej. Popracujesz z nimi oraz Diefenbachem nad przygotowaniem materiałów wizualnych dotyczących torów lotu, które doprowadziły do zderzenia?

– Oczywiście, zgoda.

– Chciałabym też, żebyś to ty odpowiadał na pytania, a może i poprowadził część prezentacji. Sama nie wiem. Nie mogę wykorzystać fotografii z wypadku, więc będę musiała wymyślić...

– Dano, powiedziałem, że się zgadzam. Uspokój się, dobrze?

– Hmm. Przypomnij mi, jak to się robi.

Objął ją mocno i pogłaskał po szyi.

– Czy myślałaś kiedyś, żeby to rzucić w diabły?

– Pracę? Coraz częściej o tym myślę. Dlaczego pytasz?

– Wypatrzyłem taką jedną chałupę. – Musnął wargami jej ucho. – Jest w górach na Alasce, na północ od McKinley, na brzegu lodowcowego jeziora, które ma taki turkusowy kolor, jakiego w życiu nie widziałas. Trzydzieści kilometrów od najbliższego sąsiada, a można się tam dostać

wyłącznie samolotem. W lecie wodnopłatem, a zimą jezioro zamarza tak potężnie, że nawet Boeing 727 na nim wylądować: Z progu domu widać z pięćdziesiąt górskich szczytów.

Dana otworzyła oczy.

– Po co mi to mówisz?

– Dużo o tym myślałem. Może bym kupił tę chałupę i przeniósł się tam.

– Broder oparł się na łokciu i dodał ciszej: – A może ty zechciałabyś ze mną pojechać.

Dane aż zatkało.

– Na Alaskę?

– Tak, to cudowne miejsce. Powinnaś je zobaczyć.

– Ale co bym tam robiła?

– Na Alasce też są prawnicy.

– Jakich klientów miałabym reprezentować? Bez dróg, trzydzieści kilometrów od najbliższego sąsiada? Jakie sprawy wchodziłyby w grę? – Dana roześmiała się. – Rozsądzać spory niedźwiedzi grizzly?

– Sądziłem, że masz już dość klientów, procesów i pracy w załamującym się systemie. Jak również bezsennych nocy z ostrymi atakami wrzodów, które palą cię w brzuchu.

Dotknęła jego twarzy.

– Wszystko się zgadza, Andy – powiedziała. – Ale nie mogę tak po prostu z tobą uciec.

– Dlaczego? Całkiem dobrze nam się współpracuje. – Uśmiechnął się, pieszcząc jej piersi. – A i z seksem nie jest źle.

Pocałowała chłopaka w usta.

– Szaleję za tobą, Andy. Zbyt wiele jednak nas dzieli.

Odsunął się skrzywiony.

– Chodzi ci o różnicę wieku. Posłuchaj, to ty ciągle o tym wspominasz, nie ja.

– Tak, tak. A co będzie z moimi dziećmi?

Andy nie zdołał ukryć zaskoczenia. Zapomniał o dziewczynkach, a teraz potrzebował chwili czasu, by znaleźć odpowiedź.

– Zabierz je ze sobą. Dzieciakom bardzo się tam spodoba.

– I co dalej?

– Masz na myśli pisemną umowę? – rzucił oburzony. – Czy nie możemy brać rzeczy takimi, jakimi są? Musimy planować każdy, najdrobniejszy szczegół?

– Ty nie musisz – odparła. – Praktycznie dopiero zaczynasz życie. Ale ja mam za sobą przeszłość i nie jestem w stanie zerwać ze wszystkim i pójść w nieznane.

– Daj spokój, a gdzie twój duch przygody? Czy jesteś tą samą kobietą, która walnęła gościa w nos i przez całą noc ukrywała się w lesie?

Dana roześmiała się i pocałowała Andy'ego raz jeszcze.

– No dobrze. Założmy, że spakuję dzieci, pojedę z tobą i spróbujemy żyć razem. Za pięć lat przygoda się skończy, a my się rozstaniemy. Będziesz wtedy miał trzydzieści pięć lat, a przed sobą wszelkie możliwości. A co ze mną? Prawie pięćdziesiątka na karku, żadnej propozycji w branży prawniczej i przy boku dwie kilkunastoletnie córki, mające do mnie żal, że je oderwałam od ojca. W dodatku zaczną mi wyrzucać, że zabieram je także od ciebie. I taka już zostanę do końca życia: skłócona z dziećmi, zajęta jakąś drugorzędną pracą, może na zawsze samotna.

Andy usiadł na łóżku.

– No więc, co proponujesz? Mam się z tobą ożenić przed wyjazdem?

Dobry Boże!

Dana potrząsnęła głową.

– Nie mogłabym wyjść za ciebie, nawet gdybyś tego chciał. Ponieważ musiałabym się martwić o twoje dzieci.

Andy spojrział na nią zdezorientowany.

– Mówię o dzieciach, których nigdy nie będziesz miał, jeśli się ze mną zwiążesz – dopowiedziała.

– O czym ty mówisz?

– Mam podwiązane jajowody. Rozumiesz?

– Ale ja nawet nie wiem, czy w ogóle chcę mieć dzieci.

– Och, Andy! – Dana objęła go i przytuliła do siebie. – To tylko potwierdza moje słowa.

Broder wyrwał się z jej ramion i wyskoczył z łóżka.

– Przypominaj mi, żebym już nigdy nie wdawał się w dyskusje z prawnikami, dobrze?

Poczłapał do łazienki. Dana również wstała i weszła do drugiej. Uczesła się i zaczęła myć zęby. W tym momencie przyszedł jej na myśl sygnał Whita z kasety wideo. Postukał paznokciem w zęby, podniósł ręką i podrapał się po głowie. Chciał zwrócić uwagę na czyjeś włosy... ale co z zębami? Ostre gryzące zęby... Długie, krótkie, ciemne, jasne włosy... myślała gorączkowo. Nagle wypluła pastę: mogą też być białe, siwe.

– Andy! – krzyknęła wybiegając z łazienki. – Białe włosy; porywacz ma białe włosy!

Broder nalewał wody do ekspresu, żeby zrobić kawę. Odwrócił się do

Dany, strumień wody niemal zawisł w powietrzu.

– Poczekaj chwilę. – Rzucił czajnik, chwycił rulon z powiększonymi fotografiami. – Postój minutkę!

Rozpakował powiększone zdjęcia wraków tkwiących na szczycie kolejki górskiej. Wyraźnie było widać stalowe rusztowanie, na które wspinają się ratownicy.

– Popatrz – powiedział wskazując jakiś detal.

Jeden ze strażaków miał burzę białych włosów. Oznaczenia na kurtce wskazywały, że należy do brygady przeciwpożarowej z Allentown.

Dana wpatrywała się w twarz nieznanego mężczyzny. Nie dostrzegła zmarszczek, co oznaczało, że włosy zostały pofarbowane albo przedwcześnie posiwiały. Tak czy owak, to była jego najbardziej charakterystyczna cecha.

Andy zrobił z palców ramkę, żeby wykadrować twarz strażaka i całkowicie zasłonić tło – wraki i rusztowanie kolejki.

– Mogę to wyciąć i zawieźć do remizy. Niech obejrzą i powiedzą, czy znają kogoś takiego.

Andy patrzył na Dane z niespokojnym wyczekiwaniem. Wczoraj wieczorem uznała, że musi ściśle wykonywać polecenia porywaczy. Miała nadzieję, że dzięki temu Whit zostanie zwolniony, choć zdawała sobie sprawę, że taka decyzja jest wynikiem jej porażki. Teraz, kiedy złamała część sekretnego kodu, musiała zaryzykować, jeśli chciała poznać tożsamość porywaczy.

Chwyciła Andy'ego za rękę.

– W porządku – powiedziała. – Dziękuję ci bardzo.

Broder patrzył na jej dłoń.

– Do rozpoczęcia procesu jest co najmniej dwa lata, tak? – zapytał.

– Zgadza się – odparła zaskoczona.

– No więc mogę robić plany przynajmniej na ten okres. – Twarz Andy'ego powoli rozjaśnił szeroki uśmiech. – Zamierzam się pokręcić koło ciebie.

Dana dotknęła palcami jego dołeczków.

– Dobry pomysł – powiedziała.

Dana wyznaczyła zebranie na dziesiątą rano, ale o dziesiątej dziesięć w sali konferencyjnej zasiedli tylko dwaj pomocnicy adwokacy oraz Brad i Katie. Nawet Travis był nieobecny.

– Co się dzieje z Lylem? – zapytała.

– Chory – wyjaśnił Brad. – A Sharon?

– Ma wolny dzień – odarła Katie.

Przygnębiona Dana rozejrzała się dookoła. Zostało niespełna czterdzieści osiem godzin na przygotowanie szeroko zakrojonej prezentacji, a do dyspozycji była tylko część zespołu. Nawet gdyby pracowali przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie zdążą tego wykonać.

Do sali wpadł zdyszany Travis, wymamrotał pod nosem przeprosiny i szybko usiadł przy stole.

– No dobrze – odezwała się Dana. – Czy ktoś słyszał o czwartkowej prezentacji?

Wszyscy obecni przytaknęli.

– Większość ekspertów przylatuje dzisiaj. W dwa dni musimy zorganizować prezentację nadającą się do przedłożenia ławie przysięgłych na procesie.

Obecni przytaknęli ponuro; Dana wyznaczyła zadania. Specjaliści od symulacji komputerowej siedzieli już w samolocie przylatującym z Boulder – z nimi będzie współpracował Brad. Travis z Tedem Kellerem i inżynierem akustykiem miał się zająć analizą dźwięku obu kaset wideo. Katie – dokumentami, które zostaną wykorzystane w sądzie oraz materiałami demonstracyjnymi, będzie także nadzorować Luke’a, zajmującego się taśmami wideo i fotografiami. Maria została wyznaczona jako osoba odpowiedzialna za logistykę: sprzęt i środki techniczne, a także transport i rozlokowanie specjalistów. Dana miała przygotować wstępną wypowiedź, oświadczenie końcowe oraz narrację będącą komentarzem do prezentowanych slajdów.

– A co z twoją rozmową przez telefon z Sullivanem? – zapytał Travis. – Chcesz do tego nawiązać?

– Tak.

Brad Martin wydawał się poważnie zaniepokojony.

– Nie musisz tego robić! Teraz, kiedy dysponujemy nagraniem szumu silnika, możemy udowodnić, że helikopter nie obniżał pułapu lotu.

– Fakt, to są dobre dowody – zgodziła się Dana. – Przynajmniej dla NTSB, Thompsona i paru innych osób. Oni znają się na rzeczy. Tylko że na sali będzie kupa ludzi, którzy nie rozumieją niczego poza tym, co według nich powiedział Vic. Muszę ich przekonać, że się mylą.

– Jeżeli to zrobisz – ciągnął Brad podenerwowanym głosem – to następnego dnia ktoś wystąpi z wnioskiem, żeby zdyskwalifikować nas jako reprezentantów Pennsteelu.

– Może i tak – przyznała Dana. – Istnieje szansa, aby obalić taką ideę. A jeśli przegramy... trudno.

– Po tym, co zrobiliśmy i przeżyliśmy przez ostatnie dziesięć dni? Posłuchajcie... – Brad obrzucił pełnym rozpaczy spojrzeniem Travisa, a kiedy nie znalazł u niego poparcia, postarał się zapanować nad głosem. – Ja tylko pytam, dlaczego właśnie teraz mamy podnosić kwestię dyskwalifikacji? Jeżeli nie nawiążesz do swojej rozmowy z Sullivanem, będziemy to mogli utrzymać w tajemnicy co najmniej przez rok.

– Jeżeli poświęcimy najbliższy rok na obronę przed kolejnymi, identycznymi pozwami, Pennsteel wyda na ten, cel całe dziesięć milionów zanim w ogóle dojdzie do procesu. I nawet jeżeli wygramy w sądzie, Pennsteel poniesie straty.

Dana wstała z fotela i podeszła do drzwi.

– Proces może się rozpocząć za dwa lata, to fakt, ale my całą sprawę wygramy albo położymy w najbliższy czwartek.

Przez resztę dnia jej telefon dzwonił bez przerwy – przeważnie byli to wymachujący szabelką adwokaci oraz reporterzy. Domagali się wcześniejszego ujawnienia szczegółów czwartkowej prezentacji.

– Nie łącz już mnie, Celeste – poprosiła Dana po splawieniu piątego natręta.

Wróciła do pracy, ale zanim zdążyła naszkicować wstęp do przemowy, zaczęli się zgłaszać eksperci: programiści komputerowi, każdy z laptopem w ręku; John Diefenbach, objuczony nowymi wydrukami danych radarowych; specjalista od aerodynamiki i ekspert w dziedzinie widzialności. Dana powitała każdego kolejno, po czym odesłała do Celeste, która zaprowadziła ich do osobnego pokoju, by spokojnie mogli telefonować i przeglądać swoje notatki, zanim o piątej zgromadzi się

zespół w pełnym składzie.

Dana wróciła do gabinetu, by znów usiąść nad mową na otwarcie prezentacji. Po raz kolejny zadzwonił telefon. Tym razem bezpośrednio – Celeste zajęła się przyjeżdżającymi specjalistami. Dana z irytacją chwyciła słuchawkę.

– Dana Svenssen – warknęła.

– Pani Endicott? – zapytał z wahaniem męski głos.

– Tak. Kto mówi?

– Jerome Allen.

– Kto taki?

– Koszę trawę u państwa.

– Ach, Przepraszam, myślałam... – Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zapłaciła mu należność. – Jakiś problem?

– Nie, proszę pani. Chodzi o to... że... że trochę boję się o Whita, to znaczy pana Endicotta.

Wtedy sobie przypomniała – to jego głos słyszała w ubiegłym tygodniu na automatycznej sekretarce. A więc Jerome od strzyżenia trawników poszukiwał Whita. Włóczenie się po knajpach prowadzi do dziwniejszych przyjaźni, niż można by przypuszczać.

– Kilka razy w tygodniu wieczorami czytaliśmy razem, no i... on się nie pokazał ostatnio ani razu. Państwa telefon jest odcięty, więc się zastanawiałem, czy wszystko w porządku.

– Czytaliście razem? – powtórzyła Dana.

– No, prawie. Ja nie umiem za dobrze czytać, ale pan Endicott bardzo mi pomagał. Mówił, że nie może rozmawiać o książkach z uczniami, którzy nie potrafią czytać, więc...

– Whit udzielał panu lekcji? – przerwała mu Dana.

– Tak, proszę pani. Czy profesor jest zdrowy?

Z jej oczu popłynęły łzy.

– Tak mi przykro... – wymamrotała. – Nie zdawałam sobie sprawy... nie wiedziałam, że umówiliście się na spotkanie, inaczej sama bym zadzwoniła. Widzi pan, Whit musiał niespodziewanie wyjechać z miasta.

– Aha. To znaczy, że wszystko dobrze?

– Tak – zająknęła się. – Czuje się znakomicie.

– A kiedy wraca?

Wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem dokładnie, ale mam nadzieję, że niedługo.

– To dziękuję, pani Endicott. Przepraszam, że zawracałem głowę.

Wyłączył się.

Dana stała jeszcze chwilę, słuchając buczącego sygnału.

Wreszcie usiadła i odłożyła słuchawkę. Dlaczego Whit nie powiedział o spotkaniach z JerOMEM? – zadała sobie pytanie i zaraz sama na nie odpowiedziała. Dlatego, że jej nigdy nie było w domu, a kiedy wracała, to rozmawiali wyłącznie o dziewczynkach. Nigdy nie zapytała o jego własne sprawy, ponieważ bała się odpowiedzi.

Podniosła głowę, kiedy Travis zapukał do drzwi.

– Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć – zaczął. – Mąż zabrał Katie do szpitala.

– Ach tak! – zawołała z udanym przejęciem. – Pojechała rodić?

– Właśnie.

– Który to szpital?

– Bryn Mawr.

Zapisała nazwę na skrawku papieru, obok listy zadań, jakie przydzieliła Katie.

– Muszę znaleźć zastępstwo – westchnęła. – Ale jeden Bóg wie, kogo mi tym razem podeśle Austin.

Nie martw się, przejmę jej obowiązki.

– Dzięki, Travis – powiedziała ze zmęczonym uśmiechem i odwróciła się do komputera.

– Same kłopoty z tymi dzieciakami – zauważył Travis, stając obok Dany.

Odwróciła głowę.

– Travisie, czy ty...? – spytała widząc wyraz twarzy Hunta.

– No, wiesz... – Uśmiechnął się niepewnie. – Nie można się ożenić z miss Teksasu, przywieźć jej na Północ i nie zrobić dziecka...

– Och! – zawołała. Zeskoczyła z fotela, żeby uściskać Travisa.

Po jego wyjściu Dana długo siedziała oszołomiona. Wydawało się, że od jej ostatniej ciąży i porodu upłynęło tak wiele czasu – całe życie Katriny. Odwróciła się, by spojrzeć na buzię córeczki na zdjęciu ustawionym na półce. Nagle zaczęła sobie przypominać rzeczy, o których nie myślała od lat – narodziny dziecka, które o mało nie przypłaciła życiem.

Skurcze zaczęły się w czwartek rano. Dana uznała, że ma jeszcze dużo czasu – pierwszy poród trwał trzydzieści dwie godziny. Kiedy Whit wzywał lekarza i pakował rzeczy, ona przygotowała jedzenie dla Kirstie, podzieliła je na porcje i porządnie opisała, postawiła na małym ogniu wielki gar zupy, weszła na piętro i wyjęła córeczce trzy komplety ubrania

do szkoły, włącznie ze skarpetkami i bielizną. Opiekunka miała się zjawić o ósmej, ale Dana postanowiła poczekać do dziewiątej, bo o tej porze otwierali kancelarię. Musiała wysłać pilny list w sprawie apelacji – przecież nie mogła zostawić sprawy nie zakończonej.

Były także inne powody zwłoki. W jej zachowaniu odzwierciedlało się swoiste bohaterstwo kobiety oczekującej rozwiązania, chęć dorównania wiejskim dziewczynom, które siadały w kucki na polu, żeby urodzić dziecko. Kwestia, jak długo położnica czekała na lekarza; jak wielkie było rozwarcie, kiedy dotarła do szpitala; czy stosowano środki uśmierzające; a przede wszystkim to, czy na sali porodowej miała tylko w odwodzie akuszerkę – oto punkty, które można zdobyć na macierzyńskiej olimpiadzie.

Whit położył jej rękę na brzuchu i liczył czas między kolejnymi skurczami, a Dana przez pół godziny rozmawiała przez telefon z ludźmi odpowiedzialnymi za redakcję tekstów, przeprowadzając rewizję ostatniej wersji projektu listu.

– Lepiej już jedźmy – nalegał mąż, kiedy skończyła rozmowę, ale ona zadzwoniła do asystentów, aby im wydać ważne instrukcje. Jeszcze tylko jeden telefon, do Cliffa Austina, żeby mu dać znać, co się dzieje. Zaczęła wykręcać numer, ale Whit ryknął: „Dość!”, i tak mocno szarpnął za sznur, że rozwalił plastikową wtyczkę w gniazdku.

– No już dobrze – mruzczała zirytowana, podnosząc się. Odniosła wrażenie, jakby na dolną część jej miednicy nałożono ciężar o wadze tysiąca ton. To niemożliwe – potrzeba było trzydziestu godzin, żeby dojść do drugiego etapu pracy nad wydaniem na świat Kirstie, a tu minęły zaledwie trzy godziny. Nie miała odwagi powiedzieć o tym Whitowi,

który już i tak złościł się z powodu opóźnienia.

– Usiądę z tyłu – powiedziała, kiedy pomagał jej dojść do samochodu. Ucisk był nie do zniesienia; Dana nie mogła sobie znaleźć pozycji, która choć trochę złagodziłaby ból. Do szpitala mieli pół godziny drogi. Pamiętał, co piszą w książkach: drugie stadium porodu trwa przeciętnie pięćdziesiąt pięć minut w przypadku pierwszego dziecka i dwadzieścia minut w przypadku następnych.

– Whit! – krzyknęła. – Rodzę!

We wstecznym lusterku widziała odbicie jego przerażonej twarzy. Byli na wiejskiej drodze, do szpitala zostało jeszcze co najmniej piętnaście minut jazdy. Mąż zjechał na pobocze i zamknął oczy, zastanawiając się, co dalej robić. Kiedy pękły błony, wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi, by wypuścić strumień płynu owodniowego. Parcie było tak silne, że Dana musiała urodzić na miejscu; nie miała szans, by powstrzymać bieg wydarzeń. Poczowała, jak pęka jej krocze. Whit potwornie zbladł. Z trudem uklęknął między jej nogami, aby wydobyć główkę dziecka przez rozrywające się, krwawiące ciało. Potem wyłoniły się ramionka, a w chwilę później Dana miała już najgorsze za sobą.

– O Boże! – jęknęła.

Podniosła się. Noworodek był pomarszczony i siny. Whit zaczął odwijać pępowinę zaciśniętą na szyi dziecka.

Krzyk uwiązał Danie w gardle, kiedy patrzyła, jak mąż odwiązuje pępowinę i wkłada delikatnie palce do ust noworodka, żeby usunąć śluz. Dziewczynka leżała spokojnie – drobniutki, nieruchomy kształt między nogami matki.

W oczach Whita widać było przerażenie; Dane porwał gwałtowny,

spazmatyczny płacz. Stracili dziecko, tak bardzo kochane i oczekiwane, a stało się to z jej winy. Modliła się o śmierć.

Whit pochylił się nad poplamioną krwią główką i delikatnie zaczął wtłaczać powietrze w usta maleństwa. Dana leżała w milczeniu, wyczekując; bała się odetchnąć, żeby nie zabierać im tlenu. Kiedy w końcu podniósł głowę, w samochodzie rozległ się krzyk dziecka.

Lekarz położnik stwierdził, że dziewczynka jest w doskonałej formie. Tego dnia Dana dwukrotnie nakarmiła małą. Dziecko usnęło zdrowe i zaróżowione. Dana pozszywano i położono spać, ale zanim zamknęła oczy, do pokoju wszedł Whit, żeby powiedzieć dobranoc.

Wciąż był wstrząśnięty; kiedy jej dotykał, drżały mu ręce. Tego dnia uratował życie dwóm osobom. Pochylił się, by ją pocałować. Kocham cię, Whit – powiedziała gorąco; po jej twarzy spływały łzy. – Słyszysz? Kocham cię!

Celeste musiała dwukrotnie wymienić jej nazwisko, zanim Dana ocknęła się i podniosła wzrok.

– Przyjechał następny ekspert. Ulokowałam go w 48C.

– W porządku, dziękuję.

To znaczy, że są już wszyscy z wyjątkiem Andy'ego. Dana weszła po schodach i otworzyła drzwi do sali konferencyjnej.

– Nic ci nie jest? – zapytał ją, chwycił za rękę i wciągnął do środka. – Cały dzień staram się z tobą skontaktować.

– Dlaczego? Stało się coś? – Dana poczuła nagły przypływ nadziei. – Ktoś rozpoznał faceta z białymi włosami?

– Nie. – Broder zamknął drzwi. – Nikt go nie zna. Gadałem chyba z

pięćdziesięcioma ludźmi, wszyscy twierdzą, że nigdy u nich nie pracował. Ale jeden zauważył coś jeszcze.

Otworzył leżącą na stole teczkę i wyjął zdjęcie. Na powiększeniu postaci siwowłosego strażaka widać było tylko jego twarz i grubą, czarną kurtkę z oznaczeniami.

– Popatrz tutaj – powiedział.

Dana rzuciła okiem na miejsce, które pokazał palcem. Spod rozpiętej kurtki mężczyzny wystawał fragment garnituru i białej koszuli.

– Dziwaczne ubranie, jak na strażaka – mruknęła.

– Nie o to chodzi, spójrz.

Nieznajomy miał w kieszeni dużą czarną puszkę z cienkim cylindrem.

– Co to jest?

– Ładunek do wysadzania zbiorników z paliwem – wyjaśnił Andy.

Pod Daną ugięły się nogi – ciężko usiadła na krześle.

– Jak to... działa?

– Tutaj, z boku, jest magnes. Przyczepia się to do zbiornika, w cylinder wtyka się kapturek wybuchowy, z przodu zapalnik, a potem zwiewa, gdzie pieprz rośnie.

– A więc druga eksplozja...

– No właśnie. Prawdopodobnie zbiornik JetRangera był wciąż nie naruszony. A teraz zobacz, gdzie ten gość się znajdował. – Andy wyjął powiększenie oryginalnego zdjęcia, pokazującego pozycję mężczyzny na rusztowaniu kolejki górskiej, o trzy poziome belki poniżej śmigłowca. – Kierował się prosto do helikoptera.

Dana przyglądała się fotografiom.

– Przyjaliśmy założenie, że ogień się rozszerzył, dotarł do drugiego

zbiornika i wtedy nastąpił wybuch powiedziała.

– Zgadza się, tak mogło się stać. No i nie było powodu podejrzewać, że sprawy miały się inaczej. – Broder podniósł zdjęcie.

– Andy, tam zginęli ludzie... – wtrąciła ostro Dana.

– Wiem.

Nagle poczuła, że robi się jej zimno. To już nie był dowód wskazujący na kąt uderzenia, działalność grupy paramilitarnej czy też na przemyt broni.

Zdjęcia stały się dowodem morderstwa.

– Kiedy założył ładunek i zszedł na ziemię, musiał popatrzeć w górę – mówił Broder. – Zauważył, że robisz zdjęcia ze szczytu diabelskiego młyna. Ale zapalnik czasowy był już włączony, a nie ma sposobu, żeby go odciąć. Wobec tego mężczyzna poszedł za tobą, by ukraść aparat. Kiedy to się nie powiodło, dowiedział się, kim jesteś...

– Tego wieczora występowałam w wiadomościach telewizyjnych – powiedziała sztywno. – Nie było trudno mnie odszukać.

– Dano – mówił Andy z przejęciem – ci ludzie już raz zabili. Może nie zamierzali, ale później działali konsekwentnie. Nie oszukujmy się dłużej. Lepiej wezwij gliniarzy, zanim przestępcy po ciebie przyjdą.

Kręciła głową z niedowierzaniem.

– Tego właśnie nie rozumiem. To przecież ja miałam film. Dlaczego porwali Whita, nie mnie?

– Przypuszczam, że nie dałaś im sposobności.

Dana miała jednak za sobą zbyt wiele przykrych doświadczeń z minionego tygodnia, żeby w to uwierzyć. Przyczyna musiała być inna.

– Przeanalizujmy wszystko od początku – powiedziała. – Dlaczego

falszywy strażak założył ładunek wybuchowy? Co chciał zniszczyć? Karabiny?

– Niewykluczone. Może nie wiedział, że broń wyleciała z wraku samolotu.

– Ale nawet jeśli tak, to czy naprawdę mógł liczyć na to, że zatrze wszystkie ślady? Zniszczy stalowe części, numery wytłoczone w metalu? Coś musiało przetrwać pożar. Czyżby o tym nie wiedział?

Andy wzruszył ramionami.

– No to skupmy się na tym, co rzeczywiście unicestwił.

– Prosta sprawa: płozy JetRangera ze śladami uderzeń śmigła. Wszystkie dowody wskazujące na kąt uderzenia. I przyczynę tej pieprzonej kolizji – powiedział Andy z rozgoryczeniem. – Ale przecież wypadek spowodował Loudenberg... Cóż, wracamy do punktu wyjścia.

– Tylko kto o tym wiedział w momencie katastrofy?

– Nie rozumiem. – Andy przyjrzał się jej uważnie.

Myśli Dany szybowwały zbyt szybko, żeby chciała teraz wracać i tłumaczyć wszystko od początku. Przywołała obraz wraków tak, jak wyglądały, kiedy je fotografowała przed drugą eksplozją żarzyły się na szczycie kolejki górskiej. Wtedy nikt nie miał pojęcia, co spowodowało zderzenie. A jeżeli przyczyna była nieznana, kto mógł najwięcej stracić?

Przecież nie rodzina Loudenbergów, bez majątku i ubezpieczenia. Również nie Pennsteel, którego udział w ewentualnych odszkodowaniach wynosił dziesięć milionów dolarów; to poważna suma, ale nie astronomiczna. Z kolei towarzystwo ubezpieczeniowe „United Aviation Casualty” mogło się spodziewać wypłat rzędu dziewięćdziesięciu milionów, a firma „Geisinger Underwriters” musiałaby pokryć wszystkie

pozostałe zobowiązania powyżej pułapu stu milionów dolarów – a w tej sprawie, jak wiadomo, roszczenia idą już w miliardy. A „Geisinger” dopiero co wydał trzysta milionów dolarów na wybudowanie luksusowego hotelu i centrum konferencyjnego.

Przypomniała sobie trzech mężczyzn, z którymi się spotkała w dzień po wypadku. Charlie Morrison był szorstki, Norm Wiecek siedział z ponurą miną, tylko Don Skelly cały czas się uśmiechał, sypał dowcipami i spokojnie pił kawę.

Skelly dowiedział się o katastrofie w ciągu paru minut po zdarzeniu. Wystarczyłaby godzina, żeby jego człowiek dojechał na miejsce z „Króla Prus”. Dana przypomniała sobie słowa Dona: „Tym się nie martwię. Jeżeli nie ma dowodów rzeczowych, trzeba rzecz rozważyć z punktu widzenia zdrowego rozsądku”. Tamtego dnia uznała, że Don jest zarówno cwany wyjadaczem, jak i sympatycznym, towarzyskim kompanem. Ale może kimś jeszcze? Konspiratorem? Sabotażystą? Mordercą? – zastanawiała się w duchu.

– Dano, mówię poważnie. – Andy przywrócił ją do rzeczywistości. – Zadzwoń do swojej przyjaciółki Mirelli, jeśli chcesz, ale koniecznie zwróć się do kogoś.

Spojrzała na aparat telefoniczny. Cóż mogłaby powiedzieć Mirelli? Jeżeli wspomni o Skellym, złożą mu wizytę ludzie z FBI, a Whit przeżyje najwyżej godzinę. Jeżeli natomiast nie wymieni tego nazwiska, federalni przyspieszą tylko dochodzenie w sprawie grupy paramilitarnej – to oczywisty trop, który donikąd nie prowadzi i na pewno nie pomoże uratować Whita.

– Nie – powiedziała kręcąc głową.

– A jeśli cię zabiją?

Dana wiedziała jednak, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Stała przecież po tej samej stronie, co Don Skelly – starała się wykazać niewinność załogi Pennsteelu i ochronić towarzystwo „Geisinger” przed miliardowymi wypłatami. A zatem zależało mu, żeby żyła, czuła się dobrze i dalej pracowała. Chciał zlikwidować film, nie Dane.

– Nie, jedynym zagrożonym jest Whit. Andy, muszę go odszukać – powiedziała zdecydowanym tonem.

– Próbowalaś już przecież ze wszystkich sił.

Dana zamknęła oczy i powoli pokręciła głową.

– Nie ze wszystkich – mruknęła.

Rozłożyli śpiwór na betonowej podłodze pomiędzy dwoma stalowymi słupami podpierającymi sufit i usiedli ze skrzyżowanymi nogami, jakby to był koc piknikowy. Andy nalał wino do szklanki i podał ją Danie.

Zawahała się.

– Powinnam zachować jasny umysł – powiedziała.

– To właśnie ten twój bystry umysł stoi ci na przeszkodzie. Raz możesz go przyćmić.

– W takim razie napompuj mnie pentotalem sodu – burknęła, ale wzięła szklanekę i wypłała wino.

– No dobrze. Wytlumacz mi jeszcze raz, co jest przyczyną tego spojrzenia w przeszłość.

– Jedna z moich asystentek pojechała na porodówkę, drugi kolega powiedział, że jego żona jest w ciąży, więc zaczęłam odtwarzać w myślach, jak to przed laty było ze mną, i nagle przypomniałam sobie wiele rzeczy.

Broder dolał jej wina.

– Zacznijmy więc od początku i zobaczmy, dokąd nas zaprowadzą wspomnienia.

– Ot tak, po prostu? – Tym razem Dana sęczyła trunek powoli.

– No właśnie, spróbujmy. – Dołeczki na twarzy Andy’ego pogłębiły się. – Ja będę Barbarą Walters. Dano, opowiedz nam, jak to było, kiedy pierwszy raz zobaczyłaś Whita.

Roześmiała się głośno, parszkając fontanną wina.

– A więc, Barbaro, studiowałam wtedy na drugim roku w Penn. Whit pracował jako asystent w katedrze anglistyki; w semestrze zimowym zapisałam się do niego na zajęcia z literatury. Nie, chwileczkę... – przerwała, wpatrzona w kieliszek. – To nie było tak. Wtedy go poznałam, ale pierwszy raz zobaczyłam Witha...

... To się stało wiosną, kiedy Dana była na pierwszym roku. Pracowała dorywczo w „Le Bus”, ruchomej jadłodajni, ulokowanej w starym autobusie szkolnym. Barek stanowił alternatywę dla stoisk z tłustym żarciem, rozstawionych na wszystkich innych rogach uliczek w kampusie. Z włosami schowanymi pod uniwersytecką czapkę nakładała porcje sałatki z makaronem i robiła kanapki z pełnoziarnistego chleba; klienci ustawiali się na chodniku i podawali zamówienia przez małe okienko. Pracowała tam cały rok; w ciepłe dni września zakładała szorty i stanik od kostiumu bikini, w styczniowe mrozy nosiła futrzane wdzianko i ciepłe, eskimoskie buty.

W marcu zaczęła zauważać nową twarz wśród swoich klientów. Głowa tego faceta wystawała o dwadzieścia centymetrów ponad poziom tłumy; nigdy nie nosił płaszcza, tylko skórzane rękawiczki i szalik. Miał gęste, kasztanowe włosy. Bez przerwy potrząsał głową, żeby je odrzucić na bok. W jego twarzy i głosie było coś takiego...

– Kto to jest? – zapytała kolegów. W autobusie rozgorzały spekulacje: wykładowca z Oksfordu, który przyjechał na urlop, a może poetarezydent? Ależ skąd, przekonywał ktoś inny. Zobaczcie, jak jest zbudowany; to pewnie powieściopisarz z Montany. Jedno było pewne: miał coś wspólnego z anglistyką.

– Rozumiem – przerwał opowieść Andy. – Wtedy zwróciłaś na niego

uwagę.

Dana spojrzała na Brodera i wyciągnęła szklankę z prośbą o dolewkę.

– A kiedy po raz pierwszy ze sobą rozmawialiście?

Dopiero jesienią, w budynku wydziałów humanistycznych na rogu Trzydziestej Czwartej i Walnut. Dana była na drugim roku i miała tam zajęcia z literatury – w dusznej sali na piętrze. Przypomniła sobie wygląd korytarza. Chodziła od drzwi do drzwi i sprawdzała numery klas. Po prawej stronie zauważyła pusty pokój – weszła do środka i rozejrzała się dookoła. Czy właśnie tam spotkała Whita?

Następne pomieszczenie było mniejsze i bardziej duszne. Do oczu Dany napłynęły łzy. Nie zdołała zapamiętać sekretnego kodu – nic dziwnego, skoro nie potrafi nawet przypomnieć sobie sali, w której wszystko się zaczęło.

Andy uścisnął jej rękę.

– Pierwszy dzień nauki – powiedział. – Masz pod pachą książki i idziesz korytarzem...

Nie, biegła, bo się spóźniła na zajęcia. Kłopotliwa sytuacja. Studenci drugiego roku powinni już trafić wszędzie. Kiedy sprawdzała numer na drzwiach, usłyszała męski głos: „Dana Svenssen”. Po chwili jeszcze raz, ale z inną intonacją: „Dana Svenssen?” Wpadła do środka wołając: „Jestem!”

Siedziała w sali. Okna były otwarte, promienie słońca wpadały do pokoju, przebijając się przez liście wiązu, rosnącego przez budynkiem. W koronie drzewa śpiewały ptaki, na pobliskim skrzyżowaniu zatrąbił samochód. W środku poniszczone ławki, kreda, zaduch – no i tyle.

Whit odczytywał listę obecności, stojąc przed studentami: potężny,

wyjątkowo silny mężczyzna z kościstą twarzą, tajemniczą miną. Oczy miał ukryte w cieniu, przenikliwe i nieprzeniknione zarazem. Mocno zarysowane usta wykrzywiły się w uśmiechu. – W wykładowcy literatury Dana rozpoznała byronicznego klienta z „Le Bus”, który od co najmniej pół roku budził jej ciekawość. Zaczerwieniła się gwałtownie.

Do końca zajęć starała się ukryć zakłopotanie, pieczołowicie unikając kontaktu wzrokowego z wykładowcą. Kiedy jednak słyszała, jak on mówi, zaczęła sobie wyobrażać, że tylko do niej kieruje słowa. Nagle odniosła wrażenie, że w sali nie ma nikogo innego poza nią i profesorem. Przypadkowo spojrzeli na siebie.

Oczy Dany zwilgotniały na to wspomnienie. W jej życiu nie brakowało chwil krótkotrwałego pociągu seksualnego, ale tamten dzień na uniwersytecie był wyjątkowy. Wtedy poczuła ogromną siłę przyciągania. Dana i Whit słyszeli bicie własnych serc w zatłoczonej sali.

Andy chrząknął.

– A kod? Kiedy zaczęliście go stosować?

W semestrze letnim. Któregoś dnia Whit zatrzymał japo zajęciach pod jakimś pretekstem. Kiedy drzwi zamknęły się za ostatnim wychodzącym studentem, chwycił ją w ramiona i poprosił, żeby przyszła wieczorem do jego pokoju. Udawała, że się przed tym broni – twierdziła, że koleżanki z sypialni nabiorą podejrzeń, a cała sprawa się wyda, jeśli on będzie jej dawał tego rodzaju znaki. „No więc, co mam robić?”, zapytał ze skargą w głosie. „Przesłać ci bilecik?”

Oczy Dany rozbłysły. „Nie, nie bilecik. Sygnał”, powiedziała.

Początkowo był to język prymitywny. Pociągnięcie na lewe ucho oznaczało „tak”, za prawe – „nie”. W miarę upływu czasu udało im się

udoskonalić i rozbudować system znaków. W sygnałach zaczęły się pojawiać oznaczenia miejsca i czasu. Sprawdzali swój kod na kolegach z grupy Dany. „Ruda dziewczyna w trzecim rzędzie, drugie krzesło, pisze list to swojego chłopaka” – informowała Dana, a Whit wywoływał rudowłosą studentkę i prosił, żeby podzieliła się z ze wszystkimi swoimi myślami. „Chłopak w pierwszym rzędzie, ostatnie krzesło, nie ma pojęcia, o czym mówimy” – przekazywała Dana, a Whit pytał: „Panie Conway, czym różnią się opisy i porównania dotyczące wody u Twaina i Melville’a?” Któregoś dnia Dana podpuściła go paskudnie; powiedziała: „Nie mam nic pod spodem”. Whit poczerwieniał jak burak i stracił wątek.

– Hola, hola, wystarczy już tego dobrego – przerwał Andy. – Teraz opowiedz od początku, jak opisywaliście innych ludzi.

– Jeśli chodzi o kolor włosów, to już ci mówiłam. Pokazuje się odpowiednią barwę, a potem skrobie po głowie.

– Jakim sygnałem mówi się: trzeci rząd, drugie krzesło?

Dana wypila jeszcze jeden kieliszek wina i skoncentrowała się ze wszystkich sił. Ławki w sali były ustawione w pięć rzędów; Dana zaczęła przypominać sobie, że chodziło o liczbę palców: trzy palce przytknięte do brody oznaczały trzeci rząd, potem dwa – drugie krzesło.

– Rozumiem! – zawołała.

Andy rzucił się do magnetowidu, włożył kasetę, na której Whit przekazał podobny sygnał. Trzy palce na brodzie, potem jeden.

– Trzeci rząd, pierwsze miejsce, zgadza się? – zapytał.

– Myślę, że tak. – Dana przygryzła wargę.

– Dobrze. Później pokazał kolor swoich włosów, kasztanowy. Czyżbyśmy więc mieli do czynienia z człowiekiem, który miał brązowe

włosy i siadywał na zajęciach w środku pierwszego rzędu?

Dana niepewnie podniosła się z podłogi.

– Jakim cudem mogę pamiętać jakiegoś studenta z mojej grupy sprzed dwudziestu pięciu lat?!

Odwróciła się do okna. Patrzyła na śródmiejskie ulice i dalej, za rzekę Schuylkill, gdzie w zachodniej części Filadelfii mieścił się kampus Uniwersytetu Penna, ukryty pod zielonym baldachimem z gałęzi drzew. Miasto dzieliła rzeka, przez to ze śródmieścia na uczelnię prowadziło tylko kilka ulic – Chestnut, Walnut i South Street, biegnąca obok Franklin Fields, gdzie odbywały się słynne uniwersyteckie sztafety i już nie tak głośne mecze piłkarskie kwaków.

A właśnie, futbol. Na ulicach zaczynały się rozmazywać światła latarni. Dana przymknęła oczy, przywołując obraz z dawnych lat – postać chłopaka, który na zajęciach z literatury siadał w środku pierwszego rzędu. Nazywał się Jason Carraway – potężny, nieśmiały młodzieniec z kędzierzawymi, kasztanowymi włosami. Był najlepszym rzucającym, jakiego kiedykolwiek widziano w napadzie zespołu kwaków. Miał nadzieję awansować do ligi zawodowej po ukończeniu szkoły, ale zanim zainteresowali się nim przedstawiciele profesjonalnego sportu, Jason zaangażował się w jakieś skandaliczne oszustwo i skoczył z dachu Franklin Field. Biedny Jason – jasne, że go pamiętała!

Tylko jaki to miało związek ze współczesnością? Jason zginął prawie dwadzieścia pięć lat temu, więc nie mógł być w żaden sposób związany z katastrofą powietrzną czy porwaniem Whita.

– Rozumiesz coś z tego? – ponaglił Andy.

– Sama nie wiem. Może Whita porwano na boisku.

Usiadła na podłodze. Czuła potworny zawrót głowy. Wszystko było takie zagmatwane. Przypominanie sobie tajnego języka nie prowadziło do niczego; nawet jeśli rozumiała, co Whit chciał przekazać, nie potrafiła go zrozumieć. Sięgnęła po wino, ale butelka była już pusta.

– Spróbujmy z innej strony – zaproponował Andy. – Jest pewien sygnał, który twój mąż powtórzył na wszystkich trzech kasetach.

Broder usiadł naprzeciwko Dany, złączył kciuk z palcem wskazującym i zatoczył ręką dwa kółka w powietrzu.

– Łatwe – odparła. – Spotkajmy się na drinka w „Rathskeller”.

– Gdzie?

Był to mroczny, mieszczący się w podziemiu pub, do którego studenci Penn chodzili pić piwo, dyskutować o polityce i uprawiać seks. Unosił się tam nieokreślony odór: mieszanina zapachów piwa, uryny i marihuany. Na zapleczu mieściła się toaleta – najbardziej znane tego rodzaju pomieszczenie na uniwersytecie. Pary, które doszły do porozumienia, znikwały tam, a po pięciu minutach wracały spocone i wymięte.

Dana i Whit nie korzystali z tej wspólnej toalety – spędzali wieczory w ciemnym kącie, zaabsorbowani książkami, poezją i samymi sobą, ale zawsze wychodzili z „Rathskeller” trochę podnieceni poczynaniami innych par. Dana pamiętała, że szli do apartamentu Whita, trzymając się za ręce w mdłym świetle księżyca. Szeptali cicho do siebie i śmiali się. Szorowali nogami po asfalcie, przyciskali nosy do wystaw sklepowych, zatrzymywali się, by popatrzeć w gwiazdy. Słowem, robili wszystko, co mogli, by przedłużyć rozkoszne oczekiwanie; wreszcie jedno z nich puszczalo się biegiem i ciągnęło za sobą partnera. Zdyszani wpadali do klatki schodowej i pędzili na górę. Potem tarzali się na łóżku i śmiali, aż

im zabrakło tchu. Oddychając ciężko, wciąż jeszcze ze łzami wesołości w oczach nagle trzeźwieli. Whit przykładał kciuk do jej warg, a Dana ssała jego palec z szeroko otwartymi oczami...

– To nam nic nie da – przerwał Andy. – Wróćmy do pubu, „Rathskeller”. Tak, „Rathskeller” łatwo było zapamiętać, bo właśnie tam rozegrała się jedna z najbardziej nieprzyjemnych scen związanych z ich bliską przyjaźnią.

Dany kończyła dwadzieścia jeden lat. Umówili się w „Rathskeller” na jej pierwszego legalnego drinka. Przyszła przed czasem i postanowiła zrobić Whitowi niespodziankę. Z rozbawieniem pokazała barmanowi dowód osobisty, zamówiła dwa kufle zimnego piwa, postawiła je na stole i czekała.

Było to w marcu – Dana kończyła college. Miała kontynuować studia na wydziale prawa, a Whit złożył podanie o przyjęcie na stałą posadę na wydziale. Bardzo się kochali i przeważnie mieszkali razem. Whit jednak nawet nie wspomniał, co będzie później, w maju. Dana zawsze zadawała sobie konkretne pytania; co dalej? Lubiła planować. Dla Whita i każdego innego chłopaka, z jakim zawarła znajomość, przyszłość stanowiła mglistą, odległą perspektywę. Kiedy dziewczyna mówi „miłość”, ma na myśli to, że z ukochanym spędzi resztę swojego życia. Młody mężczyzna natomiast koncentruje się tylko na chwili bieżącej. Whit wyznał Danie uczucie. Wierzyła w jego słowa, ale kiedy oznajmił, że chce z nią być na zawsze, wiedziała, że to może potrwać najwyżej semestr.

Szron zdążył się skroplić. Krople wody spływały po ściankach kufli jak łzy, kiedy w końcu pojawił się Whit.

– Dano, zobacz, kto tu jest – zawołał, prowadząc do stolika swojego

przyjaciela, Jacka Lucasa. – O, znakomicie, już zamówiłaś – dorzucił, a potem dodatkowo skomplikował sytuację nową niezręcznością: chwycił jeden kufel, a drugi podsunął Jackowi, – Niech żyje Harvard i profesor Whit Endicott! – zawołał Jack, trącając się z Whitem. Odchylili głowy i wypili połowę trunku.

– A o co chodzi? – zapytała Dana.

Whit objął ją i pocałował. Jack wdał się w wyjaśnienia.

– Ten oto mężczyzna, który teraz tak lubieżnie cię obłapia, otrzymał dziś list napisany na oficjalnym papierze uniwersytetu Harvarda i... uwaga...! opatrzony znaczkiem pocztowym oraz stemplem z Cambridge w stanie Massachusetts oraz podpisany przez szefa wydziału anglistyki...

– Whit, dostałeś ofertę z Harvardu? – zapytała.

Przytaknął z błyskiem radości w oczach.

Przez ostatnie sześć miesięcy oboje ślęczeli nad informatorami na temat studiów prawniczych i uroczyście obchodzili nadejście każdego listu wyrażającego akceptację aplikacji złożonej przez Dane. Miała już w ręku wszystkie odpowiedzi – z uniwersytetów Penn, Columbia, Georgetown oraz Michigan. Odkładała jednak decyzję, bo chciała zobaczyć, jaki będzie los starań Whita, ubiegającego się o posadę w tych samych miejscach. Na liście interesujących go miast uniwersyteckich nie było Bostonu. Nazwa Uniwersytet Harvarda nie figurowała też w żadnym ze spisów, jakie wspólnie układali.

– Nic o tym nie wiedziałam – zwróciła się do Jacka. Z trudem powstrzymała się od komentarza: Whit mi nie powiedział, chyba po prostu nie znaczymy dla siebie aż tak wiele.

– A kto by przypuszczał, że dostanie taką propozycję?! roześmiał się

Jack. – Przecież on niczego poważnego nie publikuje, pisuje tylko jakieś przyczynkowe teksty i podobne gówno, a jednak ci cholerni durnie chcą go mieć!

Odwrócił się i poklepał przyjaciela po plecach. Whit na szczęście doszedł do siebie.

– Dano, miałem zamiar... – zaczął mówić, ale zaraz przerwał. Pokazał jej znak należący do ich tajnego kodu, poszedł do łazienki.

Dana siedziała jak skamieniała, słuchając piosenki Bruce'a Springsteena „*Baby, I was bom to run*”, którą ktoś nastawił w szafie grającej. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek pragnęła brutalnego seksu w knajpianej toalecie, to z pewnością nie tego dnia.

– Przepraszam cię, Jack – powiedziała wstając od stołu. – Spóźnię się na zajęcia studyjne w bibliotece.

Chwyciła płaszcz, wyskoczyła na dwór i rzuciła się tak szybkim pędem, że łzy ciekące jej po policzkach wysychały, zanim zdążyły zamarznąć.

Nic nie zabija miłości szybciej niż podejrzenie, że już nie jest to uczucie odwzajemniane. W niespełna pół godziny Dana przeniosła swoje ubrania z apartamentu Wbita do swojej sypialni. Po godzinie rozdzwonił się telefon. Nie odbierała. Po dwóch godzinach Whit zjawił się w akademiku. Koleżanki, na prośbę Dany powiedziały mu, że jeszcze nie wróciła.

Przez tydzień siedziała w pokoju, wypełniając formularze aplikacyjne; wyprosiła kolejny zestaw listów rekomendujących z wydziału. Dzwoniła do wszystkich instytucji wydziałowych i administracyjnych, do których udało się jej dotrzeć. Musiała wykorzystać całą swą siłę przekonywania, ale pod koniec tygodnia wywalczyła sobie miejsce na liście oczekujących.

Następnego dnia przekroczyła próg akademika. Whit dopadł ją, zanim zdążyła przejść trzydzieści metrów po Locust Walk.

– Dano, gdzie się podziewałaś!? – zawołał biegnąc za nią w powiewającym płaszczu. – Odchodziłem już od zmysłów!

– A, Whit, jak się masz – rzuciła nie zatrzymując się.

– Posłuchaj, wszystko bym ci wyjaśnił, gdybyś poszła ze mną do kibla, jak prosiłem. Ja wcale nie wysyłałem podania do Harvardu. Sami przysłali ofertę. Nie brałem jej poważnie. Oczywiście, to wielki zaszczyt, każdy byłby zachwycony. Ale ja już postanowiłem, zostaję tutaj, w Penn.

– To cudownie, Whit – odparła Dana, nie przerywając szybkiego marszu. – Na wydziale będą bardzo zadowoleni.

– Mam wolną godzinę – wtrącił. – Pomogę ci przenieść się z powrotem do mnie.

– Dziękuję, ale zostanę w akademiku.

– Dano, nie rób tego.

– O co ci chodzi, Whit? Zajęcia kończą się za półtora miesiąca.

– No i właśnie o tym mówię! Nie musimy się rozstawać z końcem semestru.

– Obawiam się, że musimy. Widzisz, zdecydowałam się przyjąć propozycję studiów na Wydziale prawa Uniwersytetu Stanford.

Endicott aż zaniemówił z wrażenia. – Stanford? – zawołał po chwili. – Nie miałaś tej uczelni na swojej liście!

Dana odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Ach tak, teraz rozumiem – powiedziała. – To jest twój as z rękawa, co? Twoje sekretne wyjście ewakuacyjne na wypadek, kiedy to ja cię opuszczę.

Potrząsnęła głową i ruszyła przed siebie. Tym razem Whit już jej nie gonił.

Semestr dobiegł końca, Dana odebrała dyplom. Uśmiechała się, kiedy rodzice robili pamiątkowe zdjęcia. Latem kilka tygodni przesiedziała na plaży, ale miała wrażenie, że porusza się w nierzeczywistym kręgu. Oni w gruncie rzeczy nie zerwali ze sobą, Whit wcale nie przenosi się do Cambridge, ona nie pakuje się, by wyjechać do Palo Alto. W tym czasie widziała prawdę w taki sposób, jak młody chłopak widzi przyszłość: jako niemą konstrukcję przestrzenną, od której łatwo się odwrócić.

Rzeczywistość otrzeźwiła ją niczym chłodny deszcz w momencie, gdy wysiadła z samolotu w zalanej słońcem Kalifornii. Wszystko się skończyło. Whit odjechał. Dalsze życie stanowiło białą, nie zapisaną kartę. Z obojętnością uczestniczyła w zajęciach, bez większego zaangażowania robiła, co do niej należało, ale w środku czuła narastający ból. Tęskniła do Whita, co noc widziała go we śnie; wyklinała głupią dumę, która kazała się im rozjechać na przeciwległe krańce kontynentu. Ta sama duma jednak nie pozwalała jej zatelefonować do ukochanego.

Pewnego październikowego dnia, miesiąc po rozpoczęciu semestru, Dana siedziała na zajęciach na temat szkód wraz z setką innych studentów. Nagle otworzyły się drzwi auli. Odwróciła głowę, tak jak wszyscy, i zobaczyła Whita.

– Słucham, o co chodzi? – zapytał profesor. Whit nie odpowiedział, zajęty przypatrywaniem się poszczególnym twarzom, Dana także nie była w stanie się odezwać.

– Czy mogę w czymś pomóc? – powtórzył ostrzejszym tonem profesor. Whit rozglądał się dookoła dzikim wzrokiem; nagle zawołał: – Dano,

jesteś tu!?

W końcu odzyskała głos i wydała radosny pisk. Przejścia były zatłoczone, więc weszła na długi, półkolisty stół. Przeskakując książki i zeszyty, przebiegła na koniec rzędu, gdzie zeskoczyła na podłogę. Whit złapał ją w objęcia – wyrwała się z jego ramion dopiero trzy dni później.

Opowiedział Danie, jak przypadkiem spotkał jedną z jej koleżanek. Dziewczyna zrelacjonowała, w jaki sposób doszło do wyjazdu Dany na Uniwersytet Stanforda. Tłumaczył, że był głupcem... Dana położyła mu palec na ustach.

– Przyjechałeś po mnie – powiedziała. – Nic więcej się nie liczy.

– Nie wierzę – skomentował Andy. – Ty nigdy nie piszczysz.

Mówił pogodnym, lekkim tonem. Miała nadzieję, że ją rozśmieszy i przegna przerażenie, widoczne w oczach, ale było już za późno. Czowała zawrót głowy, bolał ją brzuch, po twarzy ciekły łzy. Całymi łatami zmuszała się, by zapomnieć o przeszłości. Nie myśleć o Whicie... – ten refren stał się jej mantrą ale nie dlatego, że przestała kochać męża; przeciwnie, kochała go tak mocno, że nie mogła patrzeć, jak ich miłość gaśnie. Jedynym sposobem pogodzenia się ze stratą jest zapomnieć, że się ją poniosło.

Whit, gdzie jesteś? Dana ukryła twarz w dłoniach. Po chwili płacz wstrząsnął jej ramionami. Czy siedział w piwnicy pod stadionem piłkarskim, trzymany w zamknięciu przez mężczyznę o białych włosach i ducha Jasona Carawaya? Wiedziała, że musi go odnaleźć, otworzyć mu drogę ucieczki. Nie знаła jednak żadnego sposobu, aby to zrobić.

Och, Whit, chcę cię odszukać; chcę słuchać, jak mówisz do mnie, i wszystko zrozumieć. Proszę, daj mi jeszcze jeden znak, modliła się w

duchu.

Andy stanął obok i chciał jej pomóc wstać, ale Dana odtrąciła go i zaczęła się turlać po podłodze jak piłka. Wspomnienia zalały ją niczym morskie fale.

Daj mi jeszcze jedną szansę, żebym cię odnalazła.

Białowłosa mężczyzna jechał po krętej drodze; zatrzymał samochód tak jak poprzednio, na skraju placu parkingowego, gdzie światła nie przebijały ciemności. Znowu zakrył włosy czapką, zarzucił plecak na ramię i wysiadł z samochodu. Przyjeżdżał tu przez siedem dni z rzędu, zawsze wieczorem. Wszystkie czynności wykonywał już rutynowo.

Dziś jednak miał odbyć ostatnią wizytę, więc sprawy wyglądały trochę inaczej. Otworzył bagażnik, wyjął szpadel, otworzył schowek ukryty w podłodze i wziął pistolet Glock 17. Naładował magazynek, założył na lufę tłumik i wsunął broń do kabury umieszczonej wysoko na plecach.

Kiedy znalazł się pod zasadzonymi w szeregu drzewami, nałożył na oczy gogle i przeszedł przez otwartą przestrzeń do ogrodzenia. Od długiego czasu panował taki upał, że nawet noc nie zdołała wydusić z powietrza odrobiny wilgoci. Żdźbła trawy chrzęściły pod jego stopami.

Obejrzał kłódkę na furtce i sprawdził mechanizm zapadkowy. Nikt nie wchodził tędy od czasu jego wizyty wczorajszej nocy. Niemal wszystko w ramach misji poszło nie tak, jak trzeba, ale temu miejscu nie sposób było nic zarzucić. Przez siedem dni nikt nie naruszał azylu.

Mężczyzna rozumiał jednak, że taki stan rzeczy nie może trwać bez końca. Zdawał sobie również sprawę, dlaczego otrzymał już polecenie zakończenia misji. Od czterdziestu ośmiu godzin wiedział, że nadchodzi kres – stwierdził to w chwili, gdy odebrał kopertę i przekonał się, że film został wywołany. Dowolnie duża liczba ludzi mogła oglądać zdjęcia, a wszystkich świadków nie sposób uciszyć. Należało więc zminimalizować

straty i ruszać dalej.

Mimo wszystko odczuwał żal. W ciągu wielu lat służby w siłach specjalnych często przypadało mu zadanie wykańczania innych – kolegów, przeciwników czy też przypadkowych obserwatorów – ale jeszcze nigdy nie wymagano, aby zabił człowieka, który zdobył u niego tak wiele szacunku.

Staął na skraju wykopu i popatrzył na latrynę. W szklach okularów, malujących obraz na kolor sepii, turkusowe włókno szklane przyjęło paskudny, przyprawiający o mdłości odcień zieleni. Cienka, pomarańczowa linia widoczna w szparze między drzwiami a podłogą wskazywała, że profesor włączył światło.

Białowłosy zawiesił łopatę na rzemieniach plecaka i zszedł po drabinie na dno szybu. Ziemia była twarda i sucha, trudna do kopania, ale wyszukał odpowiednie miejsce za latryną i wziął się do roboty.

Profesor wołał coś do niego, ale nie było czasu na pogaduszki. Pracował rytmicznie do czasu, gdy na głębokości niespełna metra szpadel trafił na litą skałę. Wtedy mężczyzna postanowił przerwać kopanie. Typowy dół powinien mieć głębokość dwa razy większą, ale w tym przypadku prawidłowe wymiary nie odgrywały większego znaczenia: za miesiąc całe dno wykopu zostanie zalane trzydziestocentymetrową warstwą betonu. Poprawił narożniki czworokątnej dziury i wyprostował się, by ocenić swoje dzieło. Wykop w wykopie – to przypominało chińską kasetkę. Mężczyzna spojrzął na zegarek – nadszedł właściwy czas.

– Ike? To pan? – zawołał profesor. – Proszę się nie krępować. Może pan mówić swobodnie.

Białowłosy roześmiał się cicho. Niezły facet z tego profesora,

pomyślał. Nigdy go nie opuszcza poczucie humoru, a w dodatku wykazuje nie mniejszą odporność psychiczną niż zawodowi żołnierze. Jest przy tym przedsiębiorczy – pierwszej nocy o mało nie uciekł. I pewnie by mu się udało, gdyby byli w innym miejscu.

Nagle poczuł delikatną wibrację odbiornika włożonego do kieszeni. Ktoś poruszył drut przy furtce, połączony z czujnikiem.

– Nie spodziewałem się ciebie tutaj – zawołał. – Mieliśmy się spotkać w parku za dwadzieścia minut.

Tobiah schodził tyłem po drabinie. Od stóp do głów był ubrany na czarno. W dodatku dzięki czarnej skórze pozostawał niewidoczny dla każdego, kto nie dysponował okularami z noktowizorem. To bardzo przydatna cecha. A także jeden z powodów, dla których siwowłósy zaangażował Tobiaha najpierw do sił specjalnych, później do pracy na rzecz wielkiego biznesu.

Tobiah zeskoczył na ziemię i odwrócił się z pistoletem w dłoni.

– Ręce na głowę – rozkazał.

Siwowłósy zesztyniał.

– Tobe, co jest, do cholery...

– Przykro mi, otrzymałem takie polecenie. Ręce na głowę.

– Masz mnie zabić, Tobiah? – zapytał Ike, zakładając ręce za głowę.

– Jedyne, co nas łączy z eksplozją, to pańska twarz na fotografiach.

– Aha. Skoro więc nie możesz zniszczyć zdjęć, to przynajmniej zlikwidujesz mnie, tak?

– Zgadza się.

Siwowłósy uśmiechnął się.

– To moja wina. Za dobrze cię wyszkoliłem. Ale nie byłoby tak łatwo

mnie zastąpić, gdyby nie to, że ty idziesz tuż za mną. Podejrzewam, że awansujesz na moje miejsce.

Tobiah machnął pistoletem, każąc Ike'owi przesunąć się do tyłu, pod ścianę wykopu, która wytłumi odgłos wystrzału.

Białowłosy posłuchał rozkazu. Cofnął się ostrożnie z rękami splecionymi za głową.

– Moglibyśmy razem wyjechać, Tobe – powiedział. – Słyszałem, że szukają ludzi w Liberii. Tam jest mnóstwo okazji dla takiego gościa, jak ty. Niech szef sam się babra w tym gównie.

– Myślałem o tym, naprawdę – odparł Tobiah, posuwając się w kierunku Ike'a.

– No i...?

– Zadałem sobie pytanie, co pan by zrobił w takiej sytuacji. Doszedłem do wniosku, że wybrałby pan awans.

Białowłosy mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno; Tobiah także się śmiał. Ike pierwszy stał wyprostowany, z rękami za głową – w tej pozycji łatwo mógł sięgnąć po pistolet ukryty w kaburze na plecach. Tobiah śmiał się jeszcze, gdy dziewięćmilimetrowy pocisk wbił się w jego czaszkę nad lewym uchem. Za wysoko i za bardzo w bok, skrytykował samego siebie Ike i oddał drugi strzał, tym razem prosto między oczy Tobiaha.

Siwowłosy stał przez chwilę nad ciałem, żegnając zabitego kolegę. Tobiah był znakomitym żołnierzem, jednym z najlepszych. W gruncie rzeczy miał tylko jedną wadę, która z biegiem czasu narastała zamiast maleć – chodziło o zaufanie do przełożonego. Ta słabość okazała się fatalna w skutkach.

Ike wrzucił zwłoki do wykopanego dołu, zasypał ziemią i ukrył szpadel za stalowymi sztabami. Kiedy prace zostaną wznowione, robotnicy znajdą niemiły upominek.

Wyjął z plecaka nadajnik połączony z głośnikiem umocowanym w suficie latryny.

– Profesorze, zaraz otworzymy drzwi, żeby podać panu jedzenie. Proszę się ustawić w rogu obok sedesu. Wycelujemy do pana z dwóch pistoletów. Jeżeli wykona pan ruch w stronę drzwi...

– Broń wystrzeli – dopowiedział więzień. – Tak, tak, niech pan to już załatwi. Mam dużo pracy.

Białowłosa mężczyzna uśmiechnął się i rozpiął ciężki łańcuch owinięty dookoła toalety. Profesor klęczał, wykorzystując pokrywę sedesu jako stolik.

Ledwie rzucił okiem na dzbanki i pudełka, jakie mu podano. Łańcuch znów został założony.

– Czymże zasłużyłem na to wszystko? – zapytał po chwili.

– Radziłbym umiejętnie racjonować jedzenie, profesorze. Widzi pan, już więcej tu nie przyjdę. Nie przypuszczam też, żeby zjawił się ktokolwiek, przynajmniej przez najbliższy tydzień. Jeżeli będzie się pan ograniczał, wystarczy jedzenia na ten czas.

– Co tu się dzieje? – krzyknął Whit. – Dlaczego dostałem nagrania na wideo?

– Może pan sobie obejrzeć, jeśli wyjdzie pan stąd żywy, profesorze.

– Ciekawe. Już się nie mogę doczekać.

Białowłosa wy dostał się z szybu. Wyciągnął drabinę i zamknął za sobą furtkę. Wracając do samochodu, popatrzył na zegarek – dochodziła trzecia

nad ranem. Miał cztery godziny, żeby dojechać na lotnisko Kennedy'ego i złapać samolot do Londynu. Za czterdzieści osiem godzin pod nowym nazwiskiem zamieszka niedaleko afrykańskiej dżungli. Tylko włosy zostaną te same. Z pewnością tam uznają je za wielką rzadkość i, kto wie, może uczynią go bogiem?

Poranek nadszedł zbyt szybko. Dana otworzyła oczy i patrzyła na gorące słońce przebijające się przez parujący baldachim chmur. Andy stał po drugiej stronie pokoju – widziała go jak przez mgłę. Zbierał swoje dokumenty – przypomniała sobie, że tego dnia rano musi popracować z zespołem zajmującym się symulacją komputerową w firmie „Geisinger”. Za dwadzieścia cztery godziny mają dokonać prezentacji przed ludźmi z NTSB i szeroką publicznością, a Dana nie napisała ani słowa wstępu.

Pożegnali się na podeście schodów przeciwpożarowych; Dana zmierzyła Andy’ego wzrokiem.

– Powodzenia – powiedziała.

– Nawzajem. Spotkamy się wieczorem w hotelu. Uważaj na siebie, dobrze?

Niebo było ponure i szare przez cały ranek; Celeste przyszła wymęczona, zasapana, skarżąc się na nieznośnie wilgotne, parne powietrze. Wózek z napojami krążył po korytarzu zastawiony wyłącznie zimną wodą sodową. Pocztą elektroniczną przekazano pracownikom ostrzeżenie, żeby przestali manipulować termostatami, ponieważ klimatyzacja i tak pracuje już na najwyższych obrotach.

Dana ślęczała przy biurku nad trzema wstępnymi wersjami przemówienia otwierającego pokaz, a potem nad trzema szkicami słowa końcowego. Nie była zadowolona z efektów, skasowania. Wpatrywała się w ekran tak długo, aż odniosła wrażenie, że wpadła w pustkę bez dna.

Kiedy w drzwiach rozległ się suchy kaszel Clifforda Austina, odwróciła

się zaskoczona.

– Dowiedziałem się... – zaczął, siadając na krześle.

– Przepraszam, Cliff, nie mogę teraz rozmawiać. Mam nóż na gardle.

– ... że zaangażowałaś Boba Kopecę jako pomocniczego adwokata zajmującego się problemami środowiska naturalnego w Alpine Valley – dokończył.

– To prawda.

– Kiedy ostatnim razem sprawdzałem listę naszych prawników, nie znalazłem tam jego nazwiska.

Zacisnęła usta. Domyślała się, o co chodzi.

– Owszem, a jeśli chcesz znać moje zdanie, to w spisie nie powinno być również Billa Morana – odezwała się po chwili. – Powiedziałeś, że znajdzie czas na tę sprawę, Cliff, ale on nie zadał sobie nawet trudu, żeby zadzwonić do mnie, o co prosiłam, i został obrońcą strony przeciwnej.

– Dano, nam nie płacą za to, żebyśmy zlecali robotę pracownikom innych firm. Nie wolno ci wyprowadzać niczego poza naszą kancelarię. Wszystko ma być załatwiane tutaj.

Przyglądała mu się uważnie.

– To jest moja sprawa – wycodziła przez zęby. – Poprowadzę ją w taki sposób, żeby jak najlepiej przysłużyć się interesom klienta. A jeżeli ty jeszcze raz się wtrącisz i dalej będziesz mi groził, to jutro odejdę i zabiorę klienta ze sobą.

Austin siedział bez ruchu przez tak długi czas, że Dana zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem dowcip Charliego Morrisona nie zamienił się w rzeczywistość i czy stężenie pośmiertne u Cliffa nie osiągnęło najwyższego stadium.

– I kto tu grozi? – odezwał się w końcu.

– To nie są puste słowa. Dobrze wiesz, że Charlie Morrison nie będzie robił z wami interesów, jeśli ja odejdę.

– Naszym klientem jest korporacja Pennsteel, nie Charlie Morrison. Ciekawe, czy zachowałabyś tam mocną pozycję, gdyby on się stamtąd zmył. Zastanawiam się też, jak szybko by go wyrzucili, gdyby zarząd wiedział o nim tyle, co my.

Oczy Dany rozbłyły.

– Jeśli piśniesz choć słówko, Charlie pozwie cię do sądu za oszczerstwo. A ja pomogę ci zgadnąć, kto go będzie reprezentował jako adwokat – powiedziała.

Rozległo się nieśmiałe pukanie. Oboje odwrócili się i zobaczyli na progu Trávisa przestępującego z nogi na nogę.

– Porozmawiamy o tym przy innej okazji – rzuciła Dana.

Austin podniósł się sztywno i ruszył do drzwi. Travis omal się nie przewrócił, ustępując szefowi z drogi. Popatrzył na Danę z paniką w oczach.

– Co tu się dzieje?

Przezesła palcami włosy.

– Ciągłe to samo – odparła. – Nic, czym ty musiałbyś się przejmować.

Travis jednak nadal miał bardzo zmartwioną minę.

– A ty co tutaj robisz? – zapytała. – Myślałam, że pracujesz z zespołem u „Geisingera”.

– Musiałem na chwilę wrócić.

– I jak tam idzie?

Wzruszył ramionami. – Pomiedzy komputerową symulacją i inżynierią

dźwięku wszystko zostaje jedynie spekulacją z dziedziny nowoczesnej techniki. Dana potarła ręką czoło.

– Na pozór wszystko wygląda przekonująco – ciągnął Travis. – Ale tak naprawdę nie mamy solidnych argumentów. Thompson powie: jasne, to mogło się stać w taki sposób, ale też istnieje dziesięć innych możliwości. Gdybyśmy tylko zdobyli coś jeszcze...

Właśnie o to Dana starała się przez cały dzień. W całym rozumowaniu pojawiła się potężna dziura wielkości wulkanicznego krateru, której nie wypełni zeznanie Dany na temat rozmowy, jaką prowadziła z Victorem. Bardzo pomogłoby przedstawienie zdjęć ukazujących rysy na płozach, zrobione przez śmigło samolotu, ale tego dowodu nie sposób wykorzystać.

– Wiem, że pewnie niepotrzebnie się martwię – powiedział Travis, otwierając drzwi. – Ty jak zwykle wyciągniesz asa z rękawa.

– Ja?

– Poczekaj, prawie zapomniałem, z czym do ciebie przyszedłem. Katie urodziła dzisiaj dziewczynkę. Mała waży trzy i pół kilo.

Dana odchyliła się w fotelu.

– Och, to znakomicie! Czy obie...

– Czują się doskonale. Wysłałem kwiaty od zespołu.

– Prawdziwy z ciebie książę, Travisie.

– No, cóż – mruknął czerwieniąc się. – Przypuszczałem, że królowa jest za bardzo zajęta, aby zadbać o to osobiście.

Po południu ciężkie chmury nabrzmiały jeszcze bardziej, otwarcie grożąc deszczem. Na korytarzu podniósł się ożywiony szmer głosów – ludzie z nadzieją mówili, że wieczorem może zdrowo popadać. Taka

perspektywa zdawała się równie niezwykła, jak śnieg w Miami. Sekretarki biegały do okien, prawnicy odwiedzali się pod pretekstem nagłych a niezbędnych konsultacji, by spojrzeć na ciężkie, czarne chmury.

Dana wymknęła się do stanowiska dowodzenia, by tam, w ciszy wieczoru skoncentrować się na przemówieniu. Do ósmej napisała wstępną wersję i zatelefonowała do swoich ludzi pracujących w „Geisinger”, by się dowiedzieć, czy i oni osiągnęli jakiś sukces.

Słuchawkę podniósł Andy.

– Mamy problem – oznajmił.

– Co się stało?

– Diefenbach nie chce się podpisać pod moją rekonstrukcją toru lotu samolotu.

– Ale to się przecież zgadza ze wskazaniami radaru.

– No tak. Kłopot sprowadza się do długich przerw między jednym a drugim zapisem. Diefenbach twierdzi, że można jedynie przyjąć, iż samolot leciał prosto na wysokości około siedmiuset metrów, ponieważ tak zachowałby się rozważny pilot.

– Tyle że Loudenberg wcale nie zachowywał się rozsądnie.

– Ja o tym wiem, ale Diefenbach nie.

Dana poczuła nagły przypływ frustracji. Rekonstrukcja Andy’ego była bardzo logiczna – Dana mogła zamknąć oczy i wyobrazić sobie, jak skyhawk leci tuż za JetRangerem na wysokości pięciuset metrów, nagle wznosi się, żeby ominąć górę...

– Andy! A zdjęcie mojej córki, ze wzgórzem w tle...?

– Jeżeli wykorzystasz tę fotografię, porywacze się dowiedzą, że jesteś w stanie zidentyfikować ich człowieka. A wtedy na pewno cię dopadną.

Po niebie przewalały się burzowe chmury, wzmagał się wiatr. Potężne podmuchy porywały śmiecie z ulicy.

– Dano?

– Oczywiście, masz rację – powiedziała. – Pojadę do was i pogadam z Diefenbachem.

– Nie spodziewaj się cudów.

– Będę za pół godziny.

Wyłączyła się i podeszła do stołu, aby zebrać wszystkie zdjęcia: duże odbitki, slajdy i powiększenia.

Za oknem chmury wreszcie pękły, wylewając na ziemię hektolitry wody; krople głośno bębniły o szyby. Deszcz zmoczył nagrzane dachy, które zaczęły gwałtownie parować. Wyglądało to tak, jakby naraz podniosły się tysiące duchów.

W prowizorycznej kuchni Dana znalazła plastikową torbę. Wsadziła do niej zdjęcia. Potem poszukała innej torby, w której dałoby się schować kostium na jutrzejsze wystąpienie. Deszcz tłukł o szyby, budząc echo niosące się po betonowej podłodze w pustej sali. Hałas niemal zagłuszył odgłos kroków na korytarzu przed drzwiami. Nieznajomy miał buty ze skórzanymi podeszwami.

Utkwiła oczy w podłodze, kiedy zostawiony w zamku klucz zaczął się obracać. Bezszelestnie podbiegła do drzwi i wyjęła go z dziurki. Usłyszała chrzęst metalu ocierającego się o metal. Ktoś starał się podważyć zapadkę.

Przecież to niemożliwe. Nie licząc Andy'ego, nikt nie miał pojęcia, że ona przebywa w punkcie dowodzenia, a Broder znajdował się w odległości trzydziestu kilometrów od tego miejsca. W dodatku tylko ludzie z zespołu Palazzo wiedzieli o istnieniu kryjówki.

Rzuciła się do telefonu, by zadzwonić do strażników w holu na parterze. Czekala długo, ale nikt nie odbierał – w tym samym czasie chrobotanie w zamku nie ustawało.

Dziwne, strażnicy nigdy nie opuszczali swoich stanowisk. Wyłączyła się i gorączkowo rozglądała za narzędziem do obrony, ale zauważyła tylko krajalnicę do papieru, stojącą na kopiarce koło drzwi. Podniosła oczy na niewykończony sufit, kable i zbiorcze węzły ulokowane pomiędzy dźwigarami; nagle przypomniała sobie wiele cennych szczegółów na temat elektryczności, jakie poznała podczas pracy nad sprawą Palazzo.

Wsadziła rękę za kopiarke i wyciągnęła z gniazdka przewód. Wsunęła go od krajalnicy i przecięła drut. Ostrożnie przyłożyła koniec kabla do ostrza i oderwała plastikową koszulkę. W środku widać było dwa druty: srebrzysty – jest neutralny, miedziany – pod napięciem. Ściągnęła izolację w taki sposób, by na zewnątrz wystawał długi odcinek miedzianego przewodu.

Człowiek stojący za drzwiami wciąż grzebał szpikulcem w zamku. – Dana zauważyła, że zapadki zaczynają się przesuwac. Wstrzymała oddech, wsadziła do zamka miedziany przewód i uklękła, by wcisnąć wtyczkę do gniazdka. Za drzwiami rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk.

Słyszała dzikie łomotanie swojego serca. Wytężyła słuch w oczekiwaniu dalszych odgłosów z drugiej strony. Deszcz mocno walił o szyby. Upłynęło dziesięć minut, ale na korytarzu nic się nie działo. Wstała z podłogi, cichutko wróciła do telefonu i po raz drugi zadzwoniła do strażników.

– Bardzo mi przykro, że mnie nie było na stanowisku, proszę pani –

powiedział starszy mężczyzna o twarzy rumianej niczym jabłuszko, kiedy Dana otworzyła mu drzwi po tym, jak wsunął przez szparę swoją odznakę identyfikacyjną. – Ktoś sobie zażartował przez telefon, musiałem na darmo jechać na czterdzieste drugie piętro i z powrotem.

Dana wyszła na korytarz z aktówką i dwiema plastikowymi torbami.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Trochę się wystraszyłam burzy. Czy może pan odprowadzić mnie do garażu?

– Z wielką przyjemnością. Wcisnęła guzik, żeby przywołać windę.

– Ojej, proszę spojrzeć! – zawołał strażnik.

Dana odwróciła się – mężczyzna wskazywał na okopcony metal przy dziurce od klucza.

– Wygląda na to, że ktoś kombinował coś z palnikiem – powiedział zaskoczony.

– Pewnie murarze – mruknęła Dana, wchodząc do windy.

Zjechali do garażu. Strażnik postarał się, żeby bezpiecznie dotarła do mercedesa i usiadła za kierownicą. Później pożegnał panią adwokat i wrócił do windy.

Dana zablokowała drzwi i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył natychmiast, wydając cichy pomruk, tak dobrze znany i działający uspokajająco. Wyjechała tyłem z stanowiska i ruszyła pod górę estakadą prowadzącą do bramy. Nagle nie wiadomo skąd wyskoczył z piskiem opon ciemny sedan i zatarasował jej przejazd. Drzwi samochodu otworzyły się gwałtownie. Ze środka wyskoczyli dwaj mężczyźni i zaczęli biec, powiewając połami przeciwdeszczowych płaszczy. Zaskoczona Dana skręciła raptownie, nacisnęła gaz i z impetem cofnęła się o dziesięć metrów. Tylny zderzak

uderzył w metalowy słupek, silnik zgasł. Napastnicy doskoczyli do jej wozu – kiedy zaczęli walić pięściami w przednią szybę, Dana zamknęła oczy i wrzasnęła, ile sił w płucach.

Nagle usłyszała delikatne pukanie w boczną szybę przy siedzeniu pasażera. Gdy podniosła powieki, zobaczyła Mirellę Burke. Zamrugła, jakby nie mogła uwierzyć własnym zmysłom, po czym znowu spojrzała przed siebie. Obaj mężczyźni przyłożyli do szyby odznaki FBI.

– Wpuścisz mnie? – zawołała Mirella. – Kiedy widzę, jak jeździsz, wolę już siedzieć w środku. Na zewnątrz grozi mi kalectwo.

Dana odblokowała drzwi. Mirella wsiadła – sprężyny fotela jęknęły pod jej ciężarem.

– Jesteś dziś bardzo przewrażliwiona – powiedziała.

Dana ścisnęła kierownicę, żeby ukryć drżenie rąk.

– Co to znaczy, do ciężkiej cholery!?! – wybuchnęła.

– Od trzech godzin usiłujemy cię namierzyć. W końcu mówię: ona nie opuści budynku bez tego swojego samochodu, więc poczekajmy tutaj.

Dana wbiła w przyjaciółkę oczy rozplomienione z wściekłości.

– Może zechcesz mi wyjaśnić, co się stało tak cholernie ważnego, że musicie na mnie zastawić zasadzkę?

– Hola, złotko, wyluzuj się trochę. Ja tu jestem z twojego, nie ze swojego powodu. – Mirella uśmiechnęła się szeroko. – Dziś po południu dostaliśmy odpowiedź z wielkiej ławy przysięgłych i mamy oficjalny akt oskarżenia.

W samą porę dla pewnego adwokata, który jutro zamierza dać wielkie przedstawienie. Chwytasz, o co mi chodzi?

Dana zrozumiała wszystko – poczuła, jak wrażenie ulgi zaczyna

dominować nad podnieceniem.

– Mirello! – krzyknęła. – Chcesz powiedzieć, że mogę ujawnić wątek paramilitarny?

Egzotyczne oczy Mirelli wyrażały wielkie zdumienie.

– Ujawniaj sobie, co tylko zapragniesz – powiedziała. – Ale najlepiej trzymaj się ściśle faktów. To nie jest żadna grupa paramilitarna, tylko banda handlarzy narkotyków.

Dana spojrzała na nią uważnie.

– Zresztą sama zobacz. – Mirella sięgnęła pod płaszcz i wyciągnęła plik papierów.

Dana szybko przebiegła wzrokiem pierwszą stronę: „Stany Zjednoczone Ameryki przeciwko Carlosowi Reyesowi, Nestorowi Santiago...” i jeszcze ze dwadzieścia nazwisk, których nigdy nie słyszała. Przynajmniej przede wszystkim jednak zwróciła uwagę na nazwę sądu – Sąd Okręgowy Stanów Zjednoczonych dla wschodniej Pensylwanii. A przecież Scranton i Montrose leżały w okręgu centralnym.

Odwróciła się do Mirelli.

– To jest twoja sprawa, prawda? Lomaks robił wyłącznie za parawan.

– Rzeczywiście, nie miał zbyt wiele do gadania.

– Cały czas mnie okłamywałaś...

– Ja tylko ujawniałam informacje w sposób selektywny, złotko. Dana analizowała listę oskarżonych.

– Słuchaj, tu nie ma Billy’ego Loudenberga.

– Zgadza się. Zawarliśmy z młodym Billym prywatne porozumienie.

– To on jest twoim kapusiem – powiedziała powoli Dana.

– Biedaczek, nie wytrzymał po śmierci ojca i brata. Następnego dnia

przyszedł do nas i złożył wyczerpujące zeznania.

– Zaraz, moment... – Dana przerzucała kartki, szukając najważniejszej informacji, ale nie mogła jej znaleźć. – Czym oni się właściwie zajmowali?

– Rozprowadzaniem marihuany, kokainy i innych zakazanych substancji. Na boku przemycali też trochę broni.

– Nie mogę uwierzyć...

– To ten chłopak, który zginął, znaczy Donny, władował ich w ten gips. W szkole średniej działał jako handlarz prochów na małą skalę. Z czasem poznał kilku ważniejszych gości i przedstawił ich ojcu. Staruszek dał się namówić, zaorał ze trzydzieści akrów pszenicy i zasiał marihuanę. Już na tym samym można nieźle zarobić, ale jemu było mało. Zaczął znowu latać, co pozwoliło mu wejść do biznesu narkotykowego. Potem zwąchał się z paroma ważniakami z Nowego Jorku i Miami, a w końcu obracał bronią i prochami wartymi parę milionów dolarów. Obsługiwał całe wschodnie wybrzeże.

– A ci faceci w lesie... którzy podziurawili samolot Brodera...

– Wkroczyliście do jednego z punktów przelotowych, kochana. Billy i Zack czekali akurat na transport i trzech dostawców z Nowego Jorku. Macie szczęście, że wyszliście stamtąd cali i zdrowi.

Dana patrzyła na Mirellę przez moment. Po chwili znowu wybuchnęła:

– W takim razie, dlaczego pozwoliłaś im uciec, na miłość boską?

– Chcieliśmy dostać Reyesa i Santiago. Gdybyśmy zgarnęli Billy'ego i Zacka, ci dwaj pierwsi skryliby się pod ziemią szybciej niż kret, który ma kota na ogonie.

– A Billy nie wymienił ich nazwisk w zeznaniu?

– Jasne, że to zrobił. Ale ty sama najlepiej wiesz, jak mało czasu potrzeba adwokatowi, żeby wdeptać w ziemię takiego świadka. Musieliśmy mieć coś więcej niż słowo wiejskiego chłopaka ze skłonnością do oszustw.

– No i co? Udało się?

– Tak jest, proszę pani. W końcu dopisało nam szczęście.

– Wygląda na to, że mi także – mruknęła Dana.

– Rzeczywiście – rzuciła Mirella oburzonym tonem. – Spędziłam tu cały wieczór, czekając na ciebie.

– Dziękuję ci, Mirello – Dana pochyliła się, by uścisnąć przyjaciółkę. Malutka przytuliła ją do swojego miękkiego jak poduszka biustu.

– No to może teraz ty mi opowiesz, co takiego się stało, że niemal wyskoczyłaś ze swej białej skóry? – zapytała.

– Jasne – zgodziła się Dana. – Możemy się umówić na jutro po południu?

Mirella obserwowała ją przez dłuższą chwilę. W końcu skinęła głową.

– W porządku. Tyle mogę poczekać. A tak na marginesie... – Mirella spojrzała na rozbitny bagażnika mercedesa – ... może gdzieś cię podwieźć?

Dana zostawiła w garażu swój poturbowany wóz. Agenci FBI odwieźli ją do hotelu „Król Prus” w ulewnym deszczu. Kiedy tylko znalazła się w pokoju w „Geisinger Center Hotel”, zadzwoniła do Andy’ego.

– Jezusie! – wybuchnął. – Jest już po jedenastej, odchodziłem od zmysłów!

– Wiem. Przykro mi, Andy.

– Nic ci się nie stało?

– Nie, czuję się doskonale.

– Mogę przyjść do twojego pokoju? – zapytał z nutą wahania.

– Bardzo proszę – odparła. – I przyprowadź ze sobą Johna Diefenbacha.

Whit zamknął zeszyt i odchylił głowę. Słuchał, jak deszcz bębni w skorupę ze szklanego włókna. Dwadzieścia lat zwlekania, zrządzenia i pisarskiej mordęgi udało mu się ukoronować sukcesem, a wymagało to tylko dwóch dni pracy. Książka była praktycznie skończona. Potrzebował jeszcze miesiąc na wygładzenie tekstu i gotowe.

„Przy braku zwornika fałszywy łuk jest wszystkim, czego można oczekiwać od życia”, pisał Stegner. „A tylko wyjątkowi szczęściarze odkrywają zwornik”.

On sam znalazł właśnie tego rodzaju zwornik, choć naturalnie w obecnej sytuacji nie mógł uważać się za szczęściarza. Pociągnął łyk wody z dzbanka i złożył sobie solenne przyrzeczenie: jeżeli wyjdzie żywy z tej piekielnej dziury, odszuka drugą klamrę, dzięki której przyciągnie do siebie Dane i spowoduje, że zostaną już razem do końca życia.

Odstawił naczynie z wodą i rozpakował porcję jedzenia przewidzianą na ten wieczór. Ike mówił, że dopiero za tydzień ktoś może przyjść. Jedzenia i wody prawie wystarczy, ale bateria w latarce wyczerpie się wcześniej. Whit odwrócił się i wyłączył światło.

Ogarnęła go ciemność, odgłosy burzy przybrały na sile. Wstał z podłogi i rozciągnął ciało na tyle, na ile pozwolił mu dach kabiny, po czym zaczął przenosić ciężar z jednej nogi na drugą. Nagle poczuł, że jeden z rogów ubikacji się kołysze. Oparł dłonie na ścianach, żeby odzyskać równowagę, kiedy kabina zaczęła się zapadać z jednej strony. Woda musiała wypłukać spod spodu ziemię.

No, wreszcie. Może teraz uda się rozwalić budę w miejscu spojenia, pomyślał. Oparł się mocno rękami o ściany, podniósł nogi i kopnął w drzwi z całej siły, jaką był w stanie z siebie wykrzesać. Drzwi nie poddały się, ale kabina zaczęła się chwiać, potem kołysać, aż wreszcie runęła na bok w błotnistą ziemię. Whit rozpaczliwie starał się utrzymać równowagę.

Uderzył głową o dolną część toalety. Jeszcze na wpół zamroczony sięgnął po latarkę. Kiedy ją włączył, przekonał się, że kabina leży na tylnej ścianie, a drzwi znajdują się w górze. Podniósł nogi i kopnął. Bez powodzenia. Opadł zdyszany.

Na głowę spadła mu kropla wody. Whit zapalił latarkę. Głośnik, który od tygodnia tkwił na suficie kabiny, musiał się obluzować podczas upadku, bo teraz przez otwory wentylacyjne do środka przedostawało się światło. Równie łatwo przeciekała woda. Spadła następna kropla – rozprysnęła się na jego głowie z takim hukiem, jakby ktoś zdetonował niewielką bombę.

W czwartek rano deszcz lał z nieba strumieniami, wałąc w drzewa, okna i jezdnie. Po sześćdziesięciu dniach upału i suszy ziemia była zbyt spieczona, żeby wchłonąć wodę, więc po zboczach spływały potoki, tworząc rozlewisko na podjeździe przed firmą „Geisinger”. Jadące sznurem samochody skręcały w kierunku kompleksu budynków. Każdy kolejny pojazd rozpryskiwał wodę, przejeżdżając przez zalane skrzyżowanie, jakby to była fosa otaczająca zamek obronny.

Dana obserwowała uliczny ruch z okna audytorium na piątej kondygnacji. Do spotkania wyznaczonego na dziesiątą zostało jeszcze pół godziny, ale ekipy telewizyjne ustawiały już kamery, rzędy krzeseł szybko się zapępniały. Pomimo złej pogody większość filadelfijskich adwokatów postanowiła wziąć udział w tym wydarzeniu. Co chwilę rozlegał się dzwonek windy, a ze środka wychodziła kolejna grupa widzów, wśród których zawsze było widać znajomą twarz.

Drzwi windy znowu się otworzyły. Charlie Morrison wyskoczył na korytarz.

– Dano! – zawołał. Szedł z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie ociekającego wodą płaszcza przeciwdeszczowego. – No i jak?

– Myślę, że dobrze. Ale liczy się głównie to, co oni pomyślą – odpowiedziała wskazując głową audytorium.

– Niezależnie od tego, uważam, że zrobiłaś kawał naprawdę dobrej roboty. Bardzo to doceniam. Mam też nadzieję, że będę miał mnóstwo okazji, aby ci udowodnić, jak bardzo.

– Ja też mam taką nadzieję, ze względu na ciebie, Charlie – odparła z uśmiechem.

W głębi korytarza trzasnęły drzwi. Dana zeszywniała na widok zbliżającego się Dona Skelly’ego.

– Cześć, Morrison, przestań kapać na mój nowiutki dywan – powiedział zatrzymując się, żeby zapalić papierosa.

Charlie uśmiechnął się.

– Masz poważniejsze problemy z wodą, Don. Wasze studzienki ściekowe na ulicy są już całkowicie zapchane. Wygląda na to, że budujecie tam największy basen na świecie. – Charlie pokazał wykop pod fundament wieży zachodniej.

– Tak, widzę – mruknął Skelly. – Ale nie będzie ci do śmiechu, kiedy się okaże, że budowa się opóźnia z winy producenta stali. – Odwrócił się do Dany i dodał: – Zgodzisz się nas reprezentować, jeżeli pozwiemy Pennsteel o odszkodowanie z tego powodu.

– To będzie konflikt interesów – odpowiedziała ostrożnie.

Winda znowu zabrzęczała. Wysiadł z niej Norm Wiecek ze spuszczoną głową.

– Cholera, to moja gorsza połowa – rzucił Skelly, zaciągnął się dymem z papierosa i ruszył powitać kolegę.

Charlie uważnie przyglądał się Danie.

– Masz ze Skellym jakieś problemy? – zapytał.

Kiwnęła głową z ponurą miną.

– Później ci powiem, dobrze? Teraz muszę się przygotować.

– Jasne. Połam sobie nogi.

Otworzyła tylne drzwi audytorium i weszła do środka. Członkowie

zespołu zajmującego się symulacją komputerową zgrupowali się pod sceną. Pracowali na trzech różnych komputerach, z których można było przesyłać obraz na gigantyczny ekran filmowy. Nad operatorem jednego z terminali pochylał się mężczyzna. Kiedy Dana się zbliżyła, wyprostował plecy.

– Andy? – zapytała.

Broder miał na sobie szary garnitur, krawat w paski i śnieżnobiałą koszulę – w tym stroju ani trochę nie przypominał buńczucznego młodzika. Robił wrażenie pewnego siebie, zasadniczego profesjonalisty.

– Wspaniale wyglądasz – powiedziała otrząsając się z chwilowego zaskoczenia.

– Ty też się świetnie prezentujesz jak na osobę, która spała ze dwie godziny.

– Diefenbach wciąż tu jest? – Dana ściszyła głos.

– O, tak. – Andy wskazał sąsiedni komputer, przy którym stał ekspert, kiwając głową na znak, że akceptuje obrazy pojawiające się na monitorze.

– No to było warto.

Andy spojrział za siebie i chwycił Dane za rękę.

– Boże, strasznie zmarzłaś. Dobrze się czujesz?

– Jestem trochę zdenerwowana. – Obrzuciła wzrokiem wszystkie stanowiska komputerowe. – Widziałeś Luke’a?

– Ostatnio siedział w kabinie z inżynierem dźwięku.

Dana wbiegła po schodach i skryła się za kotarą, gdzie mieściło się studio dźwiękowca. Za szybą zauważyła głowę Luke’a. Stał między akustykiem a Travisem Huntem. Zastukała w okno, kiwając na niego.

– Możesz mi znaleźć projektor do slajdów i ustawić go w kabinie? –

zapytała, kiedy Luke wyszedł.

Młody człowiek skrzywił się.

– A po co? Nie mamy żadnych slajdów.

– Może się przyda.

Luke wzruszył ramionami i odszedł. Dana odwróciła się i zauważyła, że zza okna przygląda się jej Travis. Kiedy spojrzała na niego, odwrócił wzrok.

Popatrzyła na zegarek – za dwie minuty dziesiąta. W audytorium coraz głośniej brzmiały głosy gromadzących się ludzi. Rzuciła okiem zza kurtyny i zobaczyła tłum stojących gości. Sprawdziła listę: na środku, w pierwszym rzędzie siedzieli członkowie ekipy dochodzeniowej NTSB. Harry Reilly i Jim Cutler pochylali się z poważnymi minami nad siedzącym pomiędzy nimi człowiekiem, który z pewnością był przedstawicielem zarządu bezpieczeństwa. Dalej ulokowali się: Peter Seferis ze swoją brygadą mamuś, Ira Thompson, Don Casella, Angela Leoni i ze sto nieznanymi osobami.

Oliver Dean i Trzej Amigos usadowili się na przedzie. – Charlie na prawo od Deana, za nimi Haguewood i Schaeffer. Jakiś mężczyzna nachylał się nad Deanem z drugiej strony – Dana z zaskoczeniem rozpoznała Clifforda Austina. Po chwili zorientowała się, na czym polega jego gra: przyszedł, aby móc szeptać Deanowi do uszka. Dana miała nadzieję, że Austinowi wystarczy zdrowego rozsądku, żeby nie powtarzać oszczerstw pod adresem Charliego. Bez trudu jednak mogła sobie wyobrazić, jak Cliff sypie truciznę do jej studni. Opowiada na przykład, że pani Svenssen ma wielu wrogów w kancelarii, i przekonuje Deana, iż to nie Dana, tylko zespół przygotował dzisiejszy program, a możliwości

stworzenia podobnego pokazu są osiągalne jedynie w dużej firmie, takiej jak „Jackson, Rieders”. Ogarnęło ją silne uczucie zniechęcenia.

Wrażenie to nasiliło się, kiedy popatrzyła na reprezentację Pennsteelu i Dona Skelly’ego, który siedział z uśmiechem wyrażającym samozadowolenie. Na jego widok zadrżała ze strachu i niechęci. Trzej ludzie zginęli, dziesiątki odniosły rany, Whit stał się zakładnikiem – a wszystko po to, żeby Skelly mógł uratować bilans „Geisingera” oraz gigantyczną budowę.

Odwróciła twarz i zauważyła Mirellę Burke. Puszysta kobieta kroczyła przejściem w kaftanie powiewającym niczym skrzydła nietoperza. Dana podjęła decyzję: zanim dzień dobiegnie końca, znajdzie sposób, by zdemaskować Dona Skelly’ego, a zrobi to w obecności Mirelli i setki innych świadków.

Luke szedł z rzutnikiem do slajdów.

– Zaczekaj chwilkę – szepnęła do niego Dana. Otworzyła swoją teczkę, wyjęła pudełko ze slajdami i wsunęła mu pod pachę. – Nie wspominaj o tym nikomu, zgoda? – dodała. – Jeżeli postanowię je pokazać, dam ci znać.

– W porządku – zgodził się Luke i wszedł do kabiny projekcyjnej.

– Dano, już dziesiąta! – zawołał ktoś ze sceny.

Stanęła przy mównicy. Na sali szum ucichł. Z tej pozycji tłum słuchaczy wydawał się ogromny i złowrogi. Setki podejrzliwych oczu wbiły się w Dane, setki ust gotowe były sprzeciwić się temu, co powie.

– Dzień dobry – odezwała się do mikrofonu. Starła się nie słuchać elektronicznego odbicia. – Chciałabym podziękować Krajowemu Zarządowi Bezpieczeństwa Transportu za to, że przysłał swoją delegację

na dzisiejsze spotkanie oraz umożliwił zaprezentowanie wyników dochodzenia. Dziękuję też wszystkim obecnym za przybycie.

Trzydzieści dni temu helikopter korporacji Pennsteel oraz prywatny, lekki samolot zderzyły się w powietrzu nad parkiem rozrywki Alpine Valley. Byłam tam wtedy, tak jak wielu z państwa. To najbardziej tragiczna katastrofa, jaką kiedykolwiek widziałam.

Tamtego dnia nikt z nas nie miał pojęcia, kto spowodował tragedię. Przyczyna katastrofy pozostawała nieznana przez szereg kolejnych dni. Ale większość osób od razu wskazywało domniemanego winowajcę – Pennsteel. Nikt nie osądzał drugiej strony, która nie miała pieniędzy. Wszyscy rzucili się na Pennsteel.

W tych warunkach firma musiała przeprowadzić własne dochodzenie, aby ustalić przyczynę kolizji. Działania w tej sprawie podjęliśmy dwanaście dni temu, a dziś znamy już odpowiedź.

Wiemy na pewno, że do tragicznego wypadku nie doszło na skutek działania siły wyższej. Pozwolę sobie sparafrazować słowa jednego z moich kolegów, który jest dziś obecny w tej sali: to nieszczęście zostało spowodowane przez skrajną lekkomyślność i rażący brak respektu dla bezpieczeństwa ludzi. Było to zachowanie jednoznacznie naganne.

Zginęło dwanaście osób, dziesiątki doznały obrażeń – a wszystko dlatego, że pilot samolotu skyhawk świadomie zaryzykował śmiertelnie niebezpieczny manewr. Starał się pozostać niewidzialnym dla załogi helikoptera, która w konsekwencji nie miała żadnej szansy uniknąć zderzenia.

Większość z was słyszała teorię, że to helikopter spowodował wypadek, ponieważ w ciągu mniej więcej piętnastu sekund obniżył

wysokość lotu prawie o dwieście metrów. Dane radarowe przeczą takiej opinii, nie potwierdzają jej również naoczni świadkowie. Teoria oparta była jedynie na zapisie dźwięków z kabiny helikoptera. Panie Reilly, pan oczywiście słyszał nagranie. Przypuszczam, że znają je wszyscy obecni. Zastanawiam się jednak, ile osób naprawdę wysłuchało uważnie tej taśmy. Bo właśnie to nagranie zawiera dowód, że helikopter nie obniżył pułapu lotu bezpośrednio przed kolizją – ciągnęła Dana.

Reilly pochylił się do Cutlera i zaczął mu coś szeptać do ucha. Cutler potrząsał głową. Trzy rzędy dalej siedział Ira Thompson z krawatem zarzuconym na ramię i okularami zsuniętymi na tył głowy.

– Chciałabym, aby w tej kwestii wypowiedział się zawodowy pilot. Andrew Broder lata na śmigłowcach i lekkich samolotach. Jest także inżynierem lotniczym. Pan Reilly otrzymał już jego dane z opisem kwalifikacji, a wszyscy inni zainteresowani znajdą ten materiał na stole przy drzwiach. Proszę, panie Broder.

Dana zniknęła za kulisami; Andy poprawił krawat i podszedł do mikrofonu.

– Proszę o pierwszy obraz – zaczął.

W audytorium wygaszono światła. Na wielkim ekranie ustawionym na scenie pojawiły się obrazy powstałe dzięki symulacji komputerowej.

– Oto kokpit JetRangera – objaśniał Andy. Na ekranie rysunkowa postać przedstawiająca pilota usiadła na fotelu i przejęła stery. – Aby obniżyć pułap lotu takiej maszyny w stopniu wystarczającym do pokonania w pionie dystansu, o którym mówi się we wspomnianej hipotezie, pilot musi wykonać manewr zwany zejściem kolektywnym.

Ludzik widoczny na ekranie opuścił dźwignię. – Dzięki temu zmienia

się kąć nachylenie łopatek głównego śmigła, a to z kolei powoduje zwiększenie siły ciągu i mocy silnika. – Pojawił się widok śmigłowca z profilu. Łopatki wirnika przekreśliły się, maszyna zaczęła opadać. – Towarzyszy temu następujący efekt dźwiękowy.

Technik w kabinie akustycznej przekreślił włącznik i ze wszystkich szesnastu głośników rozmieszczonych w audytorium popłynął wysoki ton pracującego silnika. Na ekranie znowu pojawił się obraz wnętrza kabiny helikoptera. Pilot powtórzył ten sam manewr, a ton silnika spadł o dwie oktawy.

– Nagranie, które państwo słyszą, zostało wykonane w poniedziałek rano – mówił Andy. – W prezentowanym modelu JetRanger schodzi z siedmiuset na pięćset metrów w ciągu piętnastu sekund. A teraz posłuchajmy nagrania zrobionego przed kolizją. Głosy ludzi zostały wytłumione. Został tylko szum silnika i wirnika.

Odtworzono drugą taśmę – rozległ się jednolity, wysoki dźwięk aż do chwili zderzenia, objawiającego się gwałtownym hałasem.

Kiedy znów włączono światło, Dana weszła na podium i obrzuciła szybkim spojrzeniem słuchaczy. Jim Cutler zapisywał coś bardzo szybko, Don Casella gładził podbródek, Don Skelly siedział ze złożonymi rękami i robił wrażenie, jakby lada chwila miał wybuchnąć z zadowolenia. Tylko Peter Seferis poderwał się na równe nogi z grymasem na twarzy.

– Chytra sztuczka! – zawołał. – Usunęliście z taśmy głos Sullivana, ale na procesie nie będzie wam tak łatwo wymazać dowodów.

– Dowodów na co, Peterze? – zapytała Dana.

– Na to, co mówił Sullivan! Możecie się bawić dźwiękiem maszyny, jak wam się tylko podoba, ale wiadomo co facet powiedział.

Na sali rozległ się szmer poparcia.

– Czy właśnie to masz na myśli? – zapytała Dana. – Proszę przewinąć taśmę.

Tym razem z głośników popłynął głos Sullivana: „Hej, teraz wiem, gdzie jesteśmy. Zbliżamy się do parku rozrywki. Widać kolejkę górską. Jak to się nazywa? Aha, Alpine Valley”.

Dana nachyliła się do mikrofonu – z głośników rozległa się jej odpowiedź: „Nie żartuj! Pomachaj tym na dole, Vic. Moje dzieciaki są tam dziś na wycieczce”.

Ira Thompson wyprostował się gwałtownie: Okulary zsunęły mu się na nos.

„Co ty powiesz?!”, zagrzemiał Vic. „Hej, Ron, opuść tę zabawkę. Poszukamy dwóch blondynek”.

Angela Leoni wbiła wzrok w Dane. Z odległości trzydziestu metrów słyszeć było, jak powiedziała: „Jezus!”

– Victor Sullivan rozmawiał ze mną przez telefon bezpośrednio przed zderzeniem – ciągnęła Dana. – Luke, czy możesz pokazać pierwszy slajd?

Światła zgaszono po raz kolejny. Na ekranie pojawił się obraz dwóch małych dziewczynek widzianych z tyłu – miały jasne włosy, zawiązane w mysie ogonki.

– Panie i panowie, oto blondynki, o których wspominał pan Sullivan.

Na sali podniósł się szum. Po chwili wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Harry Reilly zrobił się czerwony na twarzy. Nawet Don Casella się uśmiechnął. Peter Seferis opadł na fotel.

– Panie Reilly, przeprowadzone w waszym laboratorium badania urządzenia zapisującego głos w kokpicie z całą pewnością wykazały, że w

uzwojeniu powstało zwarcie, co uniemożliwiło rejestrowanie dźwięków nadchodzących z zewnątrz na kanale czwartym – kontynuowała Dana. Jeden z ekspertów NTSB skinął głową co dowodziło, że domysły Teda Kellera były słuszne. – Przygotowałam zapis całej rozmowy, starając się jak najdokładniej powtórzyć własne słowa. Tekst znajdziecie państwo na końcu sali.

Z cienia wyłoniła się Maria z plikiem papierów. Natychmiast podeszło do niej kilka osób.

– Dotychczas zademonstrowaliśmy jedynie to, czego nie było – mówiła dalej Dana. – Teraz pokażemy, co się rzeczywiście wydarzyło.

Na ekranie pokazała się kolejna symulacja – trójwymiarowy skrót oddający wzajemne położenie helikoptera i samolotu w powietrzu.

– Podziałka widoczna po lewej stronie pokazuje wysokość – tłumaczyła. – Cyfry zostały wyprowadzone z trzech niezależnych źródeł informacji zebranych i przeanalizowanych przez eksperta Johna Diefenbacha. Wszystkie dane oraz opis kwalifikacji pana Diefenbacha znajdziecie państwo przy drzwiach. Jak widać, w momencie rozpoczęcia obserwacji JetRanger leciał na wysokości ponad ośmiuset metrów, a skyhawk na pułapie niewiele ponad pięćset metrów. Proszę o następny obraz.

Teraz pokazało się wnętrze kabiny helikoptera – widzowie mogli obserwować przez okno, co się dzieje na zewnątrz. W dole rozciągał się pofałdowany teren.

– Widoczny w rogu ekranu kompas wskazuje kierunek, w jakim leciał helikopter. Kurs ten był utrzymywany niezmiennie aż do chwili... – Na ekranie pojawił się obraz domów, trawników i ulic – ... gdy wyłoniło się

osiedle mieszkalne. Aby uniknąć przelotu bezpośrednio nad tym terenem, śmigłowiec skręcił o dwanaście stopni na północ.

Igła kompasu drgnęła, zmienił się również widok przed śmigłowcem: w oddali pojawiło się rusztowanie kolejki górskiej w Alpine Valley.

Kokpit nagle się przechylił, chwilę później za prawym oknem mignęło coś białego.

– Stop – powiedziała Dana; kiedy obraz znieruchomiał, można było zobaczyć, jak prawe skrzydło skyhawk uderza w główne śmigło helikoptera.

– Proszę dalej – poleciła. Ułamek sekundy później pojawił się pomarańczowy błysk: – nastąpił wybuch zbiornika z paliwem, umieszczonego w skrzydle samolotu.

Po widowni przeleciał szmer podniecenia, kiedy wielkie śmigło oderwało się, a JetRanger wpadł w spiralę ciągnącą go ku ziemi. Po zbliżeniu płóz helikoptera ekran opustoszał.

– Teraz pokażemy samolot – rzuciła Dana, zanim szum na sali zagłuszył jej słowa.

Widzowie zobaczyli następny obraz ze środka kabiny – tym razem patrzyli na świat zza deski rozdzielczej skyhawk. Przez przednią szybę widać było tylną część JetRangera, usytuowanego przed samolotem, nieco na południe, ale znajdującego się na tej samej wysokości i podążającego w tym samym kierunku. Nagle samolot opuścił nos – obecni zauważyli, że ziemia podnosi się gwałtownie. Trwało to do momentu, gdy skyhawk wyrównał położenie na wysokości pięciuset metrów. Po chwili, wzniósł się, prawie wracając do poprzednich ośmiuset metrów. Przed samolotem znowu pojawił się helikopter – w tej samej pozycji, jak wcześniej.

– Panie Broder, czy może pan wyjaśnić z punktu widzenia pilota, co się tu najprawdopodobniej wydarzyło?

Stojący po drugiej stronie podium Andy pochylił się do mikrofonu.

– Tor lotu wskazuje, że skyhawk starał się uniknąć zarejestrowania na radarze. Przed znaczną część trasy leciał na wysokości pięciuset metrów, to znaczy zbyt nisko, żeby zostać wykryty przez radar. To jest bardzo często spotykana praktyka, określana mianem latania po ziemi albo szybowania. W dodatku skyhawk leciał tak blisko JetRangera, iż na zapisie radarowym obie maszyny pojawiały się jako jeden sygnał.

W sali było ciemno, więc nie dało się zauważyć min słuchaczy, ale o tym, że publiczność jest pod wrażeniem informował nagły, gwałtowny szmer ożywionych rozmów. Na ekranie skyhawk zanurkował po raz drugi – tym razem wydawało się, że ziemia niemal się z nim zetknęła. Na widowni rozległo się głośne: „Ooooch!”. Samolot zaczął iść ostro do góry.

– Pilot nie zauważył, że teren się podnosi. Kiedy doleciał do wzgórza, zaczął się gwałtownie wspinać – tłumaczył Andy. Pojawił się obraz tego, co się dzieje wyżej; JetRanger zniknął za górną krawędzią ekranu. – Skyhawk wszedł na tak stromy tor, że prawie stracił siłę ciągu. Aby wyjść z tej pozycji, trzeba opuścić nos i zwiększyć moc. Jak państwo widzą, pilot właśnie to robi, dociskając przepustnicę.

– A teraz mamy relatywną pozycję helikoptera – włączyła się Dana. – Tego jednak nie mógł niestety widzieć pilot skyhawk. Proszę o rzut perspektywiczny.

Świat za oknem kabiny samolotu zakołysał się nagle i uciekł do tyłu – obie maszyny pojawiły się w jednym planie. Helikopter znajdował się niemal dokładnie nad skyhawkiem.

– O Boże! – zawołał ktoś z obecnych.

– Proszę nam teraz pokazać wnętrze samolotu.

Widzowie wrócili do kabiny skyhawka – obraz przeniósł się do góry po lewej i prawej stronie. W każdym z tych kierunków skrzydła zasłaniały pole widzenia, – Pilot leciał na ogonie helikoptera przez wiele kilometrów, ale teraz nigdzie go nie mógł wypatrzyć – mówił dalej Andy. – Kiedy poderwał swoją maszynę, żeby ominąć wzgórze, stracił orientację. Rozejrzał się więc na wszystkie strony, ale nie dostrzegł śmigłowca. Doszedł do wniosku, że jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, gdzie zniknął JetRanger.

Komputerowy obraz przechylił się do tyłu – samolot rwał do góry. W sali rozległo się zbiorowe westchnienie. Widzowie zdali sobie sprawę, jak będzie wyglądać następna scena. Na tle nieba ukazał się JetRanger, w tej perspektywie potężny i złowieszczy. Samolot starał się obniżyć lot, ale było już za późno. Łopatką śmigła przekroiła prawą łożę helikoptera, a kiedy uderzyła druga łopatką, śmigło oderwało się. Prawe skrzydło samolotu podniosło się i uderzyło w wielkie śmigło helikoptera. Nastąpił wybuch zbiornika z paliwem – tym razem pomarańczowy błysk rozlał się po całym ekranie.

Potem ukazały się jeszcze dwie symulacje z innej perspektywy, zakończone tą samą eksplozją.

– Proszę włączyć światło – odezwała się Dana.

Ira Thompson zerwał się z miejsca, zanim jeszcze zrobiło się jasno.

– Nie ma tu Billa Loudenberga, więc nie może się sam bronić! – krzyczał tak głośno, że jego słowa dudniły w audytorium. – Ale ktoś powinien wypowiedzieć się w jego imieniu. To, co wy o nim mówicie, jest

po prostu obrzydliwe! To był licencjonowany pilot, który nigdy nie popełnił żadnego wykroczenia. Szanowano go też jako głowę rodziny. Nie widzę żadnego powodu, żeby miał postąpić w sposób, jaki mu zarzucacie.

Dana oparła ręce na mównicy. Czekwała, aż sala się uciszy.

– Zgadza się – powiedziała w końcu. – Bill Loudenberg był doświadczonym pilotem i poważnym ojcem, ale także... handlarzem narkotyków.

Nagle zapadła cisza, a po chwili rozpętało się prawdziwe piekło. Rozbłysły flesze fotoreporterów, dziennikarze biegli w kierunku sceny, Ira Thomson z oburzeniem wykrzykiwał słowa protestu.

– Pani Burke, może zechce się pani wypowiedzieć w tej kwestii? – powiedziała Dana do mikrofonu.

Czarne oczy Mirelli zwęziły się. W końcu agentka FBI podniosła się z miejsca.

– Oto zastępca prokuratora federalnego, pani Mirella Burke – przedstawiła ją Dana.

Sala ucichła.

– Wczoraj, późnym wieczorem – zaczęła Mirella – federalna wielka ława przysięgłych potwierdziła akt oskarżenia przeciwko dwudziestu ośmiu członkom tajnej organizacji, która importowała i rozprowadzała szkodliwe substancje oraz broń palną. Dwaj spośród członków grupy to nieżyjący już William A. Loudenberg oraz Donald L. Loudenberg, jego syn. Obydwu zarzuca się nielegalny transport narkotyków i broni za pomocą samolotu Cessna 172 Skyhawk, zarejestrowanego na Williama A. Loudenberga, zamieszkałego w Montrose w Pensylwanii.

Kiedy Mirella usiadła, zabrała głos Dana:

– Tekst aktu oskarżenia znajdziecie państwo w tylnej części sali. Pojawiła się Maria ze stosem dokumentów, a obecni rzucili się na nią jak szarańcza. Dana odczekała pięć minut, aż zapanuje względny porządek, i ciągnęła dalej:

– Podczas procesu przedstawimy zeznania na temat sposobu latania pilotów biorących udział w handlu narkotykami. Jesteśmy zdania, że typowa metoda polega na tym, żeby lecieć tuż za legalnym samolotem, aby radar zarejestrował obecność tylko jednego obiektu, a to praktycznie czyni maszynę szmuglera narkotyków niezauważalną na ekranach radarowych, a tym samym niewykrywalną dla przedstawicieli organów sprawiedliwości. Sądzymy, że właśnie tak postępował William Loudenberg w czasie kolizji.

– Sądzicie? Spodziewacie się? – ryknął Thompson. – Przecież to czysta spekulacja! Dane radarowe nie potwierdzają tej teorii, tak samo jak wszyscy naoczni świadkowie. Ze sto razy przeglądałem zapisy i wiem, że nie mogą z nich wynikać wnioski prowadzące do waszej wersji zdarzenia. Nie dacie rady obronić przedstawionej hipotezy.

Powstał wielki hałas – jedni z obecnych zgadzali się z Thompsonem, drudzy nie, jeszcze inni wygłaszali własne teorie. Z podwyższenia Dana patrzyła na cały rozgardiasz. Thompson okazał się na tyle sprytny, by wykorzystać przeciwko niej oszczędny język, jakim się posługiwała. W dodatku miał rację. Nawet jeśli zdołała obalić jego teorię, to przecież nie udowodniła prawdziwości własnej. Wszystko, co zaprezentowała, stanowiło jedynie ilustrację.

– Damy radę – powiedziała wreszcie. – Luke, proszę.

Andy pokręcił głową, wbijając w Dane oczy.

– Proszę o kolejny slajd – dokończyła.

– Dano! – syknął ostrzegawczo Broder.

Światła zgasły, na ekranie pojawił się nowy obraz, najważniejszy: helikopter i samolot na szczycie kolejki górskiej.

– To już nie jest symulacja – poinformowała. – Prezentujemy prawdziwe zdjęcia wraków zrobione na sekundę przed tym, jak druga eksplozja rozniosła szczątki w proch i pył. Proszę zwrócić uwagę na równoległe biegnące rysy na płozie helikoptera. To ślady uderzeń śmigła samolotu, a także realny dowód, prezentujący kąt uderzenia.

Pojawiło się zdjęcie Katriny na tle wzgórza, z widocznym na niebie skyhawkiem.

– A oto dowód, że samolot szedł do góry, by ominąć szczyt.

Andy przebiegł przez scenę i stanął za plecami Dany. Zgromadzeni w milczeniu obserwowali ekran, po którym przesuwwały się kolejne zdjęcia. Nie pojawiły się tylko fotografie pokazujące człowieka z białymi włosami, wspinającego się po rusztowaniu kolejki górskiej.

– A skąd się wzięły te zdjęcia? – dobiegł z ciemności głos Iry Thompsona.

– Zrobiłam je własnoręcznie.

Kiedy zapalono światło, cała sala zaczęła huczeć. Dana czekała, aż hałas się uciszy. W tym czasie odszukała wzrokiem Dona Skelly'ego. Miała nadzieję zobaczyć w jego oczach poczucie winy, ale widziała jedynie szeroki, szczęśliwy uśmiech. Po jej plecach przebiegł dreszcz.

Siedzący w drugim końcu sali Hunt zerwał się gwałtownie i ruszył pędem między fotelami. Widząc Travisa, Dana pomyślała, że tak właśnie musiał wyglądać przed laty, jako gwiazda meczu futbolowego. Galopem

wbiegł po schodkach do kabiny projekcyjnej. W umyśle Dany ten obraz przekształcił się we wspomnienie z dawnych czasów. – „Travis trochę mi przypomina tego gracza z Penn”, powiedziała pewnego dnia do Whita. – „Pamiętasz, nazywał się Jason Carraway”.

Kiedy Andy ujął ją za łokieć, aż podskoczyła. Sala ucichła. Wszyscy czekali, aż Dana znów przemówi.

– Panie Reilly, mamy dla pana i pańskiego zespołu komplet odbitek, a także kopię taśmy z nagraniem symulacji komputerowej. Jeżeli jeszcze ktoś chciałby dostać kopie fotografii albo ponownie obejrzeć symulację komputerową, proszę o kontakt z moją kancelarią. Ustalimy szczegóły. Czy teraz mają państwo do mnie pytania?

Reilly i Cutler naradzali się ze swym zespołem. Ira Thompson siedział zupełnie oszołomiony. Don Casella popatrzył na Danę i skinął głową – przynajmniej on dał się przekonać. Brygada mamusi miała mnóstwo pytań, ale wszystkie kierowała do Petera Seferisa, który przeciskał się między nimi, chcąc się wymknąć z sali.

Z kabiny projekcyjnej wyłonił się Hunt. Dana obserwowała, jak Travis wraca na swoje miejsce. Niemożliwe, pomyślała. Zawsze się sprawdzał jako doskonały współpracownik. Nie zdobyłby się na coś podobnego.

– A zatem dziękuję wszystkim za przybycie – powiedziała do mikrofonu. – Przy wyjściu możecie państwo wziąć nasze materiały informacyjne.

Kiedy schodziła z podwyższenia, zastanawiała się, kto jeszcze, poza Travisem mógł wpaść na pomysł, że wczoraj wieczorem trzeba jej szukać na czterdziestym piętrze.

Skryła się za kulisami, ścigana przez setkę głosów. Najbardziej uporczywy był facet, który trzymał ją za rękę.

– Teraz oni wiedzą, że zatrzymałaś zdjęcia – powiedział Andy, gdy znaleźli się za ekranem. – A skoro nie ujawniłaś fotografii stanowiących obciążający ich dowód, to rozumieją, że się domyśliłaś, jak to wszystko wyglądało. Dano...

– Andy, zbyt drogo zapłaciłam za te zdjęcia, żeby ich nie wykorzystać dzisiaj, kiedy naprawdę nabrały znaczenia – odparła.

Broder pokiwał głową z desperacją; Dana dotknęła jego ramienia.

– Wszystko w porządku. Teraz już wiem, kim oni są.

Andy wytrzeszczył oczy, ale zanim zdążył zadać pytanie, pojawił się Charlie Morrison z rękami w kieszeniach. Prezentował prawdziwy luz i dużą wiarę we własne siły.

– Dano, to było niewiarygodne! Po prostu ich zmiotłaś! – zawołał.

– To wszystko zasługa Andy’ego – zaprotestowała.

Charlie ruszył z gratulacjami do Brodera.

Andy ledwie mu zdołał odpowiedzieć – wlepił oczy w Dane, która z kolei patrzyła na zbliżające się dwie kobiety: Mirellę Burke i Angelę Leoni.

– Zrobisz mi uprzejmość, Charlie? – zapytała Morrisona.

– Och, jestem ci winien z tysiąc uprzejmości.

– Poproś naszych ludzi, żeby zostali. Chcę z nimi przedyskutować jeszcze jedną rzecz. To dotyczy również Wieceka i Skelly’ego.

– Jasna sprawa – zgodził się Charlie.

Andy patrzył na nią pytającym wzrokiem, ale Dana odmownie pokręciła głową. Właśnie nadciągnęła Angela. Niepewnie kroczyła w pantoflach na szpilkach cienkich jak ostrze sztyletu.

– Dano, spisałaś się znakomicie! I wiesz co? Dzieciaki Frankiego całkiem dobrze sobie radzą. Nie będziemy już bardziej naciskać. Dajcie parę tysięcy dolców na głowę i załatwione – powiedziała.

– Nie damy ani grosza – odparła Dana.

Angela zrobiła niewinną minę.

– No dobrze, możesz być twarda, ale chodź ze mną do baru na dole i pozwól sobie postawić drinka, zgoda? Przez pamięć starych czasów.

Dana w milczeniu patrzyła na Dona Skelly’ego, który sunął w jej stronę z wypiętą cherlawą pierśią.

– Niezłe przedstawienie! – Gwizdnął przez zęby. – Całkiem mnie powaliło! No i te fotografie! Kto by się domyślił?

Dana poczuła, jak wielka nienawiść mrozi jej serce.

– Don, pozwól, to jest Mirella Burke – zaprezentowała przyjaciółkę.

Skelly okazał się rewelacyjny. Kiedy ścisnął rękę Mirelli, w jego oczach widać było jedynie gorący entuzjizm.

– Bardzo mi miło. Cieszę się, że przyskrzyniliście handlarzy narkotyków – powtarzał.

– Dano, idziemy na tego drinka czy nie?

Angela szarpała ją za rękaw.

– Wybacz, mam jeszcze jedno spotkanie. Odłóżmy to, dobrze?

Pani Leoni zrobiła obrażoną minę.

– Jasne, w porządku.

Odeszła kołysząc się na zabójczych obcasach.

– A o co chodzi z tym drugim zebraniem? – dopytywał się Skelly.

– Zorganizujemy je w audytorium, Don, jeżeli się zgodzisz, byśmy zostali u ciebie jeszcze trochę.

– Ależ z największą przyjemnością.

Dana obserwowała, jak Don mijają Angelę i wychodzi za zasłonę. Jeżeli ktoś zdołał skaptować Trávisa, to tylko on. Najgroźniejszy przeciwnik, z jakim miała kiedykolwiek do czynienia.

– Chyba dotrzymam towarzystwa Angie – powiedziała Mirella, idąc za koleżanką.

– Nie! – wybuchnęła Dana.

Mirella spojrzała na nią, unosząc brwi.

– Zostań, proszę. Musimy porozmawiać.

Mirella wysunęła szczękę, przyglądając się jej uważnie.

– Dano, co tu się dzieje? – odezwał się Andy.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się Mirella.

– Ona chce mi powiedzieć coś, co jej zdaniem powinnam wiedzieć. Ale Dano, skarbie, ja znam tę sprawę lepiej niż ty sama.

– Naprawdę? – Dana zamarła.

– Słuchaj, daj temu chłopakowi trochę luzu. On postąpił bardzo dobrze. Gdzie byśmy teraz byli, gdyby nie on?

– O kim ty gadasz, Mirello?

– O Travisie Huncie, o kim by innym? Ten słodki chłopak poci się tam, bo się boi, że panna Pierwsza Poprawna skopie mu tyłek. No tak, zgoda – przekroczył granicę, ale sam o tym wie. No i gdyby nie przyszedł do nas z tą forszą, nie przygotowalibyście na dziś aktu oskarżenia.

Dana odwróciła się do Andy'ego. Był zaskoczony nie mniej niż ona.

– Mirello, nie mam pojęcia, o czym mówisz!

– Dobry Boże! – jęknęła pani prokurator Burke. – Pokręciłam całą sprawę, zupełnie bez sensu.

– Mów, o co chodzi!

– No dobrze, już dobrze – westchnęła. – Travis pograł trochę za ostro. Chciał, żebyś była z niego zadowolona. Włamał się do domu Loudenberga na wsi. Szukał dowodów, które by ci pomogły. Tymczasem znalazł coś, na co my czekaliśmy. Rozglądał się za tym także Billy Loudenberg, tylko nie mógł niczego wyszperać. Travis przechwycił prawie sto tysięcy dolarów w gotówce. Ta forsa zaprowadziła nas do Reyesa i Santiago.

– On... on ci to podrzucił? – zająknęła się Dana.

– Tak, we wtorek rano. Potem pojawił się osobiście, by spełnić swój obywatelski obowiązek. Wczoraj po południu złożył zeznanie przed wielką ławą przysięgłych.

Dana przycisnęła rękę do skroni.

– To wszystko? Czy on nie...

Zza ekranu wyłoniła się głowa Brada Martina.

– Dano? Wszyscy pytają, ile jeszcze mają czekać. Co im powiedzieć?

– Przepraszam, już idę.

– Chwileczkę – zatrzymała ją Mirella. – A ty jakie miałaś dla mnie wiadomości?

– Chodź, Mirello. Możecie tego wysłuchać wszyscy razem.

Mirella spojrzała na Dane z ukosa, ale poszła na salę, powiewając połami kaftana.

Dana skierowała się do studia dźwiękowców, by odnaleźć Luke'a, ale

Andy złapał ją za rękę.

– Muszę to zrobić, Andy. Nie próbuj mnie zatrzymywać – rzuciła, wrywając się z uścisku.

– Nawet nie zamierzałem – odparł. – Daj mi slajdy, przyszykuję ci projektor.

Przyjrzała mu się – Broder czekał spokojnie, był skupiony i poważny. Wyjęła slajdy z torby, pięć zatrzymała, pozostałe podała Andy’emu.

– Uważaj na siebie – powiedział i pocałował ją w usta.

Dana odczekała minutę. Wyszła na scenę i po raz drugi stanęła na podium. Słuchacze zgromadzili się w trzech pierwszych rzędach. Byli tam urzędnicy z Pennsteelu, Wiecek i Skelly, Mirella Burke oraz grupa pracowników kancelarii prawniczej „Jackson, Rieders”. Cliff Austin nadal nie odstępował Olivera Deana, chcąc złowić nowy biznes, ale Dana już się tym nie przejmowała. Mogli jej odebrać ten cały Pennsteel. Po dzisiejszym dniu nie miała już wielkiej ochoty reprezentować kogokolwiek przed sądem.

Na tylnej ścianie zauważyła kwadratowy reflektor rzutnika. Kiedy w świetle mignęła sylwetka Andy’ego, zaczęła mówić.

– Dziękuję, że zechcieliście zostać. Muszę przedyskutować z wami sprawę ogromnej wagi. Z pewnością zwróciliście uwagę na fakt, że aż do dzisiejszego dnia nie ujawniałam fotografii wraków obu maszyn. Przez te zdjęcia sama musiałam się ukrywać. One też sprawiły, że ktoś włamał mi się do samochodu, do domu, a także por... – w tym miejscu Dana musiała odchrząknąć – porwał mojego męża.

Po sali jak grzmot przetoczył się szum zaskoczonych głosów. Charlie Morrison bezwiednie otworzył usta, siedzący obok Mirelli Travis

wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Don Skelly patrzył spod przymkniętych powiek.

– Dobry Boże, co się dzieje!?! – zawołał Oliver Dean.

– W Alpine Valley doszło do dwóch katastrof – tłumaczyła Dana. – Pierwsza to zderzenie, którego przyczynę niedawno zaprezentowaliśmy. Potem jednak doszło do eksplozji. W wyniku wybuchu zginęło trzech strażaków, a dziesiątki innych osób odniosły obrażenia. Teraz chciałabym wyjaśnić przyczynę eksplozji. Andy, proszę.

Światło zgasło. Na ekranie pojawiło się zdjęcie siwowłosego „strażaka”, powiększone do naturalnych rozmiarów. Pierwsze ujęcie pokazywało, jak mężczyzna wspina się na rusztowanie kolejki górskiej wraz z innymi ratownikami. Potem nastąpił cały szereg zbliżeń – Andy konsekwentnie odcinał pozostałą część slajdu. Ostatnie zdjęcie pokazywało koszulę sfotografowanej postaci.

– On ma w kieszeni ładunek do wysadzania zbiorników z benzyną – poinformowała Dana.

Kiedy zapalono światła, wszyscy siedzieli w milczeniu. Kiedy obraz sabotażysty zniknął z ekranu, Dana spojrzała na Dona Skelly’ego. Tkwił na krześle nieruchomy jak głaz.

Pierwszy odezwał się Charlie.

– Co ty mówisz, Dano!?! – zawołał.

Wstrzymała oddech. Dopiero po chwili odpowiedziała:

– Przedstawiony człowiek świadomie wysadził oba wraki, żeby zniszczyć dowody określające przyczynę katastrofy. Zauważył, że robiłam zdjęcia na miejscu zdarzenia po tym, jak już założył ładunek wybuchowy. Od tego momentu on i jego współpracownicy starali się zdobyć film wszelkimi

metodami.

– Chcesz powiedzieć, że to oni porwali Whita? – zapytała Mirella.

Oczy Dany napęłniły się łzami.

– Tak. – Wydusiła z siebie. Miała ochotę uciec z sali. Oliver Dean wstał i odwrócił się do kabiny projekcyjnej.

– Czy możemy cofnąć się o dwa lub trzy slajdy? – zapytał.

Andy przytykał rzutnikiem do chwili, aż na ekranie znów pokazała się twarz siwowłosego mężczyzny.

– Przyjrzyj się, Charlie – odezwał się Dean. – Czy to nie jest ten twój facet od bezpieczeństwa?

Dana powoli podniosła głowę. Pasko? Michael Pasko? Dyrektor do spraw bezpieczeństwa w Pennsteelu?

Charlie poderwał się i wbił oczy w ekran.

– Nie wiem – powiedział zaskoczony. – Może masz rację, Ollie.

Dana popatrzyła na Dona Skelly'ego, ale jego mina sugerowała jedynie wielkie zaciekawienie.

Wtedy Dana sobie coś przypomniała i aż musiała chwycić się za brzeg mównicy, żeby nie stracić równowagi. „Michael Pasko, człowiek dobry na kryzys” – mówił wtedy Charlie. – „Wykorzystaj go”.

– Wezmę Mike'a w obroty – powiedział Morrison. – Wezwę go tutaj i wszystkiego się dowiemy.

Dana z łomoczącym sercem obserwowała, jak Morrison znika w tylnej części audytorium. Mirella podniosła się z krzesła. Dana jak skamieniała patrzyła na twarze zgromadzonych, kiedy Charlie przechodził obok, nie oglądając się za siebie. Nikt oprócz Dany tego nie zauważył. Usta Mirelli poruszały się, ale huk w głowie Dany zagłuszał wszelkie dźwięki.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała.

Na sztywnych nogach wyszła tylnymi drzwiami na korytarz. Był tam już Charlie. Wcisnął guzik windy. Dopiero teraz Dana zauważyła, że Morrison ma zabandażowane palce. Jej wyobraźnia wyselekcjonowała obraz zamka u drzwi, przysmażonego przez silny prąd. Kto jeszcze wiedział o tym, że na czterdziestej kondygnacji znajduje się stanowisko dowodzenia? Oczywiście człowiek, który co miesiąc płaci za wynajęcie tego pomieszczenia.

Słyszając odgłos jej kroków, Charlie odwrócił się.

– Och, Dano, zawsze jesteś tam, gdzie cię potrzebują – powiedział.

– Zraniłeś się w rękę? – zapytała.

Morrison wsadził obandażowaną dłoń do kieszeni.

– A tak, oparzyłem się wczoraj wieczorem przy grillu. Posłuchaj, Pasko już tu jedzie, ale ja się przy okazji dowiedziałem, że w biurze szykuje się nowy pasztet. Wytłumacz mnie, zgoda?

Dana podeszła bliżej.

– Nie, Charlie. Nie będę cię więcej kryć, teraz ani nigdy.

Z bliska widziała jego zbiegające wargi. Za plecami Morrisona otworzyły się drzwi windy. Wsiadając do niej, rozejrzał się w prawo i lewo.

Jason Carraway był znany jako futbolista, ale jeszcze bardziej jako oszust. Whit słyszał całą historię wywalenia Charliego z kancelarii prawniczej i nigdy nie potrafił pojąć, dlaczego Dana tak uparcie nie wierzyła, że Charlie mógł zniszczyć dokumenty. „Zagrożona była jego kariera”, powiedział pewnego dnia Whit. „Ludzie często podejmują desperackie działania, kiedy są przyparci do muru”.

Kiedy drzwi zaczęły się zasuwać, Dana chciała wskoczyć do windy.

– Gdzie jest Whit? – krzyknęła. – Co zrobiliście z moim mężem?

Drzwi zatrzasnęły się, zakrywając białą jak ściana twarz Charliego.

Dana zaczęła walić w nie pięściami, wrzeszcząc:

– Gdzie on jest? Co z nim zrobiliście?

Angeli Leoni wysunęła głowę z kabiny telefonicznej w głębi korytarza.

– Dano, co się stało? – zapytała.

Dana podbiegła do okna. Charlie był już na parkingu. Biegł w ulewnym deszczu. Wgramolił się do swojego porsche i szybko wyjechał. Na podjeździe spod kół tryskały fontanny wody.

Oparła głowę o szybę, ale zetknięcie z chłodną powierzchnią nie ostudziło umysłu pracującego w oszałamiającym tempie. Pomyślała, że jej instynkt w stosunku do ludzi zazwyczaj nie zawodził, a jednak źle oceniła Dona Skelly'ego i Trávisa, pomyliła się również co do Charliego. Charlie Morrison, stary przyjaciel i lojalny klient, człowiek, którego kariera tak pięknie się rozwijała, dowiedział się o katastrofie w ciągu dwóch minut, a w ciągu pięciu minut wydał polecenie Mike'owi Pasko, aby zniszczyć wszelkie dowody niezależnie od tego, czy wypadną na korzyść Pennsteelu czy nie, ponieważ nie chciał ryzykować.

Zamyślona wpatrywała się w strugi deszczu. Charlie Morrison, sympatyczny facet, który musiał kiepsko skończyć – wszystko było jedną wielką symulacją. Kłamał i oszukiwał, usiłując zrobić karierę w kancelarii „Jackson, Rieders”, Później tak samo postępował w Pennsteelu.

Stojąca obok Angela coś mówiła. Do Dany jednak nic nie docierało. Wiedziała tylko, że jeśli Whit nie żyje, to i ona woli umrzeć.

Była otępiała, ale nie ślepa. Nagły błysk światła przewiercił jej szare komórki niczym laser. Przycisnęła twarz do szyby i wyteżyła wzrok.

Gdzie to było? Skąd się wzięło światło? Widziała je z całą pewnością.

Pojawił się kolejny błysk. Tym razem trwał dłużej, więc mogła wysledzić jego źródło: na dnie wykopu pod fundamenty zachodniej wieży.

Jeszcze jeden błysk. Zauważyła, że wydobywa się z turkusowej przenośnej toalety, leżącej w błotnistym dole.

„Rathskeller”.

– Whit! – krzyknęła.

Rzuciła się na dół po schodach przeciwpożarowych. Z impetem wpadła do holu na parterze. Pędziła przez parking, rozpryskując kałuże, potem po mokrej trawie do zrobionego z metalowej siatki ogrodzenia otaczającego teren budowy. Furtka znajdowała się na drugim końcu. Dana gnała co sił w nogach. Poślizgnęła się na śliskiej nawierzchni – wylądowała w błocie. Podniosła się i ruszyła dalej.

Brama w płocie była zabezpieczona łańcuchem. Dana szarpnęła kłódkę. Bez skutku. Chwyciła oburącz za łańcuch i pociągnęła mocno. To też nic nie dało.

Zrzuciła pantofle i wskoczyła na płot. Złapała się rękami za drut, palce nóg wcisnęła w oczka siatki i zaczęła się stopniowo wspinać na górę. Górną krawędź płotu stanowiła żelazna rura, ponad którą wystawały obcięte końcówki drutów. Kiedy przelaźła na drugą stronę, podarła sobie żakiet. Zeskoczyła na ziemię.

W głębi wykopu leżała przenośna latryna, przewrócona, drzwiami do góry, zanurzona w wodzie na jakieś piętnaście centymetrów.

– Whit! – krzyknęła z całych sił. – Whit!

Jednak wiatr zagłuszał słowa, niosąc je w zalaną deszczem dal.

Znalazła drabinę, zaciągnęła ją na skraj wykopu i opuściła. Szczeble

były śliskie od wilgoci. Do zejścia na dno brakowało jeszcze dwóch metrów. Dana nagle straciła równowagę i spadła na ziemię. Wyciągnęła się jak długa na plecach, ale zaraz się przekręciła i wstała, rozchlapując wodę i błoto.

– Whit! – krzyknęła znowu, brnąc do latryny przez kałuże. – Whit, jesteś tam?

Opadła na kolana, przysunęła usta do szpary w drzwiach kabiny i wołała:

– Whit, Whit, jesteś tam!?

Natężyła słuch. Na jej policzkach krople deszczu mieszały się z łzami.

– Dano, to ty? – odezwał się ze środka chropowaty głos.

Dana przylgnęła do latryny.

– Mój Boże, Whit... wydostanę cię! Trzymaj się, Whit, proszę, trzymaj się!

– Dano, tam jest łańcuch...

– Widzę. Ale co zrobić z kłódką?

– Latryna zwęża się przy szczycie. Łańcuch się zsunie, jeśli go przeciągniesz w górę.

Woda spływała jej z włosów, zalewając oczy. Dana odgarnęła mokre kosmyki i wstała. Chwyciła ciężki łańcuch. Szarpnęła go w stronę szczytu kabiny. Przesunął się o kilka centymetrów, ale nie dalej – zahaczył się o jakiś występ. Dana wsunęła rękę pod kabinę i przeciągnęła łańcuch przez tę przeszkodę. Znowu pociągnęła oburącz. Łańcuch powoli przesunął się dalej, aż wreszcie spadł na ziemię.

Dana znalazła zabłoconą klamkę i pociągnęła ją silnie. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Ze środka wypadł Whit – zarośnięty,

przemoczony do suchej nitki. Mrużył oczy przed światłem.

– Dano! – zawołał chwytając ją w ramiona.

Oboje upadli w błotnistą kałużę.

– Och, Whit! – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Nic ci się nie stało?
Bałam się, że już cię nie zobaczę!

Przez szum wiatru i deszczu docierały do nich głosy. Podnieśli głowy i zobaczyli, że na skraju szybu zebrał się tłum ludzi. Angela przedzierała się przez zwały błota na swych niebotycznych obcasach, za nią powiewał na wietrze kaftan Mirelli. Zastępczyni prokuratora wyglądała jak uosobienie gniewu bożego. Travis mocno chwycił górny koniec drabiny, po której schodził Andy Broder.

– Idą nam pomóc – wyjaśniła Dana.

– Ty przyszedłś mi z pomocą – szepnął Whit. – Nic więcej się nie liczy.

Pochylił się nad żoną i pocałował ją w usta.

– Skończyłem pisać książkę – powiedział po chwili.

Zdumiona otworzyła szeroko oczy, w których zapalił się płomień, świecący jak pochodnia w czasie burzy.

– Och, Whit! – pisnęła rzucając się w jego ramiona.

Przed wieczorem deszcz zaczął słabnąć. W piątek rano woda spłynęła z ulic, wsiąkła w glebę i napełniła zbiorniki. Z dnia na dzień zielony teren otaczający kompleks „Geisingera” odzyskał swą barwę.

Dana wysiadła z samochodu i odetchnęła głęboko. Pachniało świeżością i czystością. Tego dnia była ubrana po sportowemu, w czarną lnianą bluzę i buty na podeszwie ze sznurka. Do bagażnika samochodu zapakowała szorty, kostiumy kąpielowe i ręczniki plażowe. Spotkanie miało potrwać godzinę. Potem będzie wolna; wyjedzie, zabierze dzieci i spędzi dwa wspaniałe tygodnie nad morzem.

Wyszła z windy. Przed audytorium czekał już Travis. Ledwie zdążył mruknąć coś na powitanie, kiedy wręczyła mu kasetę wideo. Trudno było stwierdzić, które z nich jest bardziej zawstydzone – czy Travis tym, czego się dopuścił, czy Dana wiedząc, o co go podejrzewała. Hunt natychmiast poszedł do kabiny projekcyjnej.

– Dano, można na słówko?

Zobaczyła zbliżającego się Clifforda Austina. Znowu on, pomyślała z niechęcią. Pewnie zamierzała coś wyciągnąć od Pennsteelu, a może chce się poszczycić, że miała rację w sprawie Charliego Morrisona.

– Słucham, o co chodzi, Cliff? – zapytała.

– Twoja wczorajsza prezentacja wywarła na nas ogromne wrażenie – mówił prostując się jak trzcina. – A teraz, kiedy wiemy, pod jak wielką presją się znalazłaś...

– Dziękuję, Cliff. Wybacz, muszę...

– Nie, nie, poczekaj. – W jego głosie pojawiła się nuta niepokoju. – Od czasu do czasu zdarzały się nam nieporozumienia, ale powinnaś wiedzieć, że zawsze odnosiłem się do ciebie z najwyższym szacunkiem. Wczoraj wieczorem komitet wykonawczy prosił mnie, żebym cię poinformował, jak bardzo sobie cenimy współpracę z tobą. Uważamy za rzecz bardzo ważną, abyś została w naszej firmie.

– Rozumiem. – Dana uśmiechnęła się dyskretnie. Oliver Dean jest człowiekiem lojalnym i z pewnością przeciwstawił się zakusom Austina. – No cóż, dziękuję za wiadomość.

Dana otworzyła drzwi, pozostawiając zakłopotanego Clifforda samemu sobie.

Kiedy weszła do audytorium, Don Skelly poderwał się, by ją powitać.

– Cześć, Dano!

– Witaj, Don. Dzięki, że pozwalasz nam jeszcze raz skorzystać ze swojego pomieszczenia.

– Zawsze z przyjemnością was tu zaproszę. Ostatniej nocy większość chłopców z Pennsteelu spała w naszym hotelu. Trzymaj tak dalej, a „Geisinger” zarobi pieniądze na twojej sprawie.

Za sceną czekał Andy. Dziś miał na sobie niebieskie džinsy i sportową kurtkę. Elegancki, szary garnitur, w jakim wystąpił poprzedniego dnia, był zachlapany błotem. Chłopak ruszył w kierunku Dany szybkim krokiem, ale zatrzymał się w odległości metra.

– Jak się czuje twój mąż?

– W porządku. Jest trochę odwodniony, więc zatrzymali go w szpitalu na obserwacji, ale już dziś go wypuszczą.

– Ma chłop szczęście.

– Fakt. Mógł zginąć w tej dziurze.

– Nie to miałem na myśli.

Andy z trudem przełknął ślinę.

– Och, Andy. – Dana przygryzła wargę, walcząc z uczuciem, wzbierającym w jej piersi. – Tak bardzo mi przykro.

Broder podszedł bliżej i pogładził ręką jej policzek.

– To wyłącznie moja wina. Sam przecież spowodowałem, że zakochałaś się w nim po raz drugi.

Dana potrząsnęła głową.

– Zawsze go kochałam. Ty mi tylko pomogłeś przypomnieć sobie, dlaczego.

W jego oczach pojawiła się pustka. Dana chwyciła Andy'ego za rękę, przycisnęła ją do twarzy i pocałowała wewnątrz dłoni.

– Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, Andy. To, co się nam przydarzyło, będzie dla mnie najdroższym wspomnieniem do końca życia – powiedziała.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zobaczyła w nich smutek rezygnacji.

– Możemy utrzymać kontakt? – zapytał. – Choć raz do roku wyślę ci kartkę. Nie chcę cię całkiem stracić.

– A ja ciebie. – Dana mocniej ścisnęła jego rękę. – Może wyślesz mi też czasem parę zdjęć?

– Jakich zdjęć?

– Twojej żony i dzieci, na przykład – powiedziała.

Andy uśmiechnął się, a ona mówiła dalej:

– A także pierwszego helikoptera, jaki kupisz dla swojej firmy czarterowej.

Uśmiechnął się szerzej, pokazując dołeczki.

Z audytorium dobiegały coraz liczniejsze głosy. Dana wyszła na scenę. Na przedzie siedzieli Trzej Amigos i inni reprezentanci Pennsteelu. Norm Wiecek i Don Skelly zajęli miejsca dalej, w otoczeniu członków zarządu swoich firm. Byli tam też podwładni Dany: Lyle, Brad, Maria. Nawet Cliff Austin przyłączył się do grupy z „Jackson, Rieders”.

Dana podeszła do mikrofonu, aby przekazać najnowsze informacje.

– Charlie Morrison został aresztowany wczoraj wieczorem przez FBI, kiedy usiłował wsiąść do samolotu lecącego do Kingston na Jamajce – zaczęła.

Wśród słuchaczy rozległ się głośny szmer.

– Mój mąż rozpoznał Charliego jako jednego z porywaczy, obok Michaela Pasko i Tobiasha Johnsona. Zwłoki Johnsona znaleziono w płytkim dole w wykopie. Pasko prawdopodobnie wyjechał z kraju we wtorek w nocy, ale zostawił kasetę wideo. Oryginał zatrzymało FBI, my otrzymaliśmy kopię. Travisie, puść, proszę, nagranie.

W sali zapanowała ciemność. Na ekranie pojawił się obraz. Białowłosy mężczyzna siedział za biurkiem w pokoju. Pomieszczenie okazało się jednym z gabinetów w siedzibie Pennsteelu.

– *Profesorze Endicott – powiedział mężczyzna, uśmiechając się do kamery. – Jeżeli ogląda pan to nagranie, znaczy, że pan przeżył. Gratuluję.*

Wykazał pan więcej hartu, niż mógłbym się spodziewać. Należy się panu wyjaśnienie, dlaczego spotkał pana taki los.

Nazywam się Michael Pasko. Mam za sobą bardzo pomyślną karierę w siłach specjalnych armii Stanów Zjednoczonych, w których pracowałem, zanim Charlie Morrison zatrudnił mnie na stanowisku dyrektora do spraw bezpieczeństwa i operacji specjalnych w korporacji Pennsteel.

Jednym z największych zmartwień pana Morrisona w ciągu ostatnich lat były gwałtownie rosnące koszty procesów sądowych. Stało się dla niego oczywiste, że ilekroć korporacja jest pozywana o odszkodowanie, nie jest w stanie zwyciężyć, nawet jeśli ostatecznie miałyby wygrać proces, ponieważ musi płacić ogromne sumy z tytułu kosztów obrony. Korporacja może odnieść sukces tylko wtedy, gdy uda się jej nie dopuścić do złożenia pozwu w sądzie. Moim zadaniem było przygotowanie technik interwencyjnych na wczesnym etapie, które miały zapewnić osiągnięcie takiego celu.

Kiedy wybuchł pożar w hotelu Palazzo, złapałem pierwszy samolot do San Diego. Niestety, zjawilem się za późno. Sąd co prawda stwierdził, że Pennsteel nie ponosi żadnej winy, ale sprawa kosztowała Pennsteel trzy miliony dolarów. Taki był koszt obrony. W dodatku cała suma pochodziła z funduszu ubezpieczeniowego, który wchodził w skład budżetu Morrisona.

Charlie chciał podnieść własną pozycję w firmie, a budżet znajdował się pod ścisłą obserwacją zarządu. Morrison postanowił więc bardzo zdecydowanie, że coś takiego, jak afera Palazzo już nigdy nie może się powtórzyć.

Kiedy dotarła do nas wiadomość o kolizji JetRangera, wysłał mnie do parku rozrywki z zadaniem wyeliminowania dowodów, które mogłyby posłużyć wytoczeniu kolejnej sprawy sądowej przeciwko Pennsteelowi. Uznałem, że najszybciej uda się to osiągnąć wysadzając nie uszkodzony

zbiornik z paliwem. Ani ja, ani Morrison nigdy nie zamierzaliśmy zagrozić ludzkiemu życiu. To był jedynie niefortunny zbieg okoliczności.

Jeszcze bardziej nieszczęśliwie się złożyło, że zauważyłem pańską żonę. Robiła zdjęcia, kiedy już założyłem ładunek. Poszedłem za nią, żeby odebrać aparat. Gdyby zareagowała trochę wolniej, nie nastąpiłaby cała reszta wydarzeń.

Złożyłem raport Morrisonowi i otrzymałem jasne instrukcje: odzyskać i zniszczyć film, nie robiąc krzywdy jego właścicielce. Proste zadanie. Zaangażowałem swojego zastępcę, Tobiasha Johnsona. Sądziłem, że sprawę załatwimy w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Wszystko potoczyło się niezgodnie z moimi przewidywaniami. Nie znaleźliśmy kliszy w samochodzie ani w domu. Morrison sam przeszukał biuro, ale też bezskutecznie. zaproponowałem, żeby porwać pana, profesora, ale nawet to było od początku skazane na niepowodzenie, ponieważ pańska żona zdążyła już wywołać film.

Dzisiaj dostałem rozkaz, żeby pana wykończyć i przerwać misję. Po długim zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że nie mogą się podporządkować temu poleceniu. Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że kierowałem się wyłącznie humanistycznymi względami. Gdybym wykonał zadanie, sam stałbym się następną ofiarą. Postanowiłem więc do tego nie dopuścić. Wydaje mi się, że przynajmniej na tyle wyjaśnień pan zasługuje.

Proszę zwrócić uwagę, że moje nazwisko brzmiało Pasko. W chwili, gdy będzie pan oglądał nagranie, zmienię tożsamość, więc niech FBI nie trzusi się poszukiwaniem faceta o wspomnianym nazwisku. Radziłbym skoncentrować się na człowieku znanym jako Charlie Morrison. Proponuję zacząć od sejfu w moim gabinecie. Tam są taśmy. Nagrywałem

rozmowy, jakie prowadziłem z panem Morrisonem.

To wszystko. Życzę powodzenia, profesorze.

Kaseta skończyła się. Travis wyszedł z kabiny, kiedy na sali zapaliły się światła. Publiczność siedziała zupełnie zaskoczona.

– Pani Svenssen – zaczął Oliver Dean, odchrząknął i mówił dalej: – Michael Pasko wspominał o pewnych taśmach...

– FBI przejęła je ubiegłej nocy – przerwała mu Dana. – Nagrania wydają się autentyczne, no i są bardzo obciążające.

Wstrząśnięci członkowie zarządu kręcili głowami.

– A co to wszystko oznacza dla Pennsteelu? – zawołał Tim Haguewood.

– Obawiam się, że Pennsteel musi wziąć pod uwagę wypłatę odszkodowań za straty spowodowane przez drugi wybuch – odparła Dana.

– A ponieważ kolejna eksplozja była rezultatem świadomego działania, trzeba się też liczyć z solidną nawiązką.

Ostatnia uwaga wywołała podniecenie na sali.

– Co za ironia losu! – wtrącił Oliver Dean. – Nie ponosimy odpowiedzialności za koszmarny wypadek, ale teraz, za sprawą Charliego, staliśmy się winni.

– Możecie się stać. To tylko ewentualność – sprostowała Dana. – Wina nie jest ewidentna. Poza tym macie poważne argumenty na swoją obronę. Charlie popełnił przestępstwo, ale jego karygodne postępowanie nie wynikało z powierzonych mu obowiązków służbowych. W dodatku działał z pobudek osobistych: chciał zająć fotel Vica. Gdyby zamordował Vica, żeby utorować sobie drogę do awansu, żaden sąd nie obciążyłby za to

Pennsteelu.

– Z prawnego punktu widzenia nie – przyznał Dean. – Ale rozpatrując sprawę w kategoriach moralnych? Tu można mieć wątpliwości.

Dana odszukała wzrokiem Trávisa – siedział o trzy rzędy za pozostałymi ludźmi z zespołu. Zauważyła, że jest przerażony, bo nie wie, jaka przyszłość czeka go w kancelarii. Posunął się za daleko, przekroczył granicę, ale Clifford Austin ponosił za to większą odpowiedzialność niż sam Hunt. Osiem lat temu Charlie Morrison był w takiej samej sytuacji, jak teraz Travis – został przyparty do muru. Gdyby wtedy ktoś wyciągnął do Morrisona rękę, nic złego by się nie wydarzyło.

– Pewnie tak, panie Dean – powiedziała wreszcie. – Jeżeli w kompanii dochodzi do sytuacji, które skłaniają do nieuczciwych działań, to należy z nimi walczyć. Oczywiście trzeba jednocześnie przeciwstawiać się różnym siłom spoza firmy.

Charlie w jednej sprawie miał rację: przedsiębiorstwa stają się zakładnikami kosztów spraw sądowych. Często ponosi się porażkę mimo wygranej w sądzie, a dookoła jest zbyt wielu ludzi, którzy o tym wiedzą i wykorzystują okazję. Jeśli daje się im łatwo zarobić, równie dobrze można płacić okup porywaczom.

– No więc, co powinniśmy zrobić?

Pytanie zadał Haguewood, ale Dana dalej mówiła do Deana i innych członków zarządu:

– Nie płacie okupu krwio pijcom. Przyłóżcie się bardziej do obrony, walczcie.

– A pani będzie walczyć? – zawołał Oliver Dean. – Słyszałem, że zamierza pani odejść z kancelarii, a nawet w ogóle porzucić prawo?

Dana spuściła wzrok. W sali zaległa cisza. Uływały kolejne sekundy. Na twarzy Haguwooda pojawił się uśmiezek. Po drugiej stronie audytorium siedział Travis z pobladłą twarzą. Ledwie ośmielał się oddychać.

Ktoś otworzył drzwi, potem zamknął je cicho. Dana podniosła głowę i zauważyła Whita. Stał w końcu sali. Złożył ręce na piersiach i patrzył na żonę. Był już dokładnie ogolony. Na jego wychudzonej twarzy malował się wyraz, jakiego Dana nie widziała od wielu lat, ale dobrze go pamiętała: to był zachwyty, że istnieje taka istota jak ona i że należy do niego.

– W wielu poważnych sprawach nie zgadzam się z kierownictwem mojej firmy – powiedziała w końcu. – Swój związek ze spółką traktuje jednak jako swoiste małżeństwo: nie zawsze idealne, ale zawarte na całe życie. Mamy mnóstwo problemów, które trzeba rozwiązać. Zamierzam zostać, pokonać te trudności.

Travis z ulgą poprawił się na fotelu. Położył ręce na oparciach.

– Gotowa jestem zostać partnerem zarządzającym – dodała.

Clifford Austin nagle zeszywniał.

– A więc moja odpowiedź, panie Dean, brzmi: nie. Nie odchodzę z kancelarii. Będę walczyć o sprawy Pennsteelu, jeżeli mnie zechcecie.

Oliver Dean odwrócił się do członków zarządu firmy prawniczej.

– Kto za? – zapytał.

Wszyscy podnieśli ręce.

Dana przejrzała jeszcze swoje zapiski i zamknęła notatnik.

– Jestem pewna, że macie mnóstwo pytań dotyczących tego, co się wydarzyło przez ostatnie dwa tygodnie, ale jeśli pozwolicie, chciałabym

poprosić do mikrofonu kogoś, kto odpowie na nie znacznie lepiej niż ja. Oto człowiek, który kierował naszym dochodzeniem, a jeśli i kiedy ta sprawa trafi do sądu, mam nadzieję, że za waszą zgodą wystąpi jeszcze jako nasz główny świadek z grona ekspertów. Pan Andrew Broder.

Andy wkroczył na scenę. Dana zbiegła po schodkach i ruszyła na koniec audytorium.

– Co wiadomo na temat ładunku do wysadzania zbiorników z paliwem?

– zawołał ktoś.

Andy śledził wzrokiem Dane biegnącą do męża. Kiedy rzuciła się w ramiona Whita, zaczął odpowiadać na pytania.

Podziękowania

Inspiracją do napisania książki zatytułowanej „Kąt zderzenia” była autentyczna katastrofa lotnicza. 4 kwietnia 1991 roku, nad przedmieściami Filadelfii helikopter zderzył się z małym samolotem. Większość mieszkańców miasta do dziś doskonale pamięta to wydarzenie. Świadkowie katastrofy bez trudu jednak zauważą, że wypadek przedstawiony w książce jest całkowicie fikcyjny i w niczym nie przypomina rzeczywistego wydarzenia poza tym, że w obu przypadkach chodzi o kolizję w powietrzu.

Zajmując się sprawą prawdziwej katastrofy, miałam szczęście współpracować z J. Denny Shupe'em i Jamesem H. Rodmanem. Jako prawnicy, piloci i wszechstronni eksperci w dziedzinie nawigacji, Denny i Jim posiadają ogromną wiedzę i duże doświadczenie. Jestem im bardzo wdzięczna, że poświęcili swój cenny czas, by przejrzeć rękopis. Udzielili mi też nieoczekiwanej pomocy przy korygowaniu terminów technicznych. Żadne błędy, jakie pozostały w mojej powieści, nie są przez nich zawinione.

Chciałabym również podziękować mojemu agentowi, Jean Nager, za przyjacielską postawę i nieustające poparcie, a także jej asystentkom, Joan Lilly i Jennifer Wertz, za oceny i rady dotyczące wstępnych wersji książki. Dziękuję Joeowi Bladesowi, wydawcy i dżentelmenowi, za pełne entuzjazmu i rozsądku podejście do tekstu.

Wreszcie pragnę wyrazić wdzięczność mojemu instruktorowi lotniczemu, Johnowi A. Mignone'owi, który zginął przedwcześnie, robiąc to, co najbardziej kochał – szybując w powietrzu. Johnie, życzę ci zawsze

umiarkowanych wiatrów i czystego nieba.

Bonnie MacDougal jest prawnikiem. Pracowała w swoim zawodzie w Filadelfii, Anchorage na Alasce oraz Little Rock w Arkansas. Zadebiutowała powieścią pod tytułem „Breach of Trust”. Mieszka z mężem i dwiema córkami na Main Line w Filadelfii.